

Dzikie banany

Fiedler Arkady



calibre 0.9.43

1. Szlakiem białych motyli

Białymi diabłami - chyba nie bez powodu - nazywali dawniej Chińczycy wszystkich Europejczyków, jacy do nich przybywali, ale te czasy już minęły.

Mimo to w pociągu popiesznym, unoszącym mnie z Pekinu na południe ku Wietnamowi, czyniono skrupulatny rozdział między ludmi Europy i Azji: tu przedziały sypialne tylko dla białych, tam tylko dla Azjatów. Kto przypadkiem zaplisał się w przedział nie swej rasy, tego fora ze dwora - bardzo grzecznie ale i bardzo stanowczo wypraszano.

Beata Babad, korespondentka Polskiej Agencji Prasowej, spała przez pół nocy w jednym przedziale z jakś miłš, młodš Chinkš, dopóki służba kolejowa tego nie zauważyła z niepokojem. Natychmiast je rozdzielono, a Beatę chciano wpakować do mego przedziału, w którym sam jechałem. W chińskich wagonach sypialnych mężczyźni i kobiety podróżują razem. Niepokój z kolei udzielił się nam dwojgu, bo nie mieliśmy ochoty na takš przymuszonš chińskš romantykę i Beatę w końcu zaprowadzono do jadących w pociągu Rosjanek.

Spokojnie, jak człowiek powoli spożywający suty obiad, spoglądałem na krajobraz w prawo i w lewo przez wielkie okna wagonu, patrzałem rozważnie, usiłując zachować umiar i roztropność: nie godziło się, aby otrząskany po chaszcach wiata wędrowiec popadał

w cudaczne zachwyty niby niedowarzony zapaleniak lub zgoła jak polski turysta orbisowy za granicš. A jednak trudno było poskromić swš wyobraźnię, która wyrwała się, zachłystywała tym azjatyckim ogromem i gubiła miarę, jakś mierzyć by należało widziane rzeczy.

Jechaliśmy zrazu zachodnim skrajem Niziny Chińskiej mając po prawej ręce, na zachodzie, góry Taihang, a po lewej słynną Nizinę.

Góry z daleka przypominały Pieniny, niekiedy Tatry, tylko że były całkiem bezlenc - lecz jakże porównywać je z naszą karpacką chudziną? Toż to za ledwie te łańcuchy wyrastały tu z naszego boku, już potężnie rozpleniały się na zachód, południe i północ, parły na wsze strony jedną szaloną, nieprzerwaną a straszliwie pogmatwaną masą, wzbijały swe szczyty pod tybetańskie niebo, dziko wypadały przez Hindukusz na afgańskie stepy, spływały do Iranu i do Turcji i właściwie opamiętywały się dopiero na przedmieciach Smyrny u wybrzeża Morza Egejskiego - chyba o jakie dziesięć tysięcy kilometrów od naszej kolei. Gdzież tu porównywać nasze pocziwe Karpaty!

Nizina Chińska, po lewej stronie, wywoływała czasem umięch i osłupienie, bo miejscami tak przekornie podobna była do ziemi łowickiej: wypisz, wymaluj, ta sama płaskość przez dziesiątki kilometrów, te same jesienne pola po ukończonych żniwach, dziwnie swojskie miedze, ani na lekarstwo lasu, za to liczne drogi, porośnięte równymi szeregami drzew bardzo podobnych do naszych topoli.

Tylko tu i ówdzie pola bawełny mściły podobieństwo: nie zebrane jeszcze białe pški na krzewach

wyglądały z daleka jak białe, liczne kwiaty. I całkiem niepolskie były dwukołowe arby ciągnięte przez konia i osła. A chaty tutejsze? O ileż lichejsze niż u naszych chłopów w Polsce, lepianki-kurniki raczej niż siedziby ludzkie. Ludzie za

ubodzy, kiepsko odziani, o tej porze roku, w październiku, mało pracowali na polach, natomiast tysiące ich wędrowało drogami i cieżkami. Na swych ramionach dwigali nosidła, obwieszane przeróżnym towarem. Daleki Wschód to wciąż jeszcze kraina tragarzy, ich szybkie, krótkie kroczki i ciała uginające się pod ciężarem, to najpospolitszy tu widok, niemal symbol.

Wiele było tych ludzi, a chat stosunkowo mało i trudno sobie wyobrazić, jak mieszkali stłoczeni, a jeszcze trudniej zdać sobie sprawę, że na tej Nizinie Chińskiej, od Pekinu do Szanghaju, na obszarze nie większym niż półtorej Polski, żyło chyba piętnacie razy więcej ludzi niż u nas.

Osobliwą rozkosz tej podróży było to, że człowiek przebywał

ciężko pod obstrzałem najkapryniejszych przeciwieństw. Co krok jakie wariackie przeskakiwanie z jednego wiata w drugi, obok rzeczy żywych i prężnych - najbardziej skostniałe, obok czego bardzo bliskiego - obrazy niepojęcie obce i niepodobne do niczego. Tysiąclecia stykały się tu jak gdzie indziej stulecia. Chinom współczesnym nie brakowało ambitnych mężów, mających o wiecie własne, wyrobione zdanie, ale już przed czterema tysiącami lat niektórzy cesarze słynęli z bezprzykładnej mądrości, a o "stu kwiatkach" marzyli tu w swych pieniądzech mędrcy i poeci w czasach, kiedy Grecy wiedli jeszcze lichy żywot prostych pasterzy i baraniś skórami okrywali swe nagie ciała.

W kilkanacie godzin po opuszczeniu Pekinu przejeżdżaliśmy przez Żółtą Rzekę, Huang-ho. Słynna to rzeka i Chińczykom droga, tu bowiem, w niewielkiej krainie nad rodkowym jej biegiem, była w zamierzchłych czasach kolebka narodu chińskiego. Szczep skrzętny, plenny i bitny, rychło wydobyl się ze swych komyszy i wchodząc na drogę podbojów blisko pięć tysięcy lat temu, wszedł w progi historii.

Wpierw parł na północ, aż po amurskie lasy, potem na południe aż do Zatoki Tonkińskiej, w końcu na zachód. Najcięższy opór napotykał

na południu, wśród nielicznego szczepu górskiego Miao-ce i była to chyba najdziwniejsza wojna w dziejach ludzkości: trwała przeszło cztery tysiące lat, lecz mimo że była nad wyraz okrutna i ciężko przynosiła klęski wojowniczym góralom, przecież z powierzchni ziemi ich nie starła.

W naszym wagonie restauracyjnym ten sam rozdział jak w sypialnym: dla Europejczyków osobne stoliki. Żałowałem, że tak było, bo pewien inteligentnie wyglądający Chińczyk około czterdziestki chciał się do mnie dosiść, ale kelner zaraz wyprosił go i skierował do sąsiedniego stolika. Ów podróżny władał, jak wielu wykształconych Chińczyków, jako tako angielskim. Miał mądre, szeroko rozstawione, mało skone oczy, był dość wysoki i przystojny, dawniej nosiłby może tytuł mandaryna, dziś był na pewno urzędnikiem państwowym i budowniczym ustroju socjalistycznego.

Postępowanie kelnera wywołało w nim lekkie zakłopotanie i gdy siadał na wskazanym mu miejscu, umiechał się zażenowany. Wkrótce podano gotowany ryż i on jadł go chińskim, oczywiście, sposobem: przyłożył miseczkę bardzo blisko do brody i niezwykle szybkimi ruchami pałeczek

wrzucał grudki ryżu do ust. Nieprawdopodobna zwinność, z jakś to czynił, chyba wiadczyła o tradycji wielu tysięcy lat i znowu dwa wiaty, europejski i azjatycki, urzekajśco blisko spoglśdały na siebie.

Po przebyciu rzeki Jangcy-ciang - Niebieskiej Rzeki - pociśg pędzścy dotychczas wprost na południe, zboczył nieco na zachód i wszedł w kraj górzysty, tak charakterystyczny dla całych południowych Chin. Znikały szybko chłody północy i smętność krajobrazu, słońce było coraz mocniejsze, a wraz z ciepłem wszystko nad podziw piękniało. Czerwona ziemia rodziła zieleń soczystszś i drzewa zamaszystsze, zarola pieniały się popędliwiej i strumienie były weselsze, nawet chaty zdawały się tu zamożniejsze, ogrody bujniejsze, a ludzie mniej przygarbieni. Gdy zbliżaliśmy się do Zwrotnika Raka i prowincji Kuangsi, mijaliśmy gdzie koło Hangczou krainę tak urodziwś, że dech nieledwie zapierało człowiekowi: z ryżowisk nizinnych wystrzelało tu mnóstwo stromych gór wapiennych, niby kilkusetmetrowych wież skalistych, oblepionych w swych załamaniach szalonś zieleńś.

Wszystko to razem: łagodne ryżowiska, buńczuczne skały i przytulone do nich słoneczne chaty, i niebo czarujśce, wszystko to stwarzało obraz jakiej niewysłowionej pogody i szczęcia.

- Pięknie tu, prawda? - zapytał Chińczyk, mój znajomy z wagonu restauracyjnego. Widać było, że cieszył się z mego podziwu dla krajobrazu.

- Ludzie muszś tu być szczęliwi! - odpowiedziałem.

- Szczęliwi, szczęliwi! - potwierdził z lekkim przekśsem.

- Czy nie sś szczęliwi? - zdziwiłem się.

- Nie wszyscy byli tu szczęliwi - odparł i opowiedział mi o losach powabnej ziemi. Dawniej, kiedy to jeszcze były dzikie kresy południowe, cesarze chińscy zsyłali tu za karę licznych poetów i malarzy, którzy popadli w niełaskę u dworu. Tu powstawały arcydzieła poezji chińskiej, opiewajśce piękno przyrody, lecz tu także wsiśkały w ziemię łzy goryczy i zwśtpienia zesłańców pożeranych tęsknotś za utraconś na północy ojczyznś.

- Zewnętrzne piękno oblicza niekoniecznie wiadczy o tym, że wszystko inne jest w porzśdku - zamięł się dyskretnie Chińczyk.

A jednak, pomimo tej cierpkiej przeszłoci, hojniejsze niż na północy słońce południa wywiera tu od niepamiętnych czasów nieprzeparty urok. Tym samym szlakiem, jaki teraz przemierzaliśmy, parły z północy wojownicze hordy i ludy, tępiśc po drodze napotykanę plemiona, aż docierały do gorścych dolin tropikalnych i tam traciły swś północnś tężyznę. Więc szli tędy. Chińczycy i szły wypierane przez nich szczepy Miao i Tajów. Potem po grzbietach Chińczyków waliły tatarskie watahy i chmary straszliwych Mongołów i rozbiyały się dopiero o Zatokę Tonkińskś. Wszystko to dśżyło na południe w pogoni za obfitociś, zapatrzone w słońce, żśdne dobrego bytu, pełniejszego życia, raj.

Snad w tym słońcu i w coraz zuchwalszej rolinnoci południa były urzekajśce moce, bo i nam, podróżnym chińskiego ekspresu, rosły co dzień serca.

Gdzie za stacjś Kueilin ujrzałem dwóch męzczyzn, stojścych w przejciu mego wagonu. W tych

poczłtkach podróży nie umiałem jeszcze odróżniać ludzi poszczególnych narodowoci, wszakże zaraz się spostrzegłem, że to nie Chińczycy: twarze mieli jak gdyby bardziej płaskie i mongolskie, ale najwięcej rzucały się w oczy wielkie, srebrne obręcze, zawieszane dokoła szyi. Po tej niezwyklej ozdobie wszyscy bywalcy łatwo ich poznawali. Byli to ludzie Miao - Meo, jak ich Wietnamczycy nazywają - dawniejsi władcy południowochińskich połaci, dzi po tysiçcletnich walkach wyparci w mało dostępane, górskie ubocza Chin, Wietnamu, Laosu i Syjamu.

Trudno było okrelić wiek obydwóch Meo, za to jeden rys ich twarzy nie ulegał wstpliwoci: to otwartość i jaka rozbrajająca prostota, znamienna dla wielu ludzi bardzo zżytych z przyrodą.

Obydwaj nie zważali wcale na innych podróżnych i z wielkim zaciekawieniem przyglądali się czemu, co było w powietrzu mijanej włanie doliny. Gdy i ja tam spojrziałem, zauważyłem ze zdumieniem ogromną chmurę białych motyli, wędrujących równolegle do pociągu.

Leciały w kierunku południowym. Były tam tych kruchych istot nieprzebrane tysiçe i była w tej ich niezwyklej wędrówce jaka

wzruszająca nuta: toż to - tak samo jak przed nimi od tysiçcy lat tyle pokoleń ludzkich - i one leciały uparcie na południe po cieplejsze słońce i lepsze życie.

Obydwaj Meo, widać, rozumieli je i żywym szeptem wymieniali swe uwagi. Póniej Meów ani motyli już wcale nie widziałem.

Wówczas jeszcze nie przeczuwałem, że w tej podróży, tak barwnej, bogatej w plony i tak pełnej przeżyć i niespodzianek, włanie ten górski, skromny, wspaniały szczepek Meów stanie się moją wielką miłością.

2. Wietnamczycy ^

Białe motyle, widziane pod Kueilin w tak olbrzymim przelocie, były bardzo podobne do bielinków pospolitych w naszej umiarkowanej strefie. Po prostu zwykli wędrowcy z północy, niczym wyjstkowym się nie odznaczający. Gdy natomiast następnego dnia zawitalimy do ostatniej chińskiej stacji granicznej, Pingsiang, wpisałem sobie do notatnika trzy ważne słowa z radosnym wykrzyknikiem: Nareszcie przepych tropikalny!

Tak, to były tropiki. W powietrzu unosił się gęsty, znamienny zapach dojrzałej rolinności. Ludzie, chociaż tak samo Chińczycy, byli tu powolniejsi, jakby więcej czasu mieli niż gdzie indziej. Wilgotne, parne ciepło żywo przypominało mi Madagaskar i Amazonkę i było takie, że rano poilo człowieka kuszącymi marzeniami, w południe za

męczyło jak klęstwa - ale najdobitniej uwiadomiły mi wejcie w inny klimat motyle.

Pomimo jesiennej pory - bo i w tropikach przecież mocno zaznaczają się pory roku - w Pingsiang nagle zaroiło się od mnóstwa motyli i wszystkie były zupełnie odmienne od tych nielicznych gatunków, jakie widziałem jeszcze dzień, dwa dni temu. Na jednego szczególnie żeglarza

spozierałem ze szczerym zachwytem, był bowiem i przeliczny, i pospolity w tej okolicy. Podziwiałem w nim pyszny zestaw kolorów czerwonego i czarnego z dominującym żółtym. Motyl latał posuwistym lotem papilionidów, ale gdy przyjrzałem mu się bliżej, stwierdziłem, że to wcale nie był Papilio, lecz zwykły sobie bielinek: *Ixias tonkiniana*. Ale jaki bielinek! Jakie czarodziejskie barwy naniósł mu słońce i jak pozwoliło mu rozróżnić się na schwał! Ho, ho, ucieszyłem się, to już nie na żarty tropiki!

A gdy w tym samym Pingsiang, niedaleko stacji kolejowej, na błocie wysychającej kałuży ujrzałem kilkadziesiąt siedzących gęsto motyli, chciwych pijaków bagnistej wilgoci, przypomniał mi się jak żywo ten sam nałóg motyli południowoamerykańskich. A co najciekawsze, zarówno tu u wrót Wietnamu, jak i tam w Ameryce Południowej, powiewne ochlapusy były przeważnie tego samego soczystożółtego koloru. Więc chciało mi się klasnąć w dłonie i wykrzyknąć: Jeden jest wiat! - jak to podczas drugiej wojny wiatowej stwierdził Wilfrid Wilkie, wiceprezydent USA, w swej podróży na Daleki Wschód.

W Pingsiang nastąpiła przesiadka na pociąg wietnamski i kilka kilometrów dalej przebyliśmy w górzystym (jakżeby inaczej!) terenie granicę między Chinami a Północnym Wietnamem. Tędy szedł także dział wód między dorzeczem chińskiej Sikiang, która za nami została, a dorzeczem Zatoki Tonkińskiej przed nami. Więc odtąd zjeżdżaliśmy stale w dół wzdłuż górskiego strumyka, który wnet stał się rzeczką Tuong, potem rzeką całą gębszą i wił się w dolinie o czarującym znowu pięknie: po bokach urwiste góry z tropikalną puszcza, na dole, obok toru kolejowego, ryżowiska. A każda piędzi ziemi ornej wykorzystana do ostateczności, jak w doniczce. Włania były żniwa. Ludzie na polach cinali dojrzwały ryż. Ludzie przeważnie już w stożkowych kapeluszach wietnamskich ze słomy i w brązowych kaftanach. Brąz to kolor wietnamskiego chłopca. Ale widziani w górach pogranicznych żniwiarze to chyba jeszcze nie byli Kinh, właściwi Wietnamczycy, jeno ludzie którejś z licznych tu mniejszoci narodowych, może Tho, może Nung, mniej lub bardziej zwietnamszczonych.

Tak oto zjeżdżaliśmy słynną doliną noszącą nazwę Bramy Chińskiej, przez którą od tysięcy lat parły z północy na południe niezliczone hordy surowych wojowników, ale płynęły także zapładniające fale cywilizacji chińskiej. Wśród majestatycznej przyrody i pogodnego krajobrazu, z pracowitymi żniwiarzami na pierwszym planie, zbliżaliśmy się do Deltę Tonkińskiej, burzliwego zakątka kluczowych zagadnień azjatyckich ongi, i tak samo dziś, nieszczęsnego kraju oranego od dawien dawna nieustającymi wojnami, a ojczyzny jednego z najdzielniejszych i najdziwniejszych w Azji narodów.

Nazwa Wietnam pojawiła się po raz pierwszy w dziejach ludzkich w roku 2878 przed naszą erą, lecz potem jak kometa gdzie się zapodziała na długie pokolenia. Dopiero znacznie później, bo w r. 258 p.n.e., kraj wszedł do historii, gdy los i walki jego dostały się do kronik chińskich.

Wietnamczycy, których praojczyzną od niepamiętnych czasów była Delta Tonkińska, na ogół nie mieli "dobrej prasy". Chińczycy już dwa tysiące lat temu sarkali na nich, że są lekkomyślni, zmienni i skorzy do buntu. Wszyscy sąsiedzi Wietnamczyków na Półwyspie Indochińskim, którzy niejedno od nich wycierpieli, nie pozostawiali na nich, rzecz prosta, suchej nitki, a ich ujemną ocenę skwapliwie przejęli Francuzi, gdy zabrali się do podboju annamskiego cesarstwa.

W 1858 roku Henri Mouhot na przykład stwierdzał, że "Annamici jak wówczas nazywano Wietnamczyków - sš mali, szczupli, ruchliwi, ale porywcy i choleryczni, mciwi, a zwłszcza zarozumiali". "Podstępni, fałszywi, kłamlivi i złodziejscy" -głosiła inna opinia, chociaŹ czasem z rzadka który łagodniejszy sędzia nie mógł im odmówić i cech dodatnich: „ skromni, gocinni, uprzejmi, pracowici, rzutcy, szanujšcy przełożonych, kochajšcy rodziców”.

Ale cokolwiek by im chcieli przypisać wrogowie, wszyscy musieli przyznać Wietnamczykom: niezwykłš energię, przedsiębiorczość i bitność. Energię tym dziwniejszš, Źe zrodzonš w tropikalnym kraju, w którym przez wiele miesięcy w roku panuje omdlewajšcy Źar, taki sam Źar, jaki w podobnych szerokociach Afryki czy Ameryki, czy choćby na samym Półwyspie Indochińskim okrutnie tłumi twórczość miejscowej ludności. Wietnamczycy okazali się mocniejsi niŹ morderczy klimat. A cóŹ mówić o ich bitności?

Kiedy poczšwszy od połowy XIX wieku ambitni admirałowie francuscy, majšc za sobš wszechwładne klikli zaborcze i rŹsdy we Francji, zaczęli dobierać się do cesarstwa annamskiego, na pewno nie uwiadamiaili sobie, w jak kšliwe gniazdo szerszeni wkładajš swe ręce.

Podbój trwał w kilku fazach blisko trzydzieci lat i poszedł Francuzom stosunkowo łatwo. Mieli lepszš broń i dyscyplinę i większe zasoby materialne niŹ przeciwnik, osłabiony wewnętrznym rozkładem klas rŹszdŹcych. Ówczesny Annam, jakkolwiek pozornie potężne cesarstwo, przypominał Polskę XVIII wieku.

Bagnety francuskie zdobyły kraj, ale i nadal bagnetami trzeba było rŹdzić. Pomimo wielu kolaboracjonistów naród Źsł swego nie schował. Przez kilkadziesišt lat panowania francuskiego wybuchały od czasu do czasu to tu, to tam zbrojne powstania, nie pozwalajšce kolonistom zmrzyć oka. Do diaska, przecieŹ był to wciŹ ten sam naród, okrelony przed dwoma tysiącami lat jako skory do buntu, naród, który w X wieku naszej ery musiał pobić chińskich cesarzy, aby zerwać ich jarzmo, w XIII - odpierać grone nawały mongolskie, liczšce do pół miliona wojowników; następnie w ciężkich kilkusetletnich walkach zdruzgotać wielkie mocarstwo wojowniczych Cziamów na południu, KambodŹanom odebrać ujcie Mekongu, reszcie KambodŹy tudzieŹ Laosowi narzucić swój protektorat, z rosnšcym w potęgę Syjaniem toczyć wiele zwycięskich wojen, równoczenie za ostrzyć swój miecz w licznych a krwawych wojnach domowych! Do diaska, czyŹ dumni admirałowie, a póniej gubernatorowie francuscy nie umieli czytać historii? Czy rzeczywiście nie przyszło im do głowy, jakie to zjadliwe osy?* , ; Byli górs, dopóki naród podbity a rozdarty nie miał wspólnej, wielkiej idei. Gdy jš znalazł, zaczęła się jego zwycięska walka o wyzwolenie. Nie pomogły kolonizatorom samoloty, napalm, modzierze ani pomoc amerykańska, nie pomogła szkoła saintcyrska ani rozjuszenie cudzoziemskich legionistów. W tych zmaganiach, które skończyły się zwycięstwem pod Dien Bien Phu w roku 1954, zwycięŹyła nieprawdopodobna waleczność wszystkich Wietnamczyków, i kobiet, i dzieci, ich zdolność do nieludzkich powięceń, ich nadzwyczajna dyscyplina, ich wielka idea. ZwycięŹył duch To Vinh Diena, Źołnierza spod Dien Bien Phu, który zginšł rzucajšc się pod własne działo, aŹeby je zatrzymać, gdy zerwawszy liny zaczęło staczać się ku przepaci**.

W tej wojnie Wietnamczycy wygrali dzieki godnej podziwu dalekowzroczności, jakiej niezawodnie nauczyli się od Chińczyków. Wróg, rozsierdzony zbliŹajšcš się klęskš, nie przebierał w rodkach i w furii swej popełniał szkaradne okrucieństwa. Wiarygodne raporty o zbrodniach niektórych jego

oddziałów mroź krew. Cóż byłoby bardziej ludzkiego niż to, że rodacy i krewni nieszczęśliwych ofiar odpłaciliby oko za oko krzywdzicielom? Tymczasem zawziętość żołnierzy wietnamskich ustawiała natychmiast po wzięciu wroga do niewoli. To był już bliźni, któremu tłumaczono słusność swej walki, po czym puszczano go na wolność. Taka niecodzienna wielkoduszność działała mocniej niż najgroniejsza broń.

A chociażby inny charakterystyczny wypadek rzucający światło na mentalność Wietnamczyków: w czasie walk dokoła Lai Chau, w północno-zachodnim Wietnamie, Wietnamczycy wzięli do niewoli znaczny oddział Tajów, wysługujących się Francuzom, i zdobyli przy *Słowa powyższe pisane po klęsce Francuzów pod Dien Bien Phu, lecz na długo przed wsadzeniem przez Stany Zjednoczone A. P. gronego nosa do spraw Półwyspu Indochińskiego - słowa powyższe w całej rozciągłości dotyczą smętnych dowiadzczeń także generałów amerykańskich. Od generalskich awanturników trudno wymagać, by poznawali dawną historię wojen Wietnamczyków i niezłomny charakter tego narodu, ale ciągi, jakie oni i ich sajgońskie manekiny dostają, jeszcze raz wiadczy o tym, jak niezwykłym bojownikiem może być naród wietnamski.*

Na Atlantyku VI. 1965 A.F.

* “Czynnik - pisał w dwunastu lat później francuski dziennikarz Robert Guillain w dzienniku Le Monde - czynnik, którego nigdy nie potrafiś uwzględnić amerykańskie mózgi elektronowe i który, być może, jest czynnikiem decydującym: to niewiarygodna zdolność Wietnamczyków do cierpienia, ich nieprawdopodobna odporność...

Amerykanie doprawdy nie zdają sobie sprawy z tego, do jakiego kraju się wpakowali...”

tym poważne zapasy ryżu. Zwycięscy żołnierze byli strasznie wygłodzeni żywić się od miesięcy jeno korzonkami górskimi, lecz żaden nie tknął ani ziarna ryżu: zdobycz przeznaczono wyłącznie na karmienie jeńców. Po kilku dniach nastąpiło to, co musiało nastąpić: Tajowie daliby się zabić za niedawnych swych wrogów.

Pociąg nasz po kilku godzinach kręcenia się w ryżowych dolinach, wśród gór, coraz niższych i łagodniejszych, wypadł wreszcie na Deltę Tonkińską. Przewiewna, płaska równina jak okiem sięgnąć; tysiśce pól ryżowych, poprzedzielanych miedzami-tamami i setki wiosek w kępach jakich drzew, a przeważnie wysokich bambusów. Ta część Wietnamu, podobnie jak Nizina Chińska o fantastycznie żyznej glebie, należy do najgęściej zaludnionych na ziemi dolin.

W złotym słońcu, jakie wieciło, wszystko wyglądałoby powabnie, gdyby nie ponurzy wiadkowie niedawnej wojny: wysokie, masywne, zbudowane z cegieł wieże strażnicze, z otworami strzelniczymi na wszystkie strony. Owe baszty kolonizatorzy stawiali co dwa, trzy kilometry wzdłuż ważniejszych dróg. Wrogie olbrzymy, narzucone równinie, nie spełniły swego zadania, nie powstrzymały Wietnamczyków, a dzi stoją puste, martwe, niegrone i nikomu niepotrzebne, podczas gdy dokoła w chatkach wieniaczych i na ryżowiskach wrze życie to samo co od tysięcy lat.

Wieżycy pozostały do dziś nietknięte, jak były przy końcu wojny francuskiej, po opuszczeniu ich przez strażę wroga. Nikt ich nie rozbijał, nie rozbierał. Byli to jak gdyby jeńcy, którym darowano życie, a niedobry przeszłość puszczono w niepamięć. Postawione za nawias wielkich ludzkich zmagania i

tragedii, były już tylko widowniś małych tragedii: motyle Deltę, siadające na ich rozgrzanych słońcem murach, stawały się łupem jaszczurek polujących tu na owady.

3. "One najnamiętniejsze,
oni najzazdroniejsi"

Podróżny przybywający do Wietnamu z północy i nawykły dotychczas do widoku Chinek, na ogół nieco krępawych i odzianych w surowe, workowate kaftany z niebieskiego płótna, z przyjemnym zdumieniem spoglądał na ulicach Hanoi na Wietnamki. Były liczne i pociągające. Wiele z nich miało miłe twarze o szlachetnym wyrazie ludzkiej dobroci, większość była ubrana skromnie, ale nadzwyczaj gustownie, a wszystkie były wysmukłe i wiotkie jak trzcina. Może to niewłaściwe porównanie, bo z trzciniś wiśże się pojęcie czego długiego, a Wietnamczycy sś niewielkiej postaci, Wietnamki za jeszcze mniejsze. Ale tak czy owak, to bestyjki nad wyraz misterne i kształtne, choć drobnuteńkie.

Francuzi, rzecz zrozumiała, zachwycali się ich urodź bezgranicznie, z żarem koneserów. „... Subtelność ruchów maleńkich rśczek, delikatnych, lecz nie wśtłych... Powciśgliwy umiech kobiet-kwiatów, kobiet-marzeń... Powabne zjawiska jak w dziełach Botticellego...” - unosił się Luc Durtain i tylu innych.

Niezwykłś kształtność Wietnamek podkreślał ich strój narodowy: koszulka ze spodniami przeważnie jedwabnymi (jedwab krajowy należy tu do pospolitszych tkanin), na co nakładało się tunikę z cienkiego materiału, sięgającś od szyi do kostek z boku na dole rozciętś, a tak obcisłś, że jak w nagiej rzebie uwydatniała wszelkie cechy ciała: to strój pełen kokieterii. Jakie nogi mająś Wietnamki, nie wiem, bo, podobnie jak Chinki, nigdy nie wychodź z domu inaczej niż w spodniach. Gdy pewnego razu nie-Europejka pojawiła się w europejskiej sukience na ulicy w Hanoi z obnażoñś dolnś częciś łydek, wywołała sensację, ale okazało się, że to była zmodernizowana Laotanka.

Wietnamki, nawet najbardziej postępowe, nigdy nie porzucają spodni będąc wśród ludzi.

Kibić mająś wśkś, nieraz miesznie wśziutkś, a piersi, jakkolwiek bardzo foremne, stosunkowo maleńkie, czym znowu przypominająś Chinki. Czasem mająś zupełnie nikłe piersi. "Szelmy Wietnamki ładne, bo ładne - pisał z Hanoi do Polski pewien zawiedziony Polonus - ale Bozia jedna wie, czym one karmiś swe niemowlęta". Karmiś, karmiś, jak ta Bozia przykazała.

W wyniku Układu Genewskiego w 1954 roku zaczęli tu zjeżdżać, obok Kanadyjczyków i Hindusów, liczni Polacy jako członkowie Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru. Dzielnie bronili sprawy Wietnamu na każdym kroku, gdzie się dało, więc zaskarbili sobie szczerś wdzięczność Wietnamczyków, którzy ich wyrwanie polubili, chyba najbardziej spośród wszystkich sprzymierzeńców demokratycznych. Niektórym naszym oficerom przypomniało się, jak to Polaków darzono podobnś sympatiś w Wielkiej Brytanii w 1940 roku i jak wówczas za dziarskimi zuchami oglśdały się Angielki i Szkotki.

W Hanoi układne Wietnamki nie oglśdały się, ale czasem niejednej czarnobrewej podwice dyskretnie błysnęło oko na wymijających Polaków. Lecz, niestety, figa z kochliwych zachcianek! Każdy drobny,

drobniusięki krok naszych junaków ku ucięciu flirtu, acz najniewinniejszego, niezmiennie rozbijał się o przeszkody, zawzięcie stawiane przez mężczyzn Wietnamczyków. Każdego bez wyjątku Europejczyka otaczał w tej sprawie nieprzebrany mur na każdym miejscu: w hotelu, w sieni, na ulicy, w kinie, w teatrze, dosłownie wszędzie.

Badawcze oczy mężczyzn uporczywie chwyciły spojrzenia Europejczyków, jeśli przypadkiem czy wiadomie dźżyły za młodymi Wietnamkami.

Owa troska o upilnowanie niewiast przybierała czasem wręcz zabawne formy. Kiedy Komisja Międzynarodowa poprosiła odnośny urząd wietnamski o trzy maszynistki do pracy w swym głównym biurze: przysłano trzech Wietnamczyków piszących na maszynie i basta.

Mimo to Komisja zatrudniała szereg Wietnamek, biegłych w obcych językach. Urzędniczki te w biurze, wśród członków Komisji, zachowywały się całkiem swobodnie, jak zachowują się ludzie kulturalni i normalni na całym wiecie. Atoli po wyjściu z biura, na ulicy, jakby w nie piorun trzasnął: unikały europejskich czy hinduskich kolegów jak ognia, odwracały od nich oczy, nie chciały ich znać, a wszystko to, żeby nie mieć przykroci ze strony rodaków.

Gdy kilku Polaków, spacerując którejś niedzieli po wiecie, chciało się sfotografować na tle Małego Jeziora, w centrum miasta, właśnie obok przechodziła młoda Wietnamka-żołnierka. Wśród Polaków było dwóch oficerów w mundurach, którzy grzecznie zaprosili koleżankę do wspólnej fotografii. Ona zgodziła się z ochotą i umięchnięta stanęła między nimi. Na to jeden z przechodniów, osobnik zupełnie obcy, doskoczywszy gwałtownie do dziewczyny, chwycił ją za rękę i wyciągnął z grupy. Nie chciał, by ją fotografowano razem z obcymi mężczyznami, i przepadł z nią w małym zbiegowisku, jakie natychmiast powstało.

Miałem i ja także swe małe przeżycie. Doktor Oktawian Pierożyński, mój miły przyjaciel hanoiski, kupował stale papierosy przy ulicznym stoisku u pewnej znajomej kobieciny. Z biegiem czasu, rzecz prosta, wytworzyła się między nim a Wietnamką i jej dwunastoletnią córeczką pewna zażyłość, zwykła w takich okolicznościach. Gdy pewnego popołudnia kupowaliśmy tam papierosy, córka zastępowała matkę. Krótko przedtem opowiadałem przyjacielowi o pomysłowym i chwalebny zwyczaj dziewczyn wietnamskich, które podczas wojny brały udział w Ruchu Oporu, a obecnie, dla upamiętnienia tego i odróżnienia się, wszystkie nosiły włosy bujnie rozczesane i na plecach przycięte w prostej, poziomej linii. A ponieważ sprzedawca dziewczyna właśnie miała takie włosy - nawiasem mówiąc, układ niebywale prosty, a strojny i powabny - zbliżyłem się do dziewczyny i wskazując na włosy poprosiłem ją, by odwróciła je w stronę doktora. Ruchy moje pewien przechodzący facet zrozumiał jako wstęp do niepokojących a piekielnych zalecanek i stanąwszy o trzy kroki naprzeciw nas, wlepił

wie mnie zaczepny, przeszywający wzrok. Po zapłaceniu za papierosy odeszliśmy. Tamten nadal stał na miejscu jak wryty, jakby wciśnięty na straży dziewczyny, i nawet z daleka cigał nas badawczym wzrokiem.

Utarło się w Komisji Międzynarodowej powiedzenie, że "Wietnamki to najnamiętniejsze kobiety na wiecie, a Wietnamczycy najzazdroniejsi mężczyźni". Słuszne to czy niesłuszne, jedna rzecz jest pewna, mianowicie że kobiety tutejsze stanowią bezwzględne tabu dla wszystkich cudzoziemców,

tabu narzucone przez mężczyzn Wietnamczyków i tak surowe, że na przykład w czasie wielotygodniowego pobytu w Wietnamie nigdy nie widziałem na ulicy żadnej Wietnamki idącej w towarzystwie Europejczyka.

Ów uderzający stan rzeczy wielu Polakom, i to niekoniernie pożeraczom serc niewiecih, wydawał się niedorzecznościś trudniś do zrozumienia i wręcz kłopotliwiś dla tak szczerych przyjaciół Wietnamu, jakimi okazywali się Polacy. Była to jaka tajemnica wietnamska i różnie sobie jś tłumaczono. Wielu uważało jś za emocjonalniś reakcję przeciw rozwiśłoci niedawnej wojny, kiedy to francuskie wojska wroga, a przede wszystkim jego oddziały zamorskie, dopuszczały się licznych gwałtów na kobietach.

W tym wyjanieniu jest wiele prawdy, ale chyba nie cała. ródlą tkwiś głębiej, w tradycjach obyczajowych Wietnamu, sięgajścych dawnych wieków.

W rodzinie wietnamskiej absolutny autorytet posiadała zawsze jego głowa, ojciec. Dzieci, a szczególnie córki, podlegały jego władzy.

Normalny żywot kobiety tak się układał, że najpierw jako córka stanowiła część nierozzerwalniś domu rodzinnego, a potem jako żona -domu męzowskiego. Jeli wyłamywała się z tych dwóch despotycznych władz, szła przeważnie na liskiś drogę i wtedy wpadała pod inniś despotyczniś władzę, stręczycielki. Luzem chodźcych kobiet nie było, jak również nie było żeńskich wolnych zawodów, które by wyswobodziły kobietę spod zależności od jednego z tych trzech rodowisk.

Reżym kolonialny, utrzymujśc nierzśd w całej pełni, starał się osłabić zwartość komórki rodzinnej, ale uczynił tylko nieznaczne szcerby: kobiecie wietnamskiej nie otworzył żadnych innych możliwości. Ruch Oporu, od chwili swego powstania w pierwszych latach wojny wiatowej w północnych górach Wietnamu, wytkniśł sobie cel nie tylko politycznego uwolnienia kraju, ale także moralnego uzdrowienia społeczeństwa: jego program obejmował zarówno bezwzględníś walkę z nierzśdem, jak i podniesienie poziomu obyczajności rodziny.

W szeregach Wietminhu panowała wielka surowość obyczajów.

Prowadziło to nawet do zabawnych wypadków, bo gdy oddziały wietnamskie zaczęły zdobywać tereny zamieszkałe przez Tajów, szcep słynny z ładnych dziewczyst, a zwycięzcy nie myleli wcale krzywdzić kobiet wojennym zwyczajem - ich rzekome mazgajstwo wywoływało osłupienie.

Ale tacy byli Wietnamczycy i tacy pozostali, gdy triumfalnie weszli do oswobodzonego Hanoi i potem hasła rewolucyjne wprowadzali w życie. Więc w istocie nierzśd wytępiono szybko i niemal doszczętnie. Życie rodzinne poddano moralnym rygorom, dziewictwo w paniństwie stało się znów obowiśzujścś cnotiś. W tym społeczeństwie, z namiętnościś wyplenajścym wszystko, co przypominało swawolę niedawnych francuskich kolonizatorów, nie było miejsca na miłość nie ujętś w legalne ramy. Jeli nie uznawano jej wśród samych Wietnamczyków, czy dziwić się, że tym bardziej tropiono zakusy cudzoziemców, zmierzajśce -w mniemaniu obrońców nowej obyczajności - do rozlunienia dyscypliny moralnej w Wietnamie?

.Wydaje mi się, że tak można by tłumaczyć sobie owe zjawiska.

4. Zoli kilka

Gdy tylko przybyłem do Wietnamu, już na dworcu w Hanoi, zetknąłem się z wietnamskimi literatami. Setni to, prawi koledzy, z którymi łatwo było znaleźć wspólny język i serdeczność. Miewaliśmy miłe spotkania przy nieodzownej filiżance herbaty, pachnącej kwiatami magnolii, i przy ciekawej zawsze pogawędce.

Na którym takim przyjęciu Nguen Van Bong, autor znanej powieści z czasów wojny pod tytułem Bawół, zwierzał się z trudności, jakie ma przy pisaniu nowego dzieła. Opowiedział nam jego treść, żebyśmy lepiej zrozumieli. Młody bohater utworu, pochodzący - tak samo jak sam autor, który wcale tego nie ukrywał - z rodziny drobnomieszczańskiej, kochał dziewczynę z tej samej co i on klasy społecznej. Było to na terenie okupacji francuskiej. Na zew Ho Szi Minha młodzian opuścił miasteczko rodzinne i narzeczoną, przedarł

się przez front i wstąpił w szeregi Ruchu Oporu. Po pewnym czasie poznał tu towarzyszkę broni, córkę ubogiej rodziny chłopskiej, uwiadomił ją o swojej miłości, i zakochał się w niej ze wzajemnością. Gdy po wojnie wrócił do rodzinnego miasteczka, okazało się, że pierwsza dziewczyna pozostała mu wierna i że jego uczucie do niej jeszcze nie wygasło. Popadł w ciężki konflikt, bo kochał obydwie dziewczyny na raz: z jedną łączyło go wspólne pochodzenie, z drugą wspólne poglądy polityczne. Nie wiedział, którą z nich wybrać na żonę. Nie wiedział, jak zakończyć powieść, i my również nie wiedzieliśmy.

Spotkanie to odbyło się w pierwszych dniach mego pobytu w Wietnamie, kiedy jeszcze kiepsko znałem obyczaje kraju. Ale gdyby to nastąpiło nieco później, wiedziałbym, co poradzić autorowi, i dziwiłem się, że sam na to nie wpadł. Przecież nie pisał książki europejskiej, w której rzeczywiście istniałby konflikt dotyczący wyboru między dwiema dziewczynami, lecz pisał w Wietnamie o Wietnamczykach i dla Wietnamczyków. A według tutejszych obyczajów bohater utworu miał pełne prawo wzięcia obydwu dziewczyn za żony. Wielonożność była tu zawsze w powszechnym zwyczaju, kwitła za czasów cesarskich, istniała nieprzerwanie w okresie kolonialnym - tak samo istnieje jeszcze dzisiaj w republice ludowej. Znam z bieżącego życia kilka podobnych wypadków jak w powieści Nguen Van Bonga, kiedy to władze ludowe nie tylko zgadzały się na dwunożność, lecz wręcz ją polecały jako ludzko najsprawiedliwsze rozwiązanie w danej sytuacji.

Utarło się w krajach chrześcijańskich mniemanie, że gdzie zakorzeniło się wielonożstwo, tam niemożliwa była prawdziwa miłość między mężczyzną a kobietą. Wietnam zadaje temu kłam. Wietnamczycy mają głębokie wyczucie tego, co jest w miłości najszczytniejsze, a w całej ich literaturze, w poezji, dramaturgii, w legendach posiadają tyle licznych utworów o wzniosłym kochaniu, że według znawców w tej dziedzinie bynajmniej nie ustępują Europie, a może ją zaścianają.

Nawet w dzisiejszych czasach, kiedy kraj przeszedł przez wojenną groźbę i rewolucję, zaloty wciąż jeszcze odbywają się wśród poetycznych okoliczności. Tak na przykład pierwsze subtelne zbliżenie następowało często za pośrednictwem dwóch rolin, pnącza betelu i palmy areki.

Młodzian ofiarował licie betelu i orzech palmowy wybranej bogdance, a gdy ona je przyjmowała, zyczliwy był to dla niego znak. Dlaczego używał on betelu i areki? Bo to symbole gorętszego uczucia i

niezachwianej wierności, jak to wynika z legendy. Ponieważ to legenda bardzo rozpowszechniona i charakterystyczna dla Wietnamczyków, warto ją przytoczyć.

Dwóch braci kochało się miłociś braterskś tak wielkś, że trudno było znaleźć podobnś w całym kraju. Lecz gdy starszy ożenił się z pięknś i szlachetnś dziewczynś, w miesiścach miodowych zaniedbał

swego brata. Ów wziśł to sobie tak mocno do serca, że w końcu nie mógł

znieć bólu i pobiegł w dal. Po kilku dniach legł wyczerpany nad brzegiem rzeki i skonał. Okoliczne duchy, współczujśce jego rozpacz, zamieniły go z litoci w wapiennś skałę.

Wkrótce starszy brat spostrzegł, jakś krzywdę w swym szczęciu wyrzđdził młodszemu, i pogonił do lasu szukajśc go. Dobrnśwszy do rzeki, resztkami sił wspiśł się na wapiennś górę, by zasłoniwszy oczy od słońca rozejrzeć się dokoła, ale na szczycie wyczerpany wydał

ostatnie tchnienie. Duchy zamieniły go na górze w palmę o długich liciach, podobnych do dłoni osłaniajścej oczy.

Gdy mśż i jego brat nie wracali do domu, żona, pełna złego przeczucia, pobiegła ich ladem. Ujrzawszy nad rzekś wapiennś skałę i palmę arekę na jej szczycie, kochajścym sercem domyliła się wszystkiego, co tu zaszło. Jeszcze miała dosyć sił, by wejć na skałę, ale bęđśc u szczytu zdołała już tylko w miłosnym ucisku opasać ramionami pień palmy i wyzionęła ducha. Ona przeobraziła się w pnścze betelu.

Gdy wiadomoć o wypadkach dotarła do dworu, cesarz we własnej osobie przybył na miejsce i kazał tu zbudować wspaniałś pagodę na czeć wiernej miłoci. Od tej pory weszło w zwyczaj żucie lici betelu i orzechów areki z wapnem, zakochani za w dowód swych uczuć obdarzajś się lićmi szlachetnych rolin.

Miłość między młodymi w Wietnamie bywała często tak gorśca i tragiczna, że nieraz prowadziła do samobójstwa. W Hanoi mieszkałem w willi tuż obok jeziora Thien Quang, podobno doć głębokiego^

Potocznie nazywano je Jeziorem Zakochanych Samobójców, gdyż komu brzydło życie na skutek katastrofy sercowej, pędził tu, by się topić. Zjawiali się zatem młodzi, nie mogścy przeżyć zawodu miłosnego, ale najczęściej szukali mierci tacy, których uparci rodzice nie zgadzali się na wybór ich serca.

Pewnego wieczoru majowego przemiły radca Ministerstwa Kul tury, Suung, zawiózł mnie na północ miasta nad tak zwane Wielkie Jezioro, oddzielone od Rzeki Czerwonej potężnś tamś. Po opuszczeniu ulic miasta szosa wiodła między dwiema połaciami jeziora, gdzie wiał

orzewiajścy wietrzyk. Maj to już dręczśce upalny miesiśc w Wietnamie, a że nad Wielkim Jeziorem zawsze wieje chłodny wietrzyk, więc wieczorami aż do pónej nocy ludzie chętnie tu przychodźś. Szosa nazywa się Drogś Zakochanych, bo najwięcej na niej młodych parek.

Widocznie Suung chciał mi pokazać, że wietnamska droga do socjalizmu nie wykluczała

romantycznej Drogi Zakochanych. I istotnie widzieliśmy tu kilkanaście par, siedzących w ciemniejszych miejscach nad brzegiem wody, przeważnie przytulonych blisko do siebie.

- Czy to są kochankowie? - spytałem, ogromnie zaintrygowany.

Suong, typowy Wietnamczyk, z początku nie rozumiał, co miałem na myśli, ale gdy mu wyjaśniłem, odparł żywo: - Ależ nie, to tylko narzeczeni nie pozwalający sobie na żadną niedozwoloną poufałość...

- Wszyscy? Wszyscy tylko narzeczeni i nic więcej?

- Wszyscy.

U nas inaczej, inaczej - pomyślałem z jakimś melancholijem i stwierdziłem nie pierwszy raz w życiu, że gorętsze słońce tropików niekoniecznie stwarza gorętszą krew.

Dawniej o wyborze przyszłych małżonków decydowali rodzice, przy czym wszystkie ceremonie dookoła tego odbywały się według ustalonego od wieków obrządku. Rdzeniem ceremonii było ustalenie wysokości wiana czy odszkodowania, które rodzice młodego płacić musieli rodzicom młodej. Zwykle wynosiło to dziesięć sztabek złota wśród przeciętnie uposażonych rodzin, co stanowiło wcale pokalną wartość. Tak "kupiona" młoda żona wprowadzała się do jego domu i tu nieodwołalnie dostawała się pod bezwzględny, wręcz despotyczny władzę nie tyle męża, ile jego matki. Teciowa uważała sobie za szczególny punkt honoru i jaki obowiązek - a może po prostu była to zemsta za wyrzucenie takiej ilości złota - by gnębić na wszystkie sposoby synową, która w pierwszych latach małżeństwa spełniała właśnie rolę popychadła teciowej i służącej do wszystkiego niezależnie od stopnia miłości, jak się darzył jej mąż.

Nasze czasy i rewolucyjne idee nieco stępiły ostrość tych praktyk, złagodziły rządy teciowych, a zwłaszcza, wobec ogólnego zubożenia, znacznie obniżyły cenę za żonę, ale przecież na ogół stare obyczaje małżeńskie uparcie się trzymają i na razie nie myślą ustępować pola.

Charles Meyer, mój towarzysz w puszczy kambodżańskiej, Francuz, studiujący od dziesięciu lat zwyczaje ludów indochińskich, opowiadał mi o losach młodej Francuzki, która po drugiej wojnie światowej wyszła za mąż za Wietnamczyka. Oboje poznali się i pokochali będąc na studiach w Sorbonie. Po uzyskaniu dyplomów pojechali jako małżeństwo do Sajgonu, jego rodzinnego miasta, i tu wpadli w szpetne opały ze starymi obyczajami. Teciowa była kobietą dobrego serca, lecz jednocześnie matroną obyczajną, z której godności nie licowało lekceważenie własnych praw i obowiązków. Więc Francuzka pomimo uniwersyteckiego dyplomu musiała poddać się wszechwładnej tradycji i być służącą teciowej przez jeden rok - a to tylko tak krótko, bo przecież mąż dostał ją za darmo i jej rodzicom we Francji nie zapłacono żadnych sztabek złota. ^

Kiedy w ich domu sajgońskim na przyjęciu, w którym brał udział

również Charles Meyer, Francuzka przy gościach objęła męża za głowę w niewinnej pieśczoce. Jakże spiorunowała ją wzrokiem teciowa za takie zgorzelenie!

Rozwód był dawniej dla męża niezwykle łatwy do uzyskania, przewód sądowy stosunkowo uproszczony. Siedem liczonego głównych grzechów, dla których mąż mógł pozbyć się połowicy, a wśród nich najważniejsza była niepłodność, potem dokuczliwe usposobienie, do czego przede wszystkim zaliczały się gadatliwość i nadmierna zazdrość. Zanik uczucia stanowił także powód do rozwodu, ale rzadko mężowie z niego korzystali wobec niemożliwości wielożeństwa. Trzeba stwierdzić, że mężowie nie oddalali od siebie żon jak tylko w skrajnych wypadkach, gdyż robocze ręce zawsze przydawały się w gospodarstwie domowym, a wszak ci to nie furda, że kosztowały ongi przy zawieraniu małżeństwa grackie sztabki złota. Więc na ogół nie było dużo rozwodów, bo i żony zbyt się do nich nie spieszyły; los rozwódki był

opłakany.

Wielożeństwo okazało się w Wietnamie skutecznym wentylem przy wielu dolegliwościach małżeńskich i ponoć znakomicie rozwiślało - i rozwiśla do dziś jeszcze - mnóstwo trudności rodzinnych i powikłań społecznych, od których nie są wolne kraje, gdzie panuje jednożeństwo. W miarę upływu lat żona powoli wyzwalała się spod władzy teciowej, lecz równocześnie, normalnym skutkiem starzenia się, traciła w oczach małżonka dawny powab. Więc zachowując całość jego przyjaźni i wszelkie prawa pierwszeństwa w domu, zgadzała się zwłaszcza gdy sama nie miała dziecka - by mąż dobrał sobie drugą żonę, oczywiście zwykle znacznie młodszą. Pierwsza małżonka często nawet sama ją wyszukiwała, nie było bowiem dla niej obojętne, jakś towarzyszkę życia bierze pod swój dach i do swego gospodarstwa.

Na przyjemność wielożeństwa pozwolić sobie mogli tylko ludzie Zamożni: każda nowa małżonka kosztowała więcej niż poprzednia. Bo mąż nie tylko płacił odpowiednią sumę rodzicom nowej oblubienicy, lecz przy każdym zwiększeniu stadła musiał obsypywać pierwszą żonę kosztownymi darami, jak gdyby dziękując jej za zgodę.

Szczerze opowiadając mi o tych obyczajach, moi znajomi Wietnamczycy zapewniali, że prędzej czy później wielożeństwo wyganie w Wietnamie jak tyle innych przestarzałych pojęć i obyczajów. Ale tak, jak ono istniało obecnie, pozostałość tysiącletniego układu stosunków społecznych, wronięte głęboko w glebę wietnamską, nie było instytucją szkodliwą. Nie wyrządzało to krzywdy, nie gwałciło niczyich uczuć, nie stwarzało dręczących tarć psychicznych, przeciwnie, sprawy przyjaźni, wyrozumienia i pożądania zmysłowego regulowało w naturalny sposób. Już teraz wielożeństwo zanikało w Wietnamie ze zrozumiałych przyczyn, ale w tych domach, gdzie jeszcze istniało, przeważnie panowały pogodny nastrój i ogólne zadowolenie, nie brak było osobistego szczęścia. Gdyby tak nie było - wywodzili Wietnamczycy z umiechem - czyżby władze Republiki Ludowej godziły się na wielożeństwo?

5. Wyprawa

A więc Tung. Nazywał się Bui Quang Tung, ale mówiliśmy do niego zawsze Tung. Tung był w Wietnamie moim nieodstępnym towarzyszem, na moją prośbę przydzielonym mi do pomocy przez życzliwe władze. Towarzyszem, powiedzmy od razu bez ogródek, wymarżonym. Miał lat dwadzieścia pięć, znakomicie władał językiem francuskim, przez sześć lat służył w wojsku, był pod Dien Bien Phu.

Znajomość języka francuskiego wyniósł z domu rodzinnego, pochodził

bowiem z inteligencji. Ojciec jego był ongi urzędnikiem bankowym czy czym podobnym, w każdym razie do biedoty się nie zaliczał. Co

mi się obilo o uszy, że na Tunga jaki czas się boczo, ale ponieważ posiadał wiele ludzkich cnót, więc grzechy pochodzenia puszczo mu płazem.

Tung odznaczał się wielkš naturalnš uprzejmociš, jakš mogłoby się poszczycić niewielu arystokratów z urodzenia. Był subtelny, pozornie miękki, usłuzny i zawsze umiechnięty. Wzrostem stanowił wród Wietnamczyków niezwykle wyjštek, bo longinus wyjšzy od innych prawie o głowę, niemal dosięgał mej wysokoci.

Z właciwš mu sumiennociš przeprowadził zaraz w pierwszym dniu dokładny wywiad i ankietę co do moich nawyków, upodobań i zamiarów notujšc wszystko skrętnie w swym notesie, ażeby tym lepiej spełniać moje życzenia. Pytał więc, kiedy wstają rano i chodzę spać wieczorami, kiedy spożywam posiłki i co najwięcej lubię, nie tylko jeć, ale i robić (o picie szelma się nie pytał!). Przynękł zawięc mnie do biblioteki i wyszukać mi wszystkie dzieła, dotyczšce mniejszoci narodowych w Wietnamie; przynękł w ogóle pokazać mi i wyjanić wszystko, czego tylko zapragnę.

- Ee, wszystko? - spytałem powštpiewajšco.

- Proszę bardzo, wszystko wyjanię.

- Na przykład: na co czeka wieczorem tylu rikszarzy przed hotelem Hoa Binh i do jakich bezecnoci namawiajš goci przyciszonym głosem?

Tung nie bardzo wiedział, zresztš pytanie uważał za jaki cudaczny dowcip europejskiego gocia. Lekkie zmieszanie pokrył zwykłym swym umiechem i grzecznie dalej nalegał, by mu wyjawić więcej moich życzeń i potrzeb. Ponieważ już omówilimy wszystko, co było ważne, spojrzełem na niego z zaciekawieniem: czyżby Tung w swej troskliwoci kluczył ku sprawom dwuznacznym? Nie> Chodziło mu o co innego, o politykę: jakie polityczne zagadnienia mnie najwięcej interesujš w Wietnamie.

- Żadne! - odpaliłem. - Interesuje mnie wasza dzika przyroda, interesujš obyczaje waszych mniejszoci, jak się żeniš, jak umierajš i rodzš się, jak marzš i pracujš...

- Może rozwój zwišzków zawodowych interesuje towarzysza? cierpliwie podsuwał Tung nie dajšc za wygranš.

- Nie! - huknšwszy zamiałem się.

On nie mógł tego pojšć: przecież przyjechałem do Wietnamu z kraju demokracji ludowej. A ktokolwiek z tych krajów dotychczas przyjeżdżał, minister czy literat, nic innego nie miał na myli, jak tylko politykę, zwišzki i partie, jak dobytec węgla i reformę rolnš i sprawę katolików wietnamskich i politykę, politykę... Więc wywalilem na stół

przywiezione książki, wydane w różnych językach, i na podstawie reprodukowanych fotografii wyłożyłem Tungowi kierunek moich zainteresowań: zwierzęta lene, puszcza i szczepy w niej żyjące.

Mężnie i żarliwie broniłem swej sprawy. On widział to wszystko, ale patrzył, jak gdyby jeszcze wciśz nie rozumiał: tak dziwne mu się to wydawało i tak mało ważne.

Wydałem się sam sobie jakim rarogiem i osobliwym pionierem w tym kraju. Tak samo jak Tung, wielu innych, z którymi stykałem się w następnych tygodniach, cierpiało na jakie opętanie politykś, zasłaniające im obraz życia, i nie mogło zrozumieć, że w Polsce ludzie sś ciekawi wszystkich wietnamskich rzeczy, nie tylko polityki.

Mój zamiar odbycia podróży do prowincji autonomicznej Tai Meo i dotarcia do Lai Chau w północno-zachodnim kście Wietnamu spotkał się z zupełnym uznaniem czynników miarodajnych w Hanoi, a Ministerstwo Kultury ze wspaniałomyślnościś icie żenująścś urzśdziło dla mnie wyprawę. Dało do rozporzśdzenia dwa samochody, ciężarówkę i radziecki gazik. Mielimy swój własny prowiant, własne przybory, nawet piecyk piekarski. Kilkunastu towarzyszy brało udział

w wyprawie, a kogo i czego tam nie było! Oczywiście jechał tłumacz Tung i równie sympatyczny Luu Thi Dien, były porucznik armii wietnamskiej, a obecnie kierownik wyprawy; było czterech ludzi do kuchni i obsługi osobistej, byli żołnierze pod broniś, dalej dwóch kierowców samochodów i ich zastępcy, był felczer i był mój przyboczny duch opiekuńczy, pilnująscy, ażeby z głowy nie spadł mi włos, ni jakakolwiek inna rzecz. Nazywał się Wu Boi Chung. , Pewnego dnia na poczśtku listopada wyruszyliśmy w pierwszych godzinach popołudniowych z Hanoi w głśb kraju mająśc tego dnia za cel miasteczko Hoa Binh. Wypadało mi stwierdzić z pewnym zakłopotaniem, że chyba w podobnych zbytkach wybierali się tylko nasi Potoccy i Wodziccy na wielkie afrykańskie łowy. Nigdy nadmiernie nie lubiłem takich okazałoci, a tu nagle sam w nie popadłem i to gdzie?

W republice ludowej, szkaradnie zrujnowanej wojńś i mozolnie wy grzebująśc się z biedy.

Pierwszy dzień wyprawy upłynśł w przyjemnym słońcu. Przytłaczająśc upały i deszcze lata już minęły. W Delcie było przeważnie po zbiorach ryżu, więc nastał dla strudzonych chłopów okres wytchnienia i wzajemnych odwiedzin. Rojno uwijali się na drogach w stożkowatych kapeluszach, a prawie wszyscy mieli długie nosidła na ramionach i stale co dwigali drepczśc skwapliwym kroczkiem. Kapelusze i nosidła to nieodłśczne tego krajobrazu rekwizyty, zawsze cieszśc oko.

A z licznych w Delcie rzek sterczały jakie okropnie zawile, gigantyczne rusztowania, których było miejscami tak wiele, że wyglśdały jak las drewnianych szkieletów piekielnych machin. To wszędzie, gdzie tylko była woda, człowiek dybał z zastawionymi sieciami na ryby. Raczej: na rybki, ry beczki, bo jakkolwiek wody tutejsze były szalenie rybne, to ryby, te normalnych rozmiarów, ot, jak dłoń i większe, dawno już pożegnały się z tym wiatem w kwiecie wieku.

Zdumiewająśc rozbieżność między ogromnymi przyrśdami do łowów a miesźnie skromnym wynikiem wiadczyła o mrówczej pracowitoci ludzi i bezprzykładnej ich cierpliwoci. Przez kwadrans przyglśdałem się rybakowi zanurzająścemu w wodzie wielkś sieć na drśgu i co chwila jś wyciśgająścemu. Ani jednej rybki nie zdobył, zdobył natomiast mój szczery podziw dla swej niewzruszonej wytrwałoci; od rana nic jeszcze nie złowił, a nie myślał przestać do wieczora. Któż go

zrozumie: był to upór czy bohaterstwo?

Kraj tysięcy pól ryżowych, rozległy i płaski jak płyta, z licznymi wioskami w gajach bambusowych, kraj kanałów i mętnych rzek o niskich brzegach był pogodny, lecz raczej jednostajny i niczym uderzającym nie przykuwał oka, chyba jedynie żyzności gleby. Ale gdy tłumacz Tung westchnął: jak tu pięknie! - rozumiałem go dobrze.

Powietrze było przepojone czerstwą wiezocią, a kraj wielką histori.

Od dwóch tysięcy z czubem lat Wietnamczycy, w swych dziejowych burzach i ustawicznych zrywach, najczęściej natłukli się w obronie północnych granic Delt. Tam, na krawędzi niziny i gór, nigdy nie wolno im było wypuszczać broni z ręk. Jak już wspomniałem, z przepacistych otchłani Chin nie tylko staczały się zaborcze hufce chińskie czy mongolskie, lecz waliły także inne narody, wypychane na południe przez napór Chińczyków, jak potężni ongi Tajowie, a oprócz nich zgraje wielu pomniejszych plemion, silnych nagłą zapalczywością i głodem. Wszyscy ostrzyli sobie zęby na bogate łany Delt, lecz bitni Wietnamczycy nie wpuszczali ich. Fale napierających, rozbijane o skuteczny opór obrońców i odrzucane w góry, pozostawały w nich lub górami ciśnięte dalej na zachód, ku dolinom Rzeki Czarnej, i jeszcze idalej, na poszarpane wyżyny Laosu, Syjamu i Birmy.

Jeli spojrzeć na kolorową mapę etnograficzną dzisiejszego Wietnamu, ujrzymy jednolite plamy ludności jeno w samej Deltie i wzdłuż {Wybrzeża morskiego, gdzie zwarta masa siedzą Wietnamczycy Kinh.

Natomiast w całym zapleczu Delt, gdzie same góry, to jest na dziewięciu dziesiątych obszaru Wietnamu, mapa pocętkowana jest w niemożliwy sposób niby wariacki obraz futurysty. Tak kilkadziesiąt narodów i plemion, zazdronie strzegących swej odrębności narodowej, zwiłało się, zgnatwało w przestrzennej plstanie, jakiej nigdzie indziej nie ma na ziemi.

Zaraz po wyjedzie z samego Hanoi widzieliśmy na zachodnim widnokęgu w niebieskiej oddali góry, do których szybko, bo po godzinnej jedzie, się zbliżaliśmy. Kilkusetmetrowe strome boki skalne - pożywka dla starych legend i rolleiflexów - sterczały zrazu pojedynczo z nizin ryżowych, lecz wnet zlały się w pasma. Żyli tu na jałowych stokach ludzie szczepu Muong, mniejszoci doć licznej, mocno zwietnamczonej i sławnej swym akrobatycznym tańcem bambusów. Natomiast na dole, w urodzajnych dolinach, wciśz jeszcze byli Wietnamczycy, którzy od wielu wieków tu się wcisnęli.

6. Psy na szosie

Na szosie oprócz uchliwych ludzi było mnóstwo psów. Podczas gdy ludzie zachowywali się tu podobnie jak na całym wiecie i schodzili z drogi przed nadjeżdżającym samochodem, psy prawie nigdy się nie usuwały. Najczęściej leżały jak długie na rodki asfaltowej jezdni, wygodnie wyciągnięte. Lepia miały otwarte, widziały zbliżając się grobę mierci i ani nie drgnęły, a kierowca nie chcąc na nie najechać musiał je wymijać. Tutejszym kierowcom weszło to w krew, nauczyli się wymijać, niby przekorny los, psy leżące na wszystkich drogach Wietnamu, Laosu i Kambodży.

To nie było jakie wyjątkowe zuchwalstwo czy bezmyślność ze strony psiaków, a tym mniej ich junacka

pogarda mierci, nie, psy tutejsze były smutne, były beznadziejnie smutne. Smutne, a zatem ospałe, otepiałe i gnune i wcale nie ujadajšce, jak to ich pobratymcy ochoczo ujadajš w psim ferworze i zgodnie ze swoim savoir vivre'm wszędzie indziej na wiecie. Chyba na palcach jednej ręki mógłbym policzyć, ile razy w cišgu wielu miesięcy wród setek psów widziałem tu kundla szczekajšcego i zawsze wyrażało się to w pamięć jako nadzwyczajne zdarzenie. Psy tutejsze były smutne, jak gdyby niezawodnym psim instynktem wyczuwały, że wszystkie zginš kiedy mierciš nienaturalnš i pójdš do garnka.

Na tej szosie wietnamskiej przypomniała mi się czytana niegdy

znakomita nowela Tadeusza Rittnera, opowieć fantastyczno-makabryczna o dobrodusznym ludożercach, żyjšcych na jakiej zmylonej wyspie gdzie na Pacyfiku. Otóż ci pierwotni poczciwcy posiadali tęgš dozę niepospolitej zmysłowoci i bardzo lubili się kochać, a kto najmocniej kochał, starał się zarznšc ubóstwianš bogdanę i zjeć jš w dowód swej miłoci ze zdrowym smakiem i lubiežnš rozkoszš. Otóż stosunek wielu ludów Dalekiego Wschodu do ich psów groteskowo przywiódł mi na pamięć nowelę Rittnera. ‘

Wszystkie te narody, z Chińczykami na czele, przepadajš za psim mięsem uważajšc je za przysmak nad przysmaki. Tylko szczep Yao, zwany przez Wietnamczyków Mań, stanowi jeden z nielicznych wyjštków, a to dlatego, że według legendy mitycznym praojcem jego był

pies: żaden Yao do dzi dnia za nic w wiecie nie przełknie psiego frykasu - taka to władcza siła tutejszych legend. Inne narody i szczepy tych zastrzeżeń nie majš, a psy zaliczajš do jadalnego inwentarza swych gospodarstw tak samo jak bydło, winie czy drób.

Na kilka kilometrów przed miasteczkiem Hoa Binh ujrzelimy na szosie rakarza. Kazałem zatrzymać samochód i wysiadłem. Towarzysze moi, tłumacz Tung, kierownik Dien i duch opiekuńczy Chung, wyskoczyli natychmiast za mnš.

Rakarz wiózł na niewielkim woziku kilka psów, wtłoczonych, każdy osobno, do ciasnych plecionek sposobem, jakim przewozi się tu często prosięta na targ. Zwierzaki były szczelnie cinięte w koszykach, że nawet łapami nie mogły ruszyć, i co osobliwie przejmowało, pomimo że żyły, nie skarżyły się najšłabszym głosem.

Oprócz więzionych zwierzšt rakarz miał cztery inne psy, posłusznie biegnšce truchcikiem po szosie. Nie były wcale przywišzane do wózka ani do niczego innego, za to połšczone ze sobš linš na krzyż tak przemylnie, że nie mogły uciec. Gdyby który chciał wyrwać się w swojš stronę, trzy inne go powstrzymywały. Lecz żaden nie myłał

o ucieczce: potulnie i zgodnie biegły obok wozika.

Widok ten mógł wzbudzić odrazę Europejczyka, ale szybko zrozumiałem niedorzeczność mego w tym wypadku podniecenia. Czy wzruszałbym się, gdyby zamiast psów wieziono prosiaki lub kury na sprzedaż? Oczywiście nie, a włanie Wietnamczycy i inne ludy tutejsze nie patrzyły na psy inaczej, niż my patrzymy na trzodę. Podczas gdy na drodze naszej cywilizacji pies stał się najbliższym towarzyszem człowieka, przyjacielem, członkiem rodziny niemal, na Wschodzie rozwój pojęć i

sympatii szedł widocznie odmiennym nieco torem. I nie należy zapominać o jeszcze jednej, ważkiej, kto wie, czy nie rozstrzygającej przyczynie: o potwornym głodzie, o ustawicznie powtarzających się dawniej na Wschodzie klęskach głodu. Zanim ludzie tu zmarli z wycieńczenia, jedli wszystko, co im wpadało do ręki, więc nauczyli się jeść, rzecz prosta, także i psy. Europa nawet w najcięższych okresach swych dziejów tak straszego głodu nie cierpiała.

Niewielkie to były pieski, widziane na szosie do Hoa Binh, nieopisane pokurcze, mieszańcy wielu ras. Miserne kreatury, a jednak jaki przedstawiały wietny przedmiot dla psychologii zwierząt.

W puszczech Indochin żyły dzikie psy, zdziczali potomkowie domowych psów, które uciekły kiedy od ludzi i już pozostały na swobodzie. Krwiożercze bestie o niesamowicie wyostrzonych zmysłach, żwawe i drapieżne, przebiegały zgrajami ustronne chaszcze i biada stworzeniu, które nawinęło się im pod kły. Jedynie słonie i nosorożce nie potrzebowały się ich obawiać, wszystkim innym groziła zagłada. Drapieżne psy rozszarpały ludzi i nawet tygrysom i panterom często dawały radę, gdy opadły je większe chmary. Jakże były inne niż ich domowi kuzyni. Daremnie szukać lepszego przykładu na to, jak niewola i warunki otoczenia urabiały naturę zwierzęcia.

W pierwszej chwili zamierzałem sfotografować raka i jego psie ofiary, ale wydało mi się, że zauważyłem u tłumacza Tunga i kierownika Diena jak gdyby pewne zatrwożenie. Miłym przyjaciółom nie chciałem sprawiać najłżejszej przykroci, więc dałem spokój i podjęliśmy jazdę.

7. Okrutna troskliwość towarzyszy

Niecodalej kazałem szoferowi zatrzymać się i z umiechem poprosiłem towarzyszy, by chwilę poczekali w łaziku. Chodziło mi o załatwienie dyskretnej potrzeby i pobiegłem dwadzieścia kroków w tył za samochód. Natychmiast wyleciał z auta duch opiekuńczy Chung i wyskoczył kierownik Dien, i żwawo wypadł tłumacz Tung, i wszyscy w te pędy za mną. Aż się prawie wylśkłem ich gwałtowności.

Chung przystanął o kilka kroków ode mnie i zaczął robić to samo co ja, chcąc uzasadnić swe wyskoczenie z łazika, przy czym wyteżoną uwagę skierował na zarola, jakie się kłębiły po obu stronach szosy.

Byстрыm wzrokiem starał się przeniknąć gęstwinię. Dwaj drudzy towarzysze stanęli nieco dalej i poszli za jego przykładem.

Gdy wsiedlimy do samochodu i ruszyliśmy rzuciłem pytanie: - Czy tu takie zatrzesienie bandytów?

Tłumacz Tung natychmiast zwęchał pismo nosem.

- Nie, mon camarade. Ale zdarzają się tu tygrysy - odparł roztropnie.

- Dwunożne?

- Może i dwunożne - podjął Tung żartobliwie.

- Czy macie broń przy sobie?

- Tylko on! - wskazał na ducha opiekuńczego Chunga. <Rewolwer w kieszeni. I dwaj żołnierze, rozumie się, mają karabiny.

Na krótko przed Hoa Binh zbliżyliśmy się do wielkiej rzeki i jechaliśmy wzdłuż jej brzegu. Była to Rzeka Czarna, po Rzece Czerwonej najpotężniejsza arteria wodna Północnego Wietnamu, wypływająca jak wszystkie te wielkie rzeki z Chin, z gór Junnanu. W jej górskim dorzeczu żyją głównie Tajowie, naród o znamiennych i osobliwych obyczajach, z którym miałem się bliżej zapoznać w następnych tygodniach.

Hoa Binh, pokane miasteczko o przeszło dwu tysiącach mieszkańców, leży w miejscu, gdzie Rzeka Czarna wypływa z wśwozów gór Sip Song Czo Taj i tworzy rozległą dolinę ryżową. Jest to ostatnie skupisko zasiedlonych Wietnamczyków; odtąd na zachód już same tylko mniejszoci narodowe. Na górach okalających zewsząd miasto siedzą ludzie narodu Muong.

Gdy wjeżdżaliśmy do miasteczka, uderzyło nas wielkie ożywienie i wiśteczny nastrój. Na głównej i zdaje się jedynej jego ulicy krężyło moc ludzi, a zwłaszcza młodzieży. Uprzymiłowaliśmy sobie, że był

siodmy listopada, rocznica Rewolucji. Ubrojeni w aparaty fotograficzne, wnet wmieszaliśmy się w tłum. Jako jedyny w Hoa Binh i w całej okolicy europejski rarytas, typowy długonos, budziłem zrozumiałą sensację, a że do tego Polak - Balan - ogromnie przychylną sensację.

W oczach mieszkańców wyrosłem na jakiego jubilata, bo jakkolwiek wiadano, że Polak to nie Rosjanin, ale przecież Polska i Zwiśzek Radziecki leżą obok siebie gdzie tam w Europie tak strasznie stąd daleko, że w pocziwym Hoa Binh różnica między tymi państwami zupełnie się zacierała.

Chung, Tung i Dien otoczyli mnie na ulicy przyjacielskim kołem, do którego dołączyli się dwaj nasi żołnierze z wyprawy, a wkrótce także szoferzy. Nie było końca umiechom, przedstawianiem, uciskom dłoni. Podchodzili urzędnicy miejscy i powiatowi, i jakie inne personsy, i potężnie i patriotycznie ciskaliśmy sobie ręce. Serdecznie ucisnąłem dłoń nauczyciela i dłoń naczelnika policji i ciskałem dziesiątki wyciśgniętych do mnie ręk młodzieży i rączek dzieci - słowem, wpadłem ja i wpadli oni w niepohamowaną rozkosz ciskania ręk i ciskałem, ciskałem, ciskałem nawet jakiego kmiotka w turbanie, który okazał się Muongiem i był bardzo przerażony.

Tung, Dien i Chung dyskretnie kraniali z zadowolenia, a zwłaszcza tłumacz Tung. W pewnej chwili Tung wdał się w wesołą rozmowę z gromadką młodzieży i potem wyjanił mi: - Towarzyszowi wiadomo, jak kochamy naszego prezydenta i że dlatego nazywamy go Wujkiem Ho?

- Wiadomo mi, naturalnie.

— Otóż dzieci tutejsze nazywają i was wujkiem - owiadczył

Tung z triumfem. .

- Zbyt piękne, ażeby było prawdziwe - ucieszyłem się uprzejmie.

- Piękne i prawdziwe.

- A ile w tym propagandowej zasługi drogiego towarzysza? zmrużyłem do niego oko.

Jeli pozwoliłem sobie na niewinną drwinę, to była w tym szczypta niesprawiedliwoci. Naród wietnamski odznacza się takż uprzejmocią, że okazywana mi w Hoa Bing serdeczność, szczególnie młodzieży, w tych okolicznociach, w tym dniu, była na pewno samorzutna i szczerą.

Wśród przechodniów znajdowały się także dziewczyny, młodsze i doroslejsze i, z rzadka co prawda, poważniejsze kobiety. Płeć piękna była znacznie mniej miała niż chłopcy, ale równie zaciekawiona Balanem. Zauważyłem, że Tung, Dien i Chung prawie wcale nie zaszczycali ich spojrzeniami, a jeli to czynili, to jak najbardziej przelotnie, jak gdyby uważając niewiasty za zło konieczne na tej ziemi. Gdy w ciżbie zanosilo się czasem na to, że mogliśmy zetknąć się z grupą dziewcząt z bliska, oko w oko -przyjacielskie koło zręcznie kierowało mnie w inną stronę. Właciwie szkoda! Niektóre Wietnamiczki były bardzo nadobne, czasem nawet z lekka umiechnięte i miła fotografia lub kilka zdawkowych grzeczności na pewno dziury w niebie by nie zrobiły.

Raz zatrwożyłem się nie na żarty i poczułem lekką niechęć do siebie. Gdy mijała nas wyjątkowo powabna dziewczyna i ja się zagapiłem na nią przez chwilę, naraz doznałem takiego niepokoju sumienia, jak gdybym był urwisem, kradnącym jabłko z obcego ogrodu. Więc już do tego doszło, że bałem się patrzeć na dziewczyny? Odwróciwszy spojrzenie zauważyłem, że tłumacz Tung spoglądał na mnie badawczo i jakby z wymówką w oczach, z wymówką za to, że tak miało spozierałem na licznokę. To jeszcze bardziej mnie zmieszało. Cóż to, do licha! - przemknęło mi przez głowę. - To już nawet wzrok Tunga mnie peszy?!

Ochłonawszy poczułem w sobie kolec przekory. Odezwałem się do Tunga lekkim a wyzywajścym tonem wskazując nieznacznie na pannicę, która już przeszła:

- Ładna boginka, co?

- Ładna? Nie zauważyłem! - odmruknął markotnie, jak gdyby usłyszał zniewagę pod adresem dziewczyny.

Westchnąłem z cicha.

Wieczorem, gdy się ciemniło, na otwartym placu wywietlano radziecki film na zakończenie wiaęta. Może nie najlepszy film, ale dla hoabińczan był rewelacją.

Nie doczekawszy się końca filmu poszliśmy do naszej kwatery urzędzonej w domu zajezdnym. Zaledwie się pojawiliśmy, gdy z ciemności wyskoczył młodziec Chu Van Tuyen i natychmiast zaprowadził mnie do przygotowanej pod okapem dachu miski z ciepłą wodą, z pachnącym mydłem i wieżym ręcznikiem: miałem umyć sobie górną część ciała i ręce. Chu Van Tuyen był ze wszech miar wyjątkowym młodziecem: okrągławy i bardzo podobny do Eskimosa, odznaczał się także jowialnością i eskimoską. Miał zawsze naprawdę szczerą, szeroki uśmiech i co chwila wybuchał radością,

krótkotrwałą przypiewkę. Uroczy chłopak.

Po piewaku Tuyenie wziął mnie w obroty Dang Lieu, nasz sanitariusz, „doktorem” przezwany, który pomimo swych dwudziestu lat był starczo poważny i kategoryczny, biegunowe przeciwieństwo Tuyena. Dang Lieu za pośrednictwem tłumacza Tunga poprosił spokojnie, lecz nakazująco, ażebym zaraz zażył pigułki chininy przygotowane dla mnie.

- Dostałem arolen od doktora Pierożyńskiego - odpowiedziałem - i zażywam je raz na tydzień.

Zawiedziony eskulap Dań Lieu zapytał się, czy mi co dolega.

- Tak, dolega - odrzekłem żywo.

Moja wyrana odpowiedź wzbudziła w nim rozległe nadzieje.

- Proszę wyjawić - spojrzał na mnie z drapieżną troskliwością. - Czym mogę służyć?

- Smutno mi, bardzo smutno na duszy! - palnąłem.

Dang Lieu, zawsze skupiony i ani na chwilę nie zbity z tropu, tylko kiwnął głową na znak zrozumienia, poszedł i przyniósł na jadalny stół małą, ćwierćlitrową buteleczkę szampana Raittinger, po czym cicho się ulotnił.

Kolację spożyłem - jak odtąd wszystkie posiłki - w miłym towarzystwie kierownika Diena i tłumacza Tunga. Potrawy były smakowite, wietnamsko-europejskie: kura i wieprzowina, ryż, różne jarzyny, surowe banany, herbata chińska podczas dań, a czarna kawa wietnamska, mocna i aromatyczna, na koniec. No, i po parę małych, maleńkich łyżek leczniczego szampana, którym w trójkę się dzieliliśmy. Podziwiałem apetyt towarzyszy: pomimo że tyle niżsi i szczuplejsi ode mnie, jedli więcej niż ja.

Bardzo polubiłem Diena, kierownika wyprawy. Miał trzydzieci pięć lat, ale wyglądał jak chłopczyna kilkunastoletni. Podczas wojny zapisał piękną kartę, był w wietnamskim wojsku oficerem i „kadrs”

w Lidze Wietminhu, a przez pewien okres organizował scenę polową i występował na niej z własnymi utworami. Pomimo przeszłości pełnej zasług był uosobieniem franciszkańskiej skromności, miał w sobie, w ruchach, w sposobie mówienia coś szczególnie łagodnego, niemal kobiecego. A przecież wiadomo, że podczas wojny wiecił przykładem hartu, męstwa i wytrwałości. Pozornie nie było w nim ladu energii, wszystko załatwiał miękko, niemal proszącym szeptem, a wszakże jak go słuchano, jaka panowała dyscyplina w naszej wyprawie! Wyczuwałem w nim typ oficera, wytworzony wielką, dwutysiącletnią tradycją wysoce bitnego narodu, typ zupełnie odrębny od marsowego wojaka, do jakiego przywykliśmy w dawnych armiach Europy.

Pod koniec kolacji, podczas picia kawy, przybliżył się do naszego stołu z uprzejmym pozdrowieniem starszy Wietnamczyk. Starszy, bo wyglądał na lat trzydzieci, a miał czterdzieci pięć. Był to Ngo Van Quy, nasz pierwszy kucharz, chudy jak szczapa. Pochylił się nad uchem tłumacza Tunga i o co się go pytał.

- Camarade kucharz - zwrócił się do mnie Tung z umiechem - zapytuje się camarade pisarza, czy mu smakowała kolacja i czy było dosyć.

- Jeli tak dalej pójdzie - zawołałem serdecznie, podajśc kucharzowi rękę - to wrócimy do Hanoi spasieni jak wieprze.

Kucharz Quy podziękował cichym umiechem i zadowolony odszedł.

Czy tego wieczoru czułem się dobrze, czy byłem szczęśliwy?

Oczywiście, byłem szczęśliwy, przecież staliśmy u stóp nieokiełznanych gór i czekały nas tam przygody, lecz już sam fakt, że zadawałem sobie takie pytanie, miał swś podejrzańš wymowę. Wiedziałem, że otaczała mnie bezgraniczna życzliwość ludzi, gotowych postawić się na głowie, żeby mi tylko dogodzić, lecz niestety dogodzić tak, jak oni to rozumieli, a nie ja.

Położyłem się na spoczynek pod szczelnš zasłonš moskitiery.

Tymczasem pod powałš naszego budynku rozlegały się wesole odgłosy jaszczurek geków, niestrudzonych łowczyń komarów i podobnej hałastry. Namiętnie, wyzywajšco, poźšdliwie brzmiały ich bojowe cmoknięcia: gek, gek... miotane w wiat krótkimi seriami. W półnie przyjmowałem je jak przyjazne powitania i dochodziła jeszcze do mej wiadomości rzecz niewštpliwa, że konszachtów z różnymi gekami nikt mi w tej podróży nie zakłóci.

Już sen mnie morzył, gdy zauważyłem, że kto podkradł się cicho do mego łóža i ostrożnie obmacywał jego brzegi. Uspokoilem się. Był

to piewak Tuyen, zaokršglony młodzian, opiekun mego spania: uważnie, ażeby mnie nie zbudzić, badał, czy moskitiera szczelnie przylegała do pocieli i nie wpuci komarów. Rozrzewniony takš pieczołowitociš, zasnšłem na dobre.

Co tu wiele gadać: takiej troskliwości nie doznawali Wodziccy i Potoccy na swych afrykańskich safari.

8. Gimnastyka, palmy,

“pijawki”, motyle

Zasnšłem słodko, zbudziłem się gwałtownie. Była jeszcze noc, choć niedaleko witu.

- Mot! Hai! Ba! Bon! - na dworze za cianš rozlegały się ostre krzyki komendy i tupot biegnšcego po twardej ziemi hufca.

Przeszyło mnie w pierwszej chwili przerażenie i cały się zjeżyłem.

Hufiec, pędzśc obok naszej chaty, wyrzucał z piersi gardłowym głosem skandowane zaklęcia, które brzmiały bardzo gronie, lecz zapewne w rzeczywistości tylko pokoju życzyły wiatu.

Tymczasem w dalszych częściach miasteczka Hoa Binh i na pagórkach rozlegały się te same potężne cztery słowa: “mot-hai-ba-bon”, znaczące po prostu “raz-dwa-trzy-cztery” i opętani sportowym duchem dziarscy ludzie biegali, bijąc piętami o ziemię tak mocno, że łopot z daleka docierał do nas.

Tak oto młodzi zapaleńcy budzili swych rodaków do porannej gimnastyki i energicznie spędzali im sen z powiek. Była godzina piąta czterdzieci pięć rano. O tej samej godzinie we wszystkich osadach Północnego Wietnamu, gdziekolwiek żyła garstka Wietnamczyków, na wszystkich placówkach, we wszystkich wsiach i miastach, nawet w ródmięciu Hanoi rozlegały się na ulicach i drogach te same okrzyki i ten sam tupot nóg. Dzielný naród nabierał krzepy do pracowitego dnia.

Członkowie naszej wyprawy, jako będący na specjalnej służbie, nie brali udziału w ogólnej gimnastyce, natomiast z wojskowych sprzężystości zakrzętnęli się dokoła porannych obowiązków. Słońce jeszcze nie wyszło spoza gór, gdy po sutym niadaniu puciliśmy się w drogę.

Nocna mgła szybko opadła i krajobraz się rozszerzył. Zaraz za Hoa Bing straciliśmy z oczu Rzekę Czarną, lecz wciśz trzymaliśmy się dolin pomniejszych rzeczek. W dolinach były te same co dotychczas ryżowiska, tylko mniejsze, uboższe i były te same chaty wietnamskie.

Potem doliny znacznie się zwęziły i przemieniły w wśwozy, porośłe puszcza niezbyt gęstą. Przez kilka czy kilkanacie kilometrów nie było żadnego osiedla ludzkiego, jak gdybyśmy przecinali jaki pas graniczny, i w istocie, gdy znowu pojawiły się chaty, były już inne niż w/ pobliżu Hoa Binh: wszystkie stały na palach.

- Czy to Tajowie? - zapytałem towarzyszy.

Tajowie budują swe chaty zawsze na palach, nawet na zupełnie suchym gruncie.

- Nie. To prawdopodobnie Muongowie jeszcze.

Jeli Muongowie, to chaty wiadczyły o tym, jak potężny wpływ wywierał naród Tajów na swych sąsiadów.

Była to przyjemna wioska o kilkunastu solidnych, przeważnie nowych chatach bambusowych, rozrzuconych malowniczo na stoku nieco z dala od gocińca. Poranne słońce różowiło magicznym blaskiem wzgórze, na którym sporód chat wystrzelały palmy areki. Widziałem w tej podróży już niejednego zachwycającego krajobraz, ale tu było nad wyraz ładnie. Takie bogactwo piękna chwyciło: więc gotów byłem przysięść sobie, że w drodze powrotnej postoję tu przez kilka dni i będę nurzał się w rozkoszy. Oczywiście chwalebny zamiar spalił na panewce, nie było potem czasu, ba, rajski zakątek minęliśmy w drodze powrotnej jako nie zauważony: jeszcze jeden raj utracony.

W tej wiosce żył lud przemyślny i dowcipny. Strumyk, toczący się szumnie przez wie ze wzgórza ku dolinie, wykorzystano jako wydajne źródło energii mechanicznej. Brzegi strumienia po prostu usiane były co kilka lub kilkanacie kroków młynkami wodnymi wszelakich kształtów, stęporami do łuszczenia ryżu, tłukami samoczynnie i bez przerwy wykonującymi różną robotę za ludzi. To podpatrzyła wie niezawodnie też u Tajów, mistrzów wysługiwania się cudzą pracą.

Z moimi bezporównywalnymi towarzyszami podróży w gaziku, tłumaczem Tungiem, kierownikiem Dienem, duchem opiekuńczym Chungiem i kierowcą Hoajem, szybko się zaprzyjaźniłem, ale wcale nie mniej polubiłem resztę członków naszej wyprawy. Jeden w drugiego bycze to były chłopaki. Głęboko mnie ujęła nigdy nie zmęczona nastrój życzliwości i koleżeństwa, panującego między nami wszystkimi, i chociaż ja, kreatura niewdzięczna, w duchu czasem z lekka żartowałem sobie z mej cnotliwej, dziewczęcofobowej drużyny, przecież szczerym podziwem przejmowałem mnie ich duch solidarności i wręcz braterstwa.

Jeden drugiemu ochoczo szedł na rękę i zawsze pomagał. Gdy tylko co

tam się psuło w ciężarówce, wszyscy wyskakiwali jak jeden mąż, reperowali i nie można było powiedzieć, że robili to indywidualnie.

W miarę jak wdzieraliśmy się w góry, było coraz mniej palm arekowych, pospolitych jeszcze w dolinie dookoła Hoa Binh. Górskie powietrze widać im nie służyło. W przyrodzie, gdzie wszystkie linie były kręte, koliste, falujące, bezładne, areki stanowiły cudaczny wyjątek, tworzyły nowy element piękna: ich pnie wyrastały z ziemi nieskazitelnie prociuteńkie jak wiece. Ambitne palmy wzięły z geometrii idealną linię pionową. Patrząc na nie, podziwiał się w nich dwie rzeczy: kapryśne dziwactwo i majestatyczną wzniosłość.

Parę kilometrów za wioską mechaników wodnych stał blisko drogi samotny gaik palm arekowych, więc wyskoczyłem z łazika i sfotografowałem je. Dobrze zrobiłem. Były to ostatnie areki. Góry coraz gwałtowniejsze pokrywały się puszcza coraz bujniejszą, ale wysmukłych gracji niestety już nigdzie nie spostrzegłem. To były mieszkanki ciepłych dolin.

Wkrótce droga zaczęła się obniżać i zjechalimy znowu do Rzeki Czarnej, którą w tym miejscu, w Chobo, należało przepłynąć na motorowym promie. Potężna rzeka, szersza tu niż Wisła pod Toruniem i na pewno wielokrotnie głębsza, bo wśród pasm górskich ujęta w strome brzegi, czyniła ku południowi dwudziestokilometrowy łuk, który droga nasza przecinała po cięciwie. Więc dwa razy przeprawiliśmy się przez wodę, pod Chobo i pod Suyut, po czym droga odszodziła się od rzeki na przeciwległy brzeg, by dopiero w Lai Chau, o kilkaset kilometrów wyżej, zejść ponownie na jej brzeg. Przyczyną, że droga uciekała od wody, były szalone góry, napierające wszędzie na rzekę i nie dopuszczające do utworzenia nadbrzeżnych ryżowisk ni osad ludzkich.

Miejscami, jak przy ujściu rzeki Mauk do Czarnej, turnie spadały do wody tysiśmetrowymi urwiskami, podobnie jak w kanionach Colorado. Lecz hej! Jak wiat wiatem żadne oko turysty nie padło jeszcze na urzekające głusze i nawet poczciwy siewca ryżu uciekał jak przed diabłem od tych cudów.

Siewcy ryżu żyli nieco na południu, w łagodniejszych dolinach niewielkich rzek, dopływów Rzeki Czarnej. Tam, w oddaleniu trzydziestu, czterdziestu kilometrów od niedostępnej rzeki, wiódł główny góciniec do Lai Chau. Nad tym traktem leżały większe skupiska ludzkie, po kilkaset dusz liczące, jak Moc Chau, Yen Chau, Sonia, Thuan Chau, Tuan Giao, no i na końcu Lai Chau, wszystko to siedliska Tajów, gdzie zamierzałem poznać ich obyczaje.

W Suyut przymusowy postój przez kilkanaście minut, bo ciężarówka nie chciała wspiąć się na brzeg.

Miecina składała się z tuzina czy ilu tam chałup. Wszystkie były sklepikami Wietnamczyków z Delt. Kupcy ci mieli znamienitš naturę żarłocznych pijawek. Raz na tydzień zbierali kapitalny plon i łup: w ów dzień targowy schodzili tu z okolicznych gór po sól i inne niezbędności ludzie ze szczepów Mań i Meo, a z bocznych dolin Tajowie. Kupcy czekali na tę okazję jak rabusie w zasadzce. W Suyut było wtedy przez kilka godzin rojno jak w sieci rybackiej po dobrym cišgu, gwarno jak w ulu, więc z otumanionych zgiełkiem górali zdzierano skórę, aż trzeszczało.

Za te same towary biedota płaciła tu trzykrotnš cenę niż w Hoa Binh, oddalonym zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów i osiřgalnym niezłš drogš. Ale Hoa Binh to jeszcze Delta i rejon Wietnamczyków Kinh, Suyut to dzikie góry i rejon mniejszoci narodowych. Delta to życie już jako tako ustatkowane, Suyut to wciřz dzikie kresy. Od pokoleń panowało tu prawo dżungli i pijawek, jakże więc źsdać, żeby trzask, prask - drapieźne nawyki zmieniły się w sielanke tak z dnia na dzień, z miesiřca na miesiřc? Zmieniř się kiedy na pewno, to wiedziałem znajřc Wietnamczyków.

Podczas postoj w Suyut wyciřgnšłem siatkę na motyle i zaczřłem łowić. Pomagali mi tłumacz Tung i duch opiekuńczy Chung. W tej indochińskiej podróży nie zamierzałem zdobywać wielkich zbiorów jak[^]

ongi w Ameryce Południowej: nabrałem wstrętu do zabijania nawet motyli. Chodziło mi raczej o zebranie pojedynczych egzemplarzy, ażeby móc póniej ustalić, jakiegatunki, gdzie i kiedy napotykałem po drodze.

Juź poprzednio ze zdziwieniem zauważyłem, że Chung za każdym razem, gdy wyskakiwał z auta choćby na kilka chwil, zawsze, zawsze bez wyjřtku zabierał ze sobř jakř skórczanř tekę ciskajřc jř kurczowo pod lewř pachř. Nigdy nie widziałem go bez tej zagadkowej teki. Było to bardzo zabawne, a zarazem tajemnicze: jakie to niezwykle skarby mogła ukrywać teka, którř w duchu nazywałem puszkř Pandory?

Gdy pewnego razu Chung, przypomniawszy sobie, że jej nie zabrał ze sobř, skoczył po niř do auta jak przerażony kot, nie wytrzymałem i zapytałem tłumacza Tunga, co w tej tece siedziało, jakie kosztownoci?

- Sam nie wiem! - przyznał się przyjaciel.

- Może pieniřdze, kasa wyprawy?

Tung wzruszył ramionami:

- Ej, chyba nie!

- No, więc co, do kroćset duchów?

- Trudno mi powiedzieć: nie wiem.

miechy miechami, ale to nie zmieniło faktu, że Chung nigdy nie rozstawał się ze swojř puszkř Pandory. I tak samo teraz, w Suyut, okrutnie komicznie wyglřdało, gdy opiekun nasz z nieodstępñ tajemnicř pod pachř, jak szalony uganiał się za motylami.

Początek listopada w tych krajach to odpowiednik naszego września, a więc schyłek owadziego sezonu i urodzaju. Jak okazały musiał

być ów przepych przed dwoma, trzema miesiącami, jeli jeszcze teraz latało tu tyle motyli! I to jakich! Wielkie Euploea, ciemnobrązowe, prawie czarne, błyszcząły na przednich skrzydłach fioletowym, metalicznym połyskiem. Trudno opisać urok ich lotu, gdy jak żywe klejnoty szybowały wśród żywej przyrody. Później widziałem je w zbiorach pod szkłem i wzdychać się chciało: powinno się je podziwiać tylko żywe w ich własnej ojczyźnie. Po mierci pozostawał jeno cień dawnej krasy, wypłowiła karykatura.

Przed sklepikami "pijawek" były kałuże na drodze. Nad nimi latała Euploea powoli, dostojnie, z jakimś wielkopańskim nonszalancjsm.

Wiedziałem, skąd ta niedbałość. Motyle te wydają ze siebie zapach, wstrętny ich naturalnym wrogom, i żadne ptaki czy jaszczurki nie zląkomiś się - broń Boże - na mierzśćce frykasy. Niektóre pachną ponoć rezedą, inne miodem i wanilią, ale gdy schwyciłem jednego, kilometry, zanim dostrzegliśmy jakiś mizerną chatynkę, przycupnięś przy drodze. Tu, na początku tej gęszy, o kilka kilometrów od Suyut, minęliśmy niepostrzeżenie granicę prowincji autonomicznej Taj Meo i znaleliśmy się w części Wietnamu administrowanej przez samą mniejszość przy dyskretnie doradczej jeno roli Wietnamczyków z Deltą.

Lecz gdzie byli Tajowie? Żyli wyłącznie w dolinach tych gór i mieli tam swoje nizinne ryżowiska, a na razie przecinalimy strefę głębokich wśwozów, niezdatnych do uprawy. Należało więc spodziewać się Tajów znacznie dalej, po przebyciu dzikiego pustkowia.

Tajowie podniecali moją ciekawość. Byli w tej prowincji najliczniejszym i najsłynniejszym narodem, a tyle o nich już czytałem, że po prostu paliłem się, by ich poznać. Tartuffem, wiadomo, nie jestem i nie myślę ukrywać się za listkiem obłudy: nieostatniś dla mnie przyczynę, by poznać Tajów, stanowiły ich kobiety. Ongi nie było Francuza, który, zetknąwszy się z nimi, nie unosiłby się nad ich urodą, wdziękiem, uprzejmocią. W niektórych opisach wyrastały one na jakie super-kobiety, tym ponętniejsze, że - w ramach przyzwoitoci - bynajmniej nie chowały swej cnoty pod kocem. Toteż Francuzi chętnie garnęli się w te strony i brali sobie Tajki za towarzyszkę i żonę... na czas swego pobytu w Indochinach.

Zresztą po cóż sięgać tak daleko, do Francuzów. Dwa lata przede mną, tuż po wyzwoleniu kraju, przejeżdżał tędy polski znakomity pisarz o ustalonej opinii człowieka trzewego i statecznego, Mirosław Żuławski. W swej książce "Drzazgi bambusa" tak pisał o kobietach dwóch odłamów narodu, Tajów Białych i Tajów Czarnych: "Niemał każda (Tajka Biała) ma odkryte piersi. W najlepszym razie noszą kaftaniki, zakrywająś tylko górniś część biustu. Czarne Thai* odsłaniająś brzuchy. Białe - piersi. Kobiety Thai są bujne, duże i pełne temperamentu, a mężczyźni ponoć lamazarni. Więc kobiety robiś, co mogś: odsłaniająś brzuchy, piersi, łona".

Brzmiało to w książce diabelnie obiecująco i widocznie podróżnik tak rzeczywiście odczuwał, skoro chwilę później znowu musiał podjąć sprawę Tajek: "...Kobiety mająś w ruchach i postawie cudowny wdzięk... przypominająś jakie renesansowe madonny. Jestem zupełnie pod urokiem tego ludu". Ba,

Żuławski posunął się nawet tak daleko, że *Żuławski stosuje francuską pisownię Thai dla oznaczenia Tajów z przytomnych zazwyczaj ust dobył szczere, romantyczne westchnienie, iż chciałby tu zostać na długo.*

Kto wemie czytelnikowi za złe, że po takiej lekturze i on również chciałby ulec urokowi tego ludu? Chyba byłby soplem lodu, gdyby pozostał nieczuły na taki opis kuszących syren. Niestety, godziny mijały, a na razie nie było ani widu, ani słychu o wioskach Tajów.

Zresztą korciła mnie i nie dawała mi spokoju myśl o moich wietnamskich towarzyszach. Toż to asceci naszej cnotliwej drużyny chyba odejść od zmysłów ze zgorszenia, struchlejsz na widok kobiet półnagich, a przy tym bujnych, dużych i pełnych temperamentu. Nie wiedziałem jeszcze, jakiej wody więconej użyję dla przepędzania diabła (raczej diabolic), ale wiedziałem, że będzie to zabawne.

W pewnym miejscu droga wyprostowała się i miała mniej wybojów. Łazik rozpedził się do szybkości trzydziestu kilometrów, gdy daleko przed nami zauważyliśmy gromadę dwudziestu kilku ludzi, młodych mężczyzn i kobiet. Dwigali łopaty i koszyki i najwidoczniej szli do pracy szarwarkowej przy drodze. Były to pierwsze istoty napotkane na przestrzeni wielu kilometrów. Gdy podjechalimy bliżej, poznałem dziewczyny po strojach. Nosiły obcisłe, ciemne kaftaniki z pionowym szeregiem srebrnych sprzączek na piersi. Serce zabiło mi mocniej: to byli Tajowie.

Samochód nie przystanął; przeciwnie, jak gdyby przypieszył

biegu. Zapatrzony zgapilem się i nie kazałem zatrzymać. Młodzi ludzie odskoczyli na bok wśród miechów i wesołego pisku. Gdy ich mijaliśmy, niektóre dziewczyny grzecznie witały nas machaniem ręk i wołaniem czego żartobliwego. Sekunda, dwie i już ochocza gromada pozostała w tyle.

Poszczególne odłamy narodu Tajów odróżniają się według koloru staników, jakie noszą kobiety danej okolicy: na przykład koloru białego, czarnego, czerwonego. Napotkana grupa należała z pewnością do Tajów Czarnych. Żuławski miał rację: dziewczyny niczego sobie, nie wymoczki, wesołe i niewstpliwie pełne temperamentu. Tajki Czarne, więc powinny być mieć brzuchy odkryte, ale w błyskawicznym popiechu ten miły szczegół uszedł mej uwagi.

Owładnęło mnie przyjemne podniecenie, na duszy zrobiło mi się błogo.

Spojrzałem na towarzyszy. Oni, w przeciwieństwie do Tajów, byli poważni, skupieni.

- Nie zauważylicie może - naparłem na nich swobodnym głosem - czy dziewczyny miały obnażone brzuchy?

Tłumacz Tung jak gdyby z obłoków spadł; a może tak udawał.

Odrzekł z wstłym umiechem, uprzejmie, lecz z czujności w oczach: - Nie, camarade, nie zauważyliśmy. Nosiły przecież spódnice...

- Nosiły, prawda, ale może miały je obniżone... Szkoda, że nie zatrzymaliśmy auta.

Tung wódzć mimo woli baczny wzrokiem po otaczających chaszczach bsknął niewyranie: ; - Tu

lepiej nie zatrzymywać... Okolice dzika, bezludna... Tu niepewnie!

- Co znaczy: niepewnie?

- Niebezpiecznie...

Umiechnęłam się do siebie. Ach, ten kochany Tung! Może to obnażone brzuchy były tak niebezpieczne? Albo żartobliwość tych młodych Tajów niebezpieczna?

10. Strojni Yao

Po pewnym czasie góry jak gdyby cokolwiek umierzyły swoje wybryki, ale droga wciąż wiała się jak schwytyany węgorz i często prowadziła z boczami nad zawrotnymi otchłaniami. Wtedy otwierały się pod nami malownicze widoki na niezgłębione doliny i na szumiące nisko w dole rzekę. Kierowca musiał mieć się w tych miejscach szczególnie na baczności.

Na jednym z takich przesmyków tłumacz Tung kazał przystanąć.

Łoskot tłukącej się w skalistym łóżysku rzeki głużył nasze słowa.

Przyjaciel znał to miejsce z czasu wojny, kiedy nocował tu podczas marszu na Dien Bien Phu.

- Czy słyszy pan tę paskudną rzekę? - zwrócił się do mnie.

Pytanie zbyteczne, bo huk od rzeki szedł tak donośnie, że ledwo rozumiałem słowa do mnie mówione.

- Dlaczego paskudna? - zaciekawilem się.

- Hałas rzeki tłumiał warkot zbliżających się bombowców francuskich. Ludzie nasi często musieli chodzić tędy za jasnego dnia. Nie ostrzeżeni warkotem ginęli, gdy samoloty niespodzianie się zjawiały...

Droga, którą obecnie jechaliśmy, była główną arterią, prowadzącą do Dien Bien Phu. Na przełomie lat 1953 i 1954 parły tędy na zachód nie tylko frontowe wojska wietnamskie wraz z ciężką i przeciwlotniczą artylerią, lecz spieszyła także nieustająca armia tragarzy, licząca dziesiątki tysięcy, jeśli nie setki tysięcy osób, przeważnie dziewczyn, dzieci i starców. Gociniec nabierał w tych tygodniach niepomiernej wagi, miał rozstrzygnąć o losach wojny, więc nieprzyjaciel wszystko robił, by przerwać i zniszczyć żywotną tętnicę. Setki samolotów obrzucały trzy razy dziennie tysiącami bomb wszystkie krytyczne odcinki drogi, wiodące nad przepaciami. Tysiącami bomb, bo były tam również złolliwe bomby-motyle, małe jak paczka papierosów, wybuchające dopiero za dotknięciem stopy ludzkiej. Nieprzyjaciel wiedział, że zniszczenie tych przejęć przerywało wszelką komunikację, gdyż nie dało się przejechać bokiem. Lecz nie liczył się z powięceniem i zawziętością jeszcze jednej armii wietnamskiej, armii saperów. Ci po przejściu bombowców natychmiast pędzili do kurzyczych się jeszcze wyrw, ginęli od bomb z opóźnionym działaniem, ginęli od nienawistnych "motylków", często od kul z karabinów maszynowych, ale zanim północ minęła, droga była naprawiona i rzeka ludzi płynęła znowu wartkim prądem. Lotnikom francuskim wydawało się to zjawiskiem niepojętym,

przerażającym - hydrś, wciśż i wciśż, aż do obłądu, odrastajścś od nowa.

Na jakim skręćie musielimy nagle przyhamować samochody: przed nami stała kolumna kilkunastu ciężarówek, jadścych w przeciwnym kierunku do Hoa Binh. Pierwsze auto, w którym co się zepsuło, unieruchomiło wszystkie następne i zatrzymało nas również; nie sposób było wyminść się na zakręćie. Wsiadłszy czekalimy popijajśc herbatę z zabranych termosów i zbrojść się w cierpliwoć, jak to trzeba było w takim położeńiu.

Kierowcy zawiadomili nas, że o kilkanacie kilometrów od miejsca naszego spotkania zauważono dzi rano wielkiego tygrysa na drodze.

Nie okazywał płochliwoci i dopiero gdy ludzie podnieli krzyk, pierzchnśł do kniei.

A wtem - nowe spotkanie. Przechodziła drogś gromadka górali: starzec, za nim trzy kobiety, jaki młozdian i dwoje czy troje dzieci.

Ośłupiałem z wrażenia, kobiety bowiem były tak barwnie ubrane, tyle miały na sobie srebrnych ozdób i naszytych na bluzki haftów, że wyglśdało to jak cyrkowa maskarada.

- Mań! - szepnśł Tung do mnie.

Mań oznacza w języku chińskim i wietnamskim tyle co: dziki, barbarzyńca, Manowie sami nazywajś siebie Yao. Przywędrowali, podobnie jak Meo, z Chin południowych i zamieszkujś także stoki gór, lecz w niższych pasach. Sś to najlepsi myliwi w Wietnamie, żyjścy głównie z lasu, mniej z roli. Jako myliwi, a kiepscy rolnicy, lubiś wiele wędrować, kochajś życie lene i nie martwiś się zbytnio o jutro. Niewśtpliwie Yao w dawnych wiekach mieli wyśsz cywilizację: pomimo na pół koczowniczego bytu do dzi zachowali pisownię chińskś, szacunek dla ludzi wykształconych, umiejętnoć wyrabiania papieru i fabrykowania strzelb skalkówek, już nie mówiśc o tkactwie i zdobnictwie w srebrze.

Górale przechodzili obok nas z minś najobojętniejszś w wiecie, jak gdybymy wcale nie istnieli. Tak samo z naszej strony Wietnamczycy mało powięćali im uwagi, natomiast ja mocno się zapaliłem.

Poprosiłem tłumacza Tunga, bymy ich zatrzymali, a gdy Yao przystanęli, poczęstowałem wszystkich dorosłych papierosami. Potem pobiegłem do łazika po aparat fotograficzny i po igły dla kobiet.

Starzec Yao nie był w humorze i nie ukrywał swej niechęći do nas.

Na pytanie, czy sś tu tygrysy, odburknśł przez nos, że sś wszęćdzie, przy czym łypnśł na nas okiem, jak gdybymy również byli tygrysami.

Tung podał mu płonścś zapałkę do papierosa, ale on nie chciał zapalić, chociaż papierosa przyjśł. Kobiety były przystępniejsze. Igłami, które dostały, ucieszyły się bardzo, umiećały się do nas miało i przyjanie i chęćnie paliły papierosy.

Starzec trzymał w garci kuszę, broń, którś ujrzałem w Wietnamie po raz pierwszy. Chciałem, żeby mi jś na chwilę wręćzył; odmówił

wzgardliwym potrząśnięciem głowy. Wobec tego kazałem poprosić go, żeby strzelił do celu, jeśli umie dobrze trafić.

- Nie strzeli! - wymamrotał czyniąc ruch rąk, jakby odganiał

natrętną muchę.

Tymczasem Tung ostrożnie wyciągnął z jego kołczanu strzałę i przyglądał jej się. Stosunkowo krótka, mało co dłuższa niż pół metra, była z bambusa i bez grotu, tylko zwyczajnie zastrzona na końcu.

- Takś podobno zabijają tygrysa, jeśli zatruta - objanął Tung.

Na chwilę przed pojawieniem się górali jedlimy pomarańcze i Tungowi ręce teraz jeszcze pachniały sokiem. Starzec zniecierpliwiał

się. Rozdrażniony wyrwał strzałę z ręk Tunga bełkocząc łamaną wietnamszczyzną, że teraz strzala do niczego, bo zapach pomarańczy zabił

truciznę. Poszedł do pobliskiej kałuży i gwałtownie wypłukał strzałę w wodzie.

Tung patrzył na to zmieszany; było mu przykro jako gospodarzowi kraju, że Yao zrobił nam scenę.

- To głupstwo! - zabawiłem się w pocieszyciela. - Znam to skądinąd. Wasze palce mogły obrazić ducha, który siedzi niewstępliwie w strzale, i trucizna może odtąd nie działać...

- Wcisną nieokrzesani - mruknął przyjaciel na usprawiedliwienie.

Starzec nic nie mówiąc poszedł dalej i zatrzymał się o sto kroków od nas, by poczekać na resztę swego towarzystwa.

Kobiety były miłe. Dwie starsze zachowywały się z całą swobodą i zadowolone z otrzymanych igieł wesoło do siebie chichotały. Trzecia, młoda dziewczyna, skromnie trzymała się w tyle, dość niemiało.

Jakież fantastycznie barwny posiadały strój! Ileż srebra nosiły na sobie: grube krążki dokoła szyi - podobnie jak u ludzi Meo - dalej olbrzymie kolczyki, zwisające aż do piersi, cała seria bransoletek, a przy tym na ramionach i piersiach różne srebrne błyskotki, przyszyte do czegoś w rodzaju bluzy. Biżuteria była prosta, lecz wykonana z artystycznym smakiem. Gdzie odzież kobiet nie była pokryta srebrem, tam wystrojenia dopełniały hafty. Do tego na głowach kobiety nosiły wysokie turbany, również w żywych barwach, a najstarsza z nich jeszcze wsadziła na wierzch półmetrowe rusztowanie z drzewa, tonące w obfitości kolorowych wstążek i wiecidełek: był to już dosłownie szczyt ich elegancji. Rzekłby, oszalałe w przeładowanych barwach barbarzyństwo, zboczona fantazja obłaskanego strojenia się, malowniczy absurd w tak dzikiej puszczy. Rzekłby i pozornie miałby rację, ale tylko pozornie: to nie była niedorzeczność.

Nie byłem pewny, czy mam słuszną rację, ale podświadomie wyczuwałem przypuszczalne przyczyny strojenia się. Yao, jako naród żyjący w rozproszeniu, nie wiedli bytu na różach. Wypychani z gór do gór przez silniejszych liczebnie sąsiadów, byli od pokoleń jak gdyby u progu wyginięcia. W takich

opałach szczepy chwytają się wszystkiego, co potwierdza im życie, co umacnia ich wiadomość, że jednak istnieją. Jaskrawy strój narodowy w podobnych warunkach wydaje się ważnym czynnikiem psychologicznym. Jest faktem znamionym, że ludy na Wschodzie, wiodące najtwardszy żywot, jak na przykład Meo i Yao, stroją się barwniej aniżeli ludy Silniejsze, pewne swego bytu jak Tajowie.

Jak ważny jest ten motor psychiczny, wiadczy przykład Indian na preriach Ameryki Północnej. Szczepy te za czasów swego rozkwitu i swobody lubiły stroić się barwnie. Pobite przez Amerykanów i wpędzone w rezerwaty, dotkliwiej odczuły swój upadek i nędzę, gdy zmuszono je do zastąpienia barwnych strojów narodowych szarymi ubraniami amerykańskimi. Szarość ta przybiła je zupełnie, uwiadomiła im ich upadek i upokorzenie i wepchnęła je w letarg duchowy.

Kto wie, czy pyszny strój kobiet Yao nie odgrywał ważnej roli w ich wiadomości istnienia i nie był po prostu jednym z narzędzi samoobrony szczepu? Już Francuzi stwierdzili, że Yao mają chaty najnędzniejsze, a kobiety najwymyślniej ubrane w całych Indochinach.

Gdy niewiasty zabierały się do opuszczenia nas, dopiero teraz uderzyła mnie uroda tej najmłodszej, niemiałej dziewczyny. Miała lat około piętnastu, jasną cerę z rozkosznymi rumieńcami na policzkach i wymowne, szlachetnie skrojone usta. A oczy! Co za oczy. Osadzone w długich rzęsach, przykuwały magnetycznym wprost wyrazem. Była w nich naiwność, słodycz i co więcej: jakby ukryte wyzwanie małego kobieciśka.

Kazałem niewiastom zaczekać jeszcze chwilę, pobiegłem znów do samochodu i przyniosłem dla dziewczyny słoik pachnącego kremu.

liczne stworzenie w jednej chwili straciło swą niemiałość, a miejsc się, pełne wdzięczności, było naprawdę piękne. Zrozumiałem, dlaczego Francuzi u takich młodych Yao dopatrywali się "la beauté du diable". Młódka o bezwiednie wyzywającym spojrzeniu miała w istocie urodę diabliska.

Tłumacz Tung widząc moje zainteresowanie podszedł i szepnął

mi z przejęciem, w którym drgała nuta pogardy i odrazy: - Camarade! Ona już na pewno nie jest dziewicą!

- A cholercia! To niegodziwa szelma! - zawołałem. - A ja, naiwny, myślałem, że to dziewczyna, i ubóstwiałem ją dlatego.

- Oni za nic mają cnotę dziewczyn! - objanął mnie smętnie.

Dziewczyna domyśliła się niechęci Tunga. Natychmiast zgasała i grymas ciął jej rysy. Zerwała się i pobiegła do swoich, którzy ją wyprzedzili, a ja nie miałem nawet czasu na sfotografowanie jej.

I pomyśleć, że tego dnia rano byliśmy jeszcze w Hoa Binh miasteczku pracowitych ludzi o surowych obyczajach i nieubłaganej karności, ludzi budzących się. co rano z okrzykiem: mot-hai-ba-bori.

Zaledwie pięćdziesiąt czy ile tam kilometrów dzieliło nas od tego Hoa Binh, a już taka różnica między człowiekiem tam i tu, jakiej nie wytworzyły cztery tysiące kilometrów między Nordkapem i Gibraltarem.

Niebawem dokonano naprawy motoru. Ruszyliśmy w drogę i humor wszystkich także się poprawił.

11. “Tygrysów już nie ma[^]

sš żołnierze!” “

Wšwozy rozszerzały się w doliny, a na dnie dolin zaczęły janieć ryżowiska, zrazu szczuplutkie i wšskie. Wchodziliśmy zatem w okolice zaludnione i niebawem przejechalimy przez pierwszš wie Tajów.

Źadnego mieszkańca nie dało się zauważyć, wszyscy byli w domach albo gdzie w lesie czy w dolinie na polach.

Na poprzednim przymusowym postoju straciliśmy wiele czasu, więc nie zatrzymujšc się minęliśmy tę wioskę i mijaliśmy tak samo w szybkim pędzie następne małe sadyby, rozsiadłe wzdłuż drogi co kilka kilometrów. Droga stawała się lepsza pomimo górzystego wcišż terenu.

W dwóch, trzech miejscach uderzyło mnie, że w lesie rosły tam banany, przeważnie w kotlinach obok drogi, a mimo to nie było w pobliżu żadnej wioski. Znałem to zjawisko z mych podróży po Madagaskarze i Ameryce Południowej: takie zdziczałe gaje bananowe spotykałem w puszczy wszędzie tam, gdzie ongi mieszkali ludzie i z jakich

przyczyn opucili swe sadyby. Po kilkunastu latach zbutwiałe chaty rozpadały się, pochłonięte przez puszcę, natomiast banany dalej się krzewiły jako jedyne lady dawnej ludzkiej obecności.

Widocznie takie banany rosły i tu, nad drogš do Lai Chau.

Zwróciłem na nie uwagę przyjaciół, lecz mało ich obchodziło, czy tu istniały kiedy wsie, czy nie.

Przed drugš po południu stanęliśmy w Truong Yen, by .spożyć obiad. Był tu obóz stu pięćdziesięciu Wietnamczyków, uchodców z Wietnamu Południowego. Gdy tu zawinęliśmy, większa ich część grała wlanie w siatkówkę, a gdy po niespełna godzinie opuszczaliśmy Truong Yen, wcišż jeszcze trwała rana gra, Obiad, przez naszych kucharzy rychło podany, zjedliśmy w jednym z baraków, o kilka kroków od grajšcych, lecz mimo to najmniejszej nie zwrócono na nas uwagi, o nic się nie pytano, nawet spojrzeniem nie munięto.

Zanim opuciliśmy Truong Yen, zaznałem tam przyjemnego podniecenia na widok nader ciekawych motyli. Były to typowe Papilionidy o zabarwieniu zasadniczo czarnym skrzydeł przednich, a czarnym z czerwonym skrzydeł tylnych. Otóż podczas lotu motyle trzepotały tylko przednimi skrzydłami, a wcale nie poruszały tylnych skrzydeł, które, na domiar wydłużone do tyłu, znakomicie naładowały ogon ptaka. W Ameryce Południowej wśród owadów często odkrywałem różnego rodzaju mimikry, ochronne upodabnianie się jednych gatunków owadów do innych lub do rolin, lecz nigdy nie widziałem tak chytrego naładowania ptaków przez motyle. Owe dowcipne Papilio latały dość wysoko i powoli, wprost zdumiewajšco podobne do niedużych opieszłych ptaszków.

Kilkanacie kilometrów za Truong Yen góry zaczęły powoli uciekać od drogi, a wraz z górami - lasy. Krajobraz się wygładzał i drzewa ustępowały gęstwinie olbrzymich trawsk i oczeretów. Trzciny trzyi czterokrotnie przewyższały człowieka. Step miejscami ciśgnął się daleko aż po widnokrąg, gdzie przyczały się góry. Była to równina w pobliżu Moc Chau, słynna za czasów francuskich jako Plaine des Troncs, Równina Trzciny, i osławiona wielką ilością grasujących tu tygrysów, które miały brzydki zwyczaj częstego łapania ludzi.

- Nie ma tu już tygrysów! - wyjanił Tung z zadowoleniem. Teraz są żołnierze.

Po całodniowym przebijaniu się przez dziczy leni oczy nareszcie przyjemnie wypoczywały wędrując po rozległościach płaszczyny.

Jakoż niedługo zobaczyliśmy na szczerym stepie baraki obozu wojskowego. Było już po godzinach służbowych: na jednym placu wietnamscy żołnierze grali w siatkówkę, na drugim - w piłkę nożną. Sport stał się wielką namiętnością Wietnamczyków. Owładnięci szlachetną maniż po tylu latach niewoli i karlenia, pracowali z właściwą sobie celowicią nad odrodzeniem narodu.

Póniej tłumacz Tung wyjanił;

- Wojsko zaprowadziło na tej równinie hodowlę bydła, otrzymanego z Mongolii. Tym głównie tu się zajmują żołnierze, dlatego wytępiłi tygrysy...

Dalsza jazda była wyciżem ze słońcem. Chodziło nam o dotarcie do Moc Chau jeszcze za jasnego dnia. Nie udało się. Zmierzch zapadał, gdy zjechalimy w kilkukilometrowy pas puszczy, za którym dopiero leżała sama miecina. wierszcze i jakie inne stworzenia lenie wyprawiały niemożliwy harmider w tej kniei pełnej życia, ale gdy dobrnęliśmy do Moc Chau, tam życia już nie stało: była głucha noc i choć dopiero siódma wieczór - w chatach ciemno, a ludzie zapewne w łózkach.

Kierownik Dien i duch opiekuńczy Chung mieli wiele mitręgi, by wydębić dla wyprawy barak na noc. Wreszcie zdołali nas pomieścić jako tako. Czekażc na kolację zabrałem się do zmiany filmu w exakcie vorex. Aparat niedawno nabyłem. Przy nikłym wiatełku naftowej lampki zacząłem mozolić się daremnie: ni rusz nie umiałem nałożyć nowego filmu. W końcu Tung i Dien wzięli aparat do ręki. Dien przyglądał mu się minutę, dwie minuty ze wszystkich stron swym spokojnym, rozumnym wzrokiem. Potem drobnymi palcami odsunął

właciwą zasuwkę, nadusił należyty spucik i aparat w tej chwili się poddał, mogłem założyć nowy film. Dien własnego aparatu fotograficznego prawdopodobnie nigdy nie posiadał, a wstąpię, czy w ogóle miał dotychczas jaki w ręku. Oto Wietnamczyk!

Zaraz po wieczery położyliśmy się spać. Zmordowany całodziennym obijaniem się w łaziku, prawie natychmiast zasnąłem. Ale miałem sny. niło mi się, że stoję na czele niezwalczonej drużyny, której nic oprzeć się nie może, która zabijała tygrysy, tłukła złe demony, ujarzmiła krnąbrnych starców Yao. Bratem niesamowitej drużyny był bój zdobywczy, a siostrą - mierć.

Głone brzęczenie komarów, próżno nacierających na moskitierę, układało się w rytm uroczystych, potężnych strof. Z dalekiej przeszłości jak przez mgłę płynęły do mnie słowa Staffa: Nam, którym co

dzień biały skroń całuje duma, A oddał tajna dala renice jastrzębie,

Bratem jest bój zdobywczy,

A siostrę mierz-kuma...

Jęczęc we nie broniłem się, jak mogłem, żeby nie być takim zadziornym wojakiem, ale nieubłagane strofy jak nóż nadal wnikały we mnie:

Nadzy, miecz niesieni w dłoniach, bo tarcze

na dębie...

Trudno: byłem wodzem fantastycznej drużyny i byłem cały w potach.

12. Poranek rzewnych spotkań

Nad ranem przestałem się pocić, a na długo przed gimnastycznymi pobudkami doszły mych uszu głosy słodkie jak luba pień. Przypląnęły tak niespodziewanie i dźwięczały tak pieszczotliwie, że były niby radosne zwiastunki z jakiego raj, z zawiadów po prostu.

Z początku w zamroczeniu wydało mi się, że to złudne marzenie senne o szczęśliwej dolinie Ambinanelo na Madagaskarze, gdzie tak samo budziły mnie rano pewne szczybioty uroczej Velomody i jej przyjaciółek.

Ale były to głosy rzeczywiste. Niedaleko naszego baraku, na pewno nie wiedząc, że w nim spalimy, dwie dziewczyny Tajki czekały na dworze pod koniec nocy na co czy na kogo w towarzystwie młodego Tajś. Czekały gwarzyły z młodzianem głosikami tak wesołymi, tak wyranie zalotnymi, iż mimo woli nasuwało się porównanie do rozpiewanych ptaszków. W lekkich wybuchach miechu brzmiała cała dziewczęca serdeczność dla ich towarzysza. Włanie ten szczery przejaw ludzkiego uczucia najbardziej mnie wzruszył - przychodził

od nieznanymi dziewczynkami jak promień słońca.

Potem gromko rozhuczały się w miecie gardłowe wołania porannych ćwiczeń i spłoszyły dziewczęce głosy. W Wietnamie zaczynał się nowy dzień.

Ruszyliśmy w drogę z pierwszym słońcem. Znowu spiętrzyły się góry dokoła nas i była puszcza, ale na dalekich stokach częste golizny, tak zwane "raje" (ray w pisowni francuskiej) zdradzały obecność Meów. Na górach żyli Meowie, nisko w samych dolinach lub niedaleko nich - Tajowie.

I znowu, jak poprzedniego dnia, ujrzałem niedaleko drogi rosnące banany i ani ladu ludzkich siedzib w pobliżu. Ta nieprawidłowość krajobrazu zdumiewała mnie i dręczyła coraz bardziej. Lecz gdy w końcu na jakim dzikim zboczu w odludnej głuszy dostrzegłem rozległy gęszcz tych olbrzymiolistnych pióropuszy, zrozumiałem, że żadna ręka ludzka ich tu nie sadziła. Łuski spadły mi z oczu: tu w lasach rosły dzikie banany...

We wszystkich moich tropikalnych podróżach banany odgrywały niepomniejszą rolę. Były ważnym pokarmem dla ciała i płodnym źródłem wielu niepospolitych wzruszeń. Wszędzie, gdzie odwiedzałem chaty ludzkie w tropikach - w południowej Brazylii czy w dorzeczu Amazonki, na Madagaskarze, na Martynice czy Tahiti, w Gujanie czy w Meksyku - wszędzie tam obok chat nawet najdzikszych plemion rosły banany sadzone ludzkimi rękami. W tych krajach obdarzały ludność najpowszechniejszym owocem, a w wielu okolicach były w ogóle najważniejszą strawą, bez której tysiące ludzi musiałyby cierpieć niedostatek. Szczególne dobrodziejstwo wywiadczały wszędzie skrajnej biedocie, pieniły się bowiem hojnie i rosły gdziekolwiek, byle miały gorąco i mokro: nawet nędzarz mógł się nimi łatwo nakarmić do syta.

Tak ważne i szczodre jako pokarm, równocześnie miały jeszcze inną zaletę: były dorodne. Zwłaszcza gdy młode rzucały się z daleka w oko jasną, soczystą zielenią, natomiast groteskowe kształty ich olbrzymich liści najlepiej chyba ucieleniały gorącą wybujałość tropikalnych rolin. Były źródłem - powtarzam - głębokich dla mnie przeżyć we wszystkich podróżach i miałem dla nich wiele nabożeństwa. Cieszyłem się ich urodzajem, uwielbiałem ich użyteczność, zawsze kochałem je z całego serca.

W tym wszystkim tkwiła nie tylko jakaś sensacja, a było to ich tajemnicze pochodzenie. Banany - chociaż stały się tak ważnym pokarmem najszerzych mas i chociaż rosły nawet w najskrytszych głębiach puszczy amerykańskich - ponoć nie pochodziły z tych krajów.

Były córami spod obcego nieba, a dopiero przywleczone przez żeglarzy tak miały i mocno wrosły w nową glebę. Przywędrowały gdzie

z dalekich krain, z dalekich mistycznych na południe wybrzeży Wschodu.

A oto niespodziewane spotkanie! Ujrzałem swoją dawną miłość w jej własnej ojczyźnie, w pierwotnym stanie przyrody. Jakkolwiek była to stara miłość, przecież nie miała zwiędłego oblicza. Przeciwnie.

W dziewiczej krasie przeżyła ku mnie swe jędrne lice, jak gdyby pełniejsze i zdrowsze niż u jej sióstr obłąkanych, za to ponoć mniej słodka i mniej rozrzutna w owocach. Wiadomo, pełna prostoty, nieujarzmiona mieszkanka puszczy.

Był to w ogóle poranek rzewnych spotkań. W godzinę po wyjściu z Moc Chau powitałem wzruszony jeszcze jedno znajome z dalekich, dalekich stron. Tym razem z własnej ojczyzny. Były to sosny.

Droga wiała się wysoko na zboczach górskich. Z prawej strony mieliśmy niedalekie już pasma szczytów, ogołoconych rajami-karczowiskami Meów, podczas gdy z lewej strony potężna i głęboka dolina rozwierała pod nami dalekie widoki. Na samym dole błyszczała w słońcu cienka nitka rzeki Nam Sap, niewielkiej rzebiarki tej olbrzymiej doliny. Byliśmy niewzruszeni na wysokości znacznie większej niż tysiąc metrów nad poziomem morza, a tu obok drogi zniecałba: sosny.

Stały grupkami po dwie, po trzy, wtłoczone między inne, czysto tropikalne drzewa i między zwykłe, nieprzebyte gatunki. Należały oczywiście do jakiegoś rodzinnego gatunku, ale okazjuszki zarówno układem gałęzi, kształtem szpilek i nawet rodzajem kory tak wyraznie przypominały nasze sosny, że z rozrzewnienia miękko robiło się koło serca. Serdeczne, swojskie sosny!

Dopiero silne to wzruszenie uwiadomiło mi z całš dosadności, jak obcš czšstkš byłem na tej obczyźnie, jakie to obce morze zewszšd otaczało mnie, zagubiony, samotny atol.

Odtšd przez kilkadziesišt kilometrów trzymaliśmy się doliny Nam Sap. Gdy droga zaczęła się zniżać podchodząc bliżej do ryżowisk nad rzekš, częciej mijaliśmy i chaty pojedyncze, i wioski Tajów.

Widzieliśmy równieŹ ich samych, wędrujących po drodze. Kobiety były przeważnie starsze i nie dziwiłem się, Źe kryły brzuchy pod czarnymi spódnicami.

TuŹ obok samej drogi, w pobliŹu chat, spostrzegaliśmy maleńkie, dziwne sklepiki. Na poziomych deskach, zacienionych daszkiem, leżały różne owoce i jarzyny, przeważnie jednak banany, z przybitymi do deski karteczkami papieru, na których po wietnamsku napisana była cena. Nikt tych straganików nie pilnował. Kto chciał wziąć owoc, brał

i kładł na deskę naleŹną sumę. Owoce były oczywiście tanie.

Sklepiki wiadczyły nie tylko o zmyłe kramarskim Tajów, lecz także o panującej w tym kraju ucziwoci. Podróżnik z Europy, zwłaszcza z Polski, przecierał oczy i musiał się dopiero przyzwyczajać do czego, co wydawało mu się dotychczas bajką dla dzieci. Ale tu bajka była żywą, zwykłą rzeczywistością. Było tak w Chinach Ludowych, w Wietnamie i mniej więcej we wszystkich krajach dawniejszych Indochin. Gdy pewnego razu w mieszkaniu polskich inŹynierów w Hanoi dokonano włamania i kradzieŹy jednej czy dwóch starych koszul, osłupieniu nie było końca, jakby piorun spadł z jasnego nieba.

Przy jednym z tych sklepików stanęliśmy, by zaopatrzyć się w banany. Obok drogi, poniŹej nas, płynęła Nam Sap. Podczas gdy przyjaciele załatwiali niecodzienne kupno, ja korzystając z sposobności przedarłem się przez nadbrzeŹną gęstwinę i zszedłem nad sam brzeg rzeki. Pijawek lenych, tak dokuczających innym podróżnikom, tu na szczęście nie spotkałem.

Chciałem przekonać się, czy było w Nam Sap wiele ryb. Było wiele ryb. Uderzając przezroczysta woda pozwalała dojrzeć do samego dna, a tam uwijało się sporo ryb wielkoci dłoni. Obfitość ich w kaŹdej rzece lub rzeczulce, nawet w kaŹdej najmniejszej sadzawce była niewiarygodna.

Poprzednio widok sosen musiał poruszyć dziwaczne struny, bo i teraz nad tą Nam Sap mimo woli myli pobiegły do innej rzeki, bardzo dalekiej, ale swojskiej. Ujrzałem się nad brzegiem Warty, gdzie dęby rogałińskie roztaczały nie mniejszy urok niŹ ten tropikalny gšszcz, tylko Źe mętna woda naszej rzeki nie odsłaniała swych tajemnic jak ta tutaj. Za to usłyszałem - jaka to miła ułuda zmysłów! - najwyraniej usłyszałem głos nucącego nad Wartą pastucha. Nucił szelma, jak by serce wędrowcy chciał roztopić. Ale czy to rzeczywiście była ułuda?

W chwilę póniej doznałem niemałego szoku. Zza pobliskiego zakrętu rzeki wypłynął młodziutki chłopczyk. Był sam jeden na wšskiej tratwie i pełen zamaszystoci odpychał się ogromnie długim dręgiem. To on nucił, a raczek pokrzykiwał sobie z cicha, oczywiście po tajsku, tak ochoczo było mu na duszy. Drobną postać małego Tajka prawie przytłaczała potęga puszczy, ale biło z tej postaci tyle ujmującego wdzięku i tyle zuchwałości, Źe przypomnieli mi się junacy-bohaterowie z bajek chińskich, pokonywający tygrysy gołš pięciš.

Gdy mnie zauważył, oniemiał, a gdy poznał we mnie Europejczyka, skamieniałe oczy nieledwie wyszły mu z orbit.

- Łoi chao! - Dzień dobry! - zawołałem do niego po wietnamsku.

Chłopczyk zdrętwiał ze zdumienia. Nigdy w wiecie nie oczekiwał tu takiej europejskiej zjawy. Powoli, jakby w nie, złożył drąg na tratwie, potem sam przykucnął na niej, oburącz chwycił się za głowę i nie spuszczał ze mnie osłupiałego wzroku, dopóki tratwa, niesiona przodem, nie przepłynęła mimo.

Przed chwilą on mnie zadziwił, a teraz zapewne ja jemu wydałem się jakś fantastyczną postacią z bajki, a może nawet upiorem z tamtego wiata. Skwitowaliśmy się i rzetelnie rozbawiony wróciłem do samochodu.

13. Gdy urodzi się syn

W dolinie Nam Sap droga była znośniejsza, łązik mniej nas wytrzymał, więc będąc niewyspany uciłem sobie drzemkę. A że tego poranku tyle przyjemnych przewijało się wrażeń, spałem jak upojony.

I nagle zbudziłem się, wciśnięty jak w oczarowaniu.

Samochód właśnie zahamował. Towarzysze żywo się naradzali.

Staliśmy w jakiejś wiosce Tajów. Działo się w niej coś niepokojącego. O jakieś sto kroków od drogi ujrzałem kilkudziesięciu ludzi obu płci, od starców do dzieci. Niektórzy stali lub siedzieli na ziemi dokoła jednej z większych chat, inni znajdowali się wewnątrz tej chaty albo siedzieli na werandzie, na czymś w rodzaju balkonu.

Gdy się zatrzymaliśmy, wszyscy obecni Tajowie zwrócili na nas zdumione spojrzenia, a niektórzy mężczyźni rękami przyjaźnie nas z daleka witali. Łatwo było poznać, że niejedni i niejedna z nich mieli w czubie.

- Co to jest? - zapytałem tłumacza Tunga.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiemy. Jaka tam ich uroczystość.

- Może pójdziemy do nich na chwilę?

Przyjaciele kręcili nosami pewnie dlatego, że była to rzecz nieprzewidziana w planie, a oni nie wiedzieli, jaki bies nas tam czekał

wśród obcych Tajów. Gdy tak się wahałimy niepewni, co czynić, starszy Taj zszedł z chaty po drabinie i zmierzał ku nam siląc się na uroczystą minę. Z przesadnie sztywną powagą, jak to bywa u

ludzi zaproszonych, długo rozwodził się łamanš wietnamszczyznš, od czasu do czasu wskazujšc zapraszajšco na chatę.

- Co on mówi? - zapytałem w końcu zniecierpliwiony. proszę mi przetłumaczyć, przyjacielu Tung!

- Towarzysz Taj mówi, że nazywa się Ań i że jego córka ma narzeczonego i urodziła niedawno syna, więc od kilku dni obchodzš tę uroczystość. Zabili już dwie winie i jeszcze zabijš, bo narzeczonego jest zamożny...

- Czy on zaprasza nas do siebie? - przerwałem mu.

- Owszem, zaprasza, ale myślę, że lepiej nie...

- Idziemy! - owiadczyłem stanowczo i wyskoczyłem z łazika.

Poprzedni widok “polskich” sosen niezawodnie zastrzyknšł mi demona buntu. - Idziemy na chwilę!

Chcšc nie chcšc przyjaciele poszli za moim przykładem. Kroczyłem jak w orszaku między Anem, szczęliwym dziadkiem, a tłumaczem Tungiem, a o dwa kroki za nami duch opiekuńczy Chung z tekš i kierownik Dien w ariergardzie. Ponieważ Tajowie spojierali na nas ze zbaraniałymi nieco minami, umiechałem się do nich całš gębš i przechodząc najbliższym ciskałem ręce. Po drodze nawinęło się kilka młodych dziewoi, które sfotografowałem. Oglšdałem je dyskretnie, lecz uważnie: wszystkie miały brzuchy zakryte, obwišzane sukiennym pasem.

Była tam również dziewczyna o uczernionych lakš zębach. Gdy w umiechu otworzyła usta, wyglšdała potwornie, jak gdyby była zupełnie bez zębów. Podobno to szczyt wytwornoci, gdyż - jak mnie zapewniano - białe zęby przypominajš zęby psów. Ale o ile przyjemniejsza dla oka była pannica o normalnych, białych zębach, stojšca o kilka kroków za “elegantkš”.

- Jak długo już ucztujsz? - kazałem zapytać Ana.

- Pišty dzień - odpowiedział Ań i nareszcie odrzuciwszy maskę powagi stał się normalny. Rozjanił twarz szerokim umiechem., - A ile dni jeszcze będš ucztowali?

- Ooo, nie wiem, nie wiem, może dziesięć dni, piętnacie dni odrzekł Taj z dumš, ale wydało mi się, że zaraz musnš wylęknionym wzrokiem towarzyszących mi Wietnamczyków, jak gdyby nieostrożnie palnš głupstwo.

Doszlimy do stóp wielkiej chaty i stanęli u schodków, wiodšcych na górę. Składały się z pięciu czy szeciu szczebli względnie cienkich, dostosowanych do ciężaru Tajów, szczupłych i o głowę mniejszych ode mnie. Gdy Ań zaprosił mnie gocinnym ruchem do wejcia na górę, spojrzałem zaniepokojony na Tunga.

- Do diabła! - szepnšłem. - To się zarwie pode mnš...

Tung ocenił szczeble rzeczowym spojrzeniem i dał mšdrš radę ze szczyptš złoliwoci:

: - Nie zarwie się, jeli camarade lekko stšpać będzie.

Jakoż lekko stšpałem i wszystkie szczeble szczęliwie wytrzymały.

Na dole pod chatš, obok drabiny, stało kilka czarnych wiń ledzšcych z pogardliwš uwagš moje ruchy. Głodne wieprze poznały we mnie obce indywiduum i, dalibóg, miały miny, jakby żywiły lubš nadzieję, że zwałę się na dół prosto na ich ryje.

Zaledwie u góry odetchnšłem z ulgš - juź nowe niebezpieczeństwo: wszedłem na werandę. Cišgnęła się wzdłuż tej strony chaty, wykonana z cienkiego kai-fenu, osławionej rogoży z plecionej trzciny.

Kai-fen ugiął się pod moimi stopami niby chybotliwy dywan rozpięty w powietrzu i groził co krok przebicciem.

- To mocne! - pocieszał mnie Tung z tyłu. - Człowiek wpadnie najwyżej do ramion...

Człowiek nie wpadł. Dostałem się szerokim otworem do wnętrza chaty, a tu podłoga była również z kai-fenu, lecz pewnie w podwójnej warstwie, bo mniej się ugiwała.

Siedlimy na niskich, drewnianych zydelkach, niemal w kucki, przy zupełnie niskim stole. Ludzie zaraz zakrzštnęli się koło nas z ranš ochotš. Zjawiły się przed nami dymišce półmiski z mięsiwem, inne z jarzynami i kubki z wódkš ryżowš. Wieprzowina była wyborna i chociaź niegłodny, wcinałem jš tego na przekór przyjaciołom, którzy obawiali się trychin. Jarzyny, jakie rozgotowane zielska pieprzne jak szatan parzyły usta, a wódka była taka sobie, bimbrowata. Towarzysze z grzeczności tylko maczali usta, ja piłem mniej powcišgliwie, żartobliwie udajšc chciwoć człowieka okrutnie spragnionego.

- Ostrożnie pijcie, camarade! - uprzejmie prosił kierownik Dien.

Ale piłem, bo bimber, tak samo jak sosny, przypomniiał mi rodzinne strony.

Podczas jedzenia przyglšdałem się wnętrzu chaty. Była obszerna, długa na kilkanacie metrów, szeroka na dziesięć, z jednym ogniskiem na kamiennych płytach w pobliżu wejcia, gdzie nas posadzono przy honorowym stole, a z drugim ogniskiem w głębi budynku. Tam chatę dzieliły przepierzenia z niezawodnego kai-fenu, za którymi mieciły się sypialnie licznych członków rodziny. Była tam również alkowa, gdzie z córks gospodarza sypiał jej narzeczony, a gdzie teraz rozdzierał się zdrowym wrzaskiem owoc tego sypiania, bohater dnia.

Mebli prócz tych, przy i na których siedzielimy, prawie wcale nie było. Na cianach wisały jakie przyržšdy gospodarskie, więcierze, fajki, sznury konopne, upręże, na podłodze za pod cianami leżały bezładnie przeróżne rupiecie trudne do opisanía. Na mnie, nie obeznanym z tutejszymi warunkami, to wszystko czyniło wrażenie ubóstwa i braku najzwykleszych wygod, ale jak się dowiedziałem, gospodarz należał do zamożniejszych w okolicy chłopów.

- Ma pewnie wielkie ryżowiska?? - spytałem Tunga.

Przyjaciel dowiadywał się od Ana “o ródłach jego dostatku, po czym dał mi niezwykle wyjanienie:

- Nie, camarade. Nie ma wielkiego ryżowiska, za to ma cztery dojrziałe córki.

Brzmiało to niezwykle, ale wyjanienie było całkiem zrozumiałe i wiedziałem w czym rzecz, bo wtajemniczono mnie już dawniej w miejscowe obyczaje.

Blisko wejścia do chaty i tuż przy naszym stole, a więc w miejscu honorowym, stał pod cianś ołtarzyk przodków: prosty stolik, składający się z jednej deski, przytwierdzonej do czterech bambusowych nóg.

Na stoliku stały pałeczki kadzidlane w naczyniu z uciętego bambusa, dalej filiżanka z wodś, druga z ryżem i rzecz niezmiernie doniosła pieniśdze dla duchów. Były to pieniśdze symboliczne, na niby, mianowicie wianuszki uwite z grubej trawy i wplecione jedno w drugie na kształt łańcuszka. Ponieważ duchy przodków nie były wybredne ani chciwe, dawały się otumanić byle czym, nawet pieniędzmi z trawy.

Pałeczki kadzidlane żarzyły się i wydzielały niebieskawe dymki woniejśce żywicś. Gospodarz Ań przypomniał sobie, że nie trzeba skśpić ofiary także i duchowi domowemu, czyli pi. Odcisł kawał mięsa i wrzucił go do otworu w podłodze, wyciętego przy głównym palu porodka chaty. Słyszeliśmy, jak mięso chlupnęło na ziemię i jak zaraz łapczywie zachrżkały czyhajśce tam pod chatś głodne winie. Po małej chwili Ań zajrzał w dół przez dziurę. Mięsa oczywiście już nie było.

- Dobry znak! - zachichotał i rzucił na nas wymowne spojrzenie. - Duchy śś życzliwe!

winie też! - chciałem pożartować, ale ugryzłem się w język.

Składanie ofiary odbywało się bez najmniejszej ceremonii, całkiem swobodnie, jako część pijackiej biesiady.

Panował rozgwar i nieustajścy, acz stateczny ruch w chacie i na dole przed chatś. Dobrodusność, życzliwość, rozleniwienie, alkohol i umiechy wnosiły nastrój jakiej uczyty greckich bogów. Niektórzy miało podchodzili do nas i witali się podaniem rśk. Przedstawiono mi młodego ojca dziecka, jak również poznałem jego dwóch szwagrów.

Tak samo jak on byli oni narzeczonymi córek gospodarza Ana i mieszkali wszyscy razem pod jednym dachem tecia.

Fertyczne, rozemiane dziewczyny uwijały się po chacie i dokoła naszego stołu. Były to córki Ana, ubrane jak wszystkie Tajki tych okolic w obcisłe, czarne spódnice i w czarne staniki, zdobione na przedzie szeregiem nieodzownych srebrnych sprżścdek w postaci motyli. Jako narzeczone nosiły paniński kok z tyłu głowy, na potylicy, natomiast matka ich nosiła kulę włosów u góry, na ciemieniu.

Pojawiła się również matka niemowlęcia, dziewczyna najładniejsza z nich wszystkich. Dowiedziałem się, że odważna osóbką uczyniła zuchwały wyłom w murze istniejścych zwyczajów: w poczuciu swego macierzyństwa ułożyła sobie kok u góry głowy zwyczajem mężatek, jakkolwiek była tylko narzeczónś. Wywoływała tym od szeregu dni nie lada poruszenie w wiatku Tajów.

Dziewczyny były zwinne, nad wyraz kształtne, pełne pogodnego wdzięku i można przyznać, że bujne,

ale właściwie o niepozornych twarzach: rysy miały przeważnie niepokane. Francuzi tak często je chwalili, że doznałem niejakiemu rozczarowania - chwalili co prawda przede wszystkim Tajki Białe, ich zdaniem istne perły kobiecoci.

A już zupełnie zawiody obnażone brzuchy: nie było ich. Trudno nazwać nagim brzuchem wżsiutkš szparę odkrytej skóry w pasie, ukazujšcš się czasem, gdy przy ruchu ciała stanik trochę odstępował od spódnicy. Zresztš najczęściej owa szczelinka obwišzana była przepaskš z płótna, zakrywajšcš całkowicie nawet tę nieznaczniš lukę.

Nie pošdzam nikogo o to, by przy opisach Tajów zbytnio puszczał fantazji wodze. Przypuszczalnie do niedawna było tu inaczej.

Już na tyle poznałem wiežš surowoć obyczajów mych wietnamskich przyjaciół, by domylić się, że mogli nakłonić Tajki do zakrywania Swych brzuchów. W cišgu dwóch lat można było okiełznać sporo wybijającego folkloru i usunšć niejedną kamień obrazu dla oczu. W tej całej hecy powstałej dokoła nagich brzuchów i ja poczuwałem się do winy, bo może nie należało zbyt dosłownie przyjmować barwnych opisów, a sprawa nie nabrałaby takiej wagi.

14. Pijatyka

Wtem na dworze przed chatš wybuchła wesoła wrzawa rozległy się zachęcajšce wołania. Do chaty wpadło kilku zawianych junaków i wskazujšc na mnie przyjaznymi słowami zapraszało do wyjcia na dwór. Po przetłumaczeniu ich życzeń na język wietnamski, a z wietnamskiego na francuski, dowiedziałem się, że mam wzišć udział we wspólnej popijawie, zwanej zjo kañ. Tego poranku nie brakło mi animuszu, czułem w sobie lwa. Więc nie dałem się dwa razy prosić i w mig zlałem na dół: chybotliwy kai-fen i łamliwe schodki już mnie nie przerażały.

Na dole przed chatš stał dzban o pojemności chyba dziesięciu litrów. Cały aż po sam brzeg napełniono wódkš ryżowš i wsadzono do niego cztery cienkie, długie bambusiki słužšce za rurki do picia.

Weseli chłopcy zaprowadzili mnie przed dzban i kazali wybrać rurkę. Okazało się, że przy picciu zjo kañ obowišzywał uroczystszy rytuał niż poprzednio przy ofiarowaniu mięsa duchowi domowemu.

Cała nasza czwórka - oprócz mnie dwie dziewczyny i jeden młodzian - otoczyła dzban dokoła i przykucnęła na piętach, każdy ze swš rurkš w dłoni, a wtedy mistrz ceremoniału, prowodyr o inteligentnej twarzy i zuchowatej postawie, zaintonował modlitwę na intencję dziecka głosem piewnym, aczkolwiek podobnym do skowytu. Na szczęście długo to nie trwało i zanim pięty rozbolały na dobre od niewygodnego przysiadu, cała czwórka zaczęła równoczenie pić.

To nie była silna wódka, tylko mętny, sfermentowany płyn, zawierajšcy pewien odsetek alkoholu. Rzecz polegała na tym, że piło się na ilość, a wyžłopanie za jednym przykucnięciem litra czy dwóch mogło uderzyć nie najgorzej do głowy. Było to dziwne paskudztwo: zalaływało z lekka mydłem, moczem, pomyjami, sosem rybim - ale *Pisze się: ruon kañ, ale wymawia się zjo kañ mimo to dało*

się jako pić, bo zawartość alkoholu łagodziła niewonrioć szkaradzieństwa.

- Niech camarade ostrożnie pije! - znowu usłyszałem za plecami troskliwy szept kierownika Diena.

Ponieważ pilimy wszyscy czworo równoczenie, po dwóch, trzech haustach już tylko udawałem, że pociśgam. Natomiast pozostała trójka ciśgnęła sumiennie, więc płynu w dzbanie doć szybko ubywało. Wówczas, nie przerywajśc nam, mistrz ceremonii dolał pełen róg bawoli wody i dzban znów się wypełnił po sam wierzch.

Dokoła nas stanęła moc ludzi i przyglśdała nam się z życzliwś uwagś, strojśc żarty. Zwłaszcza niewiasty były okrutnie ciekawe, jak się wywiśzę z trunkowego obowiśzku, i pilnowały każdego mego ruchu z przyjaznś, acz złoliwś czułociś. One też szybko odkryły moje oszukaństwo i podnosiły okropny gwałt zamiewajśc się ze mnie.

Przerwano zjo kań. Mistrz ceremonii dolał do garnka wieżego płynu, tym razem alkoholowego, i teraz musiałem sam trśbić karniaka.

Pokazano mi, ile miałem upić: zawartoć całego rogu bawolego. Poddajśc się wyrokom rozbawionej kompanii zacząłem ssać rurkę. Ale doszedłem jeno do połowy miarki i poczułem, że zarówno w żołśdku, jak w czubie mam doć takiej rozkoszy. miejsc się puciłem rurkę i odskoczyłem jak oparzony. Wskazałem na mych wietnamskich przyjaciół i zawołałem, że teraz na nich kolej: ich brać!

Wszyscy Tajowie byli szalenie ujmujśc, pomimo że pod dobrś datś; ani razu nie uchybili w grzeczności gospodarzy. Nikt nie pozwolił sobie na żaden wybryk grubiaństwa. Naród, który umiał się bawić i widać miał w tym wietne tradycje.

Chociaż w połowie pijatyki drapnśłem, ludzie uważali, że uczyniłem zadoć wymogom, przeto nie szczędzili mi pochwał i nie ukrywali swej radoci. Posyłałi ku mnie pełne przyjani słowa i spojżenia.

Może ujęła ich bezporednioć w moim zachowaniu, bo przecież wcale z nikim się nie certowałem, a popijałem z brawurś. To pewne, że zyskałem przyjań ich wszystkich.

Podczas gdy teraz towarzysze mej wyprawy z kolei spełniali zjo kań kucajśc przy rurkach bambusowych, podszedł do mnie przysadzisty jegomoć w sile wieku, podał rękę i z pijackś poufałociś w zamroczonych cokolwiek oczach zapytał zwięle: - Ca va?

- Ca va - odrzekłem zaciekawiony. - To umiecie po francusku?

Taj skrzywił się, włożył palec do lewego ucha i energicznie w nim wiercśc, jakby wszystkiego miał po same uszy, zaczął powtarzać na różne tony, to z przechwałkś, to z wyrzutem, to z szyderstwem: - Umie, umie, umie, och, umie!...

Był to brat gospodarza Ana, jaki cynik i spryciarz, a przynajmniej czyniśc wrażenie szczwanego lisa. Za czasów kolonii podobno zarabiał wiele jako kupiec i wtedy poduczył się francuskiego. Obecnie skończyły się jego interesy, więc miał kpiarski stosunek do wielu rzeczy, a ponieważ szcudrze golnśł wódki, nie robił z niczego tajemnicy.

- Obecnie, co jest obecnie? - powtarzał ze wzgardliwym przekśsem. - Dawniej, o, to były czasy, o!...

Obawiając się, że dobrze zawiany, gotów mnie zanudzać wykładem o dawnym raj, a dzisiejszym piekle, zacząłem żywo machać ręką na znak, że nie jestem ciekawy jego wywodów.

Umilkł na chwilę, jakby urażony, i obrzucił mnie urśgliwym spojrzeniem.

- Przyjacielu! Wiem, że jeste szyszka, jaka osobistość, widzę to po ich obecności! - rzekł ze znaczącym umieszkim wskazując brodę na wietnamskich towarzyszy pijących zjo kań. - Ale widzę, monsieur, że ty dzisiaj biedny, jaki skrzywdzony...

Komicznie zmarszczyłem się na znak protestu. Tymczasem on cierpliwie odczekał kilka chwil, po czym zapytał: - Czy przypominasz sobie dziewczuskę, która robiła zjo kań razem z tobą, piła po twojej prawej ręce? Pamiętasz ją, monsieur?

- Zdaje mi się, że pamiętam. To co?

- To najmłodsza córka Ana, moja bratanka. Czy podoba ci się?

- Dziwne pytanie. Owszem, niczego sobie turkawka...

- Warta grzechu, jak wy to mówicie, prawda?... A widzisz!!

W tym "a widzisz" zabrzmiała niespodziewana nuta triumfu, jak gdyby facet takim atutem chciał zadać mi zasłużony cios. Na razie nie mogłem odgadnąć, co miał na myli.

Wlepił we mnie sztywny od alkoholu wzrok i kołysząc się powoli na nogach, nie z osłabienia, lecz włanie w poczuciu doniosłości tego, co mówił, odezwał się poufnym głosem, jakby zdradzał tajemnicę; — Jeste osobą wybitną, panie, jeste człowiekiem ważnym, i przyjacielem naszym, który z dalekich stron przywędrował, więc przyjmujemy cię serdecznie, bo taki nasz obyczaj gocinny... A obyczaj nakazuje, żeby An wyprawił ci biesiadę, by w naszym gronie jadł i pił

wiele, i czuł się dobrze... By na noc An kazał przygotować dla ciebie najlepszą komnatę w swej chacie i odstąpił ci najszersze łóżce, bo taka nasza gocinność. I by na noc An dał ci, miły gociu, swą wolną jeszcze córkę, tę najmłodszą, ażeby ci przez noc towarzyszyła: taki nasz obyczaj. To obyczaj stary, uwięcony wiekami, a u nas gocinność jest największym obowiązkiem... An da ci dziewczynę, powinien dać...

Prawił to głosem pijackiego zaklęcia i nagle urwał. Lecz nadal upartymi oczyma spozierał mi w twarz: czekał na moje odezwanie, na jakąś odpowiedź. Gdy milczenie nasze zbyt się przeciągało, zapytałem go z umiechem:

- Więc An da mi dziewczynę, powiadacie? Ho, ho!

- Od wieków taki nasz obyczaj, nigdy inaczej nie było...

- No, dobrze. Ale kiedy Ań jš da? - cišgnšłem rozbawiony.

On czekał włanie na to pytanie jak tygrys na swš zwierzynę.

Raptem twarz jego ożywiła się, oczy zamigotały przesadnie smętnym blaskiem. Czyżby chciał w płacz uderzyć? Nie, nie wybuchnšł.

Tłumišc w sobie nagły żal i uniesienie, rzekł zmienionym, twardym głosem:

- Kiedy Ań da ci dziewczynę, nasz miły gociu, a dzi tak biedny? Kiedy spełnimy nasz obyczaj gocinnoci, pytasz się? Nigdy!

Do diabła poszły nasze piękne tradycje, do diabła! Oni temu winni!...

Wycišgnšł dłoń w stronę mych towarzyszy i tak jš chwilę trzymał wzniesionš z wyrazem żalostnej skargi. Potem załamał się, załkało w jego zapijaczonym gardle. Podał mi rękę milczšc i odszedł. ;|

Moczygęba.

Czas leciał, należało pożegnać się z miłš wsiš. Wtargnęła w prze- ‘

życia mej podróży jak niespodziewana krynica ożywcza. Odskok z drogi był przypadkowy, a jak obfite wydał żniwo! Więc wyjeżdżajšc z powrotem na utarty trakt oficjalnych planów i programów i słyszšc znowu warkot pocziwego łazika przyrzekłem sobie w duchu, że ^

odtšd uparcie odskakiwać będę w bok przy lada sposobnoci - ja, |

niepoprawny buntownik.

- Przyjacielu Tung! - przerwałem milczenie po pewnym czasie. - Takich spotkań chciałbym więcej doznać!

Będš, będš! - zamiał się i zerknšł na mnie zatroskany. A czy głowa nie boli?

- Nie! - odparłem. - Wyjania się w czuprynie, powoli trzewieję... Mam tylko jedno zapytanie: co wy wiecie o gocinnoci ’’[‘ajów i ich obyczaju dawania córki gospodarza gociowi na noc?

Tung był zaskoczony. Spojrzał na mnie jako podejrzliwie: - Skšd camarade wie o tym?

- Mniejsza o to. Choćby z francuskich ksišzek...

Tung zagadnšł Diena i Chunga i długo się naradzali, nawet kierowca zabierał głos. Wynik był więcej niż skromny: owszem, co

o tym dawnym obyczaju kiedy słyszeli, ale bardzo mało, tyle co nic, bo od wielu lat obyczaj poszedł w zapomnienie. Teraz nie istnieje.

Przez cały czas jechaliśmy wzdłuż Nam Sap, schodząc w końcu prawie zupełnie do poziomu rzeki. Płynęła wciśz po naszej lewej ręce, usłana częstymi progami skalnymi, jak to zwykle w rzekach górskich.

Na trzy, cztery kilometry przed miejscowociś Yen Chau rzeka skręca na północ i przepływa przez drogę pod żelaznym mostem, szeroka tu jak Dunajec w pobliżu Nowego Szcza. Czterdzieci mniej więcej kilometrów dalej Nam Sap wpada do Rzeki Czarnej.

Jest to osławiony Most Tygrysów, postrach ludzi mijających to miejsce. W ostatnich dziesięciu miesiścach zginęło tu przy mocie jedenacie osób, w tym kilku rowerzystów. Tygrysy napadały głównie we wczesnych godzinach porannych i uprowadzały swe ofiary tak głęboko w puszcę, że ład po nich zupełnie ginł. Były to wyjśtkowo zuchwałe bestie i nie lękały się porywać swych ofiar Sporód licznej gromady przechodniów. Za każdym razem działo się to błyskawicznie: żółtawe olbrzymie cielsko wypadało spod krzaka i ofiara nawet krzyknść nie miała czasu, gdy zwierz z człowiekiem w pysku znikał w gśszczu. Tygrysy nigdy tu nie chybiały.

Zabobonna ludność dopatrywała się w takiej krwiożerczoci sprawki upiornych demonów. Władze sprężycie organizowały wielkie obławy i w istocie w okresie dziesięciu miesięcy ubito siedemnacie drapieżników, rekordowy rozkład, wiadczścy o wyjśtkowym w tych kniejach rozmnożeniu się czworonożnych ludożerców. Lecz Jak dotychczas plagi nie ujarzmiono.

Gdy dojeżdżaliśmy do mostu, kazałem zatrzymać samochód by wyjć.

- Nie, nie - zawołali przyjaciele - nie wychodzić! - ale ani mi się niło słuchać ich i wyskoczyłem,

Tygrysy ciekawiły mnie i nęciły równie silnie jak dzikie banany czy zjo kań Tajów. Zresztś nie wystawiałem się na szczególne niebezpieczeństwo, gdyż drapieżniki prawie nigdy nie grasują w godzinach południowych.

Za mnś wyskoczył duch opiekuńczy Chung i podbiegł, by kroczyć tuż przy moim boku. Pod lewś pachś miał nieodłścznś teczkę.

Zwykła puszcza, niezbyt gęsta ani wysoka, przylegała do drogi.

Podobno najczęściej tygrysy napadały o kilkanacie kroków od mostu w miejscu, gdzie droga szła w górę. ładów żadnych nie spostrzegłem z wyjśtkiem zadrapnięć od pazurów na korze drzew. Staralem się zrozumieć, dlaczego bestie upodobały sobie akurat to miejsce przy mocie: daremnie, nie znalazłem przyczyny. Nie było wykluczone, że wszystkich w tym miejscu napadów dokonał jeden i ten sam tygrys, jaka wyjśtkowo kuta sztuka, a ubite w okolicy drapieżniki nie miały nic wspólnego z tragicznym mostem. Często się zdarza, że wielkie koty wracają do ulubionych miejsc swych wyczynów i taki to ludożerca mógł upatrzeć sobie zasadzkę przy mocie.

Gdy powoli wracaliśmy w stronę samochodu bacznie ledzśc]

wzrokiem brzegi gśszczu, nagle stanęliśmy jak wryci. Obydwaj-i dostrzegliśmy podejrzany ruch pod krzakiem tuż przy drodze, o dziesięć kroków od nas. Chung w mig sięgnł prawicś do tylnej kieszeni

w spodniach. Nie ruszając się z miejsca wyteżalimy oczy, przenikali zarola. Nic, była znowu cisza i zacajona, nieruchoma zieleń.

Wtem trzask łamanej gałżki, nowe poruszenie w zielonym mroku, głony szelest gałżki, potem gwałtowny trzepot: odprężenie.

Wielki ptak wzbił się z gęstwiny. Barwny jak paleta malarska, tęczowy jak strój mandaryna w bajkach chińskich; ogoniasty. Dziki kogut.

Wspaniały, dumny, nieugięty, nieposkromiony ptak. Ach, próbowali go oswoić, ileż razy próbowali go oswoić! Był ten gatunek praojcem naszych kur domowych, więc jego także chcieli ujarzmić, okiełznać, obezwładnić, obłaskawić. Nie dał się nagiść, wolał zawsze mierć niż niewolę. Przebiegli, wykradali jego samiczce jaja, by jego kurczęta wychować wśród domowego drobiu na uległe kokoszki: nigdy nie udało się, zawsze, zawsze dzikie kurczęta uciekały do lasu, gdy podrosły.

Istniały w tej przyrodzie siły niewspółmierne: można było ludzi liniować w karby, zmieniać ich zwyczaje, brzuchy ich kobiet zakrywać szmatą - z kogutem lenym nic się nie udało. Piękny i dziki był, piękny i dziki pozostał.

Zadowoleni wróciliśmy do auta. Chung zaczekał grzecznie, póki igle wsiadłem, po czym z prawdziwą przyjemnością zamknął za mną drzwiczki i sam wspiął się na swe miejsce z przodu obok kierowcy. Miał

przy tym okrutnie zadowolony minę. Jakież to miły chłop!

15. Weseli Tajowie i smutni l^iio

W kwadrans później wjeżdżając do Yen Chau nie czułem już ładów picia zjo kań, wszelki opar ze mnie wywietrzał. Ale gdy ujrzałem w miecinie napisy w języku Tajów obok liczniejszych, rzecz prosta, napisów wietnamskich, doznałem od nowa jak gdyby szmeru w głowie: napisy tajskie przypominały z daleka charakter pisma hinduskiego. A zatem do tych ustroni, oddalonych o jakie trzy tysiące kilometrów od ujścia Gangesu, docierały zawiłymi ciężkimi podmuchy hinduskiej kultury. I naraz stanęły mi w oczach fantastycznie poplątane dzieje tej krainy.

Tajowie nie zawsze tu żyli. Etnografowie uważają ich za dalekich krewnych chińskiego pnia rodowego, dziesiątą wodę po kisielu pierwotnych Chińczyków sprzed kilku tysięcy lat. Gdy kroniki - oczywiście chińskie - po raz pierwszy Tajów wymieniały, żyli oni tylko w południowochińskich prowincjach Junnan i Kuangsi, gdzie na pograniczu Tonkinu tworzyli wcale potężne księstwo.

Przez tysiąc trzysta lat, aż do połowy jedenastego wieku naszej ery, Tajowie zwycięsko użerali się z wojskami Chin i Wietnamu, po czym, po utracie niezależności i pod coraz gwałtowniejszym naporem Chińczyków, zaczęła się ich wielka wędrówka na zachód i południe.

Wędrówka ta stała się jednym z najzuchwalszych eposów w dziejach ludzkości. Trwała przeszło osiemset lat i skończyła się dnia 11 sierpnia 1863 roku. W tym dniu Francja objęła protektorat nad

Kambodż i położyła kres apetytom Syjamczyków na ten kraj.

W cięgu tych omiu wieków Tajowie zajęli wszystkie górskie doliny północnego Wietnamu, następnie wdarli się jako Laotańczycy w dorzecze górnego i rodkowego Mekongu, w dorzeczu Saluin wywojowali na Birmańczykach księstwo Szan, dorzeczem Menamu dotarli do dzisiejszej Zatoki Syjamskiej i jako Syjamczycy zniszczyli mocarstwo Khmerów wraz ze stolicą Angkor. Podczas tych podbojów cierali się ze zhinduizowanymi narodami i przyswoili sobie wiele właściwości kultury hinduskiej, jak religię buddyjską i wszelkie mity bohaterskie, pisownię, niektóre dziedziny sztuki. A zatem pomimo że to naród pochodzenia chińskiego, Tajowie, żyjący na pograniczu dwóch wielkich kultur azjatyckich, weszli w zasięg kultury hinduskiej.

W chwili obecnej istnieją dwa niezależne królestwa Tajów, mianowicie Syjam i Laos, wszyscy razem Tajowie za siedzibę od brzegów Jangcy do południowych granic Syjamu na obszarze, który, przeniesiony do Europy, objąłby Danię, całe Niemcy, Polskę, Czechosłowację, Węgry, Jugosławię, Szwajcarię i Włochy.

Gdy Tajowie około X lub XI wieku wdzierali się w okolice Rzeki Czarnej, zastali tu tubylców należących do ludów indonezyjskich, a więc spokrewnionych z Malajczykami. Częciowo ich wytępilli, a resztki wygnali w sąsiednie góry. Do niedawna ci tubylcy służyli Tajom jako niewolnicy, a dzisiaj biedują pod nazwą ludu Ss (w wietnamskiej pisowni: Xa). Sami Tajowie zajęli żyzne ryżowiska w dolinach i tu do dzi dnia wiodą żywot niefrasobliwy wśród częstych uczt i picia zjo kań, rozwinięszy sztukę próżniactwa do bajecznego wprost kunsztu. !

W cięgu owych dziewięciu czy ilu wieków Tajowie nad Rzeką Czarną właściwie nigdy nie potrafili stworzyć jednolitego organizmu państwowego. Powanieni między sobą, zwłaszcza Tajowie Czarni z Białymi, podzieleni na dwanaście lilipucich księstw - Sip Song Czo Taj - wcinięci byli między dwie wielkie potęgi: Chiny i Wietnam. Zresztą zwabieni nie wiadomo czym: żyznością ryżowisk czy legendarną urodą Tajek, zaglądali tu chętnie różni zaborcy. Przybywali z Laosu, Syjamu, nawet z Birmy, najeżdżały także przeróżne tak zwane pirackie bandery z Chin południowych - i oni wszyscy, ma się rozumieć, nie patyczkowali się z mieszkańcami ani z ich mieniem. Ale w końcu Tajowie zawsze wychodzili obronną ręką. Nie ztracali szczęśliwej beztróski i ochoty do życia.

W tych górskich ostępach przeżyła do niedawna, do 1954 roku, do przejęcia władzy przez rząd ludowy, jeszcze jedna niepowszednia osobliwość: system feudalny w tak spotęgowanej i bezwzględnej formie, jaki dziś trudno chyba znaleźć w jakimkolwiek zakątku na świecie. Był to feudalizm wielkiej miary, doprowadzony do krańcowej formy, a w końcu do despotycznego absurdu. Ale nawet i to jarzmo nie zabiło sielankowego umiechu Tajów.

W miecinie Yen Chau, otoczonej rozleglejszymi ryżowiskami niż widziane przez nas dotąd w dolinach, mieszkało mniej więcej czterystu Tajów, przeważnie rolników i biedoty, oraz około trzydziestu Wietnamczyków, przeważnie kupców i urzędników państwowych. Słowo "chau" wskazywało, że osada była ośrodkiem obszaru administracyjnego, odpowiadającego w przybliżeniu naszemu powiatowi.

Na Wschodzie, gdzie masy biednej ludności zawsze gnieźdzą się w najniższych częściach osady, stłoczone jak ledzie w beczce, jest sprawą honoru dla każdej figury i każdego tuza, by dom swój

stawiać na możliwie wysokim wzgórzu. Wysokość jego położenia określa powagę, znaczenie i wartość tych, którzy zajmują dom. Toteż we wszystkich chłau siedziby administracji wznoszono zawsze wysoko na wzgórzach, co uwypuklało najlepiej ich władzę.

W takim to budynku gocinym, wieżo wzniesionym z trzciny, nawet powyżej innych domów administracyjnych, a zatem przeznaczonym dla wybitnych gości - stanęliśmy na obiad w Yen Chau.

Zaledwie zeskoczyłem na ziemię i jeszcze nie odetchnąłem należycie, a zaraz dostałem się w tryby przyjacielskiej pieczołowitości towarzyszy.

Już nućscy Chu Van Tuyen przybiegł z miską ciepłej wody do mycia; już stanął obok eskulap Dang Lieu i badawczo oglądał podczas mycia me ciało, obnażone do pasa, ażali nie schudłem w ciągu ostatniej doby; już na stole zjawił się ogromny termos z gorącą herbatą i zadzwoniło kilka - tak: pięć, sześć - gocinnych szklanek: już poniżej, w chatynce-kuchni trzasnęło ognisko w piecu z kamieni polnych, a kucharz Ngo Van Quy zarzynał kurę.

I już ukazał się przedstawiciel tutejszego orodka administracyjnego, by uprzejmie nas powitać, wysłuchać życzeń, jeśli jakie mielimy, i udzielić wiadomości, jeśli nam potrzebne.

- A potrzebne, potrzebne! - zawołałem żywo.

Herbata, podniecająca zapachem magnolii, przyjemnie wchodziła nam w krew natychmiast po wypiciu.

- Jakich wiadomości życzyte sobie? - zapytał przybysz usłużnie.

- O najważniejszych wypadkach w okolicy - powiedziałem ale nie tylko o tygrysach...

- Tygrysy to problem, to obrzydły problem! Dokuczają nam! - odparł i na chwilę uprzejmy umiech znikł z jego twarzy. - Przed dwoma dniami porwały krowę w pobliżu miasta. Trudno drapieżnika dostać, bo po napadzie ucieka daleko, podobno nieraz sto kilometrów.

Zmobilizowaliśmy wszystkich myliwych Manów w chłau...

Urwał. Był to Wietnamczyk z Delt. Dwa przednie zęby, wysunięte nadmiernie do przodu, ustawicznie wystawały mu spod górnej wargi, usterka nierzadko spotykana wśród Wietnamczyków.

Miał rozumny wyraz twarzy i bystre oczy, ale całość rysów tak powszedniś, że już następnego dnia w żaden sposób nie mogłem ich sobie uprzytomnić. Starał się wywiadczyć nam grzeczność i pomimo że tłumacz Tung na pewno szepnął mu na ucho, jakie są moje zainteresowania, przybysz wyteżał całą uwagę, by myli i żądania odgadnąć mi z oczu. ; - Więc jakie zagadnienie was tu najbardziej porywa poza tygrysami?-nalegałem.

Chwilę wnikliwie topił wzrok w moich oczach, jak gdyby to w nich - o logikę przewrotności! - a nie w życiu dookoła chciał

wyczytać odpowiedź na moje pytanie, i odrzekł jednym słowem: - Puok.

Ha, jak Puok, to Puok, pomyślałem sobie kwano i bez nadmiernego zapału. Słowo to nic mi nie mówiło, słyszałem je po raz pierwszy w życiu, także w żadnym z przeczytanych dzieł o Indochinach na nie się nie natknąłem. Wietnamczyk jśł opowiadać o plemieniu Puok rozważnie, dorzecznie, drobiazgowo. W miarę rozwijania opowieci niby zwoju rękopisu rosło moje zainteresowanie. Odsłaniał się przede mnś ršbek tutejszego życia nader ciekawy, wręcz porywajšcy. Baczšc, by nie uronić żadnego szczegółu, skwapliwie pisałem w notesie wszystko, co mi tłumaczył Tung.

Żył ów ludek Puoków w ustroniu górskim niedaleko Yen Chau w najskrajniejszej nędzy i na tak niskim poziomie, na jakim chyba pozostały na wiecie nieliczne szczštki najdzikszych plemion. Liczšc zaledwie omiuset otępiały chuderlaków, wtłoczony między obce, prężniejsze ludy, stanowił wśród nich osamotnionš wysepkę, a w swej bezbronności łatwy dla innych łup.

W tych górskich przepaciach istniał nie jeden ustrój społeczny, lecz w istocie dwa, i to nie obok siebie, lecz właściwie jeden nad drugim: ustrój feudalny w dolinach a niewolniczy na zboczach gór. Feudalny odnosił się do Tajów, niewolniczy - do Puoków. Panami jednych i drugich były w Yen Chau dwa tajskie arystokratyczne rody: Quang i Hoang. Na każde ich zawołanie Puokowie musieli schodzić w doliny i pracować bez wynagrodzenia. Panowie obchodzili się z nimi, jak obchodzili się ze swym bydłem roboczym. To znaczy, że zazdronie pilnowali ich jak swego osobistego mienia z beznamiętnš surowościš i starali się nie zabijać ich, chyba w wypadkach ražšcego nieposłuszeństwa i buntu. Ponieważ Puoków było stosunkowo mało i żadnych nie mieli przyjaciół ni pobratymców w tych górach, przeto zdani na łaskę i niełaskę swych panów, nawet marzyć nie mogli o ucieczce: tajscy siepacze, silniejsi niż oni, bo lepiej karmieni, zawsze potrafili dogonić zbiega w pustkowiach górskich i przywlec go na smyczy do przykładnego ukarania.

Zapomniałem zapytać się, jakiego pochodzenia byli Puokowie.

Przypuszczam, że nie należeli do indonezyjskich tuziemców jak plemiona Sš, lecz przywędrowali tu z Chin tak samo jak Tajowie. Od wieków zahukani, zaszczuci, zniedołężniali, zagłodzeni, nie umieli nawet utkać sobie własnej odzieży, ba, nawet ryżu uprawiać nie potrafili: żywili się głównie korzonkami i owocami lenymi; strzelb wcale nie mieli, polowali tylko z kuszami, w ogóle nie posiadali narzędzi, a kto zdobył nóż, uchodził za bogacza. Przymusowa praca tych niewolników stanowiła poważne ródło zamożności rodów Quang i Hoang.

Gdy ostatnie zwycięstwa Wietnamczyków zniosły ustrój feudalny i obaliły potęgę możnowładczych rodów, także i Puokowie odzyskali wolność. Byli jednak jak małe dzieci, tracšce nagle swych rodziców-karmicieli: teraz już nie tylko głodem przymierali, lecz stało przed nimi wręcz widmo mierci i całkowitej zagłady. Wszakże władze lokalne, pomimo że rozpoczynajšce ržšdy wśród wielu trudności, nie zapomniały o nieszczęsnym ludku.

Zaopiekowano się nim po ludzku, a po zaspokojeniu jego pierwszych potrzeb dokonano w tej głuszy wprost rewolucyjnego przewrotu: posłano do Puoków trochę narzędzi oraz instruktora, który zapoznał ich z pracš przy warsztatach tkackich, jak również uczył

sadzenia ryżu górskiego i innych najpotrzebniejszych robót. Co

Przebudziło się do nowego życia, a gdy rok temu otwarto u Puoków pierwszš w ich dziejach szkółkę,

można było powiedzieć, że nieznanne plemię, dotychczas zagubione w dziczy górskiej, weszło w wiat, w rodzinę żywych ludów.

Już nie było mowy o przymieraniu głodem, a tutejszy komitet administracyjny, do którego należał także i jeden Puok jako stały członek, wytknął sobie zaszczytne zadanie, by wszyscy w tym ple mieniu stali się pełnymi ludmi. |

Sam osobicie nie byłem u Pucków i nie rozmawiałem z ich przedstawicielem w Yen Chau, ale wiem, że słowom mego informatora można było dać wiarę. Gdzie indziej w Wietnamie Północnym widziałem podobne rzeczy i nie ulegało wstpliwoci, że Wietnamczycy w budzeniu do życia swych najbardziej zacofanych szczepów górskich wyciśgnęli należyts naukę z przykładu Zwiśzku Radzieckiego, niosącego tak skutecznie owiatę między pierwotne plemiona syberyjskie..

16. Wyruszenia w Yen Chau

To, co wykładał nam Wietnamczyk w Yen Chau, było dla mnie niezwykle ciekawe, a chcąc jeszcze wypróbować jego prawdomówność, kazałem go zapytać, czy zna obyczaje Tajów, zwłaszcza gocinność córki gospodarza domu wobec nocującego gościa.

Wietnamczyk zrobił zdumione oczy i musnął Tunga jak gdyby pytającym spojrzeniem.

- Jeżeli mu ten temat niemiły - natychmiast dodałem zaczepnie - to niech to zostanie waszś tajemnicś.

- Cóż znowu, jak można tak sśdzić! - popiesznie zapewnił

Tung. - Nie mamy przed wami tajemnic!...

- Dziękuję wam. Więc czy on co wie?

Wiedział i zachęcony moim wzrokiem oraz słowami Tunga udzielił obszernych wyjanień.

Tajowie, od wieków żyjący w tych żyznych dolinach w pewnym dobrobycie, pomimo obcych najazdów, uważali gocinność od niepamiętnych czasów za cnotę bodaj czy nie największ. Podejmowanie godnych gości urastało w ich zwyczajach nieomal do religijnego obrzśdku. Nie dziw więc, że starali się dogodzić gociowi we wszystkim a ofiarowanie mu córki na noc było dowodem ich uprzejmoci i ogłady. Dziewczynie nikt nie poczytywał tego za ujmę...

- To znaczy, że dziewczyna mogła mieć stosunki przed oficjalnym narzeczeństwem? - wtrściłem.

- Mogła mieć bez ujmy dla siebie tylko w tym wypadku, gdy ofiarowano jś gociowi... - zapewnił Wietnamczyk.

Na ogół nie przywiśzywano tu do dziewictwa wielkiej wagi, przeciwnie niż na przykład u Wietnamczyków w Delcie, a młodzież, obdarzona gorścym temperamentem, nie mylała powciśgać swych amatorów i zbytów. Tajowie byli zadziwiająco jaskrawym przeciwieństwem Wietnamczyków: z całej duszy lubili wszelkie zmysłowe uciechy życia, lubili pić, tańczyć, piewać", swawolić, lenić

się i nie dbać o jutro. Żaloty miłosne były ważnym zajęciem w dolinach, które Francuzi romantycznie nazywali le pays de l'amour. Więc kochliwym dziewczynom na dobrą sprawę wszystko wolno było z wyjątkiem jednego: rodzenia dzieci. Nielubnych i nie narzeczeńskich dzieci nie było wcale u Tajów - taki był kategoryczny nakaz obyczaju, zaprowadzonego od wieków przez ojców dziewczyn i nieubłaganie przez nich przestrzegane. Ojcowie nie chcieli mieć wnuków, poczętych poza ich kontrolą i bez ich materialnej korzyści.

- Wracając do sprawy nocowania córki gospodarza z gościem: czy ten zwyczaj zachował się do dnia dzisiejszego? - podjąłem poprzednią sprawę.

- Zachował się - ucziwie odrzekł Wietnamczyk - lecz tylko w wioskach leżących z dala od głównej drogi, w ubocznych dolinach.

Tu, nad gościńcem, obyczaj zanikł od kilku lat, ustąpił wobec nowych prądów idących z Delt...

Wdzięczny byłem Wietnamczykowi i pełen dla niego uznania, że tak szczerze odsłaniał przede mną owe sprawy. Podczas gdy podano nam obiad, on oddalił się, by kazać przynieść skórę tygrysa, przed tygodniem zastrzelonego. Wyraziłem chęć nabycia jej.

- Ale to młody tygrys! Mały! - zastrzegał się Wietnamczyk.

- Nic nie szkodzi. Niech będzie młody...

Gdy wrócił ze skórą, okazało się, że to skóra nie tygrysa, lecz Pantery. Niewstpliwie Wietnamczyk był równie złym znawcą spraw zwierzęcych, jak dobrym znawcą spraw ludzkich. Skóry nie kupiłem, bo była poszarpana i pokłuta; na pewno drapieżnik długo się bronił, zanim go umiercono. Wietnamczyk obiecał przygotować dla mnie kilka skór prawdziwych, wyronionych tygrysów, gdy później wrócimy tędy przez Yen Chau do Hanoi. j - Na razie - umiechnął się - mógłbym dostarczyć tylko żywego niedwiadka... |

- Niedwiadka? - zainteresowałem się. - Gdzie on? jest Zwierzaka przyprowadził na powrozie jego właściciel, Taj, który złapał go na swym polu, gdy młody z matką-niedźwiedzicą nawiedził

je którego poranku, by opchać się kukurydzą. Niedźwiedzicę zdołano zastrzelić, po czym już łatwo dogoniono młodzika i złapano go żywcem. ;

Niedwiadek stojąc na dwóch łapach sięgał prawie do trzech czwartych metra i miał chyba pół roku, ale ostrymi zębami już kłosać potrafił wiele, zajadły jak sto diabłów. Jednak kilka lichych karmelków z miejsca umierzyło jego dzikość i przekupionego smyka można było ostrożnie pogłaskać po nosie.

Wtedy niedwiadek stał się rozczulający, istne dziecko, proszące o więcej cukierków i o pieśczoły. Był cały czarny z wyjątkiem białej dolnej wargi i białego, filuternego kołnierza pod obojczykiem. Patrzyłem na niego z pewnym szacunkiem, jak patrzy się na wybitną osobę i na wielkiej miary bywalca, który sroce spod ogona bynajmniej nie wypadł. Jak ludy Meo, Yao czy Puok był on mieszkańcem wyłącznie górskich uboczy, jego ród żył niemal we wszystkich pasmach Południowej Azji od Himalajów aż do gór na japońskich wyspach, gdzie Ajnowie czcili go jako niepolednie

bóstwo.

Oczywiście nie było mowy, żebym nabył niedwiadka i miał takś kulę u nogi, zresztś również i Taj nie był skłonny do transakcji i wcale by go nie odstąpił.

- Tak bardzo go kocha? - zdziwiłem się. ‘

- Kocha!?! - Wietnamczyk dyskretnie przedrzenił wyszcze- ‘

rzając jeszcze bardziej swe górne zęby. - On kocha swójś chorobę, podagrę, i chce jej się pozbyć. |

- Przy pomocy niedwiadka? |

- Tak jest. Wychowa go sobie, a potem zabije i żółć użyje na|

lekarstwo. Żółć niedwidzia to najlepszy lek.

Wiedziałem o tym, jak wysoko w Azji ceniono żółć jako rodek uzdrawiający, niemal cudotwórczy, i to żółć ludzkś więcej jeszcze niż niedwidziś. Do końca dziewiętnastego wieku słynne były wyprawy Taotańczyków przeciw ludom Mojów w Górach Annamskich wyłącznie w tym celu, ażeby zdobyć żółć ludzkś na lekarstwa.

Żal mi się zrobiło, że również i to rozkoszne zwierzśtko miało pać ofiarś? ale na to nie było rady, całe me otoczenie uważało za rzecz zupełnie naturalnś i słusznś, że żółć niedwiadka powinna ić na lekarstwo.

Gdy Taj odprowadzał kudłatego jeńca ciśgnśc go na powrozie, Wietnamczyk rzekł:

- Dawniej tak samo wleczono Puoków...

Ponieważ w dalszś drogę mielimy wyruszyć dopiero w pół

godziny po obiedzie, a towarzysze załatwiali formalności w orodku administracyjnym, udałem się na miasto sam w towarzystwie młodego Tajó mówiścego trochę po francusku, a będącego posługaczem czy czym podobnym w orodku.

Miecina składała się z samych domów o cianach bambusowych, przy czym zabudowania administracji na wzgórzcu były najobszerniejsze, domy wietnamskich kupców wzdłuż samej drogi znacznie mniejsze, a na dolnym skraju osady, u wylotu ku ryżowiskom, sterczały na palach chaty Tajów. Wszystkie zabudowania miały dachy poszyte strzechś.

Poszlimy ku chałupom Tajów, tam spodziewajśc się najciekawszych widoków do zdjęć fotograficznych. Obok jednej z ostatnich chat, wzniesionej na skraju ryżowiska, ujrzelimy niezwykłś gromadę ludzi i ku niej skierowalimy nasze kroki. Kilkanacie osób stało dokoła i uważnie spojierało na starś babulinę, uwijajścś się na dziedzińcu jak gdyby w jakim nieporadnym tańcu. Była ubrana okrutnie barwnie w przeróżne wstśżki, łańcuszki, a gdy mój towarzysz jś zobaczył, rzekł

z wyranym przejęciem:

- Mot nging!

- Co to znaczy? - zapytałem. - Kto ona?

- Une sorciere! - powiedział. - Czarownica!

- Czy wolno nam podejść bliżej? - zawahałem się.

- Chyba wolno - odrzekł z odcieniem dumy, że mógł mi służyć za przewodnika.

Stanęliśmy obok innych gapiów, którzy, zaskoczeni nieoczekiwanym zjawieniem się Europejczyka, nie wiedzieli, na co więcej wytrzeszczać gały. Baba właśnie niedaleko chaty ustawiła kojec, do którego przed chwilą wsadziła kurę i jej kilkoro piskląt. Była to, jak się okazało, znachorka przywołana do chorego, a jej pacjent, chłopczyk może szcicoletni, stał z zapłakaną buzią opodal w towarzystwie swej matki, trzymającej go za rękę.

- Na co on choruje? - spytałem mego Tajó.

- Zęby go bolš - wyjanił mi po zasięgnięciu języka.

Tymczasem baba co niezrozumiałego pod nosem nucšc, nogami drobišc tanecznie i gorliwie wymachujšc rękoma, dała chłopcu do'

wypicia bršzowy płyn', po czym przystšpiła do wypędzania z niego choroby. Ból, wiadomo, pochodził od durnia chochlika, który złoliwie schował się do zęba. Należało go stamtšd wywabić, a mšdra baba -., jak zapewniał mnie mój towarzysz - umiała to wymienicie bęđšc wybitnym specem od duszków, skrzatów i wszelkich innych diablštek.

Czarodziejskim pręcikiem dotknęła twarzy oszołomionego chłopczyka, następnie owym drewnikiem zjechała po jego ciele w dół do stóp, na ziemi za zmylnymi zakrętasami wiodła pręcik ku kojcowi z kurami wołajšc: cip, cip, cip. Niewidoczny dla nas, ale szpetny chochlik,, zaciekawiony, tudziez zmuszony siłš magicznš, musiał opuścić zšb i ić ladem pręcika, a gdy baba znalazła się przy klatce, nagle jš otworzyła, wpuciła nicponia do rodka i szybko zamknęła, by tam pozostał jak pisklę przy swej kurze. Nikt z nas oczywiście chochlika nie widział, ale wszyscy obecni mieli miny, jakby wierzyli, że stara czarodziejka uwięziła małego złonika.

Chciałem scenę sfotografować, ale najbliżsi Tajowie temu się sprzeciwili posyłajšc ku mnie grone miny i znaki, żebym nie płoszył

skrzata. Więc dałem mu-pokój i ustępujšc schowałem aparat.

Chochlik nie wrócił już do chłopczyka. Zšb, o dziwo, przestał

boleć. Mniejsza o to, co tak skutecznie podziałało: wzruszenie pacjenta czy, co prawdopodobniejsze, dany mu do wypicia bršzowy płyn, zapewne odwar z ziół umierzajšcych ból - doć, że wszystko

skończyło się dobrze, a szalawiła chochlik dał się wyprowadzić w pole, a raczej do klatki.

Ta maleńka scena na skraju Yen Chau, dramacik, nie trwający dłużej niż kilka minut, dał mi lepszy wgląd w zakamarki umysłowości Tajów, niżby dał wielki, poważny wykład. Niezależnie od tego, czy obecni wierzyli w istnienie chochlika w zębie, czy nie wierzyli, całe zajście rozgrywało się nie w nastroju dramatu, lecz komedii. Odniosłem wrażenie, że wszyscy, z samą znachorką na czele, wietnie się bawili bo było :to po prostu widowisko teatralne, a nie ponure wyganianie szatana z człowieka. Pogodny lud, żądny uciech, a stroniący od trosk jak diabeł od więcanej wody, na pewno siedział po same uszy w zabobonach, ale nawet egzorcysty nastęrczały mu dogodną sposobność do krotocwilnej rozrywki.

17. Szał dziwnej poezji

Zaraz za Yen Chau normalny krajobraz. Fantastyczne góry i fantastyczne puszcze, jedne i drugie bujne i nieujarzmione. Wnet oderwalimy się od dolin z ryżowiskami i przecinali bezludne przełęczce sunąc po nagich szczytach, obok urwistych wódów. Tajów znów ani ladu, tylko z rzadka półka i chatynki Meów, widoczne na dalekich, niedosiętych stokach.

W dolnych częściach parowów, tam gdzie było najwilgotniej, wychylały swe długie szyje dzikie banany ponownie utwierdzając mnie w miłej wiadomości, że to rzeczywiście ich kraj rodzimy. Było w tym odkrywaniu coś upajającego. A potem piłem nową radość z odkrycia jeszcze jednej nadobnej roliny, która jakkolwiek służyła jedynie ozdobie, tak samo podbiła cały wiat i należała do najpiękniejszych: poinsecja. Z ciżby zielonego chaosu rzucały się w oczy olbrzymie jej licie, czerwone jak płomień, a rozczapierzone jak palce ręki szczęśliwej, licie już zabarwione na znak, że zbliża się miesiąc Gwiazdki. Poinsecję nazywając także Kwiatem Bożego Narodzenia. Czyżby szczodre góry Sip Song Czo Taj były również i jej ojczyzną?

Poza tym w lenych przepaciach siedziały duchy Tajów. Duchy lene - pi so i górskie - pi pung, oczywiście złolliwe, hultajskie stworzenia, trapiące nierozważnych ludzi, którzy mieli zapędzać się w te bezdroża. Z ich przyczyny wędrowcy gubili często właściwą ciężką i czasem, błędząc, ginęli. Toteż wychodząc z domu należało o duchach pamiętać i pożytecznie było dać im z góry maleńką ofiarę, ot, choćby kieliszek wódki, który nabożnie wznosiło się w ich kierunku, a potem samemu wypijało z chwalebny powięceniem.

Gorsze były duchy, które niekiedy dostawały się w ciała tygrysów, bo takie bestie miały więcej rozumu i drapieżności niż zwykłe zwierzęta. Również wszyscy Tajowie wiedzieli, jak często niektórzy Meo przeistaczali się na dzień, dwa w tygrysa i wtedy biada napotkanym ludziom! Ale najgorsze były demony pi pop, które wchodziły w niektórych ludzi, ci za nie wiedząc wcale o tym, siali dokoła siebie choroby, nieszczęścia i klęski. Tylko najchytrzejszym czarownikom!

udawało się ich odkryć i unieszkodliwić zabijając nieboraka, ale Tajo-j wie, z natury łagodni w swym rozleniwieniu, nie byli fanatykami i nie |

gustowali w tych krwawych sędach i przykrych zabiegach.

Napotkalimy po drodze kilku wędrownych Meo. Łatwo było ; poznać ich już z daleka po grubych srebrnych kołach, jakie nosili na : szyi wszyscy, a szczególnie młodzi mężczyźni, zdobiący się przeważnie |

nie jednym, lecz kilku naszyjnikami. Było to, widać, dowodem ich męskoci, tak samo jak u dziewczyn podobne naszyjniki były oznaką kobiecoci i ich powodzenia w sprawach sercowych. Jeżeli młodzian mocno kochał, a bogdanka była mu chętna, obdarzał ją na pamiątkę srebrnym kręgiem, co było w dobrym tonie u Meów. Dziewczęta nie znały obłudy i z naturalną dumą nosiły po kilka naszyjników, otrzymanych w przeszłości.

- Czy to jest zapłata za ich przychylność? - zapytałem przyjaciół.

- Oj, nie, nie! - żywo zaprzeczył tłumacz Tung, znający wiele i obyczaje Meów jeszcze z czasów wojny,

Jeli dziewczyny Meo utrzymywały z kim poufny stosunek, to |

jedynie dlatego, że kto im się podobał, nigdy za z chęci zysku. Dość!

swobodne wśród swoich, dla obcych były niedostępne i nigdy mężczy-”

znom z innego szczepu nie udało się nawiązać z nimi zażyłości.

Od razu, na pierwszy rzut oka, uderzała odmiennosc rysów ich oblicza. Twarze, jakkolwiek przyjemne i nieszpety, były płaskie,?

o wyranie mongolskim zakrojeniu oczu i nosa i zdradzały Meów jako lud bliżej spokrewniony z Mongołami niż z Chińczykami. Potwierdzało się teraz to, co kilka tygodni temu zauważyłem u dwóch Meów,; spotkanych w pociągu chińskim: była w ich postawie ujmująca szczerosc i naturalna prostota. Patrzyli człowiekowi w oczy jako mocno, z(

szlachetną godnością ludzi, którzy od tysięcy lat za największe, jedyne swe bogactwo uważali osobistą wolność,

Gdy częstowaliśmy ich papierosami, chętnie je przyjmowali, ale odnosiłem wrażenie, że przyjmowali głównie dlatego, by nie urazić!

nas odmów. Pomimo że jako naród stali się wiernymi przyjaciółmi |

i sojusznikami Wietnamczyków w czasie Wojny wobec obcych byli powściągliwi i pełni dumnej skromności.

Gdy tylko góry, które przemierzaliśmy, rozstępowały się tworząc doliny, tam niechybnie trafialiśmy na Tajów: w dogodnych miejscach uprawiali ryż nizinny, a w pobliżu wznosiły się na palach ich chaty.

Widok mijanych wiosek pozwalał mi od nowa zbierać rozpięchłe myśli i skupiać je dokoła interesującego narodu.

Jakš religię mieli Tajowie? Przyznam się, że najchętniej odpowiedziałbym: bogowie wiedźś. Wtłoczeni między Laos a Deltę północnowietnamskš, to znaczy między buddyjskich Laotańczyków a konfucjańskich Wietnamczyków, tkwili Tajowie jakby w próżni, jakby w samych zawiasach między potężnymi skrzydłami dwóch azjatyckich orodków i rozsadników religijnych, jakimi były Indie i Chiny. Ale ani od jednych, ani od drugich nie wpłynęły do górskich manowców ożywcze fale nowych wierzeń i Tajowie zachowali do dzi jedynie pierwotnš religię wszystkich ludów wschodnioazjatyckich, mianowicie kult przodków. A poza tym mglisty, prymitywny animizm, zaludniajšcy najbliższe swe otoczenie duchami wszelkiego pokroju, przy czym mętnę pojęcia jakich bóstw wyższej kategorii istniały jedynie w legendach i mitach. To utrzymanie się na uboczu od wpływów wyższych religii zdumiewało tym bardziej, że Tajowie nie byli pierwotnym ludem o znikomej kulturze, a społecznie zawsze posiadali niezłš organizację. Przymuszczalnie niedostępność wertepów górskich odcinała Tajów od pršdów kulturalnych z zachodu i wschodu.

Więc w krainie Sip Song Czo Taj nie było wcale pagód, tak licznych w Laosie i w Delcie. Nie było również bonzów, tak dla tych krajów znamiennych ulicznych postaci w żółtych togach, rzadziej co prawda spotykanych w dzisiejszej Delcie. U Tajów porednictwo między ludmi a siłami niewidzialnymi spełniali na co dzień ojcowie rodzin tudzież czarodzieje i czarodziejki, natomiast dawniej podczas ważnych ceremonii i dorocznych uroczystoci - naczelnicy rodów feudalnych.

W sprawach religijnych Wschód nie znał nigdy wojujšcego fanatyzmu, istniejšcego ongi na Zachodzie. Wyrozumiałość dla innych kultów była tu zasadš. Nawet w tych ustroniach górskich Podchodzono z pobłażliwym umiechem do wszystkiego, co gdzie indziej wywoływało nabożnš żarliwość. Tajowie posiadali szczególnš nutkę poetyckš i rozwinęli bezprzykładnš a szalenie sprytnš łatwość ubierania wielu spraw życia w poetyczne szaty półbani, półtrojeń.

Legendy miały dla nich doniosłość omal że kronik narodowych, toteż otaczano je głębszym szacunkiem niż gdziekolwiek bšd. Żywa ich wyobrańia pozwalała widzieć dobre duchy prawie naocznie, natomiast przekupywać doć łatwo złe demony. Pogodni filozofowie i łowcy niesamowitoci najchętniej wszystko, co ich otaczało, ubraliby w pełne przygód przypowieci, epickie obrazy, dramatyczne przenonie, parable.

Obok kaźdej prawie chaty Tajów stała w odległoci kilkunastu kroków skromniutka, maleńka chatynka, nie wyższa niż półtora metra wraz z palikami, zupełnie wierna, acz miniaturowa podobizna wielkiej normalnej chaty. Z poczštku mylnie brałem jš za rodzaj kurnika. Tymczasem to nie był kurnik, to także nie była żadna zabawka, lecz ołtarzyk poświęcony duchom przodków żony gospodarza domu. Tylko tu żona miała prawo czcić swych dziadków, a nie w mieszkalnej chacie, gdzie na honorowym miejscu stał ołtarz przodków męža. Kobiety zajmowały stanowisko podrzędne w społeczeństwie Tajów, służyły mężczyznom raczej do rozkoszy i ciężkiej roboty, więc szczupłość chatynki uzmysławiała ich nikłš wagę i wartość na tym wiecie.

A skšd pale? Dlaczego Tajowie budowali zawsze chaty na palach?

Czy dlatego, żeby ustrzec się od wilgoci podmokłych gruntów?

Głupstwo, bzdura!

Kiedy Tao Kung Tung, wódz Tajów, polując w puszczy na jelenie zaskoczył w gśszczu młodš czarodziejkę, córkę króla smoków.

Ponieważ na Wschodzie smoki, potężne, lecz zacne stworzenia, cieszyły się zasłużonym mirem, nie jak na znieprawionym Zachodzie, a królowie ich mieli urodziwe córki, więc wódz Tajów posiadał młodš czarodziejkę w gwałtownej miłoci. Owocem spotkania było dziecko, chłopczyk Tao King Ting, który wyrósł wspaniale na znakomitego strzelca i dorodnego królewicza. Za młodu często towarzyszył ojcu na polowaniach.

Pewnego dnia młodzian załatwił swojš maļš potrzebę pod drzewem, a gdy odszedł, samiczka maļpy gibbona, Nang Nhi, zeskoczyła z gaļęzi, wypiła mocz, naturalnie zaszła w cişżę i potem urodziła liczne go syna, Am Ka. Na Wschodzie takżę maļpy uchodżš za szlachetne i czcigodne istoty, nie tak jak na barbarzyńskim Zachodzie, więc gdy królewicz Tao King Ting ujrzał następnego roku maļpę Kaiig Nhi z dzieckiem w objęciach i dowiedział się, że to jego syn”

wziļš go do siebie i wychował.

To dziecko wļanie Am Ka stał się głównym bohaterem chwalebnych dziejów. Albowiem opowieć dalej sļawiła, jak to on, wnuk Tao Kung Tunga i królowny smoków, a syn Tao King Tinga i znamienitej maļpy Nang Nhi, przeto spadkobierca po kşdzieli tak dostojnej krwi, wyrastał na szlachetnego młodzieńca i walecznego wojownika. Lecz pomimo wychowania w otoczeniu ludzi kochajşcy syn nie mógł

zapomnieć o swej matce, żyjşcej w lesie na drzewach, i bolenie za niş tęsknił. Cierpiał na mył, że nie będzie mógł nigdy spotkać się z matkş, maļpy bowiem, jak wiadomo, niechętnie schodżš na ziemię żyjşc zawsze na gaļęziach drzew. Więć gdy Am Ka po dziadku i ojcu odziedziczył władzę i został królem Tajów, postanowił częćiej spotykać się z matkş, ażeby za to umożliwić, zbudował swş chatę na palach: odtşd matka nie dotykajşc ziemi mogła do niego schodzić z wierzchołków drzew. Wszyscy Tajowie naladowali przykład ulubionego wodza i tak to, nie z innej przyczyny, jak tylko z tkliwej miłoci syna do matki, rozpowszechnił się wród Tajów zwyczaj wznoszenia chat na palach.

Tajowie byli mieszkańcami dolin górskich i nigdy nie żyli na stokach, więc w rzeczywistości pale chroniły ich chaty przed powodziami i weszyły dlatego w stały zwyczaj narodowy. Pięćnie wiadczyło o zmyle poetyckim tego ludu, że koniecznoci życiowej nadał tak szlachetne wytłumaczenie.

Tajowie, jak to zrozumiåle u ludzi przepadajşcych do tego stopnia za uciechami życia, nie znali piekła, nie mieli takżę czyćca, a dusze ich szły po mierci zaraz do nieba. W tym niebie tajskim nie rşdził żaden bóg, lecz dusze żyły pod każdym względem tak samo, jak żyli ludzie na ziemi, to znaczy, że niektóre dusze opływały w zbytki, doznawały wszelkich rozkoszy i spędzaly wieczny żywot na błogim próżnowaniu, inne dusze za musiały pracować i mniej lub więcej sļużyć tamtym szczęliwym. Było to już na wieczne, czasy, a to, czy dusza będzie żyła na różach czy w pocie czoła, zależało oczywicie od zasług ludzi podczas pobytu na ziemi. Jakie to zasługi? Otóż, rzecz prosta, należało postępować uczciwie i zacnie, ale przede wszystkim należało być bogatym. Im więćszy kto posiadał majştek i hojniejsze składał duchom ofiary, tym więćsze szczęćie czekało jego duszę w niebie, tym ponęćniejsze rozkosze, luboci i upojenia mu pisano. A ponieważ częć ofiar dawniej dostawała się jako danina panom feudalnym, wszyscy wietnie rozumieli, że kto panom najwięćej dogadzał,

najpewniej szedł

do raju.

Duch opiekuńczy Chung, posiadający bystry wzrok orła, z nawyku i z powinności pilnie badał mijane okolice i on to pierwszy zauważył

wieży grób. O sto kroków od drogi zamajaczyło w gśszczu na pagórku co kolorowego. Był to sztandar biało-czerwony na wysokim maszcie.

Zatrzymaliśmy auto i ciężkš ruszyli na wzgórze, podczas gdy kierowca pospieszył do niedalekiej wsi po sołtysa. Wkrótce zjawił się stary Taj w czarnym kaftanie i takimże zwoju na głowie, zasłaniającym jego uszy i kark jakby od złych duchów.

Dotarliśmy do grobu. Znajdowało się tam tyle przedmiotów i drobiazgów, że w pierwszej chwili trudno było połapać się w pozornym nieładzie mnogoci szczegółów. Wprost oszalały.

Czego tam się nie widziało: i małš chatynkę, i drugš jeszcze mniejszš, i miniaturowe opłotki, i olbrzymi maszt, i wstšżki różnokolorowe, i rzeby drewniane, i papierowe wycinanki, i na maszcie pozawieszane łachy przeróżne - niech lichu wemie! Diabła zje, kto na tym wszystkim się wyzna po ludzku.

A jednak gdy stary Taj grzecznie i cierpliwie jšł wyjaniać rzecz po rzeczy, a Tung tłumaczyć mi jego słowa, porzšdek wchodził w chaos, każdy rupieć nabierał znaczenia, każdy okrucz wyrazu, a fatalaszek nabierał niepospolitej doniosłoci. Oj, rozpasła się wyobrania Tajów, pobrykała sobie na tym grobie, podziwaczyła, że to ha! I znowu na poły oczarowany, na poły rozbawiony, zadawałem sobie pytanie: kto oni - ci sławetni Tajowie? Jakie ni to dzieci, jacy ni to mędracy, a pewno jedno i drugie, przede wszystkim za istoty dotknięte cichym szalem dziwnej poezji, pełnej ukrytego humoru. A może i jakiej

zaczajonej wielkiej drwiny?

Nieboszczyk pochodził z Pan Boong, wioski tuż obok, i nie należał do ubogich, skoro z jego gospodarstwa na stypę - przepraszam, na ofiarę dla jego duszy - zabito dwa woły i trzy winie i zjedzono je razem z dwustu kilogramami ryżu tudzież przepłukano je wielu hektolitrami wódki. Podczas gdy przez kilka dni krewni, powinowaci, przyjaciele i wszelkie kumotry z okolicznych wsi jedli i pili wśród swawoli i wesołoci, zwłoki leżały w chacie z ułożonymi dokoła szyi kawałkami srebra, ażeby duch mógł srebrem pokryć koszty podróży na drugi wiat. Czarownik, wykwalifikowany fachowiec, zakłęciami ułatwiał odejcie, duszy, przy czym w każdej dłoni trzymał szablę, wymachiwał niš siarczycie na wszystkie strony. Czynił to we własnej obronie, dusza zmarłego bowiem niechętnie odchodziła, a czasem zwoływała inne duchy na pomoc, by płatać grone figle dobrym ludziom.

Po kilku dniach pod wieczór mężczyźni wynieśli nieboszczyka na noszach, na pobliskie wzgórze, gdzie już przedtem oczyszczono z zaroli miejsce na grób, i gdzie przygotowano wielki stos suchego drzewa do spalenia zwłok. Gdy raz z wieczora rozniecono ogień, nie wolno już było dokładać paliwa aż do

samego rana, kiedy ognisko przygasło. Rano najstarszy syn zmarłego wygrzebał z popiołu zwęglone koci, umieścił je w urnie i urnę zakopał w ziemi. Czy to był

już koniec pogrzebu? Nie, dopiero poczętek właściwej ceremonii, bo przecież dusza, rozdrażniona jak osa opuszczeniem wiata żywych, mogła ludziom nawarzyć paskudnego piwa i wyrabiać niestworzone rzeczy. A wszakże chodziło o to, żeby była w dobrym humorze i została życzliwym duchem opiekuńczym rodziny, a nie zgryliwś złonicś lub kostycznym upiorem. Zatem należało duszy pokazać, z jakim uszanowaniem jś żegnano, ile poświęcono dbałości, ażeby w zawiatach była szczęliwa żyjśc dobrze i wygodnie.

Więc nasamprzód dokładnie nad miejscem zakopania urny wzniesiono na palach chatynkę dwumetrowś, wiernś kopię chaty, w jakiej zmarły mieszkał za życia. Do chatki dostawiono lilipuciś drabinkę, ażeby dusza mogła po niej wejć do rodka i zażyć wypoczynku, jak to bywało w życiu. W pobliżu zasadzono po jednej rolinie banana, trzciny cukrowej i ananasa, ażeby dusza nigdy nie zaznała głodu.

Dokoła chatki i ogródka postawiono płotek z furtkś, a o kilka metrów przed domkiem i kilka metrów za nim ułożono dwa wielkie kamieniska, które jeszcze po latach, gdy wszystko inne rozsypie się w próchno, wskaż potomkom miejsce pogrzebania zmarłego. Wewnątrz chatki umieszczono butelkę wódki, filiżankę oraz miseczkę ryżu na jeden dzień, a dusza nawet nie potrzebowała wstawać do jedzenia zapasów dwie wstśzeczki, żółta i biała, wiodły od zakopanej urny w górę do chaty, gdzie stało jadło, a nie były to wstśzeczki, lecz przewód Pokarmowy duszy, rozumie się samo przez się.

- Naturalnie, .to jasne jak dzień! - syknśłem do Tunga, gdy dotychczas wszystkiego cierpliwie słuchałem. - Czy jeszcze wiele tych szczegółów?

- Bardzo wiele! “- odparł przyjaciel z chełpliwsz przyjemnościś.

- To może by już podziękować staremu Tajowi? - burknśłem.

- I odjechać? -zdziwił się Tung. - Niemożliwe! Wykluczone!

- Dlaczego?

- Sprawilibymy mu wielkś przykroć! A poza tym...

— Co poza tym?

- A dusza zmarłego?!

- Niby co? Obrazi się na nas?

- Oczywiście, obraziłaby się, a co gorsza, Tajowie wzięliby to nam bardzo za złe. Prestiż...

-Niech prestiż diabli biorś!...

Ale nie było rady i raz zaczęty kielich wypadło dopić do dna. Więc słuchaliśmy dalej opowiadania

Tajš.

Do chatki wsadzono kawał materiału na moskitierę, dalej fajkę wodnš zmarłego, małe poduszki i łoże, a nawet fajkę do palenia opium.

Pod chatš na ziemi, nad miejscem zakopania urny, położono czapkę nieboszczyka, jak również jego starš kurtkę, ażeby dusza osłonić się mogła przed chłodem nocy. Z boków chatki zawieszono wišzanki ||

z cienkich pasków bambusa w kształcie kótek i każdy rozumny człowiek wiedział, że to pienišdze, potrzebne duszy na tamtym wiecie.

Wisiał tam także koszyk do ryżu dla zmarłego, natomiast u podnóža drabinki sterczała kupa strużyn bambusowych, ażeby dusza - łatwo się domylić - mogła rozniecić sobie ognisko. , - Przyjacielu Tung, potworze i wyrzutku piekła! - szepnšłem. - Czy jeszcze długo?

- Jeszcze długo - odrzekł z uprzejmym umiechem.

- Nie wytrzymam! Zaczęę wyć!

Tung się ucieszył i zapalił do tej myli:

- Wyjcie, camarade, wyjcie! Zrobi to dobre wrażenie. Tajowie'

wezmš to za należnš czeć dla zmarłego i będš was chwalili...

Niedaleko chatki, lecz poza ogrodzeniem, wbito w ziemię maszt tak wysoki, że sterczał ponad wierzchołkami sšsiednich drzew. Grobu Tajš bez masztu, zwanego kao, nie sposób sobie wyobrazić. Stšd dusza odlatywała do nieba, zwykle na ptaku, rzebionym w drzewie, lecz nasz zmarły miał godniejszy sposób podróży, konia. Gruba, krótka belka, poziomo przybita do masztu w połowie jego wysokoci, wyobrażała wierzchowca, koszyczek, przymocowany na belce, był siodłem, a zwisajšce z obu stron koszyczka dwa kije bambusowe to - wyrane jak - dłonie -4-cugle. Nad koniem rozwieszono olbrzymi parasol, ażeby słońce nie paliło duszy, nad parasolem za, na samym szczycie masztu, flaga biało-czerwona zwracała uwagę wszystkich duchów w zawiatach na czcigodnoć i znaczenie zmarłego. Ażeby tego wszystkiego jeszcze nie było za mało, by, broń Boże, nie spotkał rodziny zarzut skšpstwa, pozawieszano na dršżkach przymocowanych w poprzek masztu różne skrawki materiału, także kaftan nieboszczyka i w istocie maszt wyglšdał bogato i imponujšco. Dusza byłaby ostatniš niewdzięcznicš, gdyby nie uznała wysiłku i dobrej woli rodziny, którš opuciła.

Między masztem i chatkš wzniesiono jeszcze jednš chatynkę, mniejszš niż tamta, za to barwniejszš, bo dach i cianki były z jaskrawych pasemek kolorowego papieru. Przed tš wesołš chałupkš wyobrania Europejczyka w poczuciu klęski załamała się z kretešem i ani rusz nie mogła się domylić przeznaczenia. A było to tak zrozumiałe i jasne jak słońce: przecieź dusza w podróży miała sporo bagažu, więc owa chałupka była wozem do przewożenia pakunków - i basta!

Staremu Tajowi dałem na podziękowanie paczuszkę polskich igieł i pożegnaliśmy się. Wszyscy byli zadowoleni: duch zmarłego, że tyle poświęcono mu uwagi, stary Taj, że dostał igły dla żony, a my, że

dobiegł kresu osobliwy urok poezji tajskiej i siedzieliśmy znów W naszym prozaicznym a sprawnym łażiku.

18. Bohaterstwo na drogach

Na ogół łażik jechał w bezpiecznej odległości nie większej niż kilkaset metrów od naszej ciężarówki, ale bywało nierzadko, że odstęp między samochodami znacznie się zwiększał, nieraz do kilku kilometrów. Wtedy kierowca nasz dawał skrzętne sygnały tršbkš co dwie, trzy minuty, i ta gorliwość jego wzbudzała niepokój i podejrzenie.

Wymijających nas samochodów nie było tu wiele, więc na kogo tak często tršbił? Kogo chciał ostrzec czy przepłoszyć? Tygrysy? Tygrysy nie miały zwyczaju napadania w biały dzień. Czyżby zatem obawiał

się ludzi?

Od czasu do czasu, rzadko jednak, widzieliśmy wędrujących drogš Tajów i Meów. Raz szło nam naprzeciw kilku Tajów z nosidłami na ramionach, dwigali jakie klatki. Przedstawiali malowniczy widok, więc kazałem zatrzymać łażik i szybko przygotowałem na nich aparat fotograficzny.

Było ich pięciu czy szeciu samych młodych junaków. W klatkach nieli żywe, lene ptaki o ładnym upierzeniu, a między nimi były dwa kosy mandaryny, pocieszne i łatwe do oswojenia. Lecz Tajowie zbyli milczeniem nasze przyjazne powitanie i kroczyli dalej dumnie i hardo, słowem ni umiechem nam nie odpowiadajšc. Patrzcież, patrzcież, pomylałem, pokazujš nam swoje humory jakie.

Nieco dalej kilkoro Tajów naprawiało most, a nasz samochód przejechał obok płytkš rzeczkę w bród. Poszedłem ich sfotografować.

Było tam kilku młodych mężczyzn i kilka dziewczšt. Wykonywali szarwarkowš robotę, do której zobowiązani byli wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety prowincji autonomicznej od osiemnastego roku życia do pięćdziesiątego. Nazywano ich zeń koń, czyli pracownikami ludu, a ich praca na rzecz administracji kraju trwała przez dwa miesišce na rok.

Sfotografowałem dziewczyny, przycupnięte obok mostu i tłukšce kamienie ciężkim młotem na równi z mężczyznami. Miały srebrne kolczyki i srebrne bransolety i ubrały się niemal odwiećnie w zawile turbany tudziez eleganckie bluzki i spódnice, lecz bez srebrnych sprzšczek na przedzie. Była załosna dysproporcja między ich małymi ršczkami a sporym młotem, jakim biły kamienie.

Ale w pewnej chwili jedna z Tajek nie wytrzymała; wrodzona wesołość i zalotność wzięły górę. Dziewczyna unoszšc głowę zamiała się. Wtedy dopiero odkryłem, jak była piękna i urocza, była bezsprzecznie najładniejszš Tajkš z dotychczas napotkanych. Uroda jej usprawiedliwiała zachwyty podróżników - chociaż dziewczyna nie miała obnażonego brzucha.

Na tej drodze do Lai Chau byli zatrudnieni nie tylko robotnicy szarwarkowi, rekrutujšcy się z okolicznych wsi, lecz także inni pracownicy, znacznie liczniejsi i pracę sprawniej organizujšcy.

Wszystko młodzi Wietnamczycy, Kinh, pochodzący z Delt. Wiadomo, że gociniec nasz był wiadkiem wielkiego bohaterstwa w czasie niedawnej wojny. Ale okazało się, że i teraz, po wojnie, w górach płonął

ogień niebywałego heroizmu, jakiego próżno szukać gdzie indziej.

Gdy dokładniej poznawałem pracę, życie i poświęcenie młodych Wietnamczyków, obok których przejeżdżaliśmy, wzbierało we mnie co rzewnego, rósł ogromny dla nich szacunek i najchętniej każdemu z tych dzielnych młodzieńców serdecznie uciskałbym dłoń.

Byli to ludzie Związku Młodzieży Awangardowej, słynnego Tanh Nien Xung Phong. Zresztś mniejsza o nazwę. Gdy po spustoszeniach wieloletniej wojny wyzwoleniczej Wietnam Północny wszedł

w erę pokoju, najofiarniejsza część młodzieży wietnamskiej poświęcała nadal najlepsze swe lata ojczyźnie, odbudowie kraju. Szli owi młodzieńcy na najtrudniejsze placówki, na których należało wyrzec się niemal wszystkiego, co miłe człowiekowi. Z bezprzykładnym hartem i z nieludzkszą wytrwałością pracowali przy odbudowie fabryk, nielicznych zresztś, przy naprawie torów kolejowych i tam rzecznych, a przede wszystkim dróg w odległych górach.

Między Yen Chau a następnym miasteczkiem, Sonia, droga miejscami była niezła, wygładzona i zwykle w pobliżu napotykalimy robocze ekipy awangardowej młodzieży przy pracy. Chłopak w chłopaka wspaniałe, dziarskie chwaty, aż dusza do nich się miała.

Narzędzia mieli ubogie, najprymitywniejsze. Kilofami rozbijali granitowe góry, łopatami zgarniali gruzowiska, taczkami zawozili kamienne bryły nad brzeg drogi, by strzącać je w przepaść. Trud ogromny, ale jeszcze większa była ich moc ducha i zawziętość w pracy.

Pozrywana droga z wolna, odcinek po odcinku, poddawała im się i doprowadzona do ładu, od nowa pożytecznie służyła ludziom.

Krótki przystanek w Hat Lot, gdzie był jeden z ich obozów. Kilka obszernych baraków sprawiało wrażenie dobrze utrzymanych koszar.

Zaproszono nas do czego w rodzaju wietlicy, w której oprócz kilku ilustrowanych czasopism z różnych krajów demokracji ludowej niczego innego nie było. Stwierdziłem z cichszą dumą, że "La Revue Syndicale Polonaise" z Polski znacznie lepiej się przedstawiała od innych: wesołość, pogoda życia była w polskim piśmie naturalniejsza.

Skromny, miły człowiek, należący zapewne do kierownictwa obozu, zyczliwie udzielał nam informacji. Mówił przytłumionym głosem, był łagodny i zadumany - często spotykana u Wietnamczyków zewnętrzna pokrywka, pod którą nieraz kłębiły się niespodziewane zasoby namiętnoci i energii zdumiewające Europejczyków.

Jednak rozmówca wyglądał jako wyjątkowo przygaszony i prawdopodobnie powodem tego była długotrwała rozłąka z rodziną: w Delcie "a" młodsz żonę i dwoje dzieci i nie widział ich od czterech lat.

- Jak to, od czterech lat? Bez urlopu?,, - zdziwiłem się.

Wietnamczyk potakująco umiechnął się z odcieniem godności.

- Cztery lata w rozłące, z dala od rodziny?... - nie mogłem się uspokoić. - Czy towarzysz nie tęskni?

- Bardzo tęsknię - odrzekł cicho.

Obóz budził się co rano o piątej trzydziści z uderzeniem gongu, po czym zaraz następowała normalna gimnastyka i wykrzykiwanie haseł. Potem mycie do pasa w chłodnym strumieniu i o wicie niadanie. Podstawę pożywienia był ryż zmieszany z tłuczonymi orzeszkami ziemnymi.

Praca od siódmej do jedenastej i pół. Wielkie przenone ciany z trzciny chroniły robotników od słońca. Dynamitu do rozsadzania skał nigdy nie mieli, rozbijali je siłą fizyczną i młotem. Przy tłuczeniu kamieni odpryski łatwo zadawały ludziom bolesne rany, jeśli uderzali nieumiejętnie. Drzewa cinali siekierą lub nożem, bez piły. Gdy robotnicy przybywali na nowy odcinek drogi, sami natychmiast budowali sobie baraki z pni, trzciny i bambusa.

Wynagrodzenia otrzymywali dwadzieścia siedem tysięcy dongów miesięcznie, co wystarczało tylko na najskromniejsze wyżywienie. Ale doskonale rozumieli, że rząd obecnie nie może im więcej płacić, więc byli zadowoleni, ba, byli dumni ze swej pracy. Wystarczały im poczucie spełnionego obowiązku oraz miłość i uznanie całego społeczeństwa.

W obozie ciężko chorować było rzecz niebezpieczną, bo mało mieli lekarstw. Również rozrywek mało. Nie było nawet odbiornika radiowego. Za to we własnym gronie młodzież utworzyła grupę aktorską i czasem w niedzielę dawała kolegom przedstawienie.

W Hal Lot pracowały także dziewczyny w oddzielnej sekcji.

Zwyczaju zabaw tanecznych Wietnamczycy nie przyjęli od Europejczyków. Jakkolwiek kierownictwo pilnowało surowości obyczajowej, instynktu wrodzonego upilnować i stłumić całkowicie nie mogło.

Co prawda bardzo rzadko, ale bywały stosunki między dwojgiem młodych. W obozie nie dało się nic ukryć, więc gdy przewinienie wychodziło na jaw, w małej społeczności powstawała wielka burza.

Występna para poddawano publicznej krytyce.

Wietnamczycy byli zawsze przywiązani wszystkimi uczuciami do ojczystego ryżowiska i rodzinnej wsi w Delcie, więc większość ich w obozie chorowała na nostalgię. Wspólne piewy i pogadanki, siatkówka, piłka nożna czy inna zabawa sportowa, dokszałcenie w formie walki z analfabetyzmem i tym podobne czynności rozpraszały złe osady melancholii. Gdy przychodził z Deltą list do którego pracownika, była to również uczta dla wszystkich innych.

Owa służba ochotnicza trwała w zasadzie trzy lata. Dezercji nigdy nie było. Kto się wyróżniał przykładnym zachowaniem i postępowym myśleniem, tego czasem spotykał awans i wyróżniony jechał

do Dety na jaki kurs lub do szkoły technicznej. Zwolnieni młodzieńcy po wykonaniu patriotycznego obowiązków wracali do domu równie ubodzy, jak w pierwszym dniu pracy, za to bogaci powszechnym szacunkiem.

Niezwykły, dzielny naród, patriotyczny i wytrwały, odznaczał

się tytaniczną zdolnością do wyrzeczenia.

19. "Robić zięcia"

Mong, dwudziestocześcioletni Taj Czarny z wioski niedaleko Sonia, był zuchwały i zadziorny. Zasłużony partyzant czasu wojny, po wojnie wyzwał cały otaczający go wiat. Naraził się wszystkim. Jedni uznali go za awanturnika, inni za piniacza, jeszcze inni za łotra, wietokradcę, ba - czego nie wymyślili! - za zbrodniarza, którego należało załuc jak parszywego psa, ażeby ustrzec innych od zarazy.

Ja natomiast widziałem w nim tylko dziarskiego szermierza postępu i nielada miałka.

Młody Mong omielił się podnieć bunt przeciwko prastaremu obyczajowi i nic więcej. Ale to, co uczynił, było tak niesłychane, że nawet władze ludowe, zapędzone w kozie róg, mocno się zaniepokoiły.

A tymczasem wojna poszła już na całego: cztery tygodnie przed naszym przybyciem do Sonia wrogowie Monga spalili nocą jego chatę, a teraz grozili mu miernicą, jeśli im i odwiecznemu obyczajowi się nie podda.

Mong wziął na kiel i owiadczył, że się nie podda. Zaciął zęby i nie myślał ustępować, bo nie w ciemną bitą, a otrząskany w cięgu wielu lat. To, co piszę, brzmi jak przesadne wychwalanie propagandowej lecz nie ma w tym rzeczywiście przesady. Jest to naród o tak wyjątkowym charakterze i hartie ducha, że trudno go porównać do którego z narodów europejskich. Ponieważ stwierdzają to na własnej skórze Amerykanie.

wojny pamiętał, o co wtedy walczył, za co odnosił rany i za jaką przyszłość zdobywał odznaczenia. Więc teraz zbuntował się przeciwko skostniałemu obyczajowi i zawziął się w uporze: nie chciał być niewolnikiem tacia, nie uznawał jarzma "eze", nie myślał "robić zięcia", Na tę skandaliczną wiec zawrzało we wszystkich dolinach i gniew porwał ludzi, wołających do duchów o pomstę na zuchwalca.

Ujrzałem Monga, gdy szedł do siedziby komitetu administracyjnego. Szedł, by bronić swej sprawy i prosić o pomoc. Był to przystojny Taj o miłej, można powiedzieć ładnej twarzy, aż wierzyć się nie chciało, że taka w nim tkwiła zadziorna buntowniczość i przekora.

Szedł cały skupiony, a głowę obwiązał sobie czarnym turbanem, w ten sposób, że dwa jego końce sterczały do przodu niby rogi byka. Dałbym głowę, że naumylnie tak je uwiązał, by przeciwnikom pokazać swą czupurność.

Więc cóż on właściwie zbroił, że tyle napsul ludzi krwi? Po prostu zakochał się w dziewczynie, zdobył jej wzajemność i uzyskał

zgode zarówno własnych, jak i jej rodziców na zwišek, ale wtedy włanie wyłamał się z uwięczonej drogi: wziął z dziewczynš cywilny lub w urzędzie - niedawnš nowoc, zaprowadzonš od czasu politycznego przewrotu - i założył z niš własne ognisko we własnym domu, nie dajšc za niš żadnego wiana jej ojcu. Uważał, że ofiarnie walczšc przez kilka lat z zaborcš dostatecznie się okupił. Rzecz na oko mało znacžca i w zasadzie słuszna, a przeciež jak ogólne wywołała zgorszenie i jakie skutki: juž spalili Mongowi chatę, teraz chcieli go zabić.

Sprawa Monga szalenie mnie zaciekawila i zaczštem badać, co za niš siedziało. Siedziało, siedziało, a im głębiej wnikałem w szczegóły podłoża, tym bardziej w mych oczach Mong urastał na bohatera: wojnę wszczšł z nie byle jakš potęgš.

Ależ to spryciarze, jakich mało, ci ojcowie dziewczyn na Dalekim Wschodzie! Perfidny kunszt wyzysku człowieka przez człowieka doprowadzili do mistrzostwa, o jakim nie marzyć Zachodowi w jego pędrackiej naiwnoci ducha. Zachód ujšł w ryżę i pierwszorzędnie wykorzystał dla swych machinacji przede wszystkim głód zołšdka i właciwie nic więcej. A gdzie drugi, równiež przemožny bodziec biologiczny, mianowicie głód zmysłów? Zachód zdobył się w tej dziedzinie na troche skromnego partolena, troche niemrawego mazgajstwa i koniec.

Za to Daleki Wschód, ho, ho, co za sprawność!

Przeciež każdy młodzian czy mężczyzna pragnie posiadać swš dziewczynę czy kobietę, potrzebnš mu tak samo jak garć ryżu do życia na tym padole i więcej nawet, bo nieodzownš do życia w zawiatach wiec któž na Wschodzie nie doceniałby takiej gratki? Totež u wszystkich bodaj ludów Dalekiego Wschodu nie było karesu córki bez interesu dla jej ojca. Najwiętsze, najniewzruszeńsze obyczaje chroniły zyski ojców, zgarniajšcych od swych przyszłych zięciów pokane sztabki złota, srebra i inne kosztownoci. A u Tajów łupienie zięciów doszło do najwyższej doskonałoci.

Jak juž kilka razy napomknštem, młode dziewczęta, a jeszcze więcej młodzieńcy, byli pełni temperamentu i przepadali za pokštnym flirtem. Oczywiście surowe nakazy opinii publicznej, czy inaczej ojców rodzin, przeladowały to kłusownictwo z całš bezwzględnościš.

Biada było dziewczynie, która by przyjmowała uciski chłopca gdziekolwiek bšd, a nie pod chatš swych rodziców: duch domowy by się obraził i zesłał nieszczęcia na winowajców i ich rodziny. A pod chatš swawole przebiegały okrutnie niewygodnie, bo pełno tam leżało kału wiń i bydła, a poza tym łatwiej było pod chatš kontrolować baraszki młodych. Tak pi, czyli duch domowy, szedł na rękę ojcu rodziny.

Niechby wstępny romans wydał zakazany owoc - to koniec wiata i wieczysta hańba tudziež zbrodnia! Niemożliwe, by dziecko przeżyło taki srom; zabijano je zaraz pierwszego dnia. W tej branży rygor obyczaju panował bezwzględny i starszyzna nie znała litoci dla bękartów, stanowiły bowiem nieuczciwš konkurencję dla interesów ojców.

Ale z drugiej strony dzieci były wažne i požšdane, bo były niezbędnym ogniwem kultu przodków,

przy którym nieprzerwana ciężkość odgrywała zasadniczą rolę. Nie do pomylenia, żeby normalny mężczyzna nie chciał posiadać synów, którzy po jego mierci czczą otoczą jego pamięć i modlić się będą do jego ducha: umieranie bez legalnych synów ciężnęłoby na Tajów i jego bliskich największą niesławę. W tym sedno sprawy! Tu ojcowie rodzin mieli młodych donżuanów w swym ręku nieodwołalnie, doszczętnie. Tu lowelasi musieli Przyjąć do nich, uderzyć w pokorę, prosić ich o rękę córki i płacić, płacić, służyć, służyć.

Ojciec rodziny sprzedawał zięciowi nie tylko siłę roboczą, lecz Przede wszystkim kobiecie łono, które miało zięcia obdarzyć synem, legalnym synem, to jest upoważnionym do spełniania kultu przodków.

Przyszły zięć był więc w potrzasku i musiał, czy chciał, czy nie chciał, płacić za dziewczynę cenę wyznaczoną przez ojca. Była to jedyna dosłownie jedyna droga do własnego i pełnoprawnego syna.

Czy istotnie jedyna? Przecież tak łatwo było młodym Tajom zdobyć wzajemność uczuć u dziewczyn - warunek najistotniejszy, w naiwnych pojęciach Zachodu, do uzyskania syna. Następnie dzielny junak, przekonawszy się, że zakochana dziewczyna gotowa iść za nim choćby do piekła, powinien by - jakby to zrobił jego równienik na Zachodzie - zbuntować się przeciw tyraństwu ojców, zabrać dziewczynę, zbudować sobie własną chatę i owiadczyć, że moc ich wzajemnej miłości ona jest jego żoną, a synowie ich będą po jego mierci palili mu kadzidła przy ołtarzyku przodków.

W warunkach panujących na Zachodzie nic prostszego niż takie rozwiązanie, ale niechby młody szaleniec odważył się na to w krainie Tajów! Piekło zwałoby się na jego zhańbioną głowę, tysiące wstrętów zatrułoby jego życie, o czym dzielny a zuchwały Mong mógł być co

nico powiedzieć. A nawet gdyby zadzierzasty wichrzyciel jeszcze się nie obronił materialnie i nie dał sobie wydrzeć ostatniego skrawka ryżowiska albo spalić chaty nad głową, to przeważnie jednej rzeczy nie zniósłby: ogólnej pogardy całej wsi. Okrzyknięcie bezwstydnej pary, że żyje jak dzikie bestie, bez błogosławieństwa głowy rodziny, a tym samym bez opieki życzliwych duchów - równałoby się jej unicestwieniu. Podobno właśnie to najbardziej bolało Monga.

Z doniosłości posiadania dzieci, a zwłaszcza synów, posiadania, zwiżanego tak ciele z wierzeniami, wynikało przykładanie szczególnej wagi do wszystkiego, co dotyczyło, mówiąc pospolicie, robienia dzieci. Dziewczyny były ponętne i przymilne, pełne kokieteryjnego wdzięku, chłopcy niespokojni i pożądlivi, skorzy do umizgów. Miłosnych piosenek, często nieprzyzwoitych, ale najczęściej sentymentalnych, znano tu bez liku, dowcipów nieskromnych krząła masa, dźwięki czułego fletu, porednika tkliwych uczuć, rozlegały się nocą pod wieloma chatami, gdzie mieszkały dziewczyny - słowem, nad dolinami Tajów unosił się wyjątkowo silny nastrój namiętnej zmysłowoci, ale nie był to nastrój rozwiślności ani nierządu. *L'amour est la grande chose au pays des Thais* - miłość to wielka rzecz w krainie Tajów pisali Francuzi, wszakże zapominali dodać, że to nie był wulgarny erotyzm paryskich bulwarów. Erotyzm Tajów miał podkład biologiczno-religijny, był zdrowy i naturalny.

Gdy młodzian po wyszumieniu się w licznych harcach miłosnych ; w beztroskim kłusownictwie wśród dziewczyn poczuł w sobie pragnienie stałego zwiżania się z wybraną serca, posyłał do jej ojca swatów. Wśród jego drobnych darów nie brakowało lici betelu i orzecha greki, na Dalekim Wschodzie symbolów, jak wiadomo, wiernej miłości. Gdy wszystko składało się pomyślnie, jego

swaci i jej rodzice przystępowali do jšdra sprawy: do ustalenia wysokoci okupu. Ponieważ zazwyczaj młodzieniec był goły jak więty turecki, spisywano umowe na szereg lat służby wykonywanej przez narzeczonego w gospodarstwie tecia. Wysługa zwykle trwała co najmniej sześć lat, a najwyżej dwanaście, ilość lat zależna od atrakcyjności dziewczyny i jej społecznego stanowiska, a niemało także od stopnia jego zadurzenia.

Po dojeździe do zgody - po targach nieraz zażartych - jego rodzice wyprawiali w jej chacie obowišzkowš ucztę. Po tej ceremonii on jako oficjalny narzeczonny wprowadzał się zaraz pierwszego dnia zaręczyń do jej chaty, dokładniej: do chaty jej rodziców i mógł z czystym teraz sumieniem okazywać jej swš czułość. Zaczynały się ustalone w umowie lata ich narzeczeństwa, a jego roboty dla tecia. Ów okres nazywał się eze, co znaczy: robić zięcia. W tym czasie przychodziły dzieci na wiat i wtedy stosunek przeważnie się utrwał. Ale nieraz bywało inaczej: po latach młodzi sprzykrzali się sobie wzajemnie i on odchodził tracšc, rzecz prosta, czas wysługi. Z takiego obrotu rzeczy najczęściej rad był jej ojciec, bo mógł wtedy z innym zięciem wszystko rozpoczynać od nowa i dalej dorabiać się na pracy bezpłatnego parobka.

W tych okolicznościach łatwo zrozumieć, że urok i wdzięk młodych Tajek stały się przedmiotem troski już nie tylko samych dziewczyn, lecz także całej rodziny, a szczególnie ich ojców. Wszyscy więc dokoła starali się o ich piękny wyglšd i również o duchowe przymioty, Jak uprzejme i pogodne usposobienie, wytworność tudzież zalety charakteru. Ba, patrzono nawet przez palce na ich opieszałość w pracy, byleby nie straciły ponętnych kształtów, zdobywczego umiechu i połysków oczu, słynnych na całe Indochiny. Póniej życie brało na nich odwet straszny i narzucało ich dorodnym barkom szczególnie ciężkš harówkę, ale zanim następił smętny okres orki i starzenia się, młode Tajki żyły rozkosznie niby w raj, jak rzadko kiedy dziewczyny innych ludów. Były w istocie podobne do barwnych motyli, rozpiwanych ptaków, wonnych kwiatów lub księżniczek plšsajšcych na złotym dywanie życiowych uroków. Tak w każdym razie zakochani chłopcy o nich piewali w setkach piosenek.

Jeli narzeczonny nie chciał mieszkać w chacie tecia i u niego pracować, mógł, owszem, stworzyć osobne ognisko z narzeczonš, ale wtedy zamiast wykonywania pracy zobowišzany był corocznie odstawić teciowi ustalonš ilość ryżu, mięsa, soli, tytoniu i alkoholu.

Wszystkiego było tyle, że znakomicie wystarczało na utrzymanie tecia i jego rodziny przez cały okres uzgodniony w umowie. Młodzieniec z rodu feudalnego, niezamożny, lecz posiadajšcy osobistš służbę, posyłał służšcego na gospodarstwo tecia, by odrabiał w imieniu swego pana obowišzkowš pracę.

Po przepracowaniu lat narzeczeńskich czekał oblubieńca, który stracił już dawno meszek młodości, jeszcze jeden wysiłek materialny to ucztę weselną. Uroczystość ta należała do doniosłych obrzšdków Tajów i odbywała się na jego koszt niezwykle hucznie. Zabijano bawoły, winie, kury ofiarujšc je duchom rodzinnym i potem przez wiele dni smacznie opychajšc się nimi wraz z kupami ryżu i licznymi dzbanami wódki. Na tę ucztę zapożyczał się nowożeniec na sporo lat, ale nareszcie następował przełom w jego życiu: zięć uwalniał się od długu wobec tecia. Nareszcie, nareszcie mógł założyć własne ognisko domowe i zostać ojcem rodziny. A w miarę podrastania własnych córek pilnował, by były piękne i ponętne, by ćwiczyły się w czułych przygodach i by w końcu przywabiły pod jego dach pracowitych zięciów.

Cykl kręcił się znowu od poczłtku.

Rewolucja i ostatnie dwa lata narobiły obrzydłej kaszy i paskudnie wlaży w paradę ojcom rodzin: namnożyło się różnych urzędników państwowych jak pluskiew, a ci nicponie, fuknłwszy, że czasu nie mają, ociłgali się z “robieniem zięcia”, chcieli brać zaraz dziewczynę do urzędu stanu cywilnego i już piorunem się żenić. Niby to zaszczyt, taki wpływowy zięć na stanowisku, ale na wszystkie duchy rodzinne, kto zapłaci za dziewczynę, kto za darmo obrobi ryżowisko? Mieli powód do zgrzytania na nowe czasy ojcowie dziewczyn i skwapliwie szukali zięciów zwykłych, normalnych, bez wysokich stanowisk i bez twardych karków, szanujących natomiast więte obyczaje i mających krzepkie mięnie.

Mong nie bawił długo w orodku administracyjnym i zanim wy jechalimy z Sonia, widzielimy go wychodzącego z budynku urzędowego. Nie znalazł tam wielkiej pociechy, zawiedli go, widać to było zaraz na pierwszy rzut oka. Pomimo że rogi turbanu sterczały mu równie buńczucznie jak poprzednio, na skwaszonej twarzy nie miał już zawadiackiego wyrazu. Była zachmurzona, markotna, ale oczy, wciłż zacięte, wiadczyły o tym, że nie upadł na duchu i tak łatwo nie ustąpi z pola walki.

Dowiedzielimy się, że władze, wiadome potęgi obyczaju, radziły Mongowi, by zgodził się na ustępstwo i “robił zięcia” chociażby przez rok albo dwa, czym zapewne ułagodzi tecia.

Junakowi przypadł więc los bojownika, który przedwczenie uderzył na okopy wroga.

20. Kręte były nie tylko drogi

Podniecające góry. Działy się w nich dziwne rzeczy. Droga, po której sunęliśmy, mimo że tak paskudna, dawała jednak pojęcie jakiego ład, łczyła miecinę z miecinł, wiodła do ludzi umiejłcych czytać i jako tako kontrolować życie. Natomiast góry były poza wszelkł kontrolł. Tam był chaos, a w tym chaosie chował się drapieżny zwierz i przyczajał się człowiek, mniej dziki od zwierzęcia, ale równie nieobliczalny.

Jak Puokowie pod Yen Chau, tak w górkim Zapleczu Sonia zagadnieniem stali się ludzie nielicznego szczepu Dao. Tych Dao w całej autonomicznej prowincji było zaledwie tysiłc trzystu, a pod Sonia chyba jedna czwarta tego.

W Sonia było moc wietnamskich żołnierzy. Gdy rano po przespanej w tej miecinie nocy wyszlimy na przechadzkę, grupki woaków stały tu i ówdzie w pobliżu wielkiej hali targowej. Stały beczynnne, nudząc się, a wielu żołnierzy jakim dziwnym przyzwyczajeniem Zzymało rękę pod koszulł, jakby musiało się tam drapać. Oczywiście nie drapali się; wzorowa czystość ciała u Wietnamczyków nie ulegała wstpliwoci. Był to po prostu mieszny nawyk. Podczas fotografowania żołnierze patrzyli nieufnie, bez umiechu na aparat, na tajemnicze, magiczne oko, które wizerunek ich zanieć miało z tych gór w daleki, obcy, może i krytyczny wiat.

Na placu, okalającym halę targowł, siedziało wiele przekupek tajskich z produktami okolicznych wsi. U takiej baby uczyniłem pier wszy krok drobnego usamodzielnienia się od spizarni naszej wyprawy i kupiłem litr wódki ryżowej. W wyszukaniu najznoniejszego bimbru pomagali mi kierownik Dien i tłumacz Tung próbując po kilka kropel z takim przejęciem, że niebawem

samopoczucie ich podniosło się o sporo stopni. |

Ba, wczorajsze wypadki i namiętne rozmowy na tematy kobiece i męskie nie minęły bez echa i podgrzały najwyraźniej oziębłą dotychczas postawę mej cnotliwej drużyny. Tego poranku przyjaciele moi już nie odwracali niechętnych oczu od młodych Tajek. Rozglądali się za nimi odważnie i uważnie, oczywiście rzeczowo, oczywiście szukając tylko twarzy do zdjęć fotograficznych, ale co za przełom, że w ogóle rozglądali się i dostrzegali płęć żeńską! Czyżby “le pays de l’amour”; zaczynał wciśgać ich pod swój urok?

Pełna krajobrazowego przepychu była dalsza kilkugodzinna]

podróż do Thuan Chau, stolicy prowincji autonomicznej Taj-Meo.

Moc pięknych widoków znowu aż do zachłynięcia. Dziwiłem się samemu sobie, że nie odczuwałem ani odrobiny przesytu, ni znużenia., Przecież już od kilku dni przyroda karmiła mnie bezustannie tym samym bogactwem, a mimo to zmysły pozostawały wciąż chłonne i wieże, czujne jak pierwszego dnia.

Na drodze do Thuan Chau zrozumiałem dlaczego: ludzie “le pays de l’amour” był równocześnie podniecający pod innym względem, mianowicie jako kraj wielkiego dramatu ludzkiego i szarpaniny duchowej. Jak na stokach górskich u Pucków działały się ukryte tam gedy, tak podobnie dolinami u wielu Tajów kłębiły się opary dotychczasowych zmagania. Przecież zaledwie dwa lata temu wdarła się tu burza dziejowa, największa, jaką człowiek w tych dolinach i na stokach kiedykolwiek przeżywał, i przewracała do góry nogami cały ład społeczny. Od niepamiętnych wieków pan feudalny był tu absolutnym panem, człek pańszczyniany wiedział, jak uginać swój kark przed nim, a niewolnik na stokach był niewolnikiem. Nie ulegało żadnym wątpliwości, kto kogo miał prawo bić i z kogo drzeć skórę, a kto miał

obowiązek znosić ciężki mniej lub więcej cierpliwie. Nie było to ani najlepsze, ani doskonałe, ale przecież swojskie, niechybne, znajome: wronięte, przede wszystkim za uznane przez duchy.

A oto z dalekich nizin u ujścia rzek do morza przybyli tu niedawno ruchliwi ludzie i prawili namiętne, zdumiewające, zatrważające słowa.

O sprawiedliwoci. I dziwne słowa zaraz wprowadzili w czyn: dziedzicznych panów wypędzali, a chłopom niemiłosiernie kazali kuć własne szczęście, nie oszczędzali nawet niewolników i kazali im być wolnymi.

mówili o miłoci i nienawici, ale przy tym tak zmścili wszelkie uwięzione dotychczas pojęcia, że dobrym ludziskom w końcu mieszało się kogo miłować, a kogo nienawidzić. Niektórzy ludzie zaczęli chorować z niepewności i strachu, jakby ziemia im spod nóg ustępowała, i pewnie nigdzie na wiecie rewolucja nie sprowadzała takiego zamętu i wstrząsu jak w tych górach Sip Song Czo Taj.

Jeszcze dwa lata temu niektórzy panowie kazali na gościńcu wszystkim przechodniom klękać przed sobą. Dziś, rzecz prosta, nikt już nie klękał, ale ten i ów bezwiednie sięgał do czapki czy turbanu na widok naszego samochodu. Nazbyt wymowny był na jego twarzy wyraz przestachu i nieufności do

ludzi jadących w aucie, którzy może przywoższ - lichy ich wie! - jakie nowe pogmatwania jego życia?

Jeli dawniej feudał był bezwzględny i nieobliczalny, to wszakże wszyscy poddani wiedzieli, jak się od tego opędzac i jakś przybierac postawę obronną. W okolicy Sonia istniała wśród Tajów legenda, znakomicie uzmysławiająca przebiegłość ludzi wobec pana.

Oto jej treć: Gdy Pha, czyli najwyższe bóstwo Tajów, przedstawiające siły twórcze przyrody i nieba, stworzyło wiat, z poczętku nie było to zbyt udane dzieło, po prostu fuszerka. Wszelakie drapieżniki rozzuchwalały się do tego stopnia, że groziły zupełnym wytępieniem innych, łagodniejszych zwierząt i także człowieka, w tych czasach mizernej jeszcze kreatury. Przeladowane niebożęta często zanosily swsz rozpacz do stwórcy, który w końcu zniecierpliwiony, postanowił

osobicie dociec prawdy na miejscu. Zszedł na ziemię i by poznać usposobienie stworzeń, udał umarłego. Drapieżniki zawyły z triumfu, przekonane, że teraz cały wiat stanie się ich łupem. Przerazenie padło na inne istoty, które wybrały się na wędrówkę, "by u zwłok stwórcy wypłakać swe żale.

" Nikt nie wiedział o podstępnie Pha piócz komara, który ukradkiem podpatrzył wybieg stwórcy. Tajemnicę po kumoterstwie komar powierzył zaufanemu żółwiowi. W czasie wędrówki ocięzwały gad nie mógł

nadżyć za innymi, więc człowiek zlitował się nad nim i wziął go pod pachę. Wzruszony tym żółw zdradził dwunożnej kreaturze podstęp Stwórcy. Gdy więc chytry człek - stanął u jego rzekomych zwłok, obłudnie uderzył w głony lament: "Dobry Pha, jak żyć mamy bez ciebie, wiat zginie w zamęcie! Nie opuszczaj nas, Pnś!" Uradował się okpiony stwórca widząc taki żal, bo na własne uszy usłyszał, kto prawy, a kto nikczemny. Zerwawszy się z ziemi, wrzucił wszystkie drapieżniki za karę w olbrzymie ognisko. Moc ich zginęła w płomieniach, a który uszedł żywy, lady ognia zachował na wieki. Zatem tygrys przysmażył

sobie żółte pręgi, pantera dostała czarne plamy, a nied'wied i dzik tak się usmolily węglem, że zachowały ciemną sierć do dzi. Natomiast człowieka wynagrodził Pha pięknymi darami, jak rozumem i panowaniem nad wszelkim zwierzem.

Od tego czasu Tajowie szanujsz żółwia jako opiekuńczsz gadzinę rodu ludzkiego i od tego czasu ludzie wydzielajsz spod pachy nieprzyjemny odór, bo w czasie wędrówki żółw zapomniał się pod ramieniem człowieka i popaprał go.

Opowieć powyższa, wielce rozpowszechniona wśród Tajów, była dla starych i młodych naukš postępowania i chytraci wobec pana.

Chytrac popłacała. Ale Taj, który mi gadkę opowiadał łamaną francuszczyzną, miał przy tym dziwnie markotną minę i pomrukiwał, że dawniej, hej, to były czasy, dobre czasy.

- A teraz niedobre? - zaciekawilem się.

- Teraz? - machnął ręką z lekka oburzony. - Dawniej rzędził

bogaty pan i dawał się wywieść w pole, a teraz? Ci nowi urzędnicy nie dadzą się wystrychnąć na dudka!...

Był więc surowym krytykiem i nie pochwalał nowych czasów. ^

które nawet szanownym legendom odbierały dawny, zdrowy sens.

21. Oczarował mnie szczep Meo

Radziecki gazik, twór nowoczesnej techniki, z ranym warkotem poskramiający szaleństwa wertepów, dalej moi wietnamscy przyjaciele, równie nowoczeni i rani jak ten gazik, a tu dokoła nieprzetarta, zbutwiała puszcza dziewicza i w niej umiętnięci lub zatroskani, ale zawsze próżniaczy Tajowie i ich starowieckie legendy - jakież to fantastyczne kontrasty w tym ustroniu! I jakie to dziwne! Tu wszystko raczej do uczucia podróżnika przemawiało, tu rozum uzależniony był

od wyobrani i pewnie nigdzie na wiecie nie wzbierały we mnie przeczucia tak silne, jak w tej włanie wyprawie. Wietnamczyków, dziełnych, bitnych i zagorzałych w swej postępowej namiętnoci, musiało nie szanować i lubić, Tajów - diabli wieź! - można było darzyć wielką sympatią albo i nie; ale prawdziwie, szczerze, serdecznie pokochać trzeba było w tych stronach jeden naród, który jak plemię orłów przyczajał się pod szczytami gór, by tam uczciwie żyć z dala od przewrotności dolin.

Byli to Meowie. Oni mnie oczarowali. Już w Hanoi zaciekały mnie wzmianki francuskich kronik o Meach i opowiadania wielu Wietnamczyków. Ale dopiero gdy zetknęłam się z ludmi Meo oko w oko w życiu codziennym, w ich naturalnym rodowisku, gdy poznałam szczegóły ich usposobienia, rósł mój podziw z dnia na dzień, zachwycałam się coraz bardziej. Niektórzy Anglicy, podróżujący po Afryce i w górach birmańskich, używali - na pewno bez uszczypliwości w stosunku do niektórych plemion pojęcia: the noble savage - szlachetny dzikus. Otóż w najszczytniejszym tego słowa znaczeniu wszelkie wybitne cechy takiego szlachetnego szczepu włanie skupiali w sobie Meowie. Nie było innej rady: musiałem ulec ich urokowi i zakochać się w nich bez reszty.

Nie to, żeby byli aniołami lub jakimi nadludmi bez skazy.

Włanie w dziedzinie najchlubniejszej, w ich historii, działy się niekiedy straszne rzeczy. W czasie pokoju uosobienie dobroci i łagodności, że do rany ich przyłóż, podczas wojen, bywało, Meowie miewali okresy nieludzkiego szału. Dopuszczali się wtedy okrucieństw, jakie nawet na Dalekim Wschodzie, tak otraskanym w tej materii budziły osłupienie i mroziły ludziom krew w żyłach. Ss w Północnym Wietnamie doliny, w których do dziś jeszcze snują się ponure wspomnienia najazdu Meów, dokonanego kilka pokoleń temu, w roku 1860.

Wybuchy takiego okrucieństwa powodowała rozpacz. Rozpacz ogarniała ich od czasu do czasu jak złoćcza choroba. Od kiedy Meowie weszli do historii - a weszli przeszło cztery i pół tysiąca lat temu silniejsi sssiedzi zawsze przeladowali ich i zawsze tępili jak dzikiego zwierza.

Kroniki starochińskie stronniczo przedstawiające Meów jako ohydne bestie, nie ludzi, pełne były szczegółów o bezustannych rojach, a z drugiej połowy XVIII wieku mamy już dokładne opisy także ze

ródeł europejskich, mianowicie misjonarzy dopuszczonych do Chin. Wtedy na przykład na pograniczu prowincji Syczuan i Kueiczou istniały dwa państwa Meów, a że górale dawali się we znaki napierającym na ich ustronia Chińczykom, cesarz chiński nakazał przykładowe ich ukaranie. Lecz trudno było wykonać rozkaz, bo wszystkie karne oddziały i w końcu armie, wysyłane przez chińskich gubernatorów w góry, bite na łeb, wracały zdziśnięte, a bywało, że o potężnych zastępach, liczących do kilkudziesięciu tysięcy żoł

nierzy chińskich, wybijanych do nogi, wieci zupełnie ginęły.

Wtedy cesarz Kao cung zrozumiał powagę zagadnienia i zmobilizował siły całych Chin, by zło z korzeniem wytępić. Zadanie powierzył

najdzielniejszemu ze swych generałów, Akujowi, dając mu nieograniczone rodki i uprawnienia. Akuj zabrał się do tej wojny z niebywałą energią. Roje Chińczyków w żmudnych walkach zdobywały góry po górze i zaraz zabezpieczały każdy wierzchołek i każdy wśwóz silną załogą, zanim postąpiły o krok dalej. Ale pomimo i takiej przewagi wynik wojny byłby niepewny, gdyby Akuj nie zdobył się na genialny pomysł. Meowie posiadali w górach odporne warownie, które zdobyć można było tylko przy pomocy armat, wszakże nie sposób było wcisnąć armaty na okropne bezdroża. Więc Akuj po prostu kazał swe działa rozcinać na drobne kawały i tak przenosić stromymi ciekami, a gdy przybywał przed bastion Meów, budował na miejscu odlewnię armat i lał je od nowa. Teraz bił wroga wszędzie, gdzie go napotykał, aż w końcu zdobył ostatnią twierdzę. Niezwyciężony dotąd król Meów, widząc bezowocność dalszego oporu, poddał się wraz z rodziną i z niedobitkami swych wojowników Akujowi wobec jego zapewnienia, że cesarz okaże pokonanemu łaskę.

Cesarz był innego zdania. Nie okazał łaski. Król Meów i jego starszyzna zginęli wśród wyszukanych tortur na publicznym placu przed cesarskim pałacem w Pekinie, a wszystkich innych jeńców rozdano jako niewolników żołnierzom zasłużonym w tej wojnie. Tak wytrzebiono większość Meów, ale inni, którzy w kryjówkach górskich jeszcze pozostali, nie myśleli się poddawać. Uchodzili na inne, górzystsze stoki, zaludniali góry południowych Chin, później Wietnamu, Laosu i nawet Syjamu i jakkolwiek dostawali się w sąsiedztwo ludów bezustannie dybiących na nich, obronili swą niezawisłość. (Obronili) i dopiero w ostatnich latach, kiedy w Chinach i w Wietnamie Pół

nocnym zaszły radykalne zmiany ustroju, Meom przyznano, po raz pierwszy w ich historii, prawo do ludzkiego życia.

Jeli jest rzecz dziwna że dzielny naród ostał się pomimo takich przeciwności, trwających kilka tysięcy lat, to jeszcze dziwniejsze, wręcz nieprawdopodobne wydać się musiały zalety jego charakteru.

Ci nieposkromieni wojownicy byli z natury rozbrawajsko łagodni, bezgranicznie uczciwi, wręcz naiwnie prawdomówni i uczuciowi i jak większość ludów pierwotnych nadzwyczajnie górzni. Pomimo doznanych w przeszłości prześladowań i pomimo ciężkich warunków bytu na wyżynach górskich byli dziecinnie pogodni, weseli, skłonni do wzruszeń; byli dumni, ale nie wyniośli, natomiast ofiarnie przyjani i uczynni wobec wszystkich sąsiednich plemion, które ich nie gnębiły.

Jasny umysł i inteligencja pozwalały im fabrykować od wielu pokoleń własną broń palną, którą,

nieroztropni w swym zaufaniu do ludzi, nieraz sprzedawali na swś zgubę Tajom, zaborczym sśsiadom.

Pochodzenia niedwuznacznie mongolskiego, Meowie tworzyli w tym azjatyckim wiecie przebiegłoci i wiecznie chciwych poźśdań tak uderzajścy wyjśtek, że zastanawiali niejednego etnologa. W odmętach otaczajścego ich despotyzmu byli jakś zbłśkanś wyspś cudacznej prostodusznoci. Czyż dziwić się, że u zachłannych sśsiadów, jeli tylko liczniejszych niż Meowie, budzili niezdrowe apetyty - i czy dziwić się, że tak rozmiłowałem się w tym niezwykłym ludzie, który żył

wród obłoków, nigdy nie chciał mieć pana nad sobś, a dziwacznie kojarzył w sobie męza, wojownika i dziecko?

Na gocińcu, którym zbliżaliśmy się do Thuan Chau, zwykły poranny ruch. Co kilka kilometrów szedł jaki wędrowiec lub gromadka Tajów, czasem Meów. Nigdy oni nie szli razem, bo jakkolwiek Tajowie i Meowie zgodnie współpracowali obecnie w zarządzie swej prowincji autonomicznej, to jakie tam opary wzajemnej nieufnoci, zakorzenionej od wieków, widocznie jeszcze nie rozwiały się do czysta.

Zauważyłem dwóch ciekawych Meo: rśbali drzewa na brzegu puszczy i kloce układali w sagi obok drogi. Kazałem zatrzymać samochód.

- Jesteśmy powyżej dziewięciuset metrów nad poziomem morza - oznajmił tłumacz Tung wskazujśc na pracujścych.

- Czy Meo nigdy nie pracujś niżej? - zapytałem.

- Rzadko kiedy. Nie znoszś ciepła, zaraz chorujś. W doliny schodzś tylko na kilka godzin, żeby sprzedać swe płody i zakupić soli, ‘ zaraz zmykajś w górę...

Obydwaj Meo uderzali niezwykłym wyglśdem: starszy z nich, zaokrśglony tłucioch, przypominajścy raczej zażywnego kramarza chińskiego niż górala, miał tuszę zgoła niebywałś u suchych zazwyczaj Meów powyżej lat trzydziestu. Natomiast towarzysz jego był wyjśtkowo przystojnym młodzianem o pięknym owalu twarzy, po prostu urodziwym efebem pomimo lekkiego zezą w łagodnych oczach. Gdy do nas się umiechał pełen niewieziej niemiałoci, wypisz, wymaluj: nadobne dziewczę, a nie chłopak. Pomylałem sobie z humorem, któremu z mych głonych w Polsce kolegów po piórze najbardziej podobałby się czarowny chłopczyna, jeli uroda jego nawet i mnie olniła?

Elegant nosił dokoła szyi siedem czy osiem srebrnych kół, znacznie cieńszych niż zazwyczaj u Meów, jakby uzmysławiajścych jego delikatny gust, a na czterech palcach lewej ręki janiała niezwykła ozdoba: cztery olbrzymie srebrne piercienie w kształcie pazurów drapieźnego zwierza.

- Narcyz, Narcyz! - umiechałem się do czarusia i jego piercieni dajśc mu poprzez tłumacza do zrozumienia, że zainteresowała mnie jego pokane ozdoby.

Chłopak był skromny, niemiałý i nic nie mówił, za to opasły jego towarzysz trochę znał wietnamski język i wesoło przyjmował nasze pytania.

- To istne pazury tygrysa! -podziwiałem.

Grubas kiwając głowę zachichotał rano i potwierdził, że tak, zgadłem, to jak cztery pazury tygrysa, a dostał je od szamana, żeby mógł się lepiej obronić.

- Obronić, od kogo? - zapytałem. - Od duchów?

- Gdzież tam! - jęknął Meo uciesznie, przewracając oczyma. On musi bronić się od innych chłystków, takich młokosów jak on.

Nie dajś mu spokoju, nastajś na niego, więc szaman dał mu srebrne pazury...

- Nastajś na niego? Dlaczego? — zapytałem naiwnie.

Otylec aż zaniósł się od wielkiego ubawienia, a oczy iskrzące się urzędliwie wesołości prawie ginęły mu pod obrzękłymi powiekami. Strzelając palcem na młodziana parsknął:

- To mieszny typ: miłosne figle mu tylko we łbie! Za wiele zakazanych igraszek!

- A to figlarz! - przyznałem, a ponieważ stroiło się już żarty tak bez osłonek, otwarcie mierzyłem chłoptasia przyjaznym wzrokiem należycie oceniając jego niewieciś urodę i odpowiedniś niemiałość?

- To okropny uwodziciel! - miał się dalej starszy Meo. Ma łajdak powodzenie u wszystkich...

— U wszystkich, u wszystkich! - powtórzyłem z wielkim zrozumieniem.

- Nie oprze mu się żadna jucha! — dalej grubas wychwalał

swojego towarzysza. - Żadna dziewczucha!

- Ach, to jednak tak! - wyrwało mi się i spojrzałem na kawalera z jeszcze większym zaciekawieniem.

Więc młodzian pomimo zwodniczych pozorów, był chłopakiem normalnym i zadawał kłam niemialej minie: jak się wyjaniło, był

to bałamut nie lada, osławiony donżuan i rozrabiacz słynny na wszystkie góry.

Jowialny grubas okazał się rozmownym gadułą - wyjątkiem wśród Meów także i pod tym względem - i zabawnie zdradzając sercowe tajemnice swego młodszego towarzysza równocześnie odkrywał przed nami rśbek niezwykłych obyczajów.

Wśród Meów - rzecz zrozumiała u górali o tak żywiołowym poczuciu niezawisłości - nie było wżysku zięcia przez tecię, jak to zakorzeniło się u Tajów, i narzeczony nie potrzebował latami wysługiwać sobie żony. Jedyńm jego obowiśzkim było wyprawić sute wesele, a gdy młody nie miał na to rodków ani zasobnych krewnych pomagających mu, zadłużał się u tecię i potem własną pracę spłacał u niego dług. Lecz zdarzało się to tylko w tym jedynm wypadku, poza tym ojcowie dziewczyn nie

mieli wiele do gadania. Dziarscy junacy nie dawali się zjeść w kaszy i bez miłosierdzia gwałcili prawa teciów, ile wlaźło. Ulubionym ich kawalerskim sportem i najpewniejszym sposobem zdobycia sobie żony było wykradanie dziewczyny. Wykradali zawsze swe umiłowane, gdy tychże ojcowie stawali okoniem.

Działo się to oczywiście za cichš zgodš młódki i skoro nazajutrz po wykradzeniu młody gwałciciel przyprowadzał córkę do jej chaty rodzinnej, ojcu jej nie wypadło nic innego, jak zgodzić się na Małżeństwo: wszyscy wiedzieli, że chwata spędził noc w lesie z lubš ‘ wstępnej ceremonii małżeńskiej stało się zadoć.

Otóż podobnie postąpił pół roku temu nasz czarowny bohater.

Wua Ze - tak bowiem się nazywał - upatrzył sobie jednš z najpewniejszych dziewczyn swego szczepu, jakie żyły na stokach między Sonła a Thuan Chau, i sšdził, że wystarczy tylko raz dla niej zagrać na flecie, a upragniona sama wpadnie mu w objęcia. Alici spotkał

go upokarzajšcy zawód: po raz pierwszy w swoich amorach spotkał się z rekužš. Dumna bogdanka miała już może serce zajęte albo czóła odrazę do takiego lowelasa, doć że nie chciała go. Nie i nie. Wtedy Wua Ze, dotknięty w swej ambicji, sięgnš do niezawodnego zwyczaju meoskiego, zaczął się z dwoma kamratami w pobliżu pola, na którym ona pracowała, napadł i uprowadził jš w odległe pustkowie górskie Tam z niš-zamieszkał. Dziewczyna zaciekle się broniła i nie ustawała w oporze. Musiał jš gwałcić i przemocš więzić.

Jakkolwiek rzadkie, przeciež w romantycznej historii Meó”

bywały i takie wykradania dziewczyn przeciw ich woli. Przeważnie branki poddawały się po pewnym czasie losowi. Ale nie tym razem harda dziewczyna zawzięła się w swym oporze, a pieszczoty Wua Ze tylko potęgowały jej wstręt i nienawić.

Do afery wmieszał się nowy czynnik: lokalna władza. Władze nowego ustroju na ogół przez palce patrzyły na dawne obyczaje, ale w tym wypadku stało się inaczej. Ojciec uprowadzonej, jak również jej dotychczasowy wielbiciel wszczęli alarm tak skuteczny i mieli takie wpływy, że pobudzili władzę do czynu. Którego poranku zjawili się w kryjówece Wua Ze stróżem bezpieczeństwa i szorstkš, acz Sprawiedliwš dłoniš przerwali pomyłoniš sielanekę. Wua Ze powędrował do więzienia, a oswobodzona dziewczyna wróciła na łono uradowanych rodziców. Ojciec jej miał wielu popleczników, więc huzia na Wua Ze, wszyscy psioczyli, a ujadali, a starali się mu dopiec nawet w więzieniu...

- Jako mało dopiekli, skoro Wua Ze jest oto na wolności przerwałem opowiadanie grubego Mea.

On znowu zachichotał w przypiływie jakiej zagadkowej uciechy i wytłumaczył, że Wua Ze jest jeszcze w więzieniu, a wypuszczono go tylko dlatego, żeby pokutujš nadal za przestępstwo ršbał dla władzy drzewo. Po zršbaniu pójdzie pewnie znowu za kraty.

Przy tych słowach gruby Meo dziwnie się zachowywał. Dusił

w sobie dzikš wesołość, a oczy jego tryskały iskrami bezmiernego kpiarstwa. Owiadczył, że pora im co przekšsić i gromkim głosem krzyknšł w stronę lasu, skšd odpowiedział mu kobiecy głos. Stał tam pod drzewami szalas “obydwóch robotników. Wkrótce wyłoniła się z zaroli młoda niewiasta i przyniosła w garnku gęstš zupę z kuku rydzy. Gdy się zbliżyła, Meo wskazał na Wua Ze i na niš i wielce rozradowany oznajmił:

— Jego żona!

Była to ładna dziewczoja o typowej urodzie Meów, miała zdrowš, wysadzistš postać i mocny wyraz twarzy. Oczywiście ani w części nie dorównywała uroczemu Wua Ze, w którym musiała być diabelnie zadurzona, co wynikało z ukradkowych spojrzeń, jakimi muskała swe bóstwo.

- To szybko się pocieszył po tamtej dziewczynie! - westchnšłem z zachwytem.

- Po tamtej?! - rozbawiony Meo wybuchnšł grzmišcym miechem- - Ależ to wcišż ta sama!

- Jaka ta sama? Ta, którš wykradł i która go tak nie cierpiała?

- Tak jest, panie, ta sama! Wsadzili go do więzienia za to, że jš wykradł i gwałcił, a teraz wszystko do cna się zmieniło i ona jego gwałci swš mięts do niego, ale więzienie się nie zmieniło. Wua Ze wcišż odbywa karę za dawne gwałcenie. Ha!...

W tym “ha!” krotochwilny grubas zamknšł cały swój poglšd na *zawiloć postępowania kobiet i na sprawnoć wymiarów sprawiedliwoci, a gdy podjęlimy jazdę kręts drogš przez puszcze, zadumany przyznałem grubasowi słusznoć: tu kręte były nie tylko drogi.*

22. Nie chcę widzieć szpitala!

Gdyby nie przygodne przystanki i zawieranie znajomoci ‘W czasie jazdy, drogę między Sonia a Thuan Chau, doć dobrze ubitš, jakkolwiek kręts, można by odbyć naszym gazikiem w trzy godziny.

Marudzilimy, więc do Thuan Chau przybylimy dopiero około drugiej po południu, w największym upale. W cišgu ostatniej godziny droga obniżyła się o kilkaset metrów i z chłodnych wyżyn Meów znowu Zeszlimy w ciepłš krainę Tajów.

Na skšpej i niedbale wykonanej w Warszawie mapie Indochin nie ma oczywiście stolicy Thuan Chau, czemu nie dziwić się, jeli machnięto rękš takżę i na znacznie większe, a stare miasteczko Sonia, główne skupisko Tajów Czarnych. Czemu stolicš autonomicznej prowincji nie zostało ludne Sonia, lecz nikła wioska Thuan Chau?

widocznie dlatego, ażeby nie urazić Tajów Białych, żyjšcych dalej na północy, antagonizm bowiem między Tajami Białymi a Czarnymi istniał od wieków i niestety jeszcze nie wygasł zupełnie i dzisiaj.

Thuan Chau to mała i typowo nieciekawa miecina, w której łatwo było odróżnić trzy odrębne części: wzdłuż głównej drogi cišgnie się kilkusetmetrowy szereg wielkich szalasów-lepianek ze sklepami należšcymi do przedsiębiorczych wietnamskich kupców i rzemiełników przybyłych tu po wojnie z

Dłty, na wzgórzach powyżej drogi stoją solidniejsze, choć parterowe budynki administracji prowincji, a poniżej drogi, za domami kupców, tłoczą się w błotnistych zaułkach nad brzegiem jeziora bambusowe chaty tubylcze na palach: to pierwotna wioska Tajów.

Za owym półkilometrowym jeziorkiem o intensywnie zielonej toni wznosi się dość strome góry, a gdzie dolina czyniła w nich wyłom, bieli się kilka obszernych zabudowań, niedawno powstałych, co łatwo było poznać po czystości cian. Już w pierwszych dziesięciu minutach po przybyciu na miejsce wiedziałem, co to za budynki za jeziorkiem.

To szpital, przedmiot powszechnej miłości i dumy. Dumni z niego byli wszyscy: zarówno Wietnamczycy mej wyprawy, jak i urzędnicy administracji, dumni wietnamscy kupcy i również chłopcy Tajowie.

- Szpital! - tłumacz Tung mówił do mnie tak czułym głosem, jakby słowo to upajało go, i wyczekująco spoglądał na mnie.

- Okazały szpital, imponujący! - chętnie mu przyznałem, bo tak w istocie było.

— Po obiedzie będzie wiele czasu. Może pójdziemy do szpitala? - proponował.

- Pójdziemy gdzie indziej, na miasto, między kupców... rozwiąłem jego nadzieje.

Zatrzymaliśmy się na postój w jednym z budynków administracyjnych, przeznaczonym dla gości i bardzo czysto utrzymanym, i tu mieliśmy przenocować. Ngo Van Quy i jego orszak kucharski rano zabrali się do przygotowania posiłku, ale zanim zjedliśmy smaczny jak zwykle obiad, zroszony tym razem moją wódką ryżową kupioną w Sonia, była już trzecia. Przy kawie Tung, konsekwentny i wytrwały, podjął kuszenie, bo ta myśl nie dawała mu spokoju.

- Warto obejrzeć szpital! - zachęcał miło się umiechając. Nikt nie pożałuje tego. Wszyscy dotychczasowi goście nasi, przejeżdżając tędy, odwiedzali szpital i byli bardzo zadowoleni!

- Nie wątpię ani chwili, że byli zadowoleni - żywo odparłem ho to piękny wasz wysiłek, taki nowoczesny szpital w tych odległych górach. Ale czyżby tych gości to najwięcej interesowało?

- O, jeszcze wiele innych rzeczy ich interesowało...

Parsknąłem wesoło:

- Wiem: polityka, produkcja, budownictwo społeczne...

- A towarzysza - zapytał zatroskany Tung - co interesuje najwięcej u nas?

Oho, to mi pytanie! Zamigotało mi czerwonym wiatelkiem przestrogi. Poczułem, że trzeba odpowiedzieć godnie i poważnie, ażeby moi przyjaciele z pałacu Potockich na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie nie powstydzili się mnie, więc podnosząc z lekka pier, czoło j głosem obwieciłem ze szlachetnym patosem:

- Najwięcej interesuje mnie wasza polityka kulturalna!

Tłumacz Tung i kierownik Dien umiechnęli się z uznaniem i spojrzeli na siebie.

- Oczywiście polityka kulturalna wśród mniejszoci narodowych - dodał Tung.

- Tak jest! - odrzekłem.

Przyjaciele przyrzekli, że zaraz przekażę moje życzenie orodkowi administracyjnemu.

Dziwne, że dotychczas nikt z orodka nie zjawił się na powitanie, jak to zawsze bywało w każdej większej miecinie po drodze. Zaraz po naszym przyjeździe duch opiekuńczy Chung pobiegł z nieodstępny tekś do orodka zgłosić nasz obecność, ale obiad zjedlimy sami.

Stała mi żywo w pamięci nieprawdopodobna pycha dawnych despotów na Wschodzie i jak to na przykład jeszcze w dziewiętnastym wieku dumny przedstawiciel Anglii musiał na klęczkach zbliżać się do tronu, by uzyskać audiencję u cesarza chińskiego. Czego się nie robiło, byleby handel szedł! Wspomnienia te mocno mnie rozmyszyły, bo jakże zestawić tu boskiego cesarza z prowincjonalny władz republiki ludowej? Ale Dien jako kierownik naszej wyprawy był jednak cokolwiek zaniepokojony i natychmiast po obiedzie popieszył do orodka, podczas gdy Tung i ja powędrowaliśmy na włóczęgę po osadzie.

Thuan Chau nic osobliwego nie przedstawiało, a o tej porze dnia było wprost smutne i nudne. Zabralimy ze sobą aparaty fotograficzne na ludzi i siatkę na motyle. Ale motyle trzymały się tylko na skraju osiedla, gdyż wabiła je tam bujniejsza rolinność, ludzie zaś, w godzinach porannych rojnie i gwarnie tu się uwijający malowniczy gromad, dawno już odpłynęli do swych odległych wiosek i na stoki górskie. Na pustawym gocińcu leżały jeszcze sterty towarów wyłożonych w pobliżu kramów. Z rzadka widziało się mieszkańców głównej ulicy, Wietnamczyków i Wietnamki, w stożkowatych kapeluszach ze słomy, a jeszcze rzadziej Tajów. Ulica wyludniła się niemal całkowicie. Gdy mała, wstła Tajka w czarnym turbanie, w towarzystwie dwóch Wietnamek, przechodziła obok sterty białych kapeluszy wietnamskich, patrzyła na to godło Deltę z napięty, trwożny uwag.

Na tej ulicy tłumacz Tung rozsierdził się okrutnie. Oburzyło go zdzierstwo kupców, jego rodaków. Za drewniany kuferek, kosztujący w Hanoi osiem tysięcy dongów, tu dwadzieścia pięć tysięcy brali krwiopiję. Wybornie ubawiło mnie poczciwe oburzenie Tunga i gotów byłem uciskać głowę przykładowego zapaleńca. Tungu, kochany młodzieńcze, bądź cierpliwy i wyrozumiały, bo na trudnej drodze do socjalizmu zapewne jeszcze niejedna spotka ciebie gorzka niespodzianka i to nie tylko ze strony prywatniaków!

Wczynie wróciwszy z miasta, w domu zastaliśmy już kierownika Diena z zadowolonym umiechem. Orodek administracyjny był

w porządku, usprawiedliwił się, że teraz nie miał czasu, za to kilku jego przedstawicieli zapowiedziało się do nas na wspólną kolację wieczorem. Tymczasem przydzielono nam do dyspozycji cennego pomocnika, mianowicie przedstawiciela służby kulturalnej, Kujona, który podobno doskonale znał obyczaje wszystkich szczepów i miał naszej wyprawie towarzyszyć, dopóki

będziemy przebywali na terenach Tajów.

Dien zaraz przyprowadził owego Kujena, leciwszego Tajś Czarnego około pięćdziesiątki. Niestety ów ekspert od kultury nie znał ani w zśb francuskiego języka, więc poredniczyć musiał znowu Tung; wiadomości, siłš rzeczy, docierały do mnie z drugiej ręki. Kujen miał

spokojnš, zamkniętš twarz i czynił wrażenie osowiałego flegmatyka, niezbyt szczęliwego, że kazano mu włóczyć się z nami po kraju.

Gdy po kilkuminutowej z nim rozmowie znalazłem się na chwilę sam na sam z Tungiem, wyjawilem przyjacielowi swój niepokój: - Ten Kujen jaki smutny. Może on niechętnie z nami jedzie?

Uwaga moja wydała się Tungowi tak nieprawdopodobna, wręcz niedorzeczna, że z poczštku nawet nie zrozumiał, co miałem na myli.

Dopiero gdy dokładniej mu wyjaniłem, spojrział na mnie oczyma okršgłymi ze zdumienia.

- Ależ camarade! Przecież on dostał polecenie!

Dla niezorientowanego mogły słowa Tunga wydawać się absurdem, ale z twarzy młodego przyjaciela biła cała szczerza wiara w słuszność takiego przekonania. Dyscyplina, dobra wola i entuzjazm były dla niego jednoznaczne.

Nie zważajšc na markotnš minę Kujena postanowiłem wykorzystać go z całych sił i wziłem zaraz na wypytki: co chciałby mi pokazać najciekawszego?

- Szpital! - obwiecił bez namysłu.

Wykrzywiłem usta:

- Szpital nie. I co jeszcze? ^

Płomyk zdziwienia, do którego, nawiasem mówiąc, już się przyzwyczailem, ożywił oczy Kujena wobec takiego okazu z bratniej republiki ludowej, który tu, w Thuan Chau, nie chce widzieć nowego szpitala. Kujen poczuł się wyranie wykolejony, speszony.

- Co z ciekawszych obyczajów tutejszych! - nalegałem. Czy nic nie macie?

Kujen musnł mnie z ukosa podejrzliwym spojrzeniem chcšc zbadać, czy mówię poważnie, i wyburczał półgębkiem, jakby z bólem serca zdradzał czułš tajemnicę niegodnemu profanowi: - W Huana od kilku dni przygotowujemy han kuong.

Nic nie rozumialem, a Kujen pełen nieufnoci i obawy patrzył

mi na usta, czy ich nie wykrzywię. Nie wykrzywiłem, natomiast zacząłem żywo dopytywać się. Huana było wioskš, oddalonš o cztery kilometry od Thuan Chau, a obyczaj han kuongu, jak się okazało, był tym, co Francuzi nazywali cours d'amour, czyli konkurami miłosnymi.

Doć naczytałem się przeróżnych zachwyków o tych słynnych cours d'amour, więc nie ukrywałem swego zapalu: chciałem widzieć koniecznie han kuong.

- Odbywa się co noc, jak tylko zrobi się ciemno - wyjanił

Kujen, który na temat han kuongu chwalebnie się ożywił. Hań kuong, Jak się okazało, był jego konikiem.

Słońce stało wciśz wysoko na niebie, do zachodu było więcej niż dwie godziny. Miałem wielkš ochotę zrobić kilka zdjęć jeszcze przy wietle dziennym, więc zapytałem Kujena i przyjaciół, czy nie dałoby się odbyć han kuongu o godzinę lub dwie wczniej niż zazwyczaj.

Ochota udzieliła się i mojej kompanii, która żarliwie podjęła mył.

i w istocie w kilka minut póniej posłaniec wyskoczył na rowerze do Huana, by uprzedzić i przygotować wie, a my pomknęlimy z w niespełna pół godziny na naszym gaziku.

23. Hań kuong czyli konkury miłosne.

Wszyscy Francuzi i inni podróżnicy, opisujšcy po zwiedzeniu krainy Tajów swe przeżycia, nieodmiennie najbarwniejsze stronicie powięcali owym cours d'amour, konkurom miłosnym. Stanowiły one zawsze wielkš atrakcję obyczajowš wszędzie tam, gdzie zamieszkiwały ludy wywodzšce się z pnia Tajów. Obyczaj polegał na tym, że w porze suchej z nastaniem ciemności młodzież obojga płci schodziła się na wybranym do tego celu wiejskim placu, na którym zazwyczaj budowano wielkie podium z trzciny i bambusa, około półtora metra ponad ziemiš - i tam odbywały się zaloty. Były to istne turnieje krasomówstwa i dowcipu. Dziewczyny siedziały na podium u góry, przedšc nici na kołowrotkach przy wietle ognisk. Na dole na ziemi zbierali się chłopcy i co rusz który improwizował pod adresem swej wyróżnionej piewkę bšd sentymentalnš i powaźnš, bšd żartobliwš i złoliwš lub zgoła pieprnš. Dziewczyna odpłacała się pięknym za nadobne i odpowiadała mu swojš piosenkš, niemniej dowcipnš, uczuciowš lub cięťš.

I tak na przemian obydwójce sobie przypiewywali ku uciesze krytycznych słuchaczy młodych, starych i nawet dzieci.

Trzeba było mieć głowę na karku, by wyjć cało z tych osobliwych zapasów, a cóż dopiero, by wzišć górę nad rywalami i zdobyć ogólny poklask, a wyróżnienie u dziewczyn. Młodzież tajska, nad wyraz zmysłowa, dobrze wiedziała, jak wykorzystywać nocami gaje wiejskie i tam mistrzem był najsilniejszy w łędwicach, lecz tu, na han kuongu, rozstrzygały inne, wyższe walory: inteligencja, błyskotliwość, bystroć umysłu, poetyczność, żartobliwy dowcip. Był to dosłownie turniej, bo gdy młodzian celnie odpowiedział na zagadki zadane mu przez dziewczynę, dostawała mu się nagroda i mógł usišć na podium obok swej wybranki. Tu młodzi Słonimscy byli asami.

Owe nieposzednie duchowe ambicje i uznanie dla sprawności umysłowej, występujšce w dziedzinie tak właciwie odległej od intelektu, bo seksualnej, lecz tak zarazem ważnej w życiu Tajów - niemodnie były dobroczyнным owocem wpływów chińskich. Zanim Tajowie rozprzestrzelenili się po

wszystkich dolinach między południowymi Chinami a Zatoką Syjamską, żyli w bezprecedensowym sąsiedztwie Chińczyków i pod przemożnym wpływem ich kultury. A przecież wiadoma rzecz, jakim poważaniem otaczano uczonych, poetów i w ogóle ludzi intelektu w Chinach, gdzie generał szedł zawsze za mężem nauki, a jeśli chciał coś znaczyć, musiał wykazać, że jest nie tylko zabijak, lecz także uczonym. Wiatr kultury chińskiej przenikał, rzecz prosta, do wszystkich ludów i plemion sąsiednich, a że u Tajów wpływy te najdostrzegalniej uzewnętrzniały się w konkurencjach miłosnych, to jeszcze jeden dowód wprost niebywałego znaczenia u nich wszystkiego, co związane z życiem seksualnym.

Konkury miłosne były specjalnością Tajów, tak samo jak zwyczaj eze, czyli "robienia zięcia". Znamienne, że gdzie eze występowało bujnie, tam i konkury hojnie się krzewiły. Nietrudno domyślić się wzajemnej zależności i więzi jednego z drugim, aż dziw, że francuscy autorzy tego nie dostrzegli. Konkury były dla młodzieży tylko poetyckim uzupełnieniem jej prozaicznych baraszków, tylko uszlachetniającym dodatkiem do jej nocnych figli, natomiast dla rodziców - ważnym narzędziem kontroli. Konkury kierowały pociąg zmysłów na obyczajne i legalne tory, budziły u młodych dążenia ku wzniolejszym myślom, przede wszystkim za - i to najważniejsze - dawały rodzicom wszechstronną kontrolę nad tym, co kto z kim robił, który do której się podbierał, w jakim stopniu się palił. Jak widać, moralność i tu także służyła całemu społeczeństwu w interesach materialnych.

- Hań kuong - tłumaczył Kujen - poszło podczas wojny całkiem w zapomnienie. I pewnie byłoby na zawsze stracone, gdyby nie nasza troska o to, żeby godziwe zwyczaje i zabawy ludowe od nowa zakwitły. W Huana od kilku tygodni trwają pierwsze próby wskrzeszenia han kuongu...

- I udane?

Kujen zawahał się chwilę, ale ani nie drgnął powiekami.

- Bardzo udane! Ludzie garną się co dzień. Starzy, młodzi...

- Młodzi też?

- Przede wszystkim młodzież, pomimo że to dla nich zupełna nowość, pierwszorzędna. Ale starsi im pokazują, jak to było przed wojną, i młodzi zaczynają smakować w tym...

Jasne było, że władze ludowe przywracały konkury miłosne do dawnego życia nie w interesie ojców córek i ich eze, lecz na to, by tłumić wybujające popędy młodzieży tajskiej i przyswoić jej swe pojęcia surowości obyczajowej. Więc zbliżając się do Huana, byłem trochę podniecony wiadomością, że zbliżamy się do jakiegoś pola walki.

Ciekaw byłem nie tyle wskrzeszenia dawnej tradycji, ile przede wszystkim tego, w jakim stopniu cierają się dwie skrajne zasady obyczajowe i jak oficjalne zabiegi władz dają sobie radę z gorącym temperamentem młodzieży.

Jazda samochodem trwała tylko kilka minut tym samym gościńcem, którym przyjechalimy do Thuan Chau. Gdzie niewielki strumyk przecinał drogę, wysiedlimy, jakkolwiek żadnej wioski widać nie było.

cieżynś wzdłuż strugi zapucilimy się w górę po lewej stronie drogi i już po kilkuset krokach rozwarła się przed nami rozległa, piękna dolina ryżowa, okolona zewsząd doć stromymi stokami.

Słońce, zniżajšce się ku zachodnim szczytom, i rozgorzałe od blasków powietrze uwzięły się, by nas oczarować. Wszystko płonęło w tej chwili urzekajšcymi połyskami złota różnych odcieni. Złotem wieciły żółte cierniska ryżowe i białe stromizny gór wapiennych, różowiły się zielone bukiety drzew na wysokich urwiskach skalnych i nawet lazurowa kopuła nieba nad dolinš. A co było tak złote od słońca, miało w sobie jakby umiech pełen dobrej wróżby. Na wie Huana, której pierwsze chaty leżały tuż, tuż przed nami o kilkadziesišt kroków, padał już cień najbliższej góry, ale nie był to cień posepny, bo i samš wie “dziwnie opromieniały odbicia od przeciwległych, osłonecznionych wcišż stoków. Takš to serdecznš wiatłociš nieba i ziemi witała nas Huana, co wzięlimy za dobrš zapowied konkurów miłosnych.

Niestety, wie nie była jeszcze gotowa. Nie z jej winy. Tajowie nigdy nie opuszczš okazji do zabawy, a tu okazja nastęczała się nie byle jaka: zjawił się podróżnik z dalekiej Polski, Balan. Jedynym powodem nieprzygotowania wsi był brak czasu. Gdy niespełna pół godziny temu ludzie się dowiedzieli, o co chodzi, młodzieź i starsi pracowali jeszcze na ryżowiskach.

Odpowiednio do rozległoci ryżowisk była to wie ludna o kilkudziesięciu chatach i doć zamoźna, jeli wnosić z rozmiarów niektórych domostw. Reforma rolna miała tu podobno przebieg łagodny i większość dawnych notablów pozostała spokojnie na miejscu, jakkolwiek okrojono im nieco grunta i przydzielono, je biedocie. Niezależnie od oto słonecznej pogody wyranie unosił się w Huana duch zadowolenia i ochoty. Nie dziwiłem się, że włanie tę wie wybrano do pierwszych prób konkurów miłosnych. Ludzie widocznie znaleli tu tajemnicę szczęcia i wyglšdali, jakby stale chciało im się umiechać.

Przede wszystkim tańczyć, bo bez tego nie można sobie wyobrazić młodych Tajek. Pierwsi żniwiarze i żniwiarki już wracali z pól. Szli gęsiego, po kilkoro, rozcišgnięci w długš linię czarnych, zadziwiajšco wysmukłych postaci. Dwigali na nosidłach nielekkie koszyki pełne ziarna ryżowego, a mimo to poruszali się z wdziękiem, widywanym czasem u nas tylko na pokazach mody. Tu nikt niczego nie pokazywał, wszystko odbywało się z największ prostotš i naturalnociš, a jednak Tajki nie kroczyły, lecz najwyraniej płynęły po cieźce w jakim

powiewnym, stłumionym plšsie.

Były to panny, narzeczone i młode mężatki, a obcišłe spódnice, długie do kostek, jeszcze bardziej podkreślały posuwistoć ich kroków.

Kto mi wytłumaczy, jakim cudem te chłopki, wykonujšce przecieź cięžkš robotę w polu i w domowym gospodarstwie, umiejš zachować do pónego wieku tak wiotkie, smukłe kibicie i tyle mimowolnej taneczności w każdym ruchu? Nic, tylko oczy wybałuszać i podziwiać.

A oto z chaty wyszła kobieca postać naprzeciw żniwiarzom.

Wyszła? Nie, wyfrunęła, wymignęła sunšc w lekkich, potoczystych lansadach. Chaszcze okolicznych gór obfitowały w pawie. To niechyb’nie od pawi wzięła młoda niewiasta rozrzutnoć gibkich ruchów,

przepojonych jakby cichym podnieceniem. Niech jś diabli wezmś, skśd brał się u niej ten wdzięczny patos?

Gdy tak mknęła wyginajśc górńš część ciała zuchowato do tyłu, a prawś dłoniś podpierajśc sobie bok, przysiśgłbym, że były to pierwsze figury hiszpańskiego tańca, żywcem przeniesionego w azjatyckie wertepy. Ale Tajka nie myślała teraz o tańcu. Szła ku żniwiarzom i co

do nich wołała; jej taneczne ruchy były bezwiedne.

- Czy na han kuongu odbywajśc się także tańce? - spytałem.

- Nie, tańce to inna rzecz. Przyjdzie i na nie kolej. Tu na razie wznawiamy konkury miłosne - wyjanił Kujen.

Przygryzłem wargi na to słowo “wznawiamy”, brzmiało jako

zabawnie, jak gdyby uczucia i zalecanki można było poddawać jakim

planowanym zabiegom.

Huana dopiero teraz, po naszym przybyciu, dowiedziała się, że chodzi o popiech, o wykorzystanie ostatnich kwadransów dziennego wiatła do zdjęć fotograficznych. Więc życzliwi mieszkańcy zaczęli zgarniać się szybciej. Zaprowadzono nas na nieduży majdan w porodku wioski, na którym stało trzcinowe podium do han kuongu. Podium tworzące kwadrat mniej więcej na dziesięć kroków z każdej strony, miało mogło pomieścić kilkudziesięciu ludzi. Niestety, żywej duszy jeszcze na nim nie zastalimy.

Słupy, na których stała estrada, wzbijały się wysoko ponad niś i były połączzone z sobś wielu powrozami, a na tych powrozach-girlandach trzepotały w powietrzu skrawki białego i kolorowego papieru, wycięte w kształcie ryb. Platforma i owe ozdoby rzewnie przypominały mi estrady dla naszych wiejskich kapeli, przygrywających podczas tańców majowych, tylko że podium huanaskie było obszerniejsze - ale przyjaciele moi zaraz mnie pouczyli, że te papierki w kształcie ryb to wcale nie ozdoby, lecz ważne wyobrażenia duchów nader bogatego asortymentu, mających czuwać nad han kuongiem. Z uczuciem maleńkiej zazdroci westchnśłem na myl, jak te dobre duchy im tu na każdym kroku pomagajśc, i podumałem sobie, czy w drodze wymiany kulturalnej nie warto było wypożyczać od Tajów kilku zespołów biegłych duchów wraz z papierkami dla niektórych naszych instytucji, potrzebujących właśnie takiej samej pomocy.

Zbieranie się mieszkańców wsi na majdanie przerwało me słodkie marzenia. Podeszedł do nas sympatyczny gospodarz jednej z pobliskich chat i poprosił, żebyśmy wstśpili do niego na herbatę. Miał ujmujśc godne obejcie, a na głowie, jak wielu Tajów, nosił czarny beret - lad francuskich wpływów i widomy dowód dawnej zażyłości francusko-tajskiej. Niestety, liczyła się w tej chwili każda minuta, więc nie było czasu na herbatę i bardzo grzecznie odmówiłem.

Był to szczególny Taj, cieszc się wielkim poważaniem we wsi i Względami u władz: szedł z postępem czasu, a jednś ze swych córek wydał bez eze - “robienia zięcia” - za urzędnika orodka

administracyjnego prowincji. Przyjmując moją odmowę z powściągliwą uprzejmocią oświadczył, że chata jego zaczeka, dopóki nie dokonamy zdjęć.

Tymczasem ludzie schodzili się, lecz mało pojawiała się głównych bohaterów han kuongu, młodzieży, a ona była przecież najważniejsza.

Tłumaczyło to się częściowo jej pracą na polu do późnej pory i konie

czności wykšpania się. Więc na razie wlażyły na podium same starsze panie z kulistymi kokami na czubkach głowy. Wnosiły kołowrotki i kłęby bawełny w koszyczkach i siadając na niskich zydelkach przędły nici. Miny miały jakie niewyrane i w swych czarnych sukniach wyglądały niby nadśsane sowy. ”

Zwróciłem na nie uwagę tłumacza Tunga;

- Jakie smętne te niewiasty! Pewnie wołałyby siedzieć w swych chatkach przy wieczerzy? ; ; ; Tung sumiennie zasięgnął wiadomości u Kujena, po czym wyjanił:

- Nie, camarade Kujen zaręcza, że one nie są smętne. To tylko pozory myśli.

- A te ich smutne oblicza?

- Camarade! -umiechnął się Tling jak człowiek głębszej wiadomości. - One nie są smutne, lecz skupione nad pracą...

Więc zjawiały się powoli starsze roczniki męskie i żeńskie i zabawiały się dzieci. Młodzież dojrzała jeszcze się kšpała, przebierała w lepsze odzienie i jak nie przychodziła, tak nie przychodziła. Nareszcie ukazały się dwie wystrojone dzierlatki - wystrojone, bo miały wieże bluzki ze srebrnymi sprzścškami na przedzie, których to ozdób nie noszą przy pracy w polu. Ale dzierlatki nie były w sosie.

Co prawda przybywali teraz i poniektórzy chłopcy w wieku konkurów miłosnych, ale bynajmniej nie kwapili się do zabawy. Bo ostatecznie do kogóż mieli się zalecać? Do leciwych matron, które obsiadły podium w braku młodych dziewczyn?

Role się odwróciły: to my, przybysze, stawaliśmy się teraz przedmiotem największego zaciekawienia na tym placu huanaskim.

Tymczasem słońce okrutnie się zniżało, a cień góry wydłużał się i gęściej pokrywał już wszystkie okoliczne ryżowiska. Przeciwnie stoki jeszcze promieniały czerwonym blaskiem słońca, ale w samej wsi dnia szybko ubywało. Z każdą minutą wzmagał się wycięg ze wiatem i do zdjęć należało już używać całkowicie otwartej soczewki.

Konkury miłosne zawodzą - tłumaczono mi - bo jeszcze zbyt wczesna godzina. Wpadało spieszenie pokazać coś innego. Choćby grę na flecie, nieodłścznym instrumencie zakochanych.

Flet odgrywa na Dalekim Wschodzie niezwykle ważną rolę w sprawach miłosnych. Używaj go

wyłącznie mężczyźni, a kto umie na nim dobrze grać, jest panem serc niewieści. Zapewniano mnie, że w jego miękkich, wstłych na pozór tonach tkwi taka nieprzeparta moc czaru, że zakochany może bogdane nie tylko wyznać dźwiękami wszystkie uczucia, jakie nim miotają ale zmusić ją do goręcych łez i oddania mu się na zabój.

- Mamy tu w Huana słynnego flecistę - oznajmił Kujen. Jeszcze niedawno temu niejedna kobieta zanosila się od płaczu, gdy go słuchała.

- I zapominała się z nim? - spytałem.

Kujen obruszył się, trochę dotknięty uwłaczającym posądzeniem, albowiem także on, aktywista służby kulturalnej komitetu administracyjnego prowincji Taj-Meo, podzielał oficjalny pogląd na cnotliwość Tajek i w ogóle był zwolennikiem surowych obyczajów.

Słynny flecista znajdował się na majdanie i już grał na flecie.

Podeszliśmy do niego. Był to Taj nie pierwszej młodości i niezbyt wielkiej urody, za to nosił tropikalny kask na głowie i zegarek na przegubie. Silił się z wielkim przejęciem nad melodią miłosnego zaklęcia. W każdym razie szeptało mi, że to zaklęcie, któremu żadne serce kobiece oprzeć się nie potrafi. Z przykrością stwierdziłem, że moim niewyrobionym uszom wydało to się jałowym kwileniem. Ale europejski ignorant zapewne nie znał się na rzeczy i był w błędzie, bo gdy musnął wzrokiem swe najbliższe otoczenie -, Tunga, Diena, Chunga, Kujena i dwóch czy trzech przedstawicieli wsi - wszyscy mieli w oczach mgiełkę prawdziwego wzruszenia.

Obok flecisty siedział staruszek, który mimo że kruchy, przywlokł

się na uroczystość. Do uszu jego pewnie już nie wiele docierało z uwodzających zaklęć miłosnych, ale całe resztki życia skupiły się w jego oczach: z lekliwą troską leżała moja twarz, by wyczytać w niej wrażenie, wywołane grą flecisty. Wobec natchnienia flecisty i podniosłego zachwyty mych przyjaciół czułem się jak wietokradca.

Przypadkiem spojrzałem w bok. Cóż to? Stała tam młoda matka z dzieckiem na plecach i również słuchała gry. Ale nabożeństwa w oczach nie miała. A to niecnota! Kobiątka nie mogła powstrzymać swej wesołości i zakrywając usta dłońmi miała się w kułak. W taki humor wprawiły ją miłosne zaklęcia flecisty.

Rozejrzałem się dokoła. Pełno było już ludzi na dziedzińcu i panował przyciszony gwar. Kto stał blisko, był wsłuchany w tony fletu tak grzecznie i bacznie jak moi przyjaciele, ale dalsi Tajowie nie słuchali wcale, bo niewiele słyszeli. Wtem uderzył mnie widok trzynasto-czternastoletniej dziewczynki, stojącej nie opodal z małym braciszkiem na plecach, całym zawiniętym w chustę. Ów dojrzewający podłotek był chyba jedynym słuchaczem, wchłaniającym ze szczerą uczciwością dźwięki fletu. Dziewczątka miało piękne; czarne oczy, w tej chwili tak zadumane, że z pewnością naiwna jego duszyczka ulatywała gdzie daleko, marząc złote sny o miłości.

A obok stały dwie trochę starsze dziewczyny. Jeszcze bardzo młode, ale już nie naiwne kozy, już dowiadczone. Na pewno znawczynie życia i gry na flecie. Niezawodnie wiedziały co to zaklęcie

miłosne i jak je należy wyrażać, toteż, kipiśc od niezadowolenia, nie ukrywały na twarzach swych wstępliwoci. Gdyby flecista wiedział, jakim wymownym grymasem jedna z nich wyraziła rozczarowanie, toby strasznie załkał na flecie.

Nie, co tu dotychczas nie kleiło się, konkury zawodziły. Flet rozbrzmiewał na razie fałszywš nutš. Jedynie dzieci nie sprawiały zawodu. Były naprawdę rozkoszne. Ich ciekawoć - nie udana, ich lepska - miałe i namiętne. Ileż uroczej czujności tkwiło w wielkich oczach licznej dziewczuszki, ile niekłamanego zuchwalstwa w małym urwisie, gdy tych dwoje natężonym wzrokiem pożerało mój aparat!

Dzieci były szczere i liczne. One dopisały.

Gdy nic nowego już się nie działo, a beczynność zaczęła być kłopotliwa, gospodarz pobliskiej zagrody przypomniał się na szczęście z herbatš. Ponowne zaproszenie przyjęliśmy z ochotš. Chata jego była nie tylko większa niż sšsiednie, ale wchodziło się do niej schodkami, a nie, jak do innych domostw, po drabinie o zwykłych szczeblach.

Na końcu trzcinowej werandy myła się córka gospodarza, przybyła niedawno z pola. Rozebrana do pasa, rano pluskała rękoma w wiadrze z wodš.

Gdy usłyszała nas wchodžcych na werandę, zwróciła się twarzš ku nam i bynajmniej nie zmieszana swš nagociš, powitała nas wesołymi słowami i przyjaznym umiechem. Miała twarz otwartš i kształty ciała wydatne. Uradowany przesłałem w duchu pozdrowienie Źuławskiemu, nareszcie bowiem przydybałem Tajkę z obnażonymi piersiami. .

Biust miała nader kształtny. Gdy jš w tym stroju pół-Ewy zobaczyli moi trzej wietnamscy przyjaciele, nie strzelił w nich piorun tylko dlatego, że byli zdyscyplinowani i trzymali się mocno w garci, asz na chwilę struchleli, a oczy stanęły im w słup. Niekoniecznie dlatego, że ujrzeli nagš kobietę, chociaż i to mogło wzburzyć cnotliwš drużynę. Domyliłem się właściwej przyczyny ich wstrzšsu: przyzwyczajeni do drobnych kształtów Wietnamek, na własne, żywe oczy zobaczyli po raz pierwszy mocne, jędrne ciało kobiece. I to ich chyba siekło, to ich przeraziło. Gdy wkroczyliśmy w głšb mrocznej chaty ; siedlimy na zydelkach przy stole, nieboracy dopiero po dobrej chwili doszli z sobš do ładu i oprzytomnieli.

Ale serdeczna gocinność gospodarza szybko odsunęła te wrażenia na dalszy plan. Dojrzewały nowe i miłe powiŹzania. Na dolinę spłynšł

różowy, słynny wieczór krainy Tajów, tak często wychwalany w różnych eposach. Już dawno odwołano mobilizację konkurów miłosnych, ludzie rozeszli się po chatach i Huara wróciła do siebie. W powietrzu unosił się nastrój, znamienny dla wioski tajskich. Nastrój beztroskiej gawędy; życzliwoci, ukojenia, słodkich marzeń, poufnych szeptów.

To wszystko odczuwałem tego wieczoru i znakomicie rozumiałem podróžnych, którzy posmakowawszy raz uroku tajskiej wsi, na długo chcieli zamieszkać wśród szczęśliwych ludzi.

Nie udały się konkury miłosne, ale to inna sprawa. Gdy o zapadajšcym zmierzchu ruszyliśmy w drogę

powrotnŃ, byłem mile podniecony i milczŃcy. Przyjaciele moi, ho, ho, byli rŃwnieŃ podnieceni, lecz oni wyładowywali siŃ w potokach słŃw. Rozprawiali gorŃczkowo po wietnamsku, a głŃsy ich czasem twardniały, czŃsto miŃkły, czasem narzekały, czŃciej pieciły. Złapało ich jak sto diabłŃw, opętało ich, aŃ strach, jak gdyby erotyczny bakcyl wtargnŃł do ich pojęć i potrŃcił

niewzruszony dotychczas mur.

Byli jak upojeni, ale to dłuŃgo nie trwało. JuŃ w połowie drogi oprzytomnieli, uspokoili siŃ, cichli, wrócili w swe utarte, oficjalne koryto. Zamilkli. Raz tylko tłumacz Tung westchnŃł niechŃcy i niby daleki głŃs odchodzŃcej burzy, wyrwało mu siŃ: — Bycza była, psiamać!

Powiedział to zapewne do mnie, bo po francusku.

*- AŃ tak przypadła wam do gustu? - zdziwiłem siŃ żartobliwie.

Tung siŃ opamiętał i zwŃchał pismo nosem. Szybko przeskoczył

na inny dźwięk głŃosu;

- Nie wiem, co camarade ma na myli. Bycza była wycieczka do Huana..*

” - Aha!

Gdy zbliŃzaliśmy siŃ do pierwszych zabudowań Thuan Chau, było juŃ prawie ciemno i kilka słabych wiatełek po drugiej stronie jeziora wskazywało siedzibę szpitala. Wszyscy widzieliśmy te wiatła.

- Tam szpital! - odezwał siŃ Kujen z głębokim zadowoleniem.

- Tak, szpital! Piękny szpital! - przemŃwił Tung czule, jak mówi siŃ o czym bardzo bliskim i lubianym.

- Szpital, piękne dzieło! - zawtŃrowałem im.

Szpital wszedł mocno w krŃg naszych myli. Szpital przywracał

przyjaciołom wiadomoć ich obowiŃzkŃw, krzepił ich duchowe siły i precz odganiał bezecne pokusy.

- Warto by jutro odwiedzić szpital, naprawdŃ warto! - usłyszałem w ciemności gorŃsz zachęte jak bzyk muszki, i juŃ wiedziałem, Ńe przyjaciele znowu weszli pewnym krokiem na swe posterunki.

24. Szczęliwi nędzarze SŃ

W kwaterze sprawnoć naszej ekipy znowu wiŃciła triumfy: wszystko było gotowe. Nie tylko stół był wieŃo nakryty i ładnie przystrojony do kolacji na siedem osŃb, ale i nieodzowna misa z ciepłŃ WodŃ czekała juŃ na mnie, a obok niej stali wesoło umiechnięty piewak Tuyen z ręcznikiem w ręku i wcale nie umiechnięty, lecz pełen naczupurzonej powagi nasz “doktor”, Dang Lieu. Gdy spełniłem

ceremonię ochłodzenia się z kurzu, wystąpił Dang Lieu i chrząknął. Dowiedziałem się za pośrednictwem tłumacza Tunga, dlaczego był na mnie rozżalony: nie dbałem o higienę i od trzech dni nie zmieniałem spodni.

- Już się robi! - buchnęłam miechem okropnie skruszony i chciałem pobiec do mej walizki.

Dang Lieu grzecznie mnie powstrzymał i bez słowa wskazał ręką na krzesło, stojące w pobliżu. Leżała na nim moja walizka, otwarta, a obok wyłożone wieże spodnie i koszula.

Dang Lieu miał słuszość: w wieżach spodniach i koszuli poczułem się jak w siódmym niebie.

Uwagę moją zwróciły czerwone afisze, wiszące na cianach naszej kwatery i zawierające hasła. Tung wyjaśnił, że to pradawny zwyczaj wietnamski i chiński, by w pierwszym dniu wiosny kalendarzowej, to jest na początku lutego, wypisywać na czerwonym papierze i wywieszać mądre sentencje, pozostające potem na cianie przez cały rok albo i dłużej. W kwaterze wisiały zdania, wypowiedziane przez Ho Szi Minha i polecające społeczeństwu poszanowanie majątku publicznego, troskę o owoce także wkładanie całego serca i wszystkich sił w służbę ludowi. Tak to przyjęto prastarszą tradycję zastosowując ją szczęśliwie w nowych warunkach.

Wkrótce przybyli goście z ośrodka administracyjnego, dwaj Tajowie i jeden Wietnamczyk. Wietnamczyk władał biegle francuskim językiem, więc zaraz od pierwszych chwil wszczęliśmy żywą i miłą rozmowę w nastroju coraz doskonalszym, jako że nasz kucharz Ngo Van Quy wysadził się, jak umiał, a wódz ryzowa też swoje robiła.

Następnego poranku wyruszyliśmy w drogę do późno, etap bowiem tego dnia, od Thuan Chau do Tuan Giao, nie był duży i dało się go łatwo przebyć w niespełna trzy godziny. Na domiar gociniec, lubo wciśz kręty, był tu wyjściowo dobry, bo niedawno starannie naprawiony, a to z pewnością dlatego że ten odcinek najstraszniej ucierpiał podczas wojny od francuskiego lotnictwa: wszakże już zaledwie o dzień jazdy za Tuan Giao, odskokiem w lewo ku zachodowi rozciągała się słynna dolina Dien Bien Phu, tak fatalna dla Francuzów.

W ogóle stwierdziłem rzecz oczywistą, że najgorsze wyboje podczas podróży mieliśmy w pierwszych dniach po opuszczeniu Deltę, a im dalej w głąb kraju, w dalszą głąb, tym lepszy był trakt.

W gaziku zrobiło się ciasno, bo przybył Kujen, ale ponieważ wszyscy, z wyjątkiem Kujena, chętnie opuszczali Thuan Chau, a poranek wstawał liczny i promienny, więc i humor dopisywał nam niezgorzej; nawet czoło Kujena, niezbyt uszczęśliwionego „radosnym poleceniem”, jakby się wypogodziło. Kawałów towarzysze nie potrafili opowiadać, gdyż nie byli to Polacy ani Rosjanie, ale umiemy łatwo wpływały im i mnie na twarze.

Trącąc tłumacza Tunga łokciem w bok zapytałem: - No, jakże tam? Wspomnienia po wczorajszym dniu... bycze sż?

Tung odpowiedział, że han kuong, niestety, nie doszło do skutku, ale to z naszej winy, bo za późno wie powiadomiliśmy, za to doznaliśmy w Huana innego przeżycia, przyjemnego i głębokiego, z którego Tung i reszta jego przyjaciół jeszcze nie ochłonęli.

Słyszęc to nie wierzyłem własnym uszom i zbity z tropu, spojrzałem na Tunga, jakbym go teraz dopiero poznawał.

- Rozumiem doskonale - odparłem uradowany.- I rzeczywiście jeszcze nie ochłonęlicie z tego smacznego widoku?

- Z wrażenia gry na flecie! - odrzekł Tung niemal wzruszony.. - To było co nadzwyczajnego! To wielki wirtuoz! Zastanawiałimy się z camarade Kujenem, że może dobrze byłoby posłać flecistę do Hanoi na jaki festiwal muzyczny i żeby mu dano zaszczytną nagrodę.

Odważnie przyznałem, że nic a nic nie wyczuwałem piękna we wczorajszej grze na flecie, ale gdy przypomniałem sobie drwiśce miny mieszkańców Huany wobec gry flecisty, otucha we mnie wstąpiła, że inni tak samo czuli - wybuchnąłem miechem.

- Naszemu gociowi wesoło! - grzecznie stwierdził Tung.

- Tak, bo przyszedł mi na pamięć jeden z wybitnych działaczy kultury w Polsce, to był dopiero chwyt! Ja to ignorant fletowy, za to on znał się na wszystkim. Był specem od festiwalów muzycznych i od zaskakujących nagród. Ten .na pewno obdarzyłby nagrodą waszego flecistę...

- Czy to był ważny człowiek? - spytał Tung.

- Minister! - odrzekłem z dumą.

Na drodze często siadały dzikie gołębie. Trochę mniejsze niż nasze i inaczej ubarwione, ale zresztą okazujące wszystkie cechy rodziny gołębiej. Zupełnie tak samo jak u nas miały hultajski zwyczaj siedzenia na ziemi do ostatniej chwili i zrywania się tuż-tuż przed kołami samochodu nabawiając nas za każdym razem nerwowego dreszczyku, że zderzą się z blachą maski. I tak samo jak nasze gołębie nigdy nie zderzały się.

Patrzyłem na zuchowate ptaki na drodze i serce miękło mi jako

na myśl, że tyle tysięcy mil dzieliło mnie od skrzydlatych andrusów w ojczyźnie, a przecież i tamte, i te tutaj miały zupełnie jednakowe nawyki, jak gdyby z jednego gniazda pochodziły. A ludzie? Ludzie tak samo. Innej rasy, obcego języka, skrajnie odmiennych warunków bytu, a przecież jacy byli mi bliscy chociażby z tymi marzeniami o festiwalach muzycznych i o nagrodach. ‘

Nieco później zwróciłem się do Tunga:

- Ta myjsca się dziewczyna... czy to była najmłodsza córka gocinnego gospodarza? - ‘ ; Tun^nie zrozumiał pytania, a twarz jego przybrała zupełnie jałowy, nieokrełony wyraz. ‘

- Jaka myjsca się dziewczyna?...

- No, ta na werandzie chaty... z odkrytym biustem.

- Nie widziałem takiej.

- Przywitała nas wesołym słowem...

- Camarade, nie pamiętam jej. To chyba jaka pomyłka! -.

dodał i kściki jego ust leciuchno się poruszyły, jak gdyby musnął jś niedostrzegalny umieszek. - Czy na werandzie była w ogóle jaka

dziewczyna?

I tak samo jak Tung zapewniali jednomylnie kierownik Dien duch opiekuńczy Chung i działacz Kujen, że nie widzieli żadnej dziewczyny na werandzie.

Charakter gór, wśród których mknęliśmy, nie zmienił się, i tak samo nie zmienili się napotykanymi z rzadka ludźmi. Byli to wciśz Tajowie Czarni, a czasem Meo. Ale za jakim skrzyżowaniem za strumieniem ujrzelimy odpoczywajęcš gromadę dwudziestu kilku wędrowców, mężczyzn, kobiet i dzieci, uderzajęcych swš odmiennociš. W oczy rzucało się ubóstwo, zaniedbanie ich podartej odzieży i jaka niechlujna mieszanina wszystkiego, co noszš tu na sobie Tajowie, Meowie i nawet Wietnamczycy. Ale to nie była żadna z tych narodowoci, co łatwo dało się poznać po dużym dekolcie, jakim obnażały swe zaokršglone wdzięki niektóre młodsze kobiety. Nigdzie dotychczas w Wietnamie nie spotkałem niewiast z dekoltami, a cóż dopiero z tak mięłymi dekoltami.

- Kto oni? - zapytałem Kujena.

- Sš! - odrzekł z lekceważeniem.

Kazałem zatrzymać samochód.

- Czy warto? - burknšł Kujen. - To dzicy. Nic ciekawego.

- Warto! Wysiadamy!

Przyjaciele wietnamscy, przepojeni szacunkiem dla mniejszoci narodowych, choćby najbardziej zacofanych, byli również zdania, że warto, więc wyskoczyli za mnš, po czym i Kujen wysiadł.

- Nie gardzę tymi Sš, nie - tłumaczył - ale sš to, za przeproszeniem, diablo brudni nicponie i lenie nic nie warci, przynajmniej na razie...

W ustach przedstawiciela narodu Tajów, tak ubóstwiającycych dolce far niente, wymyślanie innym od leni miało zabawnš wymowę.

Wreszcie zatem natknšłem się na osławionych nieszczęsnych Sš.

Ośławionych - bo w Indochinach byli i sš plemieniem żyjącym na najniższym szczeblu prymitywu, zgnunienia i zabobonu, a nieszczęsnych - bo wiele wieków temu ujarzmieni przez Tajów, zduszeni, lecz nie wytępieni, wypchnięci na stoki górskie, zostali u swyc panów niewolnikami gorszymi niż bydło robocze. Saowie, zmuszeni sami dbać o swe utrzymanie, równoczenie na każde zawołanie swyc panów musieli stawiać się do najcięższej harówki, trwająccej nieraz całe miesiŃce. Przypadł

im los podobnie srogi jak Puckom pod Yen Chiu.

Etnologicznie Saowie przedstawiajś kapitalne zagadnienie. To nie sś Azjaci jak wszyscy ich sśsiedzi, Tajowie, Meowie, Chińczycy czy inni, lecz należś do szczepów Południa. Stanowiś najbardziej na północ wysunięty odłam licznej rodziny malajo-indonezyjskich ludów, żyjścych, jak wiadomo, na wyspach dwóch, oceanów, Indyjskiego i Spokojnego, w rozległym trójkście, którego południowa podstawa ciśgnie się od Madagaskaru przez wyspy Sundzkie do wyspy Wielkanocnej, a którego szczyt północny sięga oto do Rzeki Czarnej, w której dorzeczu włanie wędrowalimy.

Saowie uchodzś za pramieszkańców tej ziemi, podczas gdy wszystkie inne ludy, Tajowie, Mejowie i im podobne, napłynęły tu póniej. W Laosie i Syjanie pobratymców Saów nazywajś Kha, natomiast w Kambodży i Wietnamie Południowym - Moj, słowo znaczśce tyle co: dziki. Tymczasem nie wszyscy oni pozostali dzikimi, gdyż ci, którzy żyjś na równinach dorzecza dolnego Mekongu, po zlanu się z hinduskimi najedcami w pierwszych wiekach naszej ery, stworzyli potężne państwo .Khmerów o tak wysokiej cywilizacji, że pozostałe po nich ruiny dawnej stolicy w Angkor stanowiś dzisiaj siódmy cud wiata. Obecni Kambodżanie to podupadli potomkowie dawnych Khmerów.

W porównaniu z Mojami, zaludniajścymi południowe pasma Gór Annamskich na pograniczu Kambodży i Wietnamu Południowego, Saom nad Rzekś Czarnś przypadł raczej srogi los. Tam na południu niektóre szczepy ciesź się do dnia dzisiejszego względnś niezawisłociś, a tacy żywotni Rade osiśgnęli nawet pewien poziom kultury. Jakże inaczej było na północy. Tu Saowie, ujarzmeni od wieków, trawieni głodem, nie umieli już nawet marzyć o innym życiu jak tylko w niewoli u Tajów, a cilej mówiśc w niewoli u tajskich feudałów, bo tym panom nędzarze służyli. Gdy francuscy komendanci tego okręgu, ogarnięci chęciś poprawienia ich doli, kilkakrotnie występowali z zamiarem Utworzenia osobnych gmin Saów, uniezależnionych do Tajów, sami Saowie temu się opierali. Tak im lęk przed tajskimi panami wróś

W duszę, iż więcej bali się zemsty bliskich Tajów, nili liczyli na życzliwoć rzśdców możniejszych, ale odleglejszych.

Gdy wyskoczywszy z samochodu weszlimy między Saów, nasze nagłe pojawienie się wcale ich nie zakłopotalo ani nie speszyło. Witali nas od razu objawami przyjani, co mnie trochę zdziwiło u takich dzikusów, wychowanków przepastnych chaszcy, i u nędzarzy, którym niewolnictwo tak dopiekło. Co prawda od dwóch lat nie byli już niewolnikami, a panów ich przepędzono na wszystkie wiatry, ale czyżby po tylu wiekach mogli się zmienić tak gwałtownie i radykalnie?

A oni byli uprzejmi, zdumiewajśco uprzejmi, umiechnięci, więcej powiem: zgoła towarzysko wyrobieni. Dopiero gdy ruszyłem mózgownicś, doszedłem do przypuszczalnego sedna rzeczy.

Ich całkowita uległość i doszczętnie rozbrojenie się, ich uprzejmoć i umiechy nie były niczym innym, jak jedynś w tych warunkach obronś, umożliwiajścś im w przeszłoci utrzymanie się przy życiu i przetrwanie. Gdyby kilkaset lat temu wykazali choć ziarenko usposobienia Meów i stawili najedcom czynniejszy opór, już wtedy przestaliby istnieć i przepadliby z powierzchni ziemi. Oni tymczasem nie przepadli, dociśgnęli do dnia dzisiejszego, ażeby oto umiechać się do nas i grzecznościś zjednywać sobie nasze względy.

Widząc, że Kujen porozumiewał się z nimi z pewną trudnością, zapytałem go, jakim językiem oni władają.

- Żadnym! - odrzekł z przekśsem. - Czy to język? To zlepek wszystkich języków.

- No dobrze. Ale jak między sobą rozmawiajś?

Kujen nie wiedział dokładnie i zaczął wypytywać kilku Saów.

Chętnie udzielali mu wyjaśnień, ale on w końcu zniecierpliwiony wzruszył ramionami:

- Powiadajś, że to ich własny język i takim ze sobą gadajś. A to są słowa tajskie, tylko szkaradnie zepsute i przeplatane wietnamskimi.

Trudno ich zrozumieć.

Mniejsza o to, jak w rzeczywistości miały się tu ich sprawy językowe, to przecież wiedziałem, że w innych okolicach Wietnamu i także w Laosie, gdzie ich nie trapił los tak niepomyślny, Khaowie posługiwali się jeszcze własnym językiem.

Natomiast całe ich opuszczenie się występowało w odzieży.

Odzież, szczególnie odzież kobiet, to wśród mniejszoci narodowych na Dalekim Wschodzie ważna i wielka rzecz. Ale podczas gdy wszystkie sąsiednie ludy pilnowały jak oka w głowie odrębności swych strojów, Saowie zawieruszyli tę żywotną troskę do szczytu i nosili na sobie, co im podmuch fantazji i przypadku nastęczał. Spostrzegłem więc na nich części odzienia Tajów, Francuzów, Meów, Wietnamczyków, Chińczyków, jednakże stare kobiety, a także dorastające podlotki najchętniej przystrajały się w bluzki Tajek ze srebrnymi sprzśczkami.

nosiły Je niedbale rozpięte lub zapięte tylko do połowy, odkrywające z przodu część ciała. Z daleka na pierwszy rzut oka można je było wziąć za swawolnie ubrane Tajki i - ejże, może tu było ródło omyłki Żuławskiego, twierdzącego, że Tajki miały obnażone piersi albo brzuchy? Przez te mniej więcej wertepy pieszył on do Dien Bien Phu i niewykluczone, że w przejedzie mignęły mu przed oczyma kobiety Sś, ubrane jak Tajki.

W rysach twarzy - co za pieprzny bigos ras! Tylko kilkoro Saów miało czysto malajskie cechy w twarzach i w krępowych postaciach, reszta nosiła piętno innych, przeróżnych zasiewów. Na ogół ludzie ci nie byli brzydzy. Niektóre młodsze kobiety odznaczały się bujną niemal urodą, niektórzy młodszy mężczyźni mieli regularne rysy i rozumne, nawet inteligentne oblicza. Ale można było poznać od razu, że kobiety tych niewolników padały w przeszłości łupem niejednych zaborców i różni gasili na nich swe żądze. Gdy między innymi sfotografowałem grupę trzech Saów, to trzy odrębne typy znalazły się na jednym zdjęciu: pierwszy, ładny młodzian o owalnej twarzy i w białym turbanie, wyglśdał na Hindusa, drugi, pucołowaty tępak, niedwuznacznie zdradzał pochodzenie malajskie, trzeci za w słomianym kapeluszu przypominał Wietnamczyka lub Chińczyka z południa - a wszyscy trzej byli to autentyczni Saowie z tego samego rodu.

Saowie - czytałem w różnych opisach - tak zbiednieli i podupadli ponieważ nie umieli porządnie

robić, nawet w polu należycie pracować i nie znali najprostszego rzemiosła. Byli podobno tak leniwi, że w próżniactwie na łeb bili swych panów, Tajów, a to nie faramuszki.

Posiadacz zwykłego noża uchodził za bogacza, a kubki mieli z bambusa, garnki z dyni. Że na szyciu wcale się nie znali, dowiadczyłem sam osobicie. Przywiozłem z Polski moc igieł i rozdajść je po drodze napotkanym niewiastom wielkš im frajdę sprawiałem. Nie było Tajki czy kobiety Meo lub Yao nie przyjmujšcej igieł skwapliwie. Otóż zamierzałem je rozdać takżę i kobietom Sš, ale dostałem tęgię kosza: Nie chciały wziść, nie znały igieł, bały się dotknść ostrych diabelstw.

Tylko jedna, bardziej rozgarnięta babuleńka, przyjęła podarek i domagała się nawet więcej. Wiedziała - co po chwili zdradziła cichutko chichocżśc - że w sklepie Chińczyka może je. wymienić na zabaw.

niejsze przedmioty.

Na mojš i wietnamskich towarzyszy przyjacielskš zażyłość Kujen patrzył zboląły, otuliwszy się milczeniem pełnym cierpliwości i polito.

wania. Stojśc na rodku drogi palił papierosa jednego za drugim i swój krytyczny żal wydmuchiwał w kłębach dymu, który dobywał się z jego zaciniętych ust jak para z wentyla. Ale w końcu Kujen przemógł się i ruszył, niedopałek rzucił mocno o ziemię i podchodżśc do nas owiadczył, że chciałby mi opowiedzieć jednš z legend laotańskich jakš słyszał o plemieniu Sš oraz jego pobratymcach Kha i Mój.

Tajemnicza przeszłość tych szczepów oraz ich odrębność stworzyły wśród ich sšsiadów niezliczonš masę legend.

A więc: Bok Segeru, mityczny praojciec ludzkoci, pewnego razu upił się do nieprzytomności winem z ryżu i nagi legł na murawie.

Najstarszy jego syn szydził głośno z pijanego, podczas gdy drugi syn, litociwszy, osłonił ojca bananowymi lićmi, a trzeci syn zakrył -go nadto swójš szatš nie miał przy tym ze wstydu spojrzeć na nagie ciało.

Po przebudzeniu się Bok Segeru zażšdał wyjanienia, a gdy dowiedział

się o tym, co zaszło podczas jego słaboci, wybuchnšł wielkim gniewem na najstarszego syna. Zdarłszy z niego całe odzienie wypędził go nagiego do puszczy. Żona wygnańca podšżyła za nim i zrywajśc górńš część swej sukni zrobiła mu przepaskę dokoła bioder. Z tej pary pochodżśc szczepy Sš, Kha, i Mój, u których kobiety majš odkrytš górńš część ciała powyżej pasa, a mężczyźni noszš tylko nabiodrniki.

Poza tym szczepy te za karę żyjš w nędzy i w poniżeniu niczym dziki w lesie. Natomiast dwaj cnotliwi synowie stali się przodkami Laotańczyków i Wietnamczyków; ci ostatni, słynni z dobrych obyczajów i wysokich cnót, wywodżśc się, rzecz prosta, od trzeciego syna Boka Segeru.

Kujen był zadowolony z siebie, udało mu się. Opowiadaniem swoim zręcznie ubił dwie muchy naraz, bo sypnął mimowolnym pochlebstwem w stronę Wietnamczyków, a Saom przypisał łątkę.

Jednak w jego historii najwięcej mnie zainteresowały biblijne echa, z którymi już nieraz się spotkałem w tych stronach. Było właściwociś tego olbrzymiego kontynentu, że od jednego jego końca do drugiego pewne wieczne obrazy i pojęcia, znane nam z Biblii, błyskały się przez tysiące mil i przez tysiące lat to tu, to tam jak Marek po piekle i wpływały w życie ludzkie w najmniej oczekiwanych okolicznościach.

- Piękna, ciekawa gadka! - pochwaliłem ochoczo Kujena. Ale zapomnielicie dodać, że Bok Segeru dał się później udobruchać darował winę potomkom najstarszego syna.

- Pierwszy raz to słyszę! - stropił się Kujen.

- No, jak to? Spójrzcie na naszych Saów i na ich przydzwiewek!

Szmatławy, bo szmatławy, ale każdy z nich ma więcej na sobie niż przepaskś biodrowś, a kobiety, pożał się Boże, sś tak zakryte, jakby się wstydziły własnego ciała!

Kujen, bodaj czy nie po raz pierwszy tego dnia, umiechnś się.

- A skśd camarade wie, że nie wstydzś się swego ciała? zapytał z odcieniem melancholijnej filuternoci. - A co do Boka Segeru - dodał - to i w tym jest trochę prawdy. On się do nich odezwał, zwłaszcza do nagich kobiet, i przemówił ustami komitetu administracyjnego. Na południu, gdzie żyjś Mojowie, oni chodzś jeszcze prawie nago, ale tu już nie...

Gdy zaczęlimy Saów ciśgnś za język, dokśd i po co odbywajś wędrówkę, po krótkim certowaniu się wyjanili nam swój cel. Cel niezwykły. Mianowicie jeden z nich, Sij, miał kilka dni temu nadzwyczajne szczęście i ubił z kuszy jelonka mundczaka, zwierzę w tej okolicy już znacznie przetrzebione, większe niż nasza sarna, mniejsze niż jeleń.

Duchy, widać, darzyły Sija szczególnś sympatiś i radoć w chacie szczęciarza panowała niezmierna, więc Sij, pomny starego zwyczaju miłego duchom, postanowił najlepszś część dziczyzny zanieć teciom i złożyć im w obrzędowej ofierze. Tedy odcisł dla nich obydwie szynki wraz z tylnymi nogami i oto wyruszył w drogę. Teciowie żyli daleko, o trzy dni wędrówki od jego chaty.

Gdy Sij pełen sprawiedliwej dumy pokazywał mi część mundczaka, mięso lniło bogactwem dojrzałych barw i wydzielalo miały odór, słońce bowiem wciśż prażyło tropikalne, chociaż listopadowe noce nabierały wieżego tchu. Na ten symbol miłoci zięcia patrzyłem z należytyym szacunkiem, tylko wyraziłem zdziwienie, dlaczego Sij zanosí ofiarę nie sam jeden, lecz w tak licznej asycie - czy to konieczne?

- Konieczne, cha, cha! Konieczne! - zamiał się Sij i także innych Saów ogarnęła wesołość.

Okazało się, że teć Sija jest człowiekiem zamożnym, bo posiada trzy winie. Teć Sija się ucieszy z pamięci zięcia i zarżnie jednś winie, na pewno i drugś, a może i trzeciś winię, wyprawi godnś ucztę niezawodnie nie poskśpi wódki ryżowej. Będzie zabawa całś gębś przez wiele dni i będzie wyżerka

suta, i chłanie słuszne - więc jakżeby Sij temu wszystkiemu sam poradził? Musiał zabrać ze sobą wszystkich z rodu i własną kobietę, i inne kobiety, i dzieci, i braci, ludzi powinowatych, i kumotów, a o przyjaciółach bliższych i dalszych czy godziło się zapominać?...

Przysłuchując się głosom Saów, chwytając ich pogodne spojrzenia, wnikając w ich beztrioskie nastroje przeżywałem dziwne wzruszenia i doznawałem coraz sprzeczniejszych uczuć. Dotychczasowe probierze i miary, ustalone niby raz na zawsze, zaczęły chybotać się, oczywiste prawdy zaczęły kutykać, a niewzruszone schematy - mięknąć.

Uczono mnie, wykładano mi - i chyba słusznie, do króćset! - że niewola odbiera ludziom zdolność do umiechu, że cierpienia wtrącają w rozpacz, nędza i niedola wyciskają żałobne piętno, a tymczasem, co tu się działo? Niesforny ludek Saów psuł cały ten obraz klasycznych pojęć i wesoło nicował elementarne prawidła nędzy. Podkopywał wiarę w to, co było dotychczas wiarogodne, nie chciał niczym się martwić, niczym zbytnio przejmować. I kto wie, czy ci dobroduszni prostacy nie obrali najszlachetniejszej drogi, bo można było przypuszczać, że w przeciwnym razie poddanie się ponuroci i rozpacz nieuchronnie zgotowałyby im mierz i zagładę.

Tajowie, rozkoszując się życiem, zbudowali sobie wygody i szczęście na dobrobycie, wynikłym z posiadania żyznych ryżowisk.

Saowie byli także na swój sposób szczęśliwi, ale szczęście ich opierało się na idealnej beztriosce, wynikłej paradoksalnie z tego, że absolutnie nic nie posiadali i wiedli żywot w ostatniej nędzy. Jak tamci względnie zamożni, tak ci silni byli swym ubóstwem.

Gdy zbieraliśmy się do odjazdu, Saowie także ruszali w drogę.

Całe swe ubogie mienie nosili na plecach w koszykach, pomagając sobie pasem, założonym na czoło, jak to czynią Indianie w puszczy południowoamerykańskiej. Wyglądało to, jak gdyby nie koszyki, lecz sama nędza przytłaczała ich czoła ku ziemi, i niewstępliwie przytłaczała, ale oni wesoło umiechali się do nas spod pasów.

Nędza i umiech - tak gromadka Saów utkwiała w mej pamięci.

25. Wspaniały, szalony Polak,

Ho Szi Tuan

Podczas zbliżania się do Tuan Giao mimo woli zerkałem częściej na lewo ku odległym szczytom, wśród których wiała się gdzie granica Laosu. Tam w zbitych, bezludnych ostępach puszczy jeszcze ponoć snują się, niby przedpotopowe potwory, olbrzymie bawoły, grone gaury i grasują potężne nosorożce o dwóch rogach, a nieco dalej na południu wciśz buszują od niepamiętnych tysięcy lat stada dzikich słoni.

W tej zachodniej krainie, jak już wspomniałem, niby ludna wyspa leży dolina Dien Bien Phu, słynna z tego, że tam według mitu była kolebka całego narodu Tajów i że tam, już bez mitu, grób swój niedawny znalazła buta kolonialnych najedców. Ale mniej myślałem w tej chwili o dziwach puszczy i o chwale orężnego zwycięstwa niż o dziwnych i chwalebnych dziejach Stefana Kubiaka, uczestnika bitwy pod Dien Bien Phu i bohatera narodu wietnamskiego.

Poznalimy się kilka tygodni temu na ulicy w Hanoi, a potem wspólnie spędziliśmy miły wieczór w domu wietnamskiego poety Tran Hau Thunga. Kubiak ma lat trzydzieci trzy i chociaż różne malarie, dyzenterie, beri-beri, wrzody dwunastnicy i tym podobne tropikalne paskudztwa wychudziły mu ciało, wyciśgając z niego każdy zbędny gram tłuszczu, to jednak z ogorzałej twarzy bije niepowszednia żywotność i nieustraszona odwaga. Twarz jego nie umie niczego ukrywać i jest taka, jak jego całe życie - pełna szalonej fantazji. Oczy jego uderzają niezwykłą nerwową bystrością i w istocie Kubiak, wyjątkowo pojętny, szybko wzywał się w nowe warunki i w mig przyswajał sobie obce języki.

Należy niewątpliwie do owej rodziny wspaniałych narwańców, szczególnie licznych wśród Niemców, Anglików, Francuzów i Polaków, marzycieli o dalekich krajach, którym pali się w duszy do wielkich czynów, pali się zawsze zbyt niecierpliwie, i dla których ramy własnego społeczeństwa są zbyt ciasne. Wszyscy oni mają w sobie co

z Kmicica i Robin Hooda, Francis Drake'a, i często, zrywając więzy społeczne, giną na stosie czy szubienicy lub stają się bohaterami rodowymi, a nieraz los gotuje im równocześnie jedno i drugie jak Joannie d'Arc. Stefan Kubiak bezsprzecznie wywodzi się z tego rodu i dlatego musiałem o nim myśleć podczas zbliżania się do Tuan Giao gdy patrzyłem na zachód ku pasmom górskim otaczającym dolinę Dien Bien Phu.

Szczególnie żywo przypominała mi się chwila w domu wiet.

namskiego poety, kiedy Kubiak tłumaczył nam, kilku obecnym Polakom,

kom, cudaczne właściwości języka wietnamskiego, w którym na przykład głoskę "a" wymawia się w pięciu czy sześciu różnych tonacjach mających za każdym razem inne znaczenie. Wtedy na widok jego żywych oczu, ruchliwych ręk, przejęcia, z jakim wykladał nam nie

zwyczajności języka, nie mogłem oprzeć się myśli, że w tym wszystkim najniezwyklejszym stworzeniem jest on, Kubiak, i dlatego tak nieodparcie przyciśgając go kapryjne zakręty wiata. Ma przy tym poczucie humoru i jest człowiekiem na wskroś dobrym, a kto chciałby przewinienia jego mierzyć zwykłym miarą, sam dopuściłby się winy najfatalniejszej.

Jest dzieckiem Łodzi i pochodzi z robotniczej rodziny tkaczy, ubogich, ale nie przeklinających swej doli. Na zewnątrz życie płynęło mu na pozór jednostajnie i bezbarwnie, szkoła powszechna i nic więcej.

Nic więcej?

- Bardzo lubiłem wtedy książki - zwierzał się. - Z pasją czytałem książki o przygodach lub o historii starożytnej, co popadło...

Byłem rednim uczniem, ale z historii i geografii najlepszym na trzy szkoły. Wiat, życie i geografia najwięcej mnie interesowały, byłem ciekawy, jak wygląda gdzie indziej. Lubiłem chodzić na filmy egzotyczne. Filmów o miłości nie znosiłem...

Aha, więc mamy go. Jest to ład doć wyrany u chłopca.

Gdy nastał wrzesień 1939 roku, Kubiak ukończył właśnie szesnasty rok życia. Machina wojenna i okupacja hitlerowska wzięły go w swe tryby i wyrostek zaczął poznawać wiat, lecz niestety był to inny wiat niż w jego chłopięcych obrazach. Ale ciągi, jakie młokos dostawał, nie złamały go. Zmuszony do pracy za dwóch u bauera pod Kłajpedą, niewolnik-parobczak nie zginął z głodu, bo umiał nocą wykradać żywność. Przerzucony potem do fabryki w Westfalii, przymierał tam znowu z wycieńczenia, gdy na wieść o zwycięstwach radzieckich wyrwał się i uciekł jadąc przez całe Niemcy na gapę. Pod Kłajpedą, zapędzony przez hitlerowców do pracy przy okopach, zbiegł

przez front do armii radzieckiej. Przyjęty do oddziału polsko-radzieckiego, już jako żołnierz wkroczył od strony Wilna do wyzwolonej polski? By której nocy na początku 1945 roku pać w Łodzi w objęcia matki-Ażeby już zobaczyć, oddalił się na kilka godzin z swej jednostki bez zezwolenia: wojna nauczyła go radzić sobie bez zezwoleń.

Tegoż roku spadła na niego pierwsza miłość, niedowarzona, gwałtowna jak burza. Dwudziestojednoletni młodzieniec, który za lat chłopięcych nie znosił filmów o miłości, nie miał o niej pojęcia i dotychczas nie otrzaskały go żadne przelotne miłości. Więc afekt chwycił go niby opętanie, bez umiaru, ogłuszająco. Gdy niecnota żona jego w kilka tygodni po lubie zaczęła go zdradzać, nie umiał dać sobie z tym rady.

W owym czasie był kadetem szkoły oficerów

polityczno-wychowawczych.

Po burzliwej i paskudnej scenie z wyderką

wydało mu się, że to koniec wiata,

tym bardziej iż winowajca, tym trzecim, był młody oficer. Uciec, gdzie oczy poniosą - widziało się nieprzytomnemu z bólu wariatowi jedynym wyjściem - i uciekł. Zdezercerował. Czy poprzez mgłę rozpacz zamajaczyły mu dawne dziecięce miraż wiata jako zbawcze lekarstwo?

Władał biegle niemieckim, więc łatwo mu przyszło wliźnąć się do grupy repatriantów,

opuszczających Polskę, i przedostać do Niemiec.

To niby tramp z fantazjś, to niby zwierz goniony, tułał się z obozu do obozu, z pociśgu na pociśg, aż podczas przechodzenia przez zielonś granicę z Bawarii do Austrii wpadł w ręce patrolu francuskich wojsk okupacyjnych. Poznał wypróbowańś i gdzie indziej odmianę nowoczesnego łapania niewolników: za bagatelę, za nielegalne przekroczenie obcej granicy, sśd francuski skazał go na trzy lata więzienia. Ale nieborak nie potrzebował zgnić w lochach, wystarczyło zgodzić się wstąpić do armii francuskiej, więc oczywiście zgodził się. Odtśd szło piorunem utartym szlakiem: Marsylia, zamknięte koszary, Legia Cudzoziemska, Algier, przeszkolenie i jazda do Wietnamu. Po drodze niektórzy legionicy chcieli uciekać wyskakujśc przez burtę do morza: bez pardonu wystrzeliwano ich jak kaczkę. Kilku zdołało uciec w Suezie i w Colombo: solidarne władze angielskie odsyłały ich samolotami do Hanoi.

Wtedy, na poczśtku 1947 roku, wyzwolenicza wojna Wietnamczyków już srożyła się na dobre. Na północy walczone wszędzie, w górach i w samej Delcie Rzeki Czerwonej. Kubiak szybko zaczął przytomnieć Ze swego odrętwienia i stawać się znowu sobś: człowiekiem z prawym sercem i z nieposkromionym animuszem. Oczywiście duszś był po stronie ciemionych, jeszcze zanim dowiadczył, jak się nad nimi znęcano i jaki to jest dzielny naród. Na przykład kiedy niezatarte wrażenie zrobił na nim osiemnastoletni żołnierz wietnamski, który wzięty do niewoli, odciśł sobie język, ażeby nie zdradzić swych towarzyszy. Kubiak już dawno wiedział, co o kim sśdzić i gdzie stać.

Wysłany do silnego garnizonu legionistów w Nam Dinh, miejscowoci nad Rzekś Czerwonś między Hanoi a morzem, postanowił stamtśd uciec do Wietnamczyków. Podobny zamiar zdradziło trzech towarzyszy broni, Niemców, i dwóch chłopców wietnamskich, trzymanyh w niewoli. Ucieczka, dokonana pewnej nocy w nader ciężkich warunkach, powiodła się, lecz prawdziwe tarapaty powstały kilka kilometrów za Nam Dinh ze strony całkiem nieoczekiwanej, bo od samych Wietnamczyków. Ludnoć wiosek, nie ufajśc Europejczykom noszścym znieawidzone mundury i broń, nie chciała im wskazać drogi do placówek wojsk wietnamskich, a pocig z garnizonu w Nam Dinh mógł

lada chwila dogonić zbiegów. Ci pędzili dalej zdajśc się na instynkt.

Dopiero po kilku godzinach mały chłopczyk, rezolutny zuch, pomógł

im i wreszcie dostali się w ręce oddziału powstańczego.

Gdy następnie, już pod ochronnś eskortś, maszerowali do głównej kwatery Wietnamczyków w tej części Deltę, we wszystkich wsiach po drodze ludnoć witała ich jak serdecznych przyjaciół, biła w bębny, zносиła banany i kwiaty i wybiegała na gociniec tak rojnie, że Kubiak musiał ciśgłe ostrzegać, by nie narażała się na kule samolotów, często uwijajścych się po niebie.

- Czulem, jak łzy kręciły mi się w oczach - opowiadał póniej Kubiak - kiedy widzialem radoć na twarzach ludzi, którzy byli wychudnięcia zżółkniat!...

Podobnie życzliwie przyjmowali ich wietnamscy żołnierze i oficerowie i tak zaczęła się fantastyczna kariera wojenna Stefana Kubiaka w Wietnamie.

Dorwał się do swego żywiołu. Partyzantka najbardziej odpowiadała jego bujnej fantazji i zuchwałości. Nie uznawał półrodków: przejęty słusznociś sprawy, oddał się jej całym sobś. Nie znał lęku; nigdy nie cofał się, bywały sytuacje, że nawet Wietnamczycy się wahali, on - nigdy. Był nieustraszony do ostatnich granic. Na przykład użyty w pierwszych tygodniach do propagandy antywojennej wśród szeregów francuskich, wtargnął z powrotem do onego Nain Dinh i w samej paszczy drapieźnika rozrzucił własne ulotki.

Chociaż dokazywał cudów waleczności, kule jako go omijały”

Owszem, raz odniósł ranę przy zdobywaniu francuskiej reduty pod Fu Tong, ale to dlatego że cinięty przez przeciwnika granat ręczny trafił

go akurat w samś fizys i swym uderzeniem poharatał jś niele. Granat, odrzucony natychmiast przez rozgniewanego junaka, wybuchł w nieprzyjacielskim blokhauzie, ale i twarz Kubiaka cała zalała się krwiś.

powinien był wycofać się do opatrunku - nie wycofał się. Walczył

dalej aż do chwili zniszczenia reduty i wtedy dopiero pozwolił się opatrzyć. Przez dwa tygodnie nie widział wiata spoza opuchłej facjaty i tak musiał przyjść pierwszy otrzymany za brawurę medal bojowy.

Brał udział we wszystkich ważniejszych kampaniach wojny. Bijśc się w niezliczonych potyczkach, to znosił strażnice i posterunki wroga, to szarpał jego transporty. Dowodził różnymi oddziałami coraz silniejszymi, ale konikiem jego było majstrowanie przy zdobytych na przeciwniku a uszkodzonych cackach, jak armatki, modzierze, granatniki i tym podobne zjadliwe twory. Gorliwy mechanik, przemylnie doprowadzał każde działo do ładu, czego nie umieli Wietnamczycy, i najchętniej sam z armat walił, i to z szatańskim skutkiem. Smykałkę do tego miał, jak się patrzy, a oko niedocignione.

W walkach pod miastem Son Tay znalazł się kiedy w wyjstkowych opałach. Kompanię, cofajścś się przed liczniejszym przeciwnikiem, osłaniał sam jeden ciężkim karabinem maszynowym, ustawionym w pewnym domku wiejskim. Gdy swoi znaleli się w bezpiecznym miejscu, a oddziały Legii Cudzoziemskiej już okrśzały z trzech stron jego stanowisko, wziśł broń na ramię i zaczął chyłkiem zmykać. Wtem mijajśc kępę bambusów usłyszał jęk. Leżał tam Wietnamczyk, ciężko ranny w brzuch i w ramię. Kubiak wiedział, że legionicy, którzy przybędś tu za kilka minut, na pewno zabijś rannego. Więc przerzucił

go sobie przez drugie ramię i spieszył dalej. Gdy wypełzł na pole ryżowe, dostał się pod obstrzał nie tylko karabinów, ale i artylerii francuskiej. Przypadał co chwila do ziemi i tylko skokami sunśł

naprzód. Niemal omdlewał z wyczerpania, ale nie pucił ani człowieka, ani broni. Lada moment mógł dopędzić go pocig. Nie dopędził.

Kubiak ujrzł po drodze jeszcze jednego rannego, ale tego wziść na siebie już nie zdołał.

Gdy brńśc dalej natrafił wreszcie na swoich, zawiadomił ich o tym drugim rannym. Nikt się nie

kwapił ić w taki ogień. Więc poszedł

Znowu Kubiak, choć był zmordowany jak pies, lecz gdy ruszył, wszyscy naraz chcieli mu towarzyszyć. Ocalono także i drugiego, a nowe odznaczenie od dowódcy frontu przypało młodemu miałkowi za to, że był wzorem dobrego kolegi.

Zdarzenie to miało wzruszający epilog w trzy miesiące później, w miejscowości Tai Nguyen, gdzie kwaterowała jednostka Kubiaka.

Pewnego dnia stał on na szosie porodku miasteczka, gdy podbiegł do niego jakiś żołnierz wietnamski, objął go gwałtownie za szyję, ciskał

i całował go, mamrotał słowa podziękowań. Był to jeden z tych dwóch ocalonych. Zbiegli się inni żołnierze i prawie cała ludność miasteczka, a usłyszawszy, o co chodzi, nie mogli się nadziwić, bo Europejczyków znali tylko z najgorszej strony. Kubiak nie omieszkał im wytłumaczyć - a władał już biegle wietnamskim - że pochodzi z narodu, który wiele od obcych wycierpiał, podobnie jak oni, Wietnamczycy.

Przy zdobyciu francuskiego posterunku Fo San nad Rzeką Szybłą Kubiak był wiadkiem wstrząsającej historii antykomunistycznej, zaćmiewającej umysły niektórych francuskich dowódców w Indochinach.

Posterunek został zdobyty i załoga wzięta do niewoli, z wyjątkiem dowódcy, francuskiego kapitana, któremu udało się zbiec z kilkunastoma legionistami. Lecz zanim kapitan umknął, zastrzelił swą tymczasową żonę, Chinkę, i swe dziecko, ażeby "nie wpadły w ręce bestialskich komunistów". Ohydny zbrodnię fanatyka należy osądzić tym surowiej, że wszyscy, a zwłaszcza francuscy komendanci, wiedzieli, iż ciele przestrzeganych polityk wojsk wietnamskich była jak największa ludzkość w postępowaniu z jeńcami.

W roku 1951 wojska francuskie opanowały znowu Hoa Binh nad Rzeką Czarną i wbiły tym samym niebezpieczny klin między siły powstańcze na północy i południu rozdierając je na dwie części.

W szeroko zakrojonej kampanii Wietnamczycy odbili następną zimą i wiosną 1952 roku Hoa Binh. Podczas tego zwycięstwa zdobyli wiele materiału wojennego, a między innymi poważną ilość najnowocześniejszych dział, tak tajemniczo skonstruowanych, że nikt w wojsku wietnamskim nie miał pojęcia, jak je nabić i wystrzelić.

- Balan, Polak! Gdzie nasz Balan? -w głównym dowództwie przypomnieli sobie Kubiaka.

A Kubiak był oczywiście pod Hoa Binh, na miejscu. Dziwnych cudeniek techniki dopadł jak oblubieniec swej bogdanki i zaczął się głowić nad ich zagadką. Już zwątpili, czy w ogóle wywietli sprawę tym bardziej że to trwało i trwało. Aż w końcu jednak postawił na swoim, wydebił działom tajemnicę. Była to rzecz wielce doniosła, bo jednocześnie zagarnięto wiele pocisków i armaty w następnych bojach dobrze się przysłużyły.

Gdy później przyszło do rozstrzygającej bitwy o Dien Bien Phu, nie zabrakło, rzecz prosta, Kubiaka, wtedy już kapitana. W marcu 1954 roku zaczął się ostatni akt krwawego dramatu. Oddziałowi

Kubiaka wyznaczono wyjstkowo trudne zadanie sforsowania silnej reduty na przedpolu Dien Bien Phu. Zadanie właciwie ponad siły ludzkie, ale ponadludzkie były również zaciekłość i bohaterstwo nacierajšcych patriotów. Nic nie mogło im się oprzeć: ani złowieszczy drut, ani cement bunkrów, ni piekielne miny, ni miotacze płomieni, ni huraganowy ogień. Po omiu godzinach reduta padła i wyrwa ku Dien Bien Phu była wybita.

A potem Kubiak i jego ludzie wżerali się dalej. Niszczyli gniazdo po gniedzie. To jakby tyścletnia tradycja wietnamskiej waleczności zogniskowała się w tych pamiętnych dniach. Gdy zawitał ostatni poranek bitwy, 7 maja, dziewiętnacie wziętych, rozbitych bunkrów leżało na morderczej drodze, jakš przebyła jednostka Kubiaka. Wyczyn nieprawdopodobny, a zarazem szczytne ukoronowanie wszystkiego, co tu przeżył w fantastycznych kilku latach nieposkromiony romantyk. Romantyk, któremu nadać można najpiękniejsze miano, bo miano prawego i dzielnego żołnierza.

Od tego czasu do chwili naszego poznania się minęło blisko dwa i pół roku. Nastał w Wietnamie pokój, wszystko z gruntu się zmieniło, nie zmienił się tylko Kubiak. Przebyte trudy wojenne ani choroby nie nadwstliły jego fantazji. Pozostał sobš.

W tym czasie słužąc dalej w wojsku wietnamskim awansował na majora. Równoczenie spotkał go wyjstkowy zaszczyt najlepiej wiadczšcy, jak go tam lubili: jak gdyby w symbolicznym przyjęciu go do narodu wietnamskiego prezydent Ho Szi Minh zaadoptował go jako syna dajšc mu swe nazwisko. Nazywał się on odtšd Ho Szi Tuan, urzekajšco dla Wietnamczyków.

Ale mimo to, powtarzam, pozostał sobš, nieujarzmionym chwatem, nie dajšcym natrzeć sobie pieprzu w nos.

Władze w Polsce zajęły wielkoduszne stanowisko: dawnš dezercję młodocianego zapaleńca całkowicie przebaczyły i puciły w niepamięć.

Kubiak mógł wrócić do Polski. Tęsknił do niej. Ale w cišgu tych kilkunastu lat po opuszczeniu ojczyzny wrósł przeciw w nowš glebę, dostosował się do innych klimatów i obyczajów, dowiadczyl wiatrów szerokiego wiata, więcej: zasmakował w nich, zaznał zaszczytów, został wielkim bohaterem! Gdyby zatem wrócił do Polski, wróciłby na stałe z konieczności nagięcia się do jej węższych ram i z przymusem rozpoczynania skromnego życia niemal od nowa - jakżeby się tu poczuł? Czy nie zrodziłyby się jakie wstrzšsajšce problemy przypominajšce rozterki bohaterów Conrada? Bardzo to możliwe.

Ale mniejsza o to. Niezależnie od tego, co losy zrzdžš, niechże ten wspaniały, żywiołowy Ho Szi Tuan jednak przyjeżdża do Polski, choćby na jaki czas!

Takie miłe dumania snułem sobie skaczšc na naszym gaziku i obejmujšc wzrokiem zachodnie kręgi. Zbliźalimy się do Tuan Giao, skšd rozstajna droga wiodła na Dien Bien Phu. Gdy minęło południe, rozszerzyły się przed nami doliny i ujrzelimy z daleka liczne chaty.

Dobijalimy do dzisiejszego celu.

26. Stara melodia, nowa treść

Tuan Giao, do którego zajechaliśmy w pierwszych godzinach popołudniowych, było wioskš doć waźnš, bo siedzibš władz chau, czyli powiatu. Wojna zniszczyła dawne osiedle i obecne Tuan Giao, zarówno budynki administracyjne, jak chaty mieszkańców, dwignęło się dopiero niedawno. Chaty mieszkalne zbudowano naprędcie bezporednio na ziemi, nie zdšżono ich jeszcze postawić na palach zwyczajem Tajów.

Więc mieszkańcy, Tajowie Czarni, którzy cišgnęli dotšd z różnych okolic, czuli się podobno nieswojo, niejako pionierami na obcej ziemi.

Ale był to element wysoce ideowy - jak mnie zapewniano - postępowy, rzeczywiście pionierski i dosłownie kresowy. Tuan Giao stanowiło ostatnie większe siedlisko Tajów Czarnych, a nieco dalej na północy żyli już Tajowie Biali, pobratymcy nie bardzo lubiani.

Nasz przestronny dom gocinny, wzniesiony na wzgórzcu w otoczeniu innych zabudowań urzędowych, górował jak zwykle nad wioskš i nad rozległš dolinš z ryżowiskami. Widok z góry - nie wiem już, ile razy i ile dni wcišż z zachwytem tak samo podziwiany - roztaczał się okazały i tym powabniejszy, im słońce było niższe, a skłony górskie códowniejsze.

Tuan Giao było miecinš rdzennie tajskš, ale może dlatego, że powstało tak niedawno, sprawiało wrażenie wsi wietnamskiej. Czyż nie przywoływał na pamięć obrazów z Deltcy wielki plac czworokštny poniżej naszego domu, słuźscy zapewne do przeróżnych wieców? Dzi

był boiskiem, miejscem wielogodzinnego meczu piłki nożnej, rozgrywanego siarczycie przez żołnierzy wietnamskich. Albo czy nie przypominał Deltcy długi szereg chat przy głównej drodze wioski, chat-lepianek pokrytych strzechami i przylegających jedna do drugiej?

Albo ów pędrak wracający z pola na grzbiecie potulnego bawołu, krucha biała plama na olbrzymiej szarej masie - czyż nie jechał na oklep jak chłopczyk wietnamski? Tylko że pędrak był w czarnym, francuskim berecie, a więc Taj. Za to już wyranie tajskie pochodzenie zdradzała kwadratowa trybuna bambusowa, ustawiona w jednym narożniku placu: toż stało tam podium do sławetnych konkurów miłosnych, han kuongu. Więc ruch odrodzenia moralnego objšł także i Tuan Giao.

Kujen ulotnił się natychmiast po przybyciu na miejsce i podjšł

goršczkowš działalnoć, by powetować wczorajszš klęskę w Huana.

Tuan Giao było głuchš, ospałš dziurš, zabitš rzetelnymi deskami, nie dajšcš się tak łatwo ruszyć dla byle czego, ale magik Kujen znał się, widać, na sztuczkach. Doznaliśmy tego w czasie poobiedniej przechadzki poza osiedle. Tam w dolinie spotkaliśmy myliwego, dšżšcego z przedpotopowš skałkówkš na polowanie w góry. Niemłody Taj, znajšcy trochę francuski język, rozgadał się i opowiedział, że idzie na dzikie kury, których pełno u podnóży gór, i że można trafić tam często na jelenie mundczaki, nie na tygrysy ani pantery, których nie ma w tych stronach - co oznajmiwszy, zadowolony, ruszył dalej. Wszakże niebawem wypadł ze wsi chłopak, dopędził myliwego i natychmiast go zawrócił. Obydwaj niemalże biegli z powrotem, tak im spieszno było.

- A gdzie dzikie kury? -zażartował do nich tłumacz Tung, gdy nas mijali.

- Chodzi o grubszego zwierza niż kury -. tamten nie pozostał

Olu dłużny i rękojś wesoło wskazał na mnie.

- Kujen działa - rzekł do mnie ucieszony Tung.

Do wieczora nic szczególnego nie zaszło w osiedlu. Kujen zawieruszył się, kolację zjedlimy sami. Ciemności panowały już dobrs godzinę, gdy z orodka administracyjnego zapytano nas, czy nie chcielibyśmy zobaczyć ludowej zabawy odbywającej się włanie na głównej drodze przy placu. Pytanie!

Przybywszy na miejsce oczom ledwo wierzyłem. Zabawa była już w pełnym toku, w ciżbie znajdowało się kilkaset osób, chyba całe Tuan Giao wraz z dzieciarnią. W tym mrowisku większość stała lub powoli się włóczyła, inni siedzieli na zydelkach albo gdzie bsd. Wyniesiono na dwór także dwa, trzy stoły, na których kilka lamp oliwnych kiepsko rozpraszało ciemności, za to rozniecone tu i ówdzie ogniska kładły na ludzi teatralne blaski.

Jakkolwiek wszyscy zachowywali się spokojnie, było gwarno jak zwykle na takich zabawach, gdyż z kilku kstów równoczenie dochodziły piewy i przeciśgłe zawodzenia, to chóralne, to pojedyncze. Najbliżej nas darło się z pasjś na całe gardło kilkoro dzieci, zapewne uczniów szkolnych. Gdy na chwilę umilkły między jednś zwrotkś a drugś, słyhać było niedaleko znane mi kwilenie fletu, gdzie indziej męskie pieni, a jeszcze dalej dziewczęce głosiki.

- Mielimy szczęście! - szepnął do mnie Tung.

- Więc sđdzicie, że to zabawa nie urzđzona specjalnie na nasze przybycie?

- Sđdżę, że nie specjalnie.

- A w takim razie, gdzie baby ze słodyczami, grzecznie was się pytam, przyjacielu Tung?

Nie można sobie w tych stronach wyobrazić normalnej zabawy bez różnych sprzedawców kandyzowanych owoców i innych łakoci, a tu zupełnie ich brakowało. Widocznie festyn zorganizowano migiem, na chybcika, i niewstpliwie uznał to Tung, bo w półmroku wyszczerzył

do mnie zęby. .

- Zatem mielibyśmy szczęście do camarade Kujena! - stwierdził

z humorem w głosie.

Jak wspomniałem w chwili naszego przybycia na miejsce zabawa odbywała się już całś parś, a gdyśmy weszli w tłum, nikt nie zwracał na nas szczególnej uwagi. Zmysł teatru, a właciwie ukrywania swych wzruszeń, każdemu siedział tu kapitalnie w krwi.

Ni stšd, ni zowšd wyłonił się Kujen. Powitalimy go hucznie, jak należało się bohaterowi dnia, a on przyłšczył się do nas i już nie odstępował słuŹšc Tungowi za tłumacza. Dzieci wrzeszczały nam do uszu, Źe prawie pękały bębenki, ale mimo to w srogiej zawziętości i amorów było tyle naiwnie rozczulajšcego wdzięku, Źe brało to za serce.

- Co one tak piewajš? - kazałem zapytać Kujena.

piewały pień wyuczoniš w szkole:

- My kochamy pokój,

kochamy naszš ojczyznę,

zawsze połšczymy się i staniemy .

ramię przy ramieniu

w obronie ojczyzny

do ostatniej kropli krwi.

My kochamy pokój.

Kujen i Tung bacznie się we mnie wpatrywali, oczekując jakiego

stosownego słowa. Byłem wciśz jeszcze wzruszony, więc serdecznie dzieci pochwaliłem. Wypowied moja bardzo się podobała i błyskawicš obiegła zbiorowisko. W sšsiednich grupach rozdmuchała żar gorliwoci, więc uciekając od wrzawy dzieci wpadliśmy w kršg innych pieni niby w serdecznš pułapkę.

Kilku mężczyzn obsiadło stół z lampš. Mieli bardzo uroczyste miny i wielka powaga aż buchała od nich. Najpierw jeden nucił, potem drugi mu odpowiadał i jeszcze trzeci, i czwarty. Ale nie była to zwykła, gromka piosenka jak u dzieci, lecz raczej przyciszone słowa, piewanie rozcišgane w jaki okropnie żalosny sposób.

- Ładnie piewajš, mšdrze! - rzekł Kujen rozmarzonym głosem i zaraz tłumaczył.

Pierwszy piewał o nędzy ludzi pod panowaniem Francuzów: Żylimy le,

musielimy opuszczać domy i żony,

by zarobić gdzie indziej.

Choć ciężko pracowaliśmy,

nie mielimy nic,

bo wszystko odbierali nam

w podatkach panowie i Francuzi.

Wtedy nie było nic do jedzenia,

pędzono nas do przymusowych robót za darmo,

bylimy mięsem armatnim...

Inni mężczyźni, którzy siedzieli dokoła, chórem potwierdzali powyższe słowa. Potem piewak uderzył w mocniejszy ton. Dlaczego nam teraz dobrze?

Na to drugi Taj odpowiedział pewnie o prezydencie Ho Szii

Minh, o Partii Pracujących i rządzicie Republiki Demokratycznej o ufnoci we wspólne siły, o wierze we wszystkie narody Wietnamu Co chwila odzywał się chór mężczyzn, ale zawsze równie smętnym zawołaniem jak poprzednio przy wyliczeniu dawnych krzywd, Zawodzący ton chóru, jaki był, taki pozostał, i najwidoczniej była to jego niezmienna właściwość, niezależna od tego, czy wtórował dawnej nędzy, czy obecnej radości.

Niedaleko zaczęły plęsać młode tancerki, więc pełni otuchy poszliśmy do tańców. Po drodze, przeciskając się przez tłok, Kujen z dumą owiadczył, że to, co my słyszeli, jest tematem bardzo popularnym w całym regionie autonomicznym i że inne ludy równie chętnie piewają tę samą pieśń.

Występowało osiem bardzo młodziutkich tancerek, jeszcze podlotków mało wyrobionych, i chociaż przedstawiały cztery słynne tańce Tajek, więcej przejawiały w tym dobrej chęci niż sprawności. Zresztą w tym kącie było dość ciemno, tyle tylko, że mogłem odróżnić każdy taniec: wachlarzy, szarf, kapeluszy i dzwoneczków. Podczas tańców dziewczątka miło piewały, co mnie wielce zaciekało, bo stał mi w pamięci zachwyt, z jakim o tych piewach pisali dawni podróżnicy.

Każdy szanujący się feudał tajski posiadał do niedawna taki balet, do którego dopuszczano tylko najładniejsze dziewczyny. Stanowiły one ozdobę jego godności, niejako symbol zwierzchnictwa i zawsze występowały wobec znamienitych gości, ażeby uczyć ich przyjaźni.

Słyszały tajskie tancerki na całe Indochiny i z urzekającego wdzięku, i z owych przypiewek, w których filuternie czarowały gości. Prosiły go, żeby pił, żeby jadł i czuł się dobrze, żeby rozporządzał nimi, jak jego pańska wola zechce, one gotowe dogodzić jego kaprysom, zaspokoić jego fantazje. Ponoć w figlarnych zalecankach młodych bałamutek było tyle ujmującego dowcipu i uroku, że nie tylko zapadały w serce wszystkim Francuzom, ale rozczulały także niejedną Francuzkę, zapę dżońsz dziwnym przypadkiem w te ustronia.

Dlatego usłyszawszy pieśń tancerek, bardzo tym się zaciekałem ku uciesze moich przyjaciół.

- Dawniej - objanił mi z żywą ulgą Kujen poprzez Tunga tańczyły one tylko dla swego pana i jego gości i należały wyłącznie do jego służby. Były jako rozpieszczone zwierzęta. Dzi nasze tancerki służą całemu społeczeństwu i dla wszystkich tańczą.

- A co one piewajš? - zapytałem uprzejmie.

Tancerki piewały podczas tańca wachlarzy, że dawniej kobieta tylko harowała i miała ciężki żywot, a dzieci były zaniedbane. Następny taniec, szarf, przyniósł stwierdzenie, że teraz kobiety sš wolne, kobiety i mężczyźni mają te same prawa. Taniec kapeluszy rozszerzył ten temat i zapewnił, że teraz kobiety sš szczęśliwe jak stado ptaków, siadajšce wesoło na gałęzi drzewa, obsypanego licznymi kwiatami. Podczas czwartego tańca, dzwoneczków, dziewczęta przyrzekały, że odtšd bęđš pracowitsze, że rychlej wstanš z łoża, a póniej zejđš z pola. Małeńkie tancerki wysilały swe głosiki, gdy bardzo serio a pięknie obiecywały, że ich mężowie bęđš najedzeni, a dzieci dobrze ubrane.

- To bardzo stara melodia - zauważył Kujen - ale treć nowa!...

Następnego dnia mielimy wyruszyć w drogę przed witem, więc należało ić wczynie spać. Ruszyliśmy. Tymczasem, gdy przechodziliśmy obok owietlonego stołu, ujrzelimy siedzšcš tam kobietę, która, czytajšc przy wietle latarki z jakich szpargałów, wypiewywała rzewnš historię okrutnie melancholijnym głosem. Chór otaczajšcych jš niewiast co chwila wpadał w jej piew tak przecišgłym zawodzeniem, że to zastanowiło nawet moich towarzyszy.

- Bardzo stare, przejmujšce podanie ludowe! - zachęcał Kujen i nie zwlekajšc zaczął Tungowi tłumaczyć.

Historia była doć ciekawa, ale strasznie tasiemcowata, na skutek tysiąca ozdobnych przybudówek, które już sam Kujen usuwał jak zbęđne mieci. W streszczeniu tak brzmiała: W pewnej zacnej rodzinie żyła córka o tak olniewajšcej urodzie, że ludzie obracali się za cud-dziewczynš. Na imię miała Ngok-Hoa, co znaczy Kwiat Jaspisu.

Ujrzawszy raz młodzieńca, który nie wstydził się swej matki - żebraczki zapałała do niego miłociš tak goršcš, że bogaci rodzice musieli godzić się na jej małżeństwo z nim. Obydwoje żyli bardzo szczęśliwie.

Ale w tej samej miecinie obijał się podły urzędniczyna Dien Vien, marzšcy o wkręceniu się w łaski swego księcia pana i o zdobyciu rychłego awansu. Uroda młodej mężatki nasunęła mu ohydny pomysł. Zrobił wierny jej obraz i przedstawił go panu zapewniajšc, że w rzeczywistoci jest piękniejsza, i że godna zostać faworytš potężnego księcia Pan rozgorzał žšdzš, przyrzekł lizusowi awans i nie zważajšc na to, że miała ona męża, kazał jš przemocš do siebie sprowadzić. Dien Vien na czele księżęcych pachółków porwał jš i przywiódł przed oblicze pana równoczenie z jej mężem, który nie chciał jej opucić. Ona, silna swš miłociš do ukochanego, nie ulękała się pana. Dumnie stawiała mu czoło i odwołujšc się do jego miłosierdzia zaklinała, że przy jednej tamie nie może być dwóch kanałów, w jednej wsi nie może być dwóch sołtysów jedna kobieta nie może mieć dwóch mężów - a jeli pan użyje wobec niej gwałtu, ona zada sobie mierć. W jej rozpaczy tyle było miłoci do młodego męża, że pan, szlachetny w głębi swego serca, dał się ogarnšć wzruszeniu. Kazał dwojgu kochankom wrócić do domu suto ich obdarzywszy, nikczemnego urzędnika za wypęđził z kraju na hańbę i wiecznš poniewierkę.

- Zdumiewajšca heca! - zawołałem rozbawiony w najwyższym stopniu.

- Co w niej tak rozmieszajšcego? - zapytał stropiony Tung.

- Ta historia z panem! To panowie byli tu dawniej tacy szlachetni?...

Teraz chcieliby juŹ wróció do kwatery, ale jeszcze jeden wyłonił

się obowišzek: han kuong. Na bambusowym podium, wznoszącym się zaledwie o kilkadziesiø kroków od miejsca zabawy, rozpalono wielkie ognisko. Wlało tam moc ludzi i zaczęły się jakie piewy. Tung powiedział, Źe wypada tam wstšpió, wióec poszlimy.

Na podium siedziało kilkanacie dziewczšt, dojrzalszych niŹ poprzednie tancerki, i pilnie przødło nici na kołowrotkach. TuŹ przy ognisku zajęła miejsce starsza kobieta, która nie przødła, za to rej wodziła bødšc starocinš han kuongu. Kobieta piewała, co chwila przechodząc we flegmatyczne zawodzenie, podejmowane na kilka sekund przez dziewczęcy chór. Słowa jej głosiły wdziócznoó rŹšdowi, Źe wznowił dawny dobry zwyczaj konkurów miłosnych. Ludzie sš jeszcze biedni - wieciła piewaczka - wióec przynieli tylko mało wódki, ale wkrótce bødšc lepiej, bo zakwitnie powszechny dobrobyt.

Po pierwszej kobiecie zanuciła druga, równie stara - do diaska! matrona, zaproszona z sšsiedniej wsi, i ona, chociaŹ nic nowego nie miała do powiedzenia, dukwała i pojękiwała dłuŹo. Po niej z kolei odezwał się mężczyzna, a przyjrzwawszy mu się dokłádnie, poznałem w nim myliwego na dzikie kury.

Pomimo Źe on stary, bo ma czterdzieci lat - piewał myliwy pomimo Źe żonaty, to jednak bardzo się ucieszył, Źe wznowiono dawny, dobry zwyczaj han kuongu. On chętnie bierze w nim udział, bo piew o miłoci odmłádza go o parę lat. Zazdroci młodzieŹy wesołej zabawy, jaka jš czeka, kiedy utworzš się dwie osobne grupki młodych, mianowicie dziewczyn u góry, a młodzieńców na dole, i bødšc przerzucały sobie Źartobliwe słówka, a ukłádaly pieni miłosne, a przekomarzały się wzajemnie, a chłopacy bødšc dziarsko nacierali.

Chłopacy tymczasem stali na dole zbitš masš kilkudziesięciu wałkoni, lecz Źadnemu nie niło się nacierać ani nawet otwierać gęby.

Niewzruszeni, zastygli, obojętnie słuchali, co im tam starzy głędzili i pewnie myleli swoje. Z pewnociš niecierpliwie czekali końca zabawy, kiedy ognie pogasnš, rodzice pójdš spaó i oni, młodzi, dobiorš się do rzeczy bez konkurów i wygłupiania się. Takie w kaŹdym razie sprawiali wraŹenie i była to trochę komiczna, haczykowata zabawa: konkury miłoci bez młodych.

Ale co mnie najwiócej zastanawiało, to panujšca tu moda jakiej

cichej osowiałoci. Widocznie było w dobrym tonie u Tajów, by nawet o miłoci piewać półgębkiem i limaczo przecišgaó słowa. Przyszła mi do głowy mieszna myl, Źe nasze polskie dziewczęta piewajšce zwykle wiejskie piosenki mogłyby tu uchodzió za wulkany temperamentu. CóŹ dopiero gdyby wpució tu na rozróbkę zgraję naszych chwatów z mazurem lub krakowiakiem.

Ostatecznie nałykalimy się zabawy do syta i ruszyli ku domowi.

Gdy po drodze obejrzałem się, ogniska nadal płónyły i ludzie wciš piewali. Dochodził nas zmieszany rozgwar wielu piewów i przecišgłych głosów. Patrzyły na nas odwieczne szczyty

otaczających gór i gwiazdy, jak od milionów lat, siały pogodny blask na dolinę, w której ludzie zdobywali się na mozolny wysiłek, by włożyć nową treść w starszą melodię.

27. Nieszczęsny Tham

Ostatni odcinek podróży, z Tuan Giao do Lai Chau, był najdłuższy ze wszystkich i mierzył chyba przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów. Wyruszyliśmy na długo przed witem, a gdy nastawał dzień, byliśmy już daleko od Tuan Giao. Tego poranku w górskim krajobrazie pojawił się nowy, malowniczy element, witany przez przyjaciół

z ożywieniem: mgła. Zacielała gęstym dywanem tylko najniższe połacie dolin, gdzie przeważnie rozciągały się ryżowiska, a ponad tym białym pokrowcem powietrze było czysto i tak jak zawsze. Droga nasza wiała się wysoko wzdłuż stoków, więc spoglądając w niziny można było ulec złudzeniu, że to wśród gór rozciągały się tajemnicze jeziora, a nie mgła.

- Nieomylny znak, że kończy się jesień, a zaczyna zima -.

zauważył Tung. - Do końca grudnia i do stycznia będzie taka mgła.

Słońce w dwie godziny po wzejściu było już na tyle silne, że przepędziło wszelkie opary i nastął zwykły, upalny dzień o cudownej przezroczystości powietrza, tak znamiennej dla gór Sip Song Czo Taj.

W tym mniej więcej czasie mijaliśmy ostatnie wioski Tajów Czarnych. Tu kończył się obszar ich siedlisk nagle, jakby nożem uciśniętym, jakbyśmy dotarli do granicy jakiego państwa. A przecież było inaczej: dalej mieszkali ludzie tej samej narodowości i tego samego języka, tylko że Tajowie Biali. Kwasy między obydwojema odłamanami istniały niezawodnie do dnia dzisiejszego i w tych pogranicznych wsiach darzono nas niezbyt przyjaznymi spojrzeniami może dlatego, że dążyliśmy do Tajów Białych.

Moda kobiet w dotychczasowych orodkach nakazywała Tajkom noszenie wyłącznie ciemnych turbanów; teraz pojawiły się także stożkowate kapelusze ze słomy, trochę odmienne od wietnamskich, bo bardziej spłaszczone: zbliżaliśmy się od tej strony do granicy Chin i zapewne były to pierwsze widome lady wpływów stamtąd. A im dalej na północ i bliżej granicy, tym bardziej spłaszczały się kapelusze. Tajki Białe nosiły na głowach już zupełnie płaskie, -olbrzymie talerze ze słomy, niezwykle dziwaczne, rozłożyste i strojne.

Otóż widząc w jednej z tych ostatnich wiosek kilka Tajek Czarnych w słomkowych kapeluszach, kazałem zatrzymać samochód. Sfotografowałem je, gdy przechodziły, lecz damulki były okrutnie niezadowolone. Jedna, z kapeluszem zawadiacko na bakier osadzonym, rzuciła ku mnie okrzyk tak gniewny i wrogi, że mi w piętę poszedł. Młoda sekretnica była z pewnością w złym humorze, dlatego wyzywająca, ale niewykluczone, że niedawne jeszcze gorzkie doświadczenia i niedole właśnie takś wybrały buńczuczność w tych kresowych wioskach.

Potem przebijaliśmy się przez jałowe góry bez żadnej prawie ludności. Owo pustkowie, oddzielające

Tajów Czarnych od Białych, wydało mi się magicznš kurtyńš, za którš jak gdyby oczekiwało się nadzwyczajnych rzeczy i niespodzianek, kurtyńš przed krajem niemal baniowym. Toż to w tym kšcie górskim między Chinami, Wietnamem a Laosem w ostatnich kilkudziesięciu latach kotłowały się doniosłe dzieje, a rozgrywajšcy się tu dramat historyczny szedł żywym echem na cały wiat, docierajšc do Pekinu, Paryża, Londynu nawet.

Toż to tutaj rodziły się indywidualności na niepowседневniš miarę, postaci wielkie sercem i satrapi straszni okrucieństwem. Tu była kolebka rodziny Deo, ostatnich wielkich despotów Wschodu, którzy z krwawej areny zeszli niedawno temu, wczoraj nieomal.

Tu więc żyli w aureoli na pół legendarnej sławy owi Tajowie Biali, którym rozmaici podróżnicy nie mogli się doć nadziwić. Pisali o nich, że byli dumniejsi, wyżsi i urodziwsi niż Tajowie Czarni, natomiast równie jak oni uczciwi, gocinni, wylewni, do zabaw skorzy, ale jeszcze leniwsii od tamtych; że pogardzajšc pracš na roli cišgali do niej z gór ujarzmione plemiona, które za nich uprawiały ryżowiska przy współpracy kobiet Tajek, sami za Tajowie najchętniej siadali przy ogniskach i obradowali bez końca nad sprawami gminy; że Tajowie Biali uważali się za lepszych nie tylko od tych niewolników, ale i od reszty pobratymców, czemu wielu podróżników przyznawało słuszość.

A już wszyscy goście jak jeden mšż wychwalali wyjškowš urodę i wdzięk ich kobiet.

Skończyły się jałowe góry, znowu bujna puszcza opanowała stoki i doliny, ale ludzi jeszcze nie było. Dopiero póniej pojawiły się pierwsze rzadkie sadyby, potem małe wioski. Wielki bohater wkraczał na scenę skromnie, bez pompy, jak przystało znakomitoci.

W pierwszej wiosce, póniej w drugiej wysiedlimy na krótkš chwilę, by wyprostować nogi i porozmawiać z ludmi. Od samego Pocžtku Tajowie Biali wywarli korzystne wrażenie, jakiego się spodziewałem; byli uprzejmi i rozmowni, ale czy dumniejsi, wyżsi i urodziwsi niż Tajowie Czarni, nie dało się zauważyć tak naprędcie.

Natomiast dziewczyny i młode kobiety, prawdę powiedziawszy, zawiodły. Z bliska zobaczyłem kilkanacie Tajek i właściwie ani jednej nie mógłbym przyznać laurów za wyjškowš urodę i wdzięk.

To mnie stropiło.

Mimo woli powstało we mnie niejasne podejrzenie: czy nie dały drapaką pod koniec wojny? Zapytany o to tłumacz Tung potwierdził

moje domysły:

- Wielu Francuzów miało tu swe tak zwane żony i uciekajšc nie myślało z nimi się rozstawać. Dołšczył się do nich szereg Tajów zdrajców, wyrrywajšcych, jak większość rodziny Deo, przed słusznym gniewem ludu. A ilu Tajów i Tajek, obałamuconych, wierzyło, że ich dosłownie pożremy i wiało w obawie przed ludożercami?...

Gdy póniej odwiedziłem Laos i dotarłem do Xieng Khuang na wyżynie Tran Ninh, zahaczyłem o kilka

wsi zamieszkałych przez uchodźców Tajów. I w istocie ich kobiety były tam naprawdę urodziwe, tak jak wieściła o nich dobra sława. A zatem istniały jeszcze gdzie

owe legendarne piękności, jeno po wojnie mniej ich było w Wietnamie, w dorzeczu Rzeki Czarnej.

Na pięćdziesiątym, sześćdziesiątym kilometrze od Tuan Giao wjeżdżaliśmy w dziedziczne mateczniki rodu Deo.

Nazwa Deo już niejedną raz obijała się o me uszy i oczy i w Hanoi, i jeszcze dawniej w Polsce, gdzie natknąłem się na jej ład w tych nielicznych księżkach o Indochinach, jakie mogłem znaleźć w kraju.

Nazwa miała zawsze podwójną osobliwość, baniową, ale zarazem złowieszczy i była równie sroga jak wiele bajek Grimma. Deo byli Tajami Białymi i stanowili tak potężny klan feudałów nad feudałami, że jakkolwiek nie wywodzili swego pochodzenia od bogów wzorem cesarzy chińskich czy królów w Laosie, to przecież do ostatniej chwili uważali się sami za półbogów.

Gdy pierwsze słuchy o nich docierały do mnie nad Wartš, były jak ledwo słyszalne pomruki dalekiej burzy. Czytało się o tych Deo jak o każdym innym azjatyckim rodzie wielmożów, zaszytym gdzie

w ustronnych górach. Ale w miarę poznawania szczegółów i zbliżania się do Wietnamu, a w Wietnamie do Rzeki Czarnej, szum dokoła Deów nabierał dziwnej siły i ponurego wyrazu, a patriarchalni półbogowie przeradzali się w niesamowitych demonów. Działy się tu bowiem rzeczy jak w upiornej bajce, tym upiorniejszej., że realnej i rozgrywającej się jeszcze tak niedawno temu.

Ogromnie głębokie wśwozy rzeki Nam Meuk, jakie przecinalimy, urzekły nas i pozwalały puszczać wodze najmilszej wyobrani.

Toż to jak gdyby nawet przyroda dostrajała się tutaj do burzliwych dziejów człowieka i stwarzała nastroje dramatycznych napięć. Póniej góry się wypogodziły, a gdy ujrzelimy zasobną chatę tajską tuż przy drodze, zatrzymaliśmy samochód: kierowca musiał dolać wody do chłodnicy.

Wysiedliśmy.

Chata stała na palach sposobem Tajów i była otoczona, jak zwykle zacienioną werandą, na którą wchodziło się po szczeblach do wygodnej drabiny. Mieszkańcy chaty, będący wewnątrz, wylegli teraz na werandę i spojierali na nas, jak gdyby zaniepokojeni naszym zatrzymaniem się.

- Przestraszyliśmy ich! - zamiałem się do Tunga.

- Tu pewno rzadko kto składa im tak uroczystą wizytę! przyjaciel zrobił zabawny minę.

Było ich tam kilkoro, kobiety, dzieci, jaki wyrostek. Na werandzie pod cianą chaty spał dotychczas starszy mężczyzna, którego nasze przybycie musiało gwałtownie zbudzić ze snu. Z przytłumionym okrzykiem zerwał się, podniósł do połowy i wybałuszył na nas oczy, jak gdyby pojawiły się przed nim upiory. Dopiero gdy kobiety uspokoiły go łagodnymi słowami, twarz jego przybrała normalny wyraz. Lecz większe wrażenie sprawił jego mizerny wygląd niż chwilowy przestach. To raczej on przypominał upiora, był bowiem okropnie chudy, jaki żywy szkielet o obłądnym wejrzeniu.

Mówiono mi zawsze, że wśród Tajów prawie nie ma ludzi dotkniętych na rozumie, więc nieszczęśliwiec zaciekał mnie. Zapytałem się Kujena, czy on był taki od urodzenia.

- Nie - odrzekł Kujen po zasięgnięciu wiadomości u Tajek.

Ale Kujen musiał dowiedzieć się przy tym nadzwyczajnych rzeczy, bo zaczął co żywo tłumaczyć naszym trzem towarzyszom.

Kilka razy padło słowo Deo Van Łan, nazwisko ostatniego satrapy nad Rzeką Czarną, który do niedawna tu się panował i uciekł dopiero z Francuzami przed dwoma laty. Po pewnej chwili przyjaciele zaczęli ku mnie zwracać podniecone wejrzenia.

- Co tam macie? - spytałem zaintrygowany. - Czy jakie

rewelacje?

- Otóż to, rewelacje! - odrzekł Tung. - To, co te kobiety nam mówią, jest bardzo znamienne dla Deo Van Lana i tych czasów, kiedy był tu panem życia i śmierci. To potwór Deo Van Łan tak urządził

tego nieboraka.

- Czym on się tak naraził temu Łanowi? - zapytałem Tung - Narazić się tej bestii było bardzo łatwo. Takich ofiar jak Tham - on się tak nazywa - naliczyć by można mnóstwo. To smutna historia...

Owo nieszczęście spadło na Thama przed trzema laty. Przedtem był to zdrowy, przedsiębiorczy gospodarz i dobrze mu się powodziło.

Miał ładne córki i udanych zięciów, a szczególnie liczna była najmłodsza córka, Deng, która wtedy właśnie ukończyła dwanaście lat.

Deo Van Łan był nie tylko okrutnym despotą, ale i rozwiśzłym rozpustnikiem pomimo przekroczenia siedemdziesięciu lat życia.

Uważał, że na całym obszarze będącym pod jego władzą on miał prawo do wszystkich kobiet, a szczególnie upodobał sobie nieletnie dziewczęta.

Więc podczas któregoś ze swych rozjazdów zwał się z uzbrojonymi wotami na obejście Thama i zażądał na noc dziewczęcy Deng. Ojciec prosił

o litość i przedkładał, że jeszcze za młoda, ale Deo Van Łan tylko pogardliwie wzruszył ramionami, kazał go zwiśzać, ażeby się nie rzucał, dziewczynę za przyprowadzić do siebie. Ponieważ mu się bardzo podobała, następnego dnia polecił swym ludziom zabrać ją ze sobą, ażeby dać ją za żonę jednemu ze swych oficerów.

Wtedy stała się rzecz niesłychana, blunierstwo bezprzykładne.

Była to ulubiona córka Thama, więc zrozpaczony ojciec głośno zelżył

gwałciela. Szalenie ubliżał możnowładcy, przed którym ludzie na drogach w prochu klękali, i za tę zuchwałość musiał ponieść śmierć.

Zawleczono go do Lai Chau i tam wymierzono mu wypróbowaną karę: po storturowaniu go do nieprzytomności Deo Van Lan kazał zaszyć go do worka i wrzucić do Rzeki Czarnej.

Była to śmierć niezawodna, wszyscy tak skazani ginęli w wodzie.

Tham jakim nieprawdopodobnym przypadkiem nie zginął. Nurty wyrzuciły worek na brzeg poniżej Lai Chau, a tam litociwi ludzie w wielkiej tajemnicy uwolnili skazańca i przywrócili do życia. Gdy w kilka miesięcy później Francuzi ponieśli ostateczną klęskę i wraz z nimi krajowi despoty umknęli za granicę, było to dla Thama równoznaczne z wyzwoleniem. Teraz można go było swobodnie zawieźć do rodzinnej chaty i tam dalej leczyć.

Tak oto na tej drodze do Lai Chau zetknąłem się bezporównie z makabrą, jakby żywcem wyjętą z sensacyjnych powieści amerykańskich. Ale żaden Faulkner tutaj okropności nie wymyślił, istniały one w rzeczywistości.

- Która z nich jest Deng? - zapytałem cicho? Tanga wodząc dyskretnie wzrokiem po obecnych kobietach.

- Nie ma jej! - odrzekł.

- Czy nie żyje? - mimo woli nasunęła się myśl - Żyje, ale nie ma jej w Wietnamie,

- Czyżby Deo Van Lan zabrał ją ze sobą do Francji?

- Nie - umiechnął się Tung - bo takich ofiar jak ta Deng było tu sporo, chyba kilkaset. Za drogę kosztowałyby przewóz lubych piecidełek...

Spojrzałem na Tunga zaniepokojony. Jego frywolny humor był

nowym tonem, niespodziewanym zwłaszcza w tych okolicznościach.

- To gdzie ona się podziewa?

- Jest w Laosie. Poszła tam z tym narzuconym jej mężem.

- Pewnie ją gwałtem zabrał?

Tung skrzywił twarz na znak, że nie wie:

- Diabli wiedzą! Rodzina jej niechętnie o tym mówi, więc z pewnością poszła dobrowolnie.

- Miłość to cygańskie dziecię! - wygłosiłem gwizdnęszy.

- Przepraszam, camarade: jakie dziecię? - zdziwił się Tung.

- Cygańskie. To taka piosenka z opery "Carmen".

- Miłość czy... polityka! - przyjaciel ironicznie ciśgnął

brwi.

Pożegnaliśmy się z rodziną Thama i w jakie dwie godziny później zjeżdżaliśmy z gór w niską, rozległą od południa dolinę, w której wiała się wielka rzeka, a nad prawym brzegiem rzeki bieleło się murowanymi domkami wcale pokane miasteczko Lai Chau. Patrzyłem na nie z pewnym podnieceniem, jak patrzy się przy pierwszym spotkaniu na ważną i sławną osobę, którą dotychczas znakomicie się znało, ale tylko z bohaterkich opowieści. Natomiast Rzekę Czarną witałem z radością jak dobrą znajomą, którą od nowa spotykałem po tylu dniach objazdu się po górskich szlakach. Była tu młodsza niż pod Hoa Binh, ale przecież ciągle potężna, imponująca, a przy tym okrutnie porywista i rozchukana, prawdziwie górską.

Nie zatrzymując się przejechaliśmy przez całe miasto. Składało się nie tylko z ulicy głównej, ale i z kilku mniejszych przeczek. Było już popołudnie i o tej porze dnia w innych osiedlach zaczynał się ruch.

Lai Chau panował nadal spokój. Spokój i cisza rzuciła się w oczy.

Miasto było przytępione, otumanione, niby obumarłe. Osoba najwidoczniej niedomagała, jakby zmęczona po rozpasanym okresie burzliwych wzruszeń, wielkich orgii i wielkiej historii. Lai Chau żyło do niedawna namiętociami rodziny Deo i gdy Deo zeszli jak niepyszni ze sceny, miasto natychmiast zapadło w letarg, a nowe soki jeszcze go nie ożywiły.

Ale to nie był ostateczny upadek. Lai Chau nie zjeździe z map wiata. Wkrótce rozkwitnie od nowa, tego byłem pewny. Miasto leży w samym sercu pogranicza, na skrzyżowaniu dróg i interesów trzech państw: Wietnamu Północnego, Laosu i Chin Ludowych. Jego położenie geograficzne niebawem zdecyduje o ożywieniu miasteczka.

Po przejechaniu przez całe miasteczko wzniesiliśmy się znowu na wzgórze, obramujące południowo-zachodni skraj miasta. Było to wzgórze władz publicznych za czasów kolonialnych i tak samo było obecnie, po wyzwoleniu kraju. Stały tu różne budynki administracyjne, zbudowane jeszcze przez Francuzów. Na samym szczycie góry wznosiła się rezydencja francuskiego dowódcy, dobrze jeszcze utrzymana. Tu wyznaczono nam kwatery. W tym gmachu mieściła się luksusowa sala o kamiennej posadzce, tchnęcej miłym chłodem, i o kilku olbrzymich, przewiewnych drzwiach-portalach wychodzących na taras.

Wiedzieli Francuzi, na co budowali taras dokoła rezydencji: widok stąd był nad podziw urzekający. Ze wzgórza, wznoszącego się o jakie sto metrów ponad dolinę, patrzyło się w dół na Lai Chau, leżącą jak barwna zabawka na dłoni. W ten sielankowy obraz wdziera się gwałtem Rzeką Czarną, niesforna wysłanka chińskich gór, skąd również przybył ongi ród Deo i skąd przybywali różni inni najedcy.

Rzeka z furii napastnika szamoce się z doliną w konwulsyjnych zakrętach, aż wpada znowu w czeluć między górami i znika z oczu pędząc na nowe podboje.

A góry? Tu wyżej się piętrzą, energiczniej niż dotychczas, tu zuchwalszymi wzbijają się stokami i głębiej spadają w przepacie.

Mają one oblicze. Jakie? Trudno powiedzieć, co w nich jest: czy groba zaczajona, czy dobroć łaskawa? To pewne, że są piękne i pełne wzniosłości. I także to, że Francuzi, którzy zbudowali ten taras, by rozkoszować się majestatem gór i doliny, w ostatnich latach swego panowania spojerali na te same góry z coraz większym niepokojem, bo przez zawiłe pasma przeszczały się od wschodu, od tajnych zarodków ruchu Oporu złowróżbne siły, zwiastujące koniec dotychczasowym radcom.

Francuzi niezawodnie spoglądali często również w innym kierunku, północnym, i też chyba ze zmiennymi uczuciami. Tam, na drugim brzegu rzeki, w widłach tworzonych przez Rzekę Czarną i wpływającą tu do niej Nam Na, na skalistym, wysokim cyplu dumnie rozpięła się kilka białych budynków. Tak samo jak osiedle francuskie, panują one z góry nad całą doliną, pokaniejsze niż domy w mieście, a jeden gmach, jak gdyby pałac warowny, wydaje się obszerniejszy nawet niż rezydencja francuskiego komendanta. To gniazdo rodu Deo, a owszem wielkopańską, najwyższą warownię wystawił sobie syn Deo Van Lana tuż-tuż przed załamaniem się kolonialnej władzy.

Czyżby był aż tak zalepiony, że nie dostrzegał zbliżającej się nieubłaganej historycznej nemezis?

Z daleka, z francuskiego tarasu, dom ten wygląda wdzięcznie i pogodnie jak słoneczne wille na Riwierze czy Krymie. Jakże kłamliwe pozory!

28. Pazury rodu Deo

Trudno sobie wyobrazić zamęt wojenny i burzę, jakie przecisnęły przez krainę Dwunastu Księżewek Tajskich - Sip Song Czo Taj w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Wystarczyło, żeby na wybrzeżach cesarstwa annamskiego, nominalnego władcy tych górskich kresów, pojawiły się złowieszcze dymy okrętów francuskich, a już drapieżne watahy sąsiadów rzuciły się na żer. Łupiły nad Rzeką Czarną, co mogły, porwały kęsy, wydierały je sobie wzajemnie Polyskując kłami i dopadały nie tylko tego, co kraj posiadał, ale często i siebie samych.

Ciekawy jestem, czy Deo Van Tri już wtedy, gdy miał osiemnacie lat, pogardliwie przymykał jedno oko rozmawiając z ludmi?

chyba jeszcze nie. Ojciec jego, Deo Van Seng, pan na Lai Chau, będąc w opałach, gdy Burmańczycy napadli na jego włóci, wcisnął młokosowi szablę do ręki i kazał mu się bić. Seng miał więcej synów Starszych niż Tri, ale temu najbardziej dowierzał. Słusznie. Ulubieniec nie zwiódł jego nadziei ani wtedy, ani nigdy-później. I to nadziei jakże dumnych i jak dalekosiężnych!

Młodziutki wódz na czele swych Tajów rozgromił Burmańczyków tak sumiennie, że raz na zawsze odeszła im ochota na Rzekę Czarną. Ale w następnych latach okazało się, że to nie tylko wojak całkiem gębszy i nie tylko awanturnik, jakich mało, i przy tym łeb tęgi a polityczny, ale że to także wybitna indywidualność o niezwykłym uroku osobistym, zniewalającym ludzi. Jakże umiał sobie poradzić z bandami tak zwanych piratów chińskich! Spływały one na kraj głodną szarańczę pod nazwą Czarnych Bander i innymi. Trzymając je w szachu zaprzyjanił się z ich wodzami i, wierny zwolennik dworu

annamskiego, potrafił ich zagrzać do walki z francuskim najedcš. Byстрыm wzrokiem wczesniej przewidział, że największe niebezpieczeństwo groziło od zamorskich przybyszów z Europy, ich też nienawidził z całej duszy. A gdy walki z nimi rozgorzały w Delcie Tonkińskiej, był tam i on u boku oddziałów chińskich i wietnamskich.

Syjamczycy, ambitni sšsiedzi z południa, wobec rozpadu państwa annamskiego chcieli upiec przy tym i swojš pieczeń, więc teraz z Laosu, któremu już poprzednio narzucili swój protektorat, wleli siłš na ziemię Dwunastu Księżstewek zajmujšc Dien Bien Phu i Tuan Giao. W tym czasie Deo Van Tri wojował w Delcie z Francuzami.

Gdy jego ojciec w Lai Chau zwlekał ze złożeniem Syjamczykom hołdu i dla rokowań przysłał im czterech posłów, mianowicie trzech synów i zięcia, dowódca syjamski dopucił się drańskiej acz powszechnej w tych stronach zdrady: posłów bezceremonialnie uwięził i jako jeńców-zakładników zawlókł z sobš do Laosu.

Rodzina Deo wciekła się, a Deo Van Tri pokazał, kim jest. Co tchu przybiegł z Deltą ze swoim zastępem, w Lai Chau zwołał jeszcze wszelkich zabijaków i w pięciuset przeszło chłopa zapucił się w Laos, by odbić zakładników. Ale do Laung Prabangu, królewskiej stolicy Laosu, dopadł za póno: zakładników już uprowadzono dalej, a cigać ich do Syjamu byłoby szaleństwem. Więc rozjuszony, przypisujšc Laotańczykom część winy, kazał masakrować wszystkich, którzy pod nóż się nawinęli w Luang Prabangu, i o włos króla i jego rodziny aż wyrznšł, tyle że ci ledwo umknęli - miasto za po zrabowaniu obrócił

w perzynę. Po czym ruszył z powrotem, by dalej bić się z Francuzami.

Tymczasem Francuzi zwycięsko wyduszali w Delcie ostatni opór Wietnamczyków i wnikali raczej już bez potyczek w górskie zaplecze.

Tylko Deo Van Tri dwukrotnie zastępował drogę oddziałom pułkownika Pernot, jednak dwukrotnie odepchnięty, nie zdołał jego pochodu powstrzymać. Lecz gdy zwycięzcy weszli do Lai Chau był to grudzień 1887 - zastali je całe w gruzach, ludność za

rozproszonš w górach. Niczego nie dopišwszy. Pernot musiał wrócić do Hanoi, a nad Rzekš Czarnš pozostał nadal panem sytuacji peo Van Tri, tygrys bardziej nieustępliwy niż kiedykolwiek i już legendarnš sławš okryty.

Wtedy na scenę wypłynšł dziwny Francuz, Auguste Pavie. On nie wojował orężem; miał inne sposoby, łagodne. "Zdobywcš serc"

nazwali go rodacy i w istocie kilka lat póniej wietny dyplomata zdobył dla Francji bez jednego wystrzału królestwo Laosu. A teraz, w 1888 roku, dokonał chyba jeszcze osobliwszego wyczynu, bo rodzinę laichauskich tygrysów niczym magik przerobił w przyjazne baranki.

Mianowicie majšc wpływy na dworze syjamskim wyprosił tam uwolnienie dwóch braci Deo, zakładników. Zanim ich zawiózł do rodzinnego Lai Chau, pokazał im wpierw Hanoi, gdzie ich Francuzi hojnie fetowali. Pavie nie mógł znaleźć lepszego dynamitu dla rozsadzenia opoki w Lai

Chau. Widząc takż życzliwość Francuzów, a-jednoczenie rosnąc ich potęgę w Indochinach, część rodziny Deo wyranie przeszła na ich stronę. Jedyne Tri i jego ojciec trwali w swej wrogoci, ale gdy spodziewana pomoc z chińskiego Junnanu zawiodła, znaleli się niby w potrzasku i oni także zmiękli. Wyciśniętż od dawna ku nim rękę ucisnęli. Deo Van Tri ucisnł jż uroczycie i uczciwie.

“Zdobywca serc” odniósł triumf nie lada, zwycięzcy za w swej radoci, że na tych kresach nastanie wreszcie trwały pokój na ich modłę, obdarzyli rodzinę Deo absolutnż niemal władż nad krainż Tajów Białych, częściowo Tajów Czarnych i górskich plemion mniejszociowych.

I w istocie nastał pokój. Deo Van Tri, głowa rodu, okazał się wiernym sojusznikiem. Przez osiemnacie lat, do swej mierci, ani razu nie zdradził swych mocodawców, zawsze szedł im na rękę, ba, gdy hordy wojaków chińskich, jego dawnych kumpli, wdzierały się w granice francuskiej obecnie kolonii, on roznosił je na strzępy. Niestety, darł

na strzępy także innych swych własnych poddanych. I tu zaczęła się rzecz wysoce kompromitujšca dla władców kolonii.

Niewybaczalne, że tak lekkomylnie dali despotcie wolnż rękę i nie oderwali jego drapieżnych łap od ofiar. Nieustraszony wojownik, urodzony łupieżca, burzyciel Luang Prabangu, teraz gdy Francuzi pozo, stawili go w spokoju i przy szabli, cały swój krwisty temperament skierował ku rżdzeniu się w swym kraju, rżdzeniu-ograbianiu. Ujawnił wprost niewiarygodnż barbarzyńskż chciwość. Za zgodż władz kolonialnych odbierał chłopom tytułem podatków jednż trzeciż wszystkich ich plonów, kupcom - połowę sprowadzanych do Lai Chan towarów; z kaźdej rodziny brał po jednym członku do przymusowej pracy na rzecz rodu, a niezaleźnie od tego żsdał składanania najróżniejszych ofiar do swych nienasyconych wiecznie kieszeni. Bez zgody władz kolonialnych, lecz przy dyskretnym ich pobłażaniu, Deo Van Tri często zabijał ludzi niewinnych, a sobie niewygodnych.

Wród ludnoci, zwłazszcza wród Tajów Czarnych, najsrożej wyzyskiwanych, tliło się nieustanne zarzewie, lecz sprawne bojówki rodziny Deo, rozsiane po wszystkich osiedlach, terrorem tłumily jakikolwiek zaczyn buntu. Czy o tym wiedziały centralne władze kolonii?

Ależ wiedziały doskonale! Wiedziały z alarmujšcych raportów, wysyłanych do Hanoi przez francuskich komendantów wojskowych w Lai Chau, raportów, opisujšcych nadużycia rodziny Deo i stanowišcych druzgocšce, acz mimowolne potępienie francuskiego systemu kolonialnego. Wiarygodni oficerowie z terenu pisali raporty nie tyle z racji moralnego oburzenia, ile przede wszystkim zaniepokojeni wrzeniem wród gnęzionej ludnoci. Owe raporty, do dzi zachowane, sż ponurymi, niezbitymi wiadkami tego, co tam popełniano, a pisali je komendanci jak majorowie Pennequin, Deporte, Dusseault, Vacle, Mirabel czy porucznik Jacob. Wszyscy oni żsдали wyzucia z władzy całej rodziny Deo, uwięzienia najwinniejszych jej członków i przeniesienia ich do Delty, między Wietnamczyków, by tam jęli się mniej szkodliwej działalnoci.

Trudne było do zrozumienia, wręcz zagadkowe wszystko, co się działo. Słuszne nawoływania okazały się głosem na puszczy wołajšcym. Centralne władze kolonii pozostały głuche. Zupełnie ulegały zgubnym wpływom klik wielkich eksploatatorów, a ci bynajmniej nie ukrywali swego cynicznego stanowiska, że “kolonie nie sż po to, by krajowców rozpieszczać i oszczędzać”.

Jedyne, co władze centralne zrobiły, to wprowadzenie w Lai Cha administracji cywilnej po mierci Deo Van Tri, dla rzekomego ukrócenia przywilejów i samowoli rodziny. Daremnie! Deo wpili się tam mocno w kraj, że nadal bezkarnie tyranizowali ludność, a kto im się zbytnio opierał, niezawodnie ginął jak dawniej.

W latach międzywojennych nic w zasadzie się nie zmieniło; synowie Deo Van Tri dalej buszowali. Z biegiem czasu coraz dobitniej wyłaniała się na pierwszy plan postać Deo Van Lana, czwartego syna Deo Van Tri. Grona postać. Jak ojciec, tak samo i on. Łan, rozmawiając z ludmi zamykał jedno oko, a drugim pogardliwie mierzył

człowieka. Lecz od ojca nauczył się także i tej prawdy, że z Francuzami trzeba żyć jak najlepiej, a kto im duszę odda, temu raj dla ciała. Więc był im oddany i dla nich miał zawsze otwartych obydwój oczu, a także umiech, grzeczność i uczynność. Za młodu przez kilka lat pobierał

nauki we Francji, skąd powrócił jako Taj z cienkimi polewami francuskimi i z legitymacją zaufanego człowieka.

Mimo to wielu Francuzów poznało się na jego naturze. Już w roku 1916, gdy Łan miał mniej więcej trzydzieci lat, major Dusseault, komendant w Lai Chau, tak pisał urzędowo o nim i o jego bracie do pułkownika Friquenon: "Proszę nie ufać Łanowi ani Munowi, zdolnym do wszystkiego, nawet do zbrodni". Gdy po pierwszej wojnie wiatowej Łan został naczelnikiem, czyli Trichau, w Dien Bien Phu, owej bogatej dolinie Tajów Czarnych, tam zdierał z nich skórę i tyłu dopuszczał się wykroczeń, że Francuzi musieli go szybko odwołać wobec groby ogólnego buntu. I zupełnie to samo w następnych latach działo się w Nghia Lo, w Thai Nguyen, w Van Chan: wszędzie tam Łan demaskował się jako brutalny rozbójnik na urzędzie i sadysta. Władze kolonii mimo wszystko z jakim maniackim zalepieniem wciśz i wciśz od nowa darzyły względami szkodliwe indywiduum.

Podczas drugiej wojny wiatowej Deo Van Łan jeszcze bardziej przywarł do swych pobłażliwych opiekunów i swe losy całkowicie wiślał z ich losami. Toteż nagroda go nie minęła i gdy Japończycy po krótkiej okupacji opucili Lai Chau w 1945 roku, francuskie władze osadziły go tam jako szefa. Wkrótce obsypały go przywilejami, o jakich nie marzył w najmielszych snach: oddały mu całkowitą administrację Prowincji wraz z sądownictwem i poborem podatków. Pozwoliły mu Powołać pod broń silne oddziały wojskowe i nawet rozszerzyły obszar jego władzy aż po brzegi Rzeki Czerwonej, słowem, dały mu we wszystkim wolną rękę, byleby tylko zrobił jedno: wytepił w swym gronie zwolenników Ruchu Oporu, Wietminhu.

W to mu graj. Łan lepszej gratki nie potrafił sobie wymarzyć!

Nareszcie mógł otwarcie popełniać gałgaństwo, oficjalnie, z rozkazu wyższych władz, ba, w imię Francji. I popełniał. On i wszyscy członkowie rodziny Deo tak się rozpędzili w gorliwoci, że w trzy, cztery lata udało im się wyplenić wszystko, co załatywało Ruchem Oporu, lecz gdy dopięli celu i majstkami rzekomych zdrajców się obłowili, a rozpędu im nie ubyło, cały ferwor wylewali teraz na innych poddanych, wiernych. Takie piekło terroru zapanowało w kraju, że o ironio losu! - stało się najlepszą wodzą na młyn Wietminhu. Tak więc danie wolnej ręki drapieżnej rodzinie było już wyrwanie w istotny interes Francji.

Przechodziło ludzkie pojęcie, czego Deo Van Lan dokazywał.

Chytry i nietępy, widocznie przeczuwał bliski koniec reżimu, więc cała pożydlivość wschodnich despotów i chciwość bogactw jakby w nim jednym się skłębiła. Pienił się i szalał, deptał i tyranizował, a to wszystko w tym celu, żeby wycisnąć z ludności wszelki dobytek i złapać jak najwięcej majątku. Pomysły miał dzikie. Kaleczenie ludzi, ucinanie członków, skazywanie na głodową śmierć były na porządku dziennym, natomiast do uroczystych obrzędów należało wypędzanie złego ducha karong za pomocą kolczastej gałęzi, wsadzanej człowiekowi przez gardło do żołądka.

Miał setki sposobów, by wydusić z ludzi ostatniego plastrą, i nawet śmierć syna obracał na własną korzyść. Gdy w 1950 roku syn, Deo Van Pat, utonął w Rzece Czarnej, ponoć zatopiony podczas kłótni przez amerykańskiego oficera, odmianę "spokojnego Amerykanina, wszyscy poddani Lana, wielcy i mali, musieli złożyć u Deów ofiary w setkach bawołów, wień, drobiu, w znacznej ilości koszyków ryżu, garnków wódki i innych produktów. Podczas stypy tylko część darów spożyto, więc, co pozostało, ofiarodawcy musieli wykupić za gotówkę w srebrze lub złocie.

Lan podczas rozmowy z wszystkimi ludźmi z wyjątkiem Francuzów okazywał zawsze zły humor, był posępny i srogi. Chociaż wyjątkowo niski i gruby, odznaczał się nieprawdopodobną siłą fizyczną pomimo siódmego krzyżyka na karku. Żołnierzy swych traktował tak samo jak innych, mając ich za hołotę, i bez skrępowania popełniał nieczyste gwałty na ich rodzinach. Gdy pewnego razu rozżaleni żołnierze bez broni - wtargnęli do jego domu, by się poskarżyć, on sam jeden stawiał im czoło. Znał jakie mordercze uderzenia boksu chińskiego; więc chociaż ich było przeszło czterdziestu, wszystkim dał radę.

Dwóch, trzech zabił gołymi pięciami, a kilkunastu szkaradnie poturbował, sam za odniósł tylko nieznaczne zadrapania. Nikt już nie wątpił, że Lan miał demoniczne moce na swe rozkazy.

Gdy zbliżała się godzina klęski, Francuzi, zawsze zapytani w rodzinę Deo, ułatwili jej ucieczkę do Francji i ponadto zgodzili się na wywóz samolotami całego majątku Deo Van Lana w klejnotach i w szlachetnym metalu. Ile tego było po omiu latach rabunku i mordowania ludzi? Podczas mego pobytu w Kambodży wpadł mi w ręce numer wychodzącego w Phnom Penh burżuazyjnego dziennika "La Liberte"

z 12 marca 1957 z notatką z Francji, że do apartamentów przy Avenue de la Republique w Paryżu, należących do byłego generała wietnamskiego Le Van Vien, wtargnęli włamywacze i obrabowali go z indochińskiej biżuterii wartoci stu milionów franków oraz z szeciu milionów gotówki. A Le Van Vien był tylko drobną płotką w porównaniu z rodziną Deo, więc ile Lan mógł do Francji uwieźć łupu?

Gdy tu w Lai Chau i wszędzie indziej opowiadano mi o zbrodniach Deo Van Lana i gdy czytałem raporty o nim tak miarodajnych wiadków jak francuscy oficerowie w terenie, rozumiałem, dlaczego Francja tak szybko przegrała kolonię, a szczególnie doznała porażki na tym czarnorzecznym odcinku. Chociażby nie było klęski pod Dien Bien Phu, musiała stracić kraj prędzej czy później, bo przegrała go w sercach ciemniejszej ludności.

Komu Francja nie jest obojętna, jak nieobojętna jest wszystkim Polakom, tego zgrozż musiała przejść

tragedia mieszkańców nad Rzeką Czarną i cynizm władz centralnych w Hanoi. Gdzie tu Francja Moliere'a, Voltaire'a, Wiktora Hugo, Francja Pasteura i Joliot-Curie?

Nie było jej nad Rzeką Czarną. Tu działali inni Francuzi, a ci nic wspólnego nie mieli z prawdziwą Francją - z tą Francją, którą wszyscy kochamy - pomimo że występowali w jej imieniu.

29. święta, krwiożercza "Perła"

Na noc wyznaczono mi schludny pokój w byłej rezydencji francuskiego dowódcy. Aby wejść do mojej sypialni, trzeba było przejść przez dwie wielkie komnaty, a w nich spali wszyscy członkowie naszej wyprawy. Byłem wtedy pod dobrą opieką i choćby na głowie się postawili czy to zbrodniarze, pragnący wkraść się do mnie, czy Boże uchroni, natrętna jaka dziewczyna - niedoczekanie ich, na nic grona zamierzenia. Mogłem spać beztrudnie jak u Pana Boga za pieczęcią. I spałem.

Ale gdy się przebudziłem w nocy, zaraz oprzytomniałem: od Rzeki Czarnej szedł do mnie poprzez otwarte okno szum, jak gdyby tam woda ze skał spadała, a przecież z wieczora żadnego wodospadu nie zauważyłem ani szumu nie słyszałem. Teraz cisza panowała w przyrodzie doskonała z wyjątkiem zwykłych brewerii wyprawianych przez tropikalne wierzchy, toteż dlatego zapewne nocną akustyka doliny tak potęgowała wodne odgłosy. Pod wieczór pokazywano mi miejsce, gdzie ze skały strącano do rzeki zwłoki ofiar Deo Van Lana, więc obecnie mimo woli na chwilę skojarzyłem z nim zagadkowy szum. Lecz natychmiast się opamiętałem: toż to głupstwo, bo akurat w miejscu strącania trupów rzeka była wyjątkowo głęboka, i jakkolwiek wartki nurt ocierał

się o skałę, tak silnego łoskotu nie mógł wywoływać. Pozostawiając rozwiązanie zagadki do następnego ranka, wnet zdrowo zasnąłem.

Rano mała sensacja: w Lai Chau noc trwa dłużej niż gdzie indziej, a to z tej prostej przyczyny, że dolinę otaczają wyższe góry i słońce wyłania się spoza nich później o blisko godzinę. Jak gdyby ciemne potęgi w siedzibie Deów chciały dłużej zatrzymać mrok. Gdy jednak w końcu słońce wyszło i przepędziło mgły - jakże radosny dzień się rozpromienił! Jeszcze tylko stadko wron, czarnych kosmopolitek, przeleciało nad naszym wzgórzem kracząc zupełnie tak samo prostacko jak u nas - i gdzie przepadło. A wtedy inne, pewniejsze ptaki zgłosiły się w pobliskiej krzewinie i na drzewach, i przyjemnie nam nuciły.

Z pierwszym rozwidnieniem się wyskoczyłem na taras i obejrzałem sobie rzekę. Owszem, znalazłem, a jakże! Tuż pod nami, gdzie zwięzła rzeka czyniła gwałtowny skręt dookoła skalistego cypla Deów, przed przetaczał się przez kamienie częściowo wystające z wody i od tych to bystrzyn pochodził nocny szum.

Rzecz się wyjaśniła, ale nie skończyła na tym. Podczas niadania odwiedził nas Lam Xung, niezwykle miły przewodniczący orodka administracyjnego w Lai Chau, Taj Biały o bystrym umyśle i wzruszającej uczynności. Gdy mimochodem napomknąłem o słuchowych wrażeniach w nocy, Xung zrobił figlarną minę i komicznie się zakłopotał.

- Nie dziwota! - owiadczył żywo. - To duch Perły dał się panu w nocy we znaki.

- Jakiej Perły?

- Duch rodziny Deo. Ongi siedział w tych skałach porodku rzeki i potwornie dokuczał.

- Ale żeby dzi jeszcze? - obruszyłem się żartobliwie.

- Widocznie pozostał, gdy oni uciekli - umiechnął się Xung.

Lecz sprawa z Perłš nie zawsze była taka wesoła.

Perłš, swojš Perłš, nazywała rodzina Deo wcale pokanš skałę, która do niedawna na tym ostrym skřęcie Rzeki Czarnej sterczała z nurtu. Pršd, szczególnie porywisty podczas przyboru wody, uderzał

mocno o skałę, zanim wród wirów staczał się w bok. Było to miejsce grone dla wiołarzy i flisaków i co rok, zwłaszcza w porze deszczowej, rozbijały się tu łodzie i tratwy.

Juž Deo Van Seng, dziadek Lana, zwrócił uwagę na postrach, jaki skała rozsiewała wród ludzi głęboko przekonanych, że to siły nieczyste, tkwišce w głazie, powodowały nieszczęcia. Nie byłby Seng przemylnym władcš, gdyby pominšł tak sprzyjajšcš okazję. Utwierdzał więc ludnoć w wierze, że istotnie czyha tam upiorny duch, ale że on, Deo Van Seng, jest z nim w bliskiej komitywie: duch niszczy tylko ludzi nieżycziwych rodzinie Deo i skšpych w składaniu ofiar.

Jego syn, Deo Van Tri, stajšc się absolutnym panem nad krainš Sip Song Czo Taj, równoczenie podniósł znaczenie skały do demonicznych wymiarów. Nazywała się już Perłš i była siedzibš rodzinnego ducha bęđšcego na usługach rodu Deo. Ażeby za duch umiercał tylko złych ludzi, a oszczędzał dobrych, Tri ustanowił obrzędowe więta na jego czeć, w czasie których cała ludnoć składała ofiary duchowi i rodzinie Deo. Wszyscy przepływajšcy wiołarze i flisacy - a przepływać musieli często z rozkazu rodziny Deo - przechodzili za każdym razem przez rodzaj sšdu bożego. Perła przyprawiała o tak paniczny lęć, że każdy zbliżajšc się do niej martwiał i ponoć, kto miał

wobec Deo nieczyste sumienie, rzeczywiście z przerażenia tracił głowę i rozbijał się na skale.

Tak to przymierze między skałš a rodzinš pogłębiało się z roku na rok i ludnoć nie wštpiła już ani chwili, że Deowie zawdzięczali nadprzyrodzonš moc i wszechwładzę straszliwej Perle. Gdy chciwy Deo Van Lan dostał się do ržsdów, nie zaniedbywał, rzecz prosta, kultu skały i w imieniu jej ducha wyciskał z ludzi liczne ofiary. System przemocy działał sprawnie do ostatniej chwili i dopiero zjawienie się oddziałów Wietminhu położyło kres wszystkiemu.

Ale mieszkańcy Lai Chau jeszcze nie dowierzali Perle. Deowie już uciekali z kraju, a Perła wystawała z rzeki jak grožšca pięć upiora.

Niektórzy, co bojaliwsi, nawet szeptali między sobš, że rozgniewany duch może wyjć ze skały i zabijać ludzi na lšdzie. Nienawieć do wszystkiego, co dotyczyło Deów, była tak wielka, że którego dnia mieszkańcy miasta przepłynęli do skały, podłóżyli miny i wysadzili jš w powietrze. W bryzgi rozsypało się narzędzie terroru, poszło całe w diabły i zagłada skały nikomu nic złego nie zrobiła.

Teraz tylko ledwo wystający z wody kamień przypominał dawną złą potęgę.

- A tratwy już się nie rozbijają? - zapytałem.

- Nie! - odrzekł Xung. - Chociaż skała w wodzie jak była, tak pozostała.

.. - Nie rozumiem.

- Trochę zburzył tylko nadwodną część Perły, a jej podstawa, o którą właśnie rozbijały się łodzie i tratwy, nadal tkwi w wodzie jak wprzód.

- I ludzie teraz nie giną?..

- Bardzo rzadko.

- Czym to wytłumaczyć?

Xung powoli strząsnął popiół z papierosa. Oczy jego zawieciły się łagodnym błyskiem:

- Ludzie teraz się nie boją. To głównie strach ich wpędzał

na skałę.

Wraz z ucieczką okrutnych Deo odszedł ludzi również i strach, ludzie przestali się bać: ta prawda rzucała się w oczy niemal na każdym kroku w Lai Chau. A cudowny poranek tego dnia, kiedy po raz pierwszy zeszlimy do miasteczka na krótką wycieczkę, jak gdyby dostrajał się do obecnej atmosfery.

Miasto było co prawda ospałe, nieruchawe; widać, nie otrząsnęło się jeszcze z następstw wojny. Łatwo było wyobrazić sobie, jak tu dawniej, przed upadkiem kolonii, żyło się szeroko i hucznie. Stacjonowali niele opłacani żołnierze Legii Cudzoziemskiej i oddziałów tubylczych. Byli liczni kupcy chińscy i był duży przywóz towarów.

Domy gry i domy publiczne, jedno i drugie w rękach rodziny Deo.

Przeżywały okres rozkwitu. Słowem miasto miało dobrą, aczkolwiek niezdrową passę.

To wszystko runęło jednego dnia. Stare zasady życia zmiotła rewolucja. Zakiełkowały nowe pędy i choć jeszcze słabe, jeszcze w powijakach a przecież już wiedziano, że zdrowych, mocniejszych nasion kiełkowało nowe życie. Ludzie przestali patrzeć na siebie wilkiem, poczuli się w jednej wielkiej rodzinie.

Na końcu głównej ulicy, biegnącej równoległe do rzeki, stał wielki, okazały dom, solidnie murowany, o drzwiach ogromnych jak portal, w które wchodziło się szerokimi schodami. Gdy się zbliżaliśmy, właśnie wybiegały z budynku, niby chmura barwnych motyli, dzieci z zeszytami w rękach: była to zatem szkoła.

- Szkoła chińska - wyjanił Xung, który nam dotąd towarzyszył. - Dawniej był to dom gry i płatnej

miłoci.

- Zawrotny przeskok! - wisnąłem przez zęby.

- Tak chyba tutaj we wszystkim! - stwierdził zadowolony.

- Czy to jedyna szkoła w Lai Chau? - spytałem.

Nie, istniały obecnie trzy szkoły, podczas gdy dawniej była tylko jedna, i to wyłącznie dla dzieci stronników rodziny Deo. Dwie należały obecnie do kategorii szkół podstawowych, trzecia trzyletnia - do kategorii nieco wyższej. We wszystkich prowadzono naukę w języku tajskim, lecz równocześnie uczono wietnamskiego. Dawniej poza Lai Chau nie było tu żadnych szkół, dzi w każdej większej wsi odbywał się dobrowolny kurs nauki czytania dla dorosłych i poza tym istniała klasa dla dzieci: kurs i klasę oczywiście prowadzono wyłącznie w języku tajskim. Rozpęd imponujący!

Miasto, powtarzam, było jakie ospałe, ale pomimo pozorów zastoju wszędzie tu pod popiołami starych form wykluwało się nowe życie. Rewolucja robiła swoje. Jak człowiek człowiekiem, nad Rzeką Czarną po raz pierwszy wszystkie mniejszoci, nawet wśle liczebnie Plemiona, wciśgnięto do grona ludzi społecznie twórczych i wiadomych swego losu. To, że oni wszyscy tutaj dźżyli do stworzenia jednej braterskiej rodziny, siedzącej przy jednym stole, nie było pustym dźwiękiem. Wspaniały wicher wstrząsał ludmi; w tym przewietrzaniu stęchlizny była oszałamiająca nuta i - przyznam się - w Lai Chau Przeróżne zjawiska były we mnie z takś siłą, że oszałamiały.

A przy tym wszystkim z podziwem patrzyłem na przewodniczącego komitetu administracyjnego i słuchałem jego ciepłych słów. Lam Xung był mądrym zarządcą swego terenu, pełnym szlachetnego zapału, dalekim od jakiegokolwiek fanatyzmu. Rodzina jego wiele wycierpiała przez Deo Van Lana, który więził jego ojczyma i brata, a żonę mu odebrał, by ją dać jednemu ze swych oficerów. Mimo to Xung wyrażał

się o okrutniku bez nienawici. Gdy rozmowa nasza poruszyła temat dwużeństwa Meów i wielkiej swobody ich dziewczyn, a który z nas wyraził przypuszczenie, że dziewczyny te wydają się rozwiślejsze niż na przykład Tajki, Xung, pomimo że sam Taj, stanowczo temu zaprzeczył z bezstronnością godną szacunku.

Tego poranku Xung wczniej nas pożegnał, bo nie miał czasu, odbywał się w mieście trzydniowy zjazd z całego Chau członków Wietnamskiego Frontu Narodowego, zespalającego wszystkie organizacje społeczne. Była to jedna z owych dobroczynnych kuni, w której wykuwano sobie zgodne pożycie pod jednym dachem. Na tych zebraniach równą wagę miały głosy górskich myliwych Dao czy Meo spod szczytów, jak rady Tajów z doliny rzeki Lai.

30. Tancerki w Bań Mo

Dolną w górę rzeki Lai jechaliśmy gazikiem do wsi Bań Mo, oddalonej od Lai Chau o osiem kilometrów. Droga wiodła wzdłuż rzeki i widzieliśmy na niej często młyny wodne, automatycznie poruszające stęporę do łuszczenia ryżu, a jeszcze częściej widzieliśmy zasieki z więcierzami na ryby.

- Biedne ryby! - westchnęłam do przyjaciół. - Tyle tu na nie się dybie, że pewnie już ostatniś dawno wyciśgnięto...

I z gniewniś melancholiś przypomniałam sobie, jak to i u nas, w Polsce, bezmylni wandale wypowiedzieli rybom wojnę i doszczętnie wyjałowili wiele rzek i jezior, do niedawna słynących z rybiego bogactwa. Ale tutaj ponoć inaczej było. Thu, towarzyszący nam członek orodka administracyjnego, zapewnił, że pułapek jest wiele, ale ryb jeszcze więcej. .

- Jak to możliwe? - niedowierzałam. - Czy pułapki le działająś?

- Dobrze działająś, tylko ryby mnoż się tęgo - odrzekł Thu.

A w rzekach naszych pożywienia dla ryb jest tak suto, że nigdy go nie zabraknie, toteż, nie przymierzając, rosną jak wieprze u Meów.

Gdy z miny mej wyczytał, że mam wstpliwoci, dodał: - Każda rodzina, która posiada tu pułapki, łowi tyle ryb, że starczy jej pokarmu na jeden dzień, a może i na dwa dni w tygodniu przez całusieńki, okręgły rok...

Nam Lai była niewielką rzeczką, szeroką na kilkanacie metrów i stosunkowo płytką, a tych zasieków niezliczona ilość, zatem wydajność tym bardziej zastanawiająca.

Przyszły mi na pamięć widziane przed kilku dniami w Nam Na ryby, gdy wtedy przypadkiem spojrzałam głębiej w rzekę: po prostu roiło się. Póniej, w Kambodży, przekonałam się, że nieprawdopodobna tam obfitość ryb graniczyła jak gdyby z czarami. Widocznie w Indochinach istniały wyjątkowo korzystne warunki dla takiej plennoci, było tu jak w owej bajce, w której stół ciśnie sam pokrywał się nowymi przysmakami.

Całą dolinę Nam Lai, szeroką mniej więcej na pół kilometra, wypełniały ryżowiska, a im bliżej podjeżdżaliśmy do Bań Mo, tym więcej ludzi krztało się na polach. Przeważnie pracowali tam mężczyźni, co mnie nieco zdziwiło, bo gdzie indziej zawsze więcej kobiet niż mężczyzn widziało się na polach. A tu na odwrót. Thu, zapytany, wyjaniał, że kobiety pozostały dzi we wsi, ażeby nas odpowiednio przyjść, ale zazwyczaj w Bań Mo są pilniejsze niż kobiety w innych wsiach.

- To taka wzorowa wie? - pokiwałam głową.

- Wzorowa - odparł niezrażony Thu i pokazał nam kilku Tajów, zajętych przesadzaniem młodych rozsąd ryżowych. - Co widzicie, to nasze wielkie zwycięstwo!

Nie rozumiałem, o co chodziło, i dopiero później, we wsi, wyjaniono mi triumf postępu: Bań Mo zrywało z wieków tradycję jednorazowego w roku wysiewania ryżu i przechodziło na dwukrotny siew i dwukrotne żniwa.

Wszakże nasze pojawienie się na drodze i zbliżanie do wsi podcięło - słabe widocznie - korzonki tajskiej pracowitości i rozstroiło ludzi. Wszyscy jak jeden mąż opuszczali ryżowiska i dążyli za nami.

Jakżeby mieli ominąć sposobność, kiedy w ich wsi zanosilo się na zabawę jak się patrzy?

- Głównie stšd. Bań Mo, Deo Van Lan rekrutował tancerki do swego baletu — zwierzał się Thu, niby z pikantnej tajemnicy, a oczy zabłyśły mu dziwnie. Domylałem się dlaczego: młodziutkie tancerki musiały służyć staremu despicie nie tylko do tańca.

- To one, te same, będš nam dzisiaj tańczyły? - zacie kawiłem się.

- Iii, gdzie tam! Nowy narybek, powojenny.

W Bań Mo, liczącym chyba pięćdziesiąt chat, wpadliśmy w nastrój wišteczny. Mieszkanki wsi, wystrojone po galowemu, znajdowały się już na głównej drodze lub oczekiwały nas przed swymi chatami. Matrony miały czarne, jedwabne płaszcze, sięgające do kostek, a dokoła szyi ozdobione srebrnymi nićmi i wstškami. Owe starsze panie były przeważnie chude, a wystające koci policzkowe i w ogóle rysy twarzy jak również strój żywo przypominały Chinki. Tutaj Chińczycy więcej pozostawili ładów niż u Tajów Czarnych.

Natomiast znacznie mniej tych obcych naleciałoci spostrzegąo się u młodszych mężatek i dziewczyn, co widoczne było już choćby z tego, że miały bujniejsze kształty niż Chinki. One, jak zwykle przy uroczystościach Tajów, ubrały się w białe obcisłe staniki ze srebrnymi sprzškami i w czarne, długie spódnice. Młode nie dały na siebie czekać i zaledwie wysiedliśmy z gazika, już zbierały się do plšsów.

Były to zwykłe, tradycyjne tańce Tajek: tańce koszyczków, wachlarzy, kapeluszy, dzwoneczków, szali. Dwanacie dziewczyn do wtóru wstłej melodii mandolinowej wykonywało płynne ruchy ramionami trzymając w ręku jaki przedmiot, symbol danego tańca. Wszystkie rytmicznie przechylały ciała i zwinnie sunęły raz tu, raz tam, a czasem miękko zginały kolana niemal do kłeczek. Może w tych gestach odzwierciedlały jakie czynności swej pracy codziennej, na przykład na roli, ale trudno było dopatrzeć się tego. Tańce ich nie stanowiły dla mnie nowoci, bo podobne widziałem w Tuan Giao przy wietle ognisk i słyshałem te same układne piewy dziewczšt.

A jednak tu, w Bań Mo, po chwili przyglšdania się doznałem niezwykłego uczucia. Porwało mnie, wzruszyłem się. To nie był ten sam taniec. Tamte ruszały się, byle się ruszać; tymczasem te tutaj, prawdziwe małe artystki, porywały swym wyjstkowym wdziękiem i subtelnościš. Doprawdy czarowały. Na chwilę tancerki skojarzyły się z wizjš jakich nieziemskich sarenek i urzeczony niezwykłym zjawiskiem, wczułem się wietnie w rozpowszechnionš dawniej w tych stronach wiarę, jakoby tancerki były boskiego pochodzenia, specjalnie stworzone przez Indrę, boga dawnych Hindusów.

A w tym tańcu w Bań Mo panował jak gdyby bezład: każda z tych dwunastu uroczych dziewczyn wykonywała kolejne sceny odmiennie niż inne, na swój sposób, i widziało się, że czyniła to w doskonały sposób, jej tylko właściwy. Wszakże pomimo tylu odrębności taniec całej dwunastki zlewał się w jednš przyjemnš harmonię. Rozkoszne widowisko! Był to najwyższy poziom, na jaki wznieć się mógł

jakikolwiek ludowy zespół, z natury rzeczy amatorski. Tłumaczyło to się jedynie wiekowš, tradycjš i wyranš iskrš talentu każdej z tych tancerek.

Po nich wystąpiło drugie grono dwunastu dziewczątek, tym razem w wieku między jedenastym a trzynastym rokiem życia, podczas gdy pierwsze, całkiem już dojrzałe, miały około osiemnastu lat. I te młodsze podlotki nie tańczyły jak na swój wiek.

Widokiem baletów byłem tak mile przejęty, że nie chowałem tego pod kocem i głośno wyrażałem, co miałem na sercu. Me szczerze pochwały wywołały wśród mieszkańców wsi ogromną radość. Thu wyjaśniał, że Bań Mo od wielu pokoleń zawsze miało najlepsze tancerki i tu najlepiej zachowały się stare tańce. Obecne władze postanowiły nic nie uronić z całej spuścizny przeszłości.

- Nie uronić nic z całej spuścizny przeszłości? - powtórzyłem.

jego słowa zaglądając mu badawczo w oczy. - Brzmi to chwalebnie i górnolotnie!

- Tak - powiedział Thu - nie chcemy uronić z przeszłości niczego, co było dobre! - dodał ostrożnie.

- Ach, tak! - zamiałem się. - Było dobre, a mimo to zaniechaliście, puciliście jako w niepamięć...

Thu z lekka speszony, nie wiedział, jak przyjąć mój wesoły atak.

- Czy camarade ma na myśli nasze tańce dziewczęst? - zapytał.

- A jużci, oczywiście! Wszystko, cocie mi dotychczas pokazywali, to tylko część dawnych licznych tańców. A gdzie jest właśnie najmiłszy taniec? Gdzie; go zawieruszylicie?

- Jaki taniec?

- Przecież do niedawna jeszcze wszelkie występy tancerek zaczynały się tańcem butelek i kielichów, ustawionych na głowach dziewczyn. Tancerki zalotnym piewem witały gościa i potem częstowały go hojnie wódką z owych butelek. Czy było tak?

- Było! - przyznał Thu z niewyrażoną miną człowieka przyłapanego na gorścym uczynku.

- Dopiero po tym pierwszym serdecznym tańcu powitania ci sięgnęłam - następowały inne: kapeluszy, wachlarzy, dzwoneczków i tak dalej...

- Czy camarade był tu przed wojną? - spytał Thu zdziwiony.

- Skądże! Jestem po raz pierwszy.

- To jakim sposobem wie o tym wszystkim?

- Wiem z francuskich księzek, których autorów podobno zawsze tak gociliście! - palnąłem rozbawiony i obróciłem wszystko w żart, ażeby miłych ludzi nie zbijać z pantałyku. - A teraz mi zdradcie, na serio, czy taniec butelek rzeczywiście już nie istnieje?

Nastąpiło milczenie, jakie znowu kłopotliwe.

- Może już przestali tutaj pić wódkę - odezwał się przyjaciel Tung, ale nie sposób było zmiarkować po nim, czy mówił na serio. I dlatego taniec butelek zanikł...

- Nie - zaprzeczył Thu. - Taniec butelek nadal istnieje i tancerki nawet przepadają za nim, bo mogły popisać się swą zręcznością tylko...

- Tylko co? - spytałem z ciekawości, gdy Thu zawahał się.

- Mieszkańcy Bań Mo nie chcieli pokazać gościowi z Polski, że takie pijackie powitania jeszcze są u nich w zwyczaju, że przeciwnie...

- ...Że zapachu wódki unikają wszyscy jak diabła i już wcale tu nie piją? - uzupełniłem.

- Niby co w tym rodzaju - przyznał Thu, komicznie wykrzywiając usta. - Postanowili w każdym razie inaczej, nowoczeniej, godniej powitać miłego gościa.

Zamiałem się i w wszystkich dokoła również ogarnął miech.

Ja umiałem się głównie dlatego, że taka zabawna kosa trafiła na polski kamień. Dobry dowcip: kogóż to chcieli czarować swą wstrzemięliwością, komu nie dawać złego przykładu pijaństwa? Obywatela kraju słynnego monopolu państwowego?

W tym rozbawieniu nasunęła mi się myśl o Sygietyńskim. Jak doskonale udał mu się twór, dokonany z mazowieckiej gliny i jak umiał swe "Mazowsze" pucić chlubnie na szerokie wody! Pasjonujący pomysł: gdyby tu nad Rzeką Czarną zjawił się podobny czarodziej i swą płodną różdżką dotknął owych tancerek w Bań Mo, czyż nie stworzyłby dzieła zdolnego zadziwić świat? Surowiec był niezły, należało go tylko właściwie urobić i pchnąć w odpowiednim kierunku.

31. Gospodarz Khen zaprasza

Gdy w tańcach nastąpiła przerwa i tancerki oraz ich przyjaciółki rozsypały się po drogach wsi jak białe kwiaty, zaproszono nas do gospodarza Khiena na herbatę. Khen posiadał okazałą chatę z wystającymi nad dachem krokwiami - był więc wsioś personą - i miał

obszerną werandę, na której nas rozgoszczono na niziutkich zydelkach z miękkiej trzciny, nie wyższych niż dwie dłonie. Na odpowiednio niskim stole stały atrybuty gościnności: olbrzymi termos z herbatą, koszycki z pomarańczami, mnóstwo różnych filiżanek i dary dla mnie: mała, dziecięca piroga, kolorowy koszycek i piłka, uszyta ze szmat, do zabawy zwanej koń. Miejscowa Cepelia działała.

Werandę obsiadła fura ludzi. Były tam i tancerki, i starsze kobiety, i rzecz prosta, mężowie co ważniejsi we wsi, nie pomijając dzieciarni wypełniającej pozostałe luki. Okazało się, że to rodzaj akademii tajskiej na moją cześć, bo gdy zaczęliśmy wcinać pomarańcze a popijać herbatę, a upajać się aromatem kwiatu magnolii - gospodarz Khen zabrał głos i wypalił wzorową mowę, co się zowie: że przyjechałem do Lai Chau właśnie w samą porę, bo w okresie zjazdu członków Frontu Narodowego i w czasie omawiania żniw także wytyczania planów na przyszły sezon, że dawniej tak

serdecznych spotkań w Wietnamie z zagranicznymi gośćmi nigdy nie było, niestety dziś ci goście tak rzadko docierają do Lai Chau, więc tym bardziej cieszą się wszyscy, że gość z Polski, piszący książki, zawitał do tego zakątka, za co dziękuję rządowi wietnamskiemu i polskiemu Mieszkańcy Bań Mo przekazują Polakom w kraju serdeczne życzenia na ręce za gościa uroczycie lubię, że będę pracować pilniej gorliwiej, wydatniej, skrzętniej dla zwielokrotnienia zniw i dla dobra republiki ludowej.

Nawet najlepsi u nas mówcy, Józef Cyrankiewicz, Wiesław Gomułka czy Gierek słuchaliby Khiena z przyjemnością, a tym chętniej, że tajski wieniak mówił nie tylko pięknym głosem, ale Wykazywał chwalebny cnotę wszystkich wielkich mówców: umiał się streszczać. Przemawiał krótko, jak angielski dyplomata.

Gdy mi Tung szybko tłumaczył jego słowa, uderzając w tak Wielki dzwon, zamierzałem Khienowi równie godnie odpowiedzieć, ale ubiegła mnie jaka niewiasta ni stary, ni młody. Jej przypadła artystyczna część uroczystości, więc piewaczka zanuciła pień o okrutnie monotonnej, jak zwykle u Tajów, melodii, pełnej przeciwstawiających się dźwięków, lecz o treści improwizowanej na moją chwałę: Przyjechała, gościu, nawet do naszej wioski niezależnie od tego, że jest późna pora roku, a chociażby nawet była wczesna.

Jeli przyjechała do nas rzeką,

to widocznie przywiozła cię łódź.

Jeli wybrała drogę lądową,

to przypuszczalnie jechała koleją,

A jeli powietrzem, to niechybnie samolotem.

Natomiast ze stolicy prowincji autonomicznej dotarła do nas samochodem,

a pomimo że droga zła, w końcu jednak dotarła.

Tak oto schodzą się wszystkie narody.

My nie mamy pięknych kwiatów,

więc ofiarujemy ci tylko nikłe podarki.

Życzymy ci pogody i zdrowia,

nadto - spełnienia się wszystkich twoich życzeń.

Było to rozczulające proste i ładne, więc w miarę jak piewała, obecni Tajowie potwierdzali jej słowa przeciwstawnym, melodyjnym, a coraz silniejszym pojęciem, o którym już teraz wiedziałem, że nie wyrażał markotnych uczuć.

Gdy skończyła, a Tung mi wszystko przełożył na język francuski, Tajowie patrzyli na mnie i

oczekiwali odpowiedzi. W przeciwieństwie do ich chóralnego pojękiwania uderzyłem w zupełnie inny ton, ochoczo żartobliwy. Posłałem piewacze wesóły umiech na podziękowanie, po czym żywo potrzśając głowę rozpromieniony, zawołałem do Tunga: - Nie, nie, nie, nie! Nie wszystko, co ona piewała, zgadza się z prawdą!

Tung wyłupił na mnie wytrzeszczone oczy i odezwał się zgorzonym niemal głosem:

- Czy mam to im tłumaczyć? Chyba nie wypada!

- Tłumaczcie, przyjacielu, tłumaczcie im miało! Mówiła, że nie mają pięknych kwiatów, a to mija się z prawdą. Ich kwiaty włanie tancerki!

I poprzez Tunga wyłożyłem Tajom, co przed chwilą myślałem o Sygietyńskim i jego dziele oraz o wietnych możliwościach tancerek z Bań Mo, gdyby chropawe diamenty ich talentu należycie oszlifować.

podobnie jak polskie "Mazowsze" i tancerki z Bań Mo zasługiwały na to, by wyjść z tych ciasnych dolin i gdzie indziej zabłysnąć wielkim wiatłem. Oczywiście w Hanoi, ale dlaczego nie ambitniej sięgnąć, nie dalej dotrzeć?

Snując owe gładkie i niewinne, jak mi się zrazu zdawało, komplementy, nie sądziłem, że obecni przyjmą je z takim przejęciem.

Było to prawie jak oliwa dla ognia, jak niebaczone poruszenie najskrytszych, powiedziałbym: niebezpiecznych tęsknot, aż się krzyknę przelśkłem i pożałowałem prowokacji. Tajom zapaliły się oczy, i to nie tylko tancerkom, ale i starszym. A jeden z Tajów, ojciec tancerki, chciał widocznie pochwalić się swą znajomością geografii i jśł głono wylewać swój zapach:

- Tak, niech sławiś na wiecie nasze tańce ludowe! Niech jadś do Hanoi. Niech jadś do Pekinu, do Moskwy, Warszawy, Pragi, Berlina i Belgradu, do Londynu, Nowego Yorku i Tirany...

Przyjanie ciśgnęlimy go z obłoków na ziemię i uspokoiłi.

Tłumiśc płomień, nieopatrznie wzniecony, zacząłem zapewniać, że to nie taka łatwa droga - droga do sławy, że przedtem tancerki czeka ciężka praca nad sobą, mozolna praca, wytrwała, mrówcza praca...

Praca - to było swojskie hasło, bliskie i krzepkie, i wszyscy wróciliśmy szybko do prawidłowej równowagi ducha. A na koniku pracy lubił cwałować najwięcej Khien, więc on znowu dorwał się do głosu i dał obraz wysiłków i wybitnych osiągnięć wsi. A wysiłki były i nadal są, hoho! To nie przelewki przemóc stary zwyczaj, zakorzeniony tu od wieków, i zaprowadzić nowy, mianowicie dwukrotnego w roku zasiewu ryżu zamiast jednego. Ileż było drwin, ileż oporu, bo to i więcej znoju, i obraza duchów rodzinnych, i gdzie czas na wielotygodniowe zabawy?

A jednak próbę zrobiono. Gdy półtora roku temu pierwszy raz niewielkie ryżowisko wydało dwa obfite plony w jednym roku i gospodarze jego zebrali ryżu w nadmiarze, złośliwym niedowiarkom zrzędyły miny, głupio im się zrobiło. I Bań Mo zdobyło słuszny powód do dumy, bo odtąd inne wsie

szyły za jego przykładem i również miały Powodzenie.

A dziewczyny w Bań Mo? Niewyczerpane źródło chluby dla wsi, bo to nie tylko tancerki, ale i przodownice pracy. Dawniej płocze miodki nie kwapiły się do rzetelnej roboty, więcej objając się po krzakach z chłopakami niż garnąc się do ryżowisk. Dawniej wszelką ciężką harówkę w polu wykonywali wyłącznie mężczyźni. Teraz inaczej! Rzucone hasło równości przyjęło się, chociaż i tu szyderczy wróg stawał na głowie, by nie dopuścić do postępu. Teraz w samej dolinie rzeki Lai trzysta dziewczyn, którym nowe czasy wszczepiły zdrową ambicję, nie unika ciężkiej sochy i orze bawołami na ryżowiskach wyręczając mężczyzn, wolnych teraz do innej pracy poza domem...

Z entuzjastycznych słów miłego Khiena wychylało się coś oszałamiającego - i starego jak wiat. Toż to Tajowie, nieporównani mistrze próżniactwa, nigdy dotychczas nie urabiali sobie zbyt wiele, od dawien dawna zwalając, co się dało, na barki kobiet. Jeli czym się trudzili, jak na przykład orkę, to także nie chętnie, z jakim zdławionym westchnieniem! A oto spryciarze obecnie zrzucili z siebie i te ostatnie kłopoty i co najciekawsze, dziewczyny, objuczone dodatkowym móżdżkiem, zdawały się przyjmować pracę jak zaszczytną powinność.

Kute franty z tych Tajów, nowe przdy potrafili dowcipnie obrócić na swoją korzyść. Nie wypadało inaczej, jak tylko ich podziwiać.

- To mężczyźni - zerknęłam na Khiena - wyzwoleni od ciężkich robót w polu, mają teraz więcej wolnego czasu?

- O nie! - zaprzeczył Taj żywo. - Teraz jeszcze więcej pracuję!

- Na ryżowiskach czy w lesie?

- Nie tam. Rozważaj o dobru społecznym i często miewaj rady...

O, filuty, filuty!

Dziewczyny w Bań Mo, tak pełne wdzięku w tańcu i tak kształtne wysmukłe postaci, na ogół nie miały ładnych twarzy. Utwierdzało się moje początkowe wrażenie, odniesione w pierwszej wiosce Tajów Białych za Tuan Giao, że większość co urodziwszych kobiet wywędrowała.

Gdy po opuszczeniu werandy Khiena powalęsalimy się nieco wśród chat, wszędzie rojno było od białych kaftaników i czarnych spódnic i wszędzie witały nas serdeczne uśmiechy. Ochota do tańców bynajmniej nie minęła i gdzie tylko zeszło się kilka młodych kobiet obojętnie, czy przy nas gościach, czy bez nas - zaraz odbywały się pląsy. Dziewczęta chwyciły się za ręce i przypiewując tańczyły w jednym kole. Bań Mo, całe roztańczone i rozpiewane, - było tego dnia zaklęciem ludzi szczęśliwych.

Przed jakąś chatą natknęliśmy się na osobliwą dziewczynę. Zauważyłem ją już przedtem w gromadzie, przyglądającej się dwunastu tancerkom, i uderzyły mnie odmienne rysy jej twarzy: miały nalot europejski. Niezawodnie była to córka jakiego Francuza i Tajki.

Także tłumacz Tung spostrzegł jej odrębność, więc teraz dziewczynę, wyjątkowo zresztą nadobną,

zagadnęlimy wesoło.

Oczywiście nie poruszyliśmy sprawy jej pochodzenia, zbyt drażliwej w danej chwili, za to ona zdradziła nam, do jakiego stopnia tancerki przejęły się możliwości dalszego rozwoju. Podczas żartobliwego przekomarzania się wręczyłem jej słoiczek pachnącego kremu, a że właśnie przechodziła drogą jedna z tancerek, poprosiłem ją do naszego grona i tak samo obdarowałem pachnidłem. Tancerka miała ładne, duże oczy, dziwnie rozmarzone, poza tym piękny owal twarzy i liczną cerę, była więc wyjątkiem. Gdy, zażenowana, dziękując mi oblała się rumieńcem, stwierdziłem w duchu, że to chyba najdorodniejsza dziewczyna w Bań Mo.

Jak wszystkie Tajki, posiadała dobrze rozwinięty biust, ale w obcisłym staniku zduszony w niemożliwy sposób. Wszystkie okrutnie ciskały sobie torsy, jak gdyby się wstydziły, że im natura nie szczędziła kształtów, i kto wie, czy to nie była sprawka wieżych wpływów chińsko-wietnamskich. Może napierająca z Delt moda surowości obyczajowej ogarniała także gorsy Tajek i tak je przygniatała? Czyżby należało tu do dobrego tonu upodabniać się do Wietnamek?

- Chciałaby być ptakiem! - przyjanie drwiła Metyska z tancerki.

- One wszystkie tańczyły, jakby unosiły się w powietrzu powiedziałem.

- Nie to! Nie to! - zamięła się Metyska i uczyniła rękoma ruch ku górom na znak, że tancerka chciałyby je przeskoczyć i polecieć daleko w wiat.

Gocinę trzeba było przyjść jeszcze w innej chacie, a jak tylko mieszkańcy wsi dowiedzieli się o moim zainteresowaniu także zwierzyńską lenią, kilku Tajów zaprowadziło nas o jakie trzysta kroków dalej na szczyt wzgórza powyżej wsi i tu pokazało nam pułapkę na tygrysa.

Na małej polanie wśród gęstych zaroli stała klatka sklecona z silnych pni i miała samoczynnie zamykający się otwór. Przynętę - koźlisko lub cielaka - wsadzano do małej przegródki wewnątrz klatki, tak, ażeby tygrys, zwabiony bekim do rodka i zatrząnięty, nie mógł

przynęty rozszarpać. Na razie pułapka była pusta.

- Pewnie dopiero dziś wieczorem wsadzicie przynętę - zapytałem oprowadzającego nas myliwego, szafarza pułapki.

- Dziś nie - odrzekł. - Już od kilku tygodni nie było w naszych stronach żadnego tygrysa. Dopiero jak się który pojawi, zakładamy przynętę.

- A po czym poznacie, że się pojawił?

- O, tygrys to wielki pan! - Taj zabawnie wydmuchnął usta. Pozostawia lady, w nocy stęka, czasem zobacz go ludzie...

Dowiedziałem się, że pułapkę zbudowano przed trzema laty i od tego czasu złapano tu jedenacie tygrysów. Uwiadomiłem sobie, że poczłtki klatki sięgały jeszcze czasów kolonii. Więc pokręciłem nosem i parsknąłem z udanym niezadowoleniem:

- Ie, żecie nie złapali dwunastego tygrysa!

- Dwunastego? - myliwy odrobinę zbaraniał i także przyja ciele nie mogli się połapać, o czym mówię.

- No, jasne, dwunastego tygrysa: Deo Van Lana!

Myliwy ani na chwilę nie stracił rezonu.

- Złapałbym go, dalibóg, złapałbym - owiadczył z całš powagš w twarzy - tylko dziewczuchy mi przeszkodziły.

- Dziewuchy? - teraz on zabił mi ćwieka.

- No, jasne, że dziewczuchy: żadna nie chciała, żeby jš tu zamknšć na przynętę.

A to kawalarz! Błyskawicznie oddał mi wet za wet. Ubawieni, wród ogólnej wesołoci, zeszlimy do wioski.

Czas było powracać do Lai Chau. Z mieszkańcami Bań Mo żegnałem się jak ze starymi, serdecznymi przyjaciółmi. Dziwnie łatwo zadzierzgnęły się między nami ludzkie uczucia. To była radosna i twórcza wie. Wdzięk tańczšcych dziewczyn pozostanie mi w oczach na zawsze.

Samochód nasz powoli ruszył. To było nie tylko miłe sioło, ale i malowniczo położone na stoku wzgórza, bezporednio nad dolinš Nam Lai.

Na skraju wsi, już poza chatami, leżał obok drogi kamień, wysoki na jakie dwa metry, a na nim siedziała dziewczęca postać. Gdy zbliżaliśmy się, poznałem jš. Mimo woli serce zabiło mi żywiej. Była to owa tancerka o rozmarzonych oczach i licznym owalu twarzy, rojšca o dalekim wiecie. Teraz tworzyła urocž sylwetkę siedzšc nieco pochylona w bok, z jednš rękš mocno opartš o kamień - i uderzyło mnie podobieństwo: to przecież zupełnie tak samo siedzi owa powabna syrenka, rzebiona na skale u wejcia do portu kopenhaskiego.

Gdy przejeżdżaliśmy, jej wielkie oczy były w nas wlepione jak gdyby z żalem czy z błaganiem. Może dziewczyna prosiła wzrokiem o spełnienie jej marzeń? Pędziliśmy brutalnie dalej. Dopiero po chwili, ale już za póno, poczułem wyrzuty sumienia, że nie zatrzymałem przy niej samochodu. Lecz po co było zatrzymywać? Jakże mieliby jej pomóc, ja albo przyjaciele? Nie mogliśmy pomóc.

32. Szczep Sš uczy się żyć

Tak oto w Bań Mo zaczęły się piękne dni wycieczek bližszych i dalszych w zapleczu Lai Chau. Nastał urodzajny okres nowych wzruszeń, mocnych wrażeń i wnikania w dziwny wiat.

Wszędzie spotykałem nowych ludzi i poznawałem ciekawe obyczaje, a potem wracałem na nasze miłe wzgórze nad miastem z notatnikiem pełnym zapisków. Buszowaliśmy także w samym mieście albo w bezporedniej jego bliskoci przepływajšc pirogš na drugi brzeg Rzeki Czarnej i wspinajšc się na

skalisty cypel byłej rezydencji rodziny Deo.

Z kilku pozostałych po Deach budynków tylko jeden był w użyciu i służył za stację meteorologiczną. Reszta ziała beznadziejną pustką, wyszabrowana do ostatniej nitki i belki. Tylko gólsieńskie ciany pozostały po dawnej wietnoci, a na cianach wypisano urągliwe napisy. Obok prymitywnych rysunków węglem życzenia cienne rozstawiały całą rodzinę Deo Van Lana po kątach i solidnie maltretowały intymne części jego ciała.

Rysunkom i napisom przyglądałem się ze złością ciekawości a niektóre nawet fotografowałem, co wywołało u towarzyszącego mi Tunga ociupinkę zaniepokojenia. Uczciwie tłumaczył mi frywolne napisy, a potem lekceważąco machnąwszy ręką wyjął: - To ramoty pastuchów, zabijających sobie czas gryzmołaniem camarade rozumie...

- Rozumiem: to byli uczeni pastuchowie! - zamiałem się.

Umieli nawet pisać...

Życzliwy a inteligentny przewodniczący orodka administracyjnego, Lam Xung, był opiekunem naszych dalszych wycieczek, on też sumiennie zapoznawał mnie zarówno z ludmi, jak z problemami.

Sprawa prymitywnych ludzi plemienia Ss stanowiła w tych stronach niewątpliwie jedno z najciekawszych zagadnień nowego ustroju i uzgodnilimy, że dobrze by było poznać ich wie Phiang Dat. Wie, niestety, leżała mniej więcej, pięćdziesiąt kilometrów od Lai Chau w górskiej gęszy i dostęp do niej był uciążliwy, więc jako z dnia na dzień zwlekaliśmy z decyzją wycieczki.

Tymczasem zwiedzaliśmy bliższe zakątki dolin, a między innymi Muong Tong nad górnym biegiem tej samej rzeczki Nam Lai, która w Lai Chau wpada do Rzeki Czarnej i samemu miastu nadaje nazwę.

W Muong Tong stała garnizonem kompania czy dwie żołnierzy, a ponieważ starszyzna w tych dalekich od cywilizacji górach nie miała rozrywek, wielce ucieszyła się naszymi odwiedzinami i ze szczerą serdecznością częstowała nas herbatą. Gdy wśród miłej gawędy pilimy aromatyczny napój, komendant zniechęca zaskoczył mnie prośbą o przemówienie do żołnierzy już zebranych w wietnicy. To jakby z jasnego nieba co spadło i nie na żarty się przeraziłem, ale i komendant nie żartował. Bez najmniejszego przygotowania, zaszokowany, stanąłem na podium naprzeciw dwustu par oczu. Obok mnie Tung, mający tłumaczyć me francuskie przemówienie na wietnamski.

O czym było mówić żołnierzom tkwiącym na tym końcu wiata?

Oczywiście o niedawnym Dien Bien Phu, o radoci i o niezatartym wrażeniu, jakie to zwycięstwo wywarło na wszystkich ludziach dobrej woli w Europie. Ochłonawszy z pierwszej tremy przemawiałem coraz śmielej i widocznie nie najgorzej, bo w miarę jak Tung tłumaczył

każde zdanie, zauważyłem u niektórych żołnierzy wyrwane wzruszenie. Zakończyłem dobrze, po czym oficer owiatowy wykorzystał okazję, by upiec i swoją pieczeń i zalnić wiedzą o szerokim wiecie. Potem była wspólna fotografia na dziedzińcu i serdeczne pożegnanie.

- Będziemy długo pamiętali ten dzień! - zapewniał mnie komendant ciskając mocno dłoń, a następnie

dodał umiechnięty, że miałyby ochotę rozkazać swym żołnierzom, by mnie zanurzyli w rzeczce Nam Lai, przepływającej obok baraków.

- A to dlaczego? - zamiałem się.

- Mówisz ludzi, że kto raz tu wykšpał się w Nam Lai, wkrótce powróci...

Ale obyło się bez gwałtu i kšpieli i odeszliśmy w głębokim przekonaniu, że zajrzeniem do tej odległej staniczki spełnilimy naprawdę pożyteczny uczynek.

Ażeby dojć do drogi, gdzie stał nasz gazik, należało przekroczyć Nam Lai prowizorycznym mostkiem, zbudowanym z wiotkich dršgów bambusowych. Były nadmurszale i obliczone najwyżej na ciężar tutejszych ludzi, o jednš trzeciš lżejszych niż ja, więc już przy przejciu w tę stronę miałem porzšdnego pietra, czy lichota się nie załamie. Nie załamała się, ale teraz w drodze powrotnej przyjaciele jęli kšliwie pokpiwać, że mostek powinien się zapać pode mnš, ażebym przepisowo wpadł do Nam Lai.

Rzeczka, w tym miejscu niezbyt głęboka, sięgała co najwyżej do pasa, lecz miałem w kieszeniach różne rzeczy, także notes, i przymusowa kšpiel wcale mi się nie umiechała. Zatem uzbrojony w solidnš żerd do podpierania się, przechodziłem mostek stopa po stopie, ostrożnie niby niedwied linoskoczek. Przewidujšcy Tung wybiegł

z aparatem naprzód na drugi brzeg, by sfotografować katastrofę, ale płonne były jego nieczne nadzieje. Uchwycił jedynie samo przechodzenie, mnie, niedzwiedziowatego kolosa na kruchym bambusie, a za moimi plecami ubawionych przyjaciół, między nimi oczywiście ducha opiekuńczego Chunga, z nieodstępnš tekš pod lewš pachš.

Pozbawiłem ich przyjemności i nie wpadłem do wody.

Lecz zabawa zabawš, żołnierze żołnierzami, a tymczasem sprawa plemienia Sš coraz bardziej nie dawała mi spokoju. Wyczuwałem tu tchnienie przełomowych zmian, wyrany poczštek nowej ery, a że jako trudno było nam teraz opuć na dłuższy czas Lai Chau, więc przynajmniej skrzętniej zbierałem na ten temat wszelkie wiadomości.

Oczywiście przewodniczšcy Lam Xung przychodził nam z najcenniejszš pomocš i jeli tylko pojawiał się w mieście jakiś rozgarnięty Sš, zaraz nam go przysyłał z tłumaczem na rozmówki.

Tych Sš przebywało w zapleczu laichauskim do tysišca dusz.

Obraz nędzy i upadku, jaki pobieżnie nakreliłem przy moim pierwszym z nimi spotkaniu na drodze między Thuan Chau a Tuan Giao, tu potwierdzał się w całej pełni. Nędza, ich polegała na tym, że na skutek wielowiekowej zależności od tajskich feudałów nie tylko cierpieli skrajnš biedę i coroczne okresy głodu, ale przede wszystkim zwyrodniali duchowo do tego stopnia, że oduczyli się jakiegokolwiek mylenia o poprawie bytu. Jakże skrajne było ich wynaturzenie: oćpiali, jakby zatracili już zdolność pałania gniewem, już nie umieli nawet się buntować, a ich umiech i beztraska były objawem raczej zdziecinnienia i zgody na klęskę niż radoci.

W najurodzajniejsze lata Saowie nie zbierali kukurydzy więcej niż na osiem miesięcy, przez resztę roku głodowali na korzonkach i lenych owocach lub wezwani do pracy przez Tajów, harowali u nich na warunkach niewolników, to jest tylko za szczupłą strawę. Ich życiowa bierność szczególnie ujawniała się w pracy dla siebie: tyle mieli dni zakazanych, że całymi okresami nic nie robili włącznie wtedy, gdy należało szybko działać, siać lub ratować żniwa. Z duchami nigdy nie umieli sobie dać rady, jak to wietnie czynili ruchliwi Meowie. Zwycięstwo nowego ustroju uwolniło biednych Sš od panów tajskich, ale z niewoli szkaradnych duchów trudniej było ich wyzwolić.

Byli tak biedni, że nie mogli kupować soli dobywali ją z popiołu palonego bambusa. Byli tak prymitywni, że ogień krzesali uderzeniem żelaza o kamień. Narzędzi nie posiadali prawie wcale, a rzemiosła żadnego nie umieli wykonywać, tym samym zdani byli na łaskę innych. Sšsiadów naladowali we wszystkim, co najgorsze, jak na przykład w "robieniu zięcia", a było to przecież także niewolą swego rodzaju. Reżym feudalno-kolonialny nie tylko nic nie robił dla dwignięcia ich z upadku, lecz pchał ich ku zagładzie, która nieubłaganie musiała nadejść.

Wyzwolenie kraju przez Wietminh od razu zmieniło ich warunki.

Władze ludowe energicznie i rozumnie popieszyły im z ratunkiem.

Oczywiście z miesiśca na miesiśc nie mogły im wpoić zamiłowania do pracy ani nadwstlić ich zgubnej wiary w zakazane dni i w złe duchy.

Lecz doranie i skutecznie ulżyły ich doli zmuszając tajskich gospodarzy do należytego wynagradzania za pracę najmitów, a w miesiścach przedówka skupując od Saów za gotówkę produkty lene, zwłaszcza bambus. W orodku administracyjnym w Lai Chau Saowie mieli stałego przedstawiciela, nazwiskiem Nuk Ba Sen, dobrego mego znajo mego i on pilnował, by nie było nadużycia ani krzywdy.

W okresie mego pobytu nad Rzeką Czarną większość skupisk Saów otrzymała już najpotrzebniejsze narzędzia rolnicze, a w niektórych orodkach działali instruktorzy tajscy przez wiele miesięcy, by w ciągu całorocznego cyklu uczyć górali racjonalnej uprawy ziemi.

Saowie, do niedawna traktowani z pogardą jak zwierzęta bez rozumu, zaczęli powoli nabierać zaufania do siebie i czuć się, choć na razie jeszcze bardzo niepewnie i z wahaniem, obywatelami kraju. Na przykładzie z bawełną podziwiałem roztropność i niezwykły takt, z jakim władze ludowe przystępowały do walki z ich największym wrogiem, zabobonami.

Chłodnawy zimny klimat gór Sip Song Czo Taj wymagał ochronnej odzieży, więc żyjące tu narody, Tajowie, Meowie, Yao, wietnie rozwinęli u siebie sztukę tkactwa z bawełny uprawianej na własnych polach. Saowie co prawda także uprawiali bawełnę, ale nie umieli jej dalej przerabiać, więc zanosili ją do Tajów w dolinach, by zamieniać na gotowe tkaniny. Łupieni, obdzierani ze skóry, wychodzili na tym interesie jak przysłowiowy stryjek zamieniający siekierkę na kijek.

Jakkolwiek poprawę bytu należało więc rozpocząć od przyuczenia ich do tkactwa, ale władze ludowe natrafiły w tym na nieoczekiwane trudności.

Za żadne skarby Saowie nie chcieli dotknąć nawet palcem warsztatu tkackiego ani nawet kołowrotka. Tak bali się demonów, że panicznym lękiem przejmowała ich sama myśl o tkaniu. Był to jeden z najsurowszych zakazów, narzuconych im przez siły nadprzyrodzone, a tym większy dla nich, że nakazywał miłe nieróbstwo.

Stare podanie tak tłumaczyło ródło tego zakazu. Kiedy pewna zuchwała rodzina nauczyła się od Tajów wyrabiania przędzy. Gdy której nocy wyszła na dwór, by tam pracować przy kołowrotku, napadł

na nią tygrys, pomimo że płonęło ognisko, i zabił męża, a poranił żonę i dzieci. Był to tygrys-demon. Od tego czasu wszyscy Saowie przysięgli sobie, że nigdy już nie będą tkali.

Przysięgi tak wiernie dochowywali, że gdy nastąpił przewrót i Tajowie podali im przyjazną dłoń z pomocą, Saowie owiadczyli, że gotowi wszystko zrobić, każdemu ponieść ofiarę, tylko nie rusz warsztatu tkackiego. Nie chcieli ginąć w paszczy tygrysa, więc błagali i zaklinali, a gdy życzliwi instruktorzy namawiali ich usilniej, tym zawziętszy wywoływali opór. Przeszli górale zaczęli podejrzewać, że to jakiś

niebezpieczny zamach na najgłębsze ich wierzenia, a troskliwie nauczycieli tłumaczyli sobie na opak wierząc u nich podstępnie chęć rzucenia Saów na pastwę demonów i tygrysów.

Dopiero gdy miesiące mijały, a władze ludowe na każdym kroku okazywały Saom istotną pomoc, górale poczuli się wstydzili swej nieufności wobec władz. Niektórzy, bardziej ciekawi, częściej teraz schodzili w doliny i z radosnym zdumieniem dowiadywali się w Lai Chau, że oni, niedawni niewolnicy, otrzymali obecnie przywileje, jakich nawet inni nie mieli, będąc na przykład całkowicie zwolnieni od podatków i przymusowych robót.

Owi ciekawsi, nieliczni chwaci zaczęli teraz odrobinę myśleć o sobie i o swym plemienu. Nie miało rodziło się w nich co dotychczas im zupełnie nie znane, mianowicie przedmiot własnej godności i wstyd za swe zacofanie. Pochodzili ze wsi Phieng Dat i z pewnym wahaniem zgodzili się, by na próbę ustawiono w jednej ich chacie warsztat tkacki.

Gdy rodziny dowiedziały się o ich bluźnierczej zuchwałości, uciekły do puszczy, inni Saowie przekleli ich za ciążenie na ludzi nieszczęścia. Pierwszy kołowrotek zafurkotał w Phieng Dat i nic złego się nie stało, wypadku nie było. Z drżeniem przybliżyła się żona jednego z tych miłośników, dotknęła aparatu i piorun nie uderzył. Potem inna nie chciała być tchórzliwsza i pogmerała przy warsztacie tkackim. Tygrys, nie wyskoczył z gęszczy.

Inni Saowie wyparli się lekkomyślnych szaleńców i tylko czekali, rychło spadnie na nich zemsta demonów. Tymczasem wyrobiony przy pomocy instruktora pierwszy kawałek sukna budził zarówno podziw, jak i trwogę i nikt nie odważył się wziąć go na ciało. Więc sukno sprzedano w dolinie w sklepie państwowym za tęgi garniec ryżu, a ryż był zdrowy, ludziom przednio smakował i nikogo nie zatrął.

Przeciwnicy zapewniali złorzecząc, że wietokradców kara nie mi nie i jeśli nie ich samych, to ich dzieci dosięgnie, ale nie mogli zapobiec, że inni Saowie zaczęli się dziwować i kiwać głowami. Z

dalszych stron przybywali ciekawi ludzie do Phieng Dat. Przyglądali się pracy kołowrotka i warsztatu, wodzili zdumionym wzrokiem po sąsiednich gószczach, skąd tygrys nie przybywał, i wracali do swych sadyb wstrząśnięci. Tak oto kruchy kołowrotek nabierał nieodpartej siły tarana, rozbijającego straszliwy mur.

“Człowiek to wielka rzecz” -piękne hasło, lecz jakże często bywa nadużywane lub le zrozumiane. Tu w Lai Chau, na krańcach republiki ludowej, za górami, za lasami, pełni zapału miałkowie dzierżąc władzę, urzeczywistniali słowa Gorkiego z takim rozmachem i w taki sposób, że nawet zagorzali wrogowie ustroju musieli odnieść się do ich czynu z uznaniem. Tu, na tym przepastnym końcu wiata, nowe formy stosunku człowieka do człowieka dobrze zdawały egzamin i przywracały ludzką godność zafukanyemu dzikusom, skazanym przez dawnych władców na zagładę. Przyjazne ręce wprowadzały ich w wielki krąg ludzi cywilizowanych.

33. Dzikie banany kojśce

Na kilka dni wyruszyłem z Lai Chau w góry, zamieszkałe przez Meów.

Jechaliśmy w trójkę na koniach, przede mną Dang, który był ze szczepu Meo, za mną Mao Van Chon, który był Tajem.

Po dwugodzinnej jeździe w gęstej mgłę wydosłaliśmy się nagle, bez żadnego przejścia, na pełne słońce. Aż rażśco łupnęło nas w oczy.

Trochę jak w owych fantastycznych powieściach międzyplanetarnych wjeżdżaliśmy teraz w świat innych pojęć, innych obyczajów, innego sposobu życia niż w wiecie tam na dole. Była to podniebna ojczyzna Meów, chociaż jak okiem sięgnąć, na razie ludzi ani ladu.

Przed nami rozciśgał się przedziwnie słoneczny krajobraz gór, za nami mroczyły się mgły i doliny, a w nich gdzie za lasami, za rzekami, pozostały ostatnie okruszyny cywilizacji.

Tu rozkosznie było oddychać chłodnym jak kryształ powietrzem i hasać wzrokiem na dalekich stokach i po lesistych wśwozach. Dang, odwrócił się do mnie i nawet umiechnął, co u niego rzadko kiedy się zdarzało.

- Mon pays, mój kraj! - zawołał ochoczym głosem, rad jak dziecko, że już nie będzie się dusił w oparach gorścej doliny.

Była to wesoła wycieczka w góry, bo gdzie tam na stoku zwanym Ta Czuong umarł jaki kuzyn Danga i z tej racji wybieraliśmy się na pogrzeb, ażeby obyczajem Meów hucznie się zabawić i wziść udział

w radosnej stypie. Zabralimy ze sobą trzeciego towarzysza, Mao Van Chona, który pomimo że Taj, był przyjacielem Danga.

Przemierzaliśmy właśnie płaskowzgórze pokryte bardzo rzadkim lasem i dość wysoką trawą, zwaną tu trawą słoniową, gdy lekki szelest i szybki ruch w zarolach zwrócił naszą uwagę. Po czerwono-brzowym kolorze zwierza poznaliśmy, że to spłoszony mundczak. Jelonek zatoczył przed

nami półkole i zaraz się zatrzymał ukryty za krzakiem o jakie osiemdziesiąt kroków od nas.

Dang, będący najbliżej zwierza, w pierwszej chwili poderwał strzelbę do strzału, lecz poznał, jaki to zwierz, i opuścił ją. Nie chciał strzelać, nawet gdy mundczak przystanął.

- Strzelajcie! Czemu nie strzelasz? - szepnąłem do niego.

Sam broni nie miałem.

Dang zachował się niezwykle. Ostro potrząsnął głową na znak, że nie strzeli, i ledził czajšcego się mundczaka z wyraźną trwogą w twarzy.

Wtem strzał huknął za nami. To wypalił Chon ze swego karabinu.

W krzakach rozległ się stłumiony skrzek trafionej zwierzyny. Słysząc było przez chwilę trzask gałęzi i cisza.

- Leży! - rzekłem i zdziwiony spojrzałem na Danga. Czemuście wy nie strzelali?

Meo umięknął się zakłopotany.

- Takie wierzenia w naszym narodzie - odparł niemiało.

- Niby że nie wolno strzelać do mundczaka?... - nie chciało mi się wierzyć.

- Nie to! - zaprzeczył Dang łagodnie. - To zła wróżba u nas jeśli się usłyszy przerażony krzyk mundczaka. Dlatego wolałem nie strzelać, żeby nie krzyknął...

- A jednak zraniony zwierz odezwał się!

- Tak - odezwał się - ale to był już jego głos mierci. To się nie liczy...

Na to Chon zarechotał złośliwie i rzucił:

- A ja wiem lepiej, dlaczego on nie strzelał!

Meo zerknął spod oka na Chona i rzekł do mnie z cichą ironią: - Ludzie z krainy pijawek wszystko lepiej wiesz...

Pijawki lene trzymały się tylko w dolinach, gdzie również żyli Tajowie.

- Ja wiem - cisnął niewzruszony Taj - że on nie strzelał, bo nie chciał omieszyć swej pukawki. Na tę odległość chybiłby jak nic.

Meo miał strzelbę-skałkówkę sfabrykowaną przez kowala jego szczepu, z zamkiem zbudowanym na

zewnątrz, Taj natomiast miał

karabin Lebella, zdobyty na żołnierzu z Legii Cudzoziemskiej.

- Podczas wojny - owiadczył Meo z pogodnym spokojem ubiłem z niej trzech Tajów, zdrajców...

- Ale chyba z bliska, na kilka kroków... - zamiał się Chon.

Dang, niewzruszony i umięchnięty, zbył uszczypliwość Taja milczeniem i na tym skończyły się przyjacielskie docinki, do których już przywykłem. Obydwaj byli towarzyszami broni w szeregach Wietinihu podczas ostatniej wojny, stąd ich zażyłość pomimo przynależności do dwóch odrębnych narodów. Jeden i drugi mówili jako tako po francusku.

Po wypatroszeniu mundczaka Chon wziął go na swego konia i podjęliśmy jazdę. Około południa cieżyna - rzadko używana i miejscami zupełnie ginąca na skalistym gruncie - wiodła stokiem góry ponad takś przepaciś, że na sam jej widok obleciało mnie lekkie mrowie, gdy mielibyśmy tam przejechać. Meo uspokajał mnie, że jego konie mają niezawodne nogi i mśdroć większą od ludzkiej, dlatego radził mi zamknąć spokojnie oczy i zdać się na mego wierzchowca.

Łatwo radzić!

cieżka zniknęła nad przepaciś całkowicie i pozostały tylko wystające tu i ówdzie z prostopadłej ciany niewielkie wyboje, na których koń, stękając z cicha, ostrożnie stawiał kopyta. Czasem wydawało mi się, że koń mój już wcale nie opiera się o grunt, lecz wisi w powietrzu nad otchłaniś. Wtedy nie widziałem na czym stoi, a przechylać głowy nie miałem. Pod koniec tej piekielnej przeprawy nerwy zaczęły mi wypowiadać posłuszeństwo i opętało mnie natrętne uczucie, że przepać nieodparcie pociśga mnie ku sobie. Nadludzkim wysiłkiem woli zwalczyłem to niesamowite doznanie. Trwało ono aż do samego końca i gdy wyjechalimy na pewniejszą skałę, cały byłem mokry od potu i niemal omdlały z wrażenia.

Niebawem mijając strumyk zarządziłem krótki postój, dobyłem z juków butelkę spirytusu, przywiezionego jeszcze z Polski, i spreparowałem naprędce kwaterkę wódki. Nigdy jeszcze tak nie smakowała, przepijaliśmy do siebie. A potem popełniłem szaleństwo: jeszcze raz doskoczyłem do juków, porwałem w obydwie garchie chyba połowę naszych zapasów cukru i sprawiłem ucztę naszym trzem koniom.

Miały ucztę dzielne bestie, aż rżały z rozkoszy!

Były to małe koniki, ale tak silne i wytrwałe, że przebiegały podobno sto kilometrów po górach bez odpoczynku. Na nieszczęście były na miarę Meów, a nie dryblasza jak ja, więc siedząc na moim rumaczku, mocno przypominałem Don Kiszota, nogami za trścałem matkę-ziemię, często niestety także ojczyrna-głaz. Ale po szatańskiej przeprawie już nie psioczyłem na sprzeczności końskich i moich nóg natomiast kosmaty kark i łeb pieciłem miłosnym wzrokiem.

Po opuszczeniu przełęczy zjechalimy kilkaset metrów w dół

w rozległą, bezludną dolinę. Wróciliśmy tu do klimatu tropikalnego: zrobiło się znowu gorąco i parno,

a dolinę pokrywała bujna puszcza pełna barwnych motyli. W gśszczu szumiało od wszelkiego życia, ćwierkało, gwizdało, klaskało, a gdy zjawiły się nad nami kolorowe ptaki, należśce do rodziny pitta, czerwone jak ogień i jaskrawoniebieskie, które wcale od nas nie uciekały, zrozumiałem, że jest to raj dla przyrodnika, gdzie człowiek swś drapieźnociś jeszcze nie skaził pierwotnej przyrody.

Zapytałem Danga, dlaczego nie osiedlili tu się dotychczas ludzie, - Tajów nie ma tu w pobliżu - wyjanił Meo - a dla nas jest za ciepło. Poza tym rozpanoszyły tu się od dawien dawna ludożercze pantery, niebezpieczne dla ludzi, i trudno je wytępić. Nasi mówiś, że to złe demony... My nie lubimy tego lasu.

- A nam pantery nie zrobiś czego?

- Nie - odparł przygryzajśc dolnś wargę - dzi rano przed wyruszeniem w drogę rzucałem magiczne rogi i wszystkie znaki dobrś wróżyły naszej wyprawie. Panter nie spotkamy...

Jechaliśmy zaroniętś, ledwo widocznś cieźkś jeden za drugim.

Dang jak zwykle przede mnś, a Chon za mnś. Dang rozglśdał się bacznie dokoła, zapuszczajśc wzrok w gęstwinę, i widocznie dobrś wróźbę gorliwie podpierał bystrociś swych oczu.

On też w pewnej chwili dał nam rękś znak, żeby zatrzymać konie i zachować się cicho. Sam wypatrywał z czujnś uwagś czego w gałęziach drzew, które stały o niespełna sto kroków przed nami.

Gdy poszedłem za jego wzrokiem, odkryłem tam kilka wielkich ptaków. Chociaż nie były mi obce, mimo że je żywe po raz pierwszy zobaczyłem, to jednak zdębiałem, takie osłupienie wywoływały dziwolśgi. Na potężnych dziobach, groteskowych jak dzioby amerykańskich tukanów, rosło im drugie dziwac

two: wielki róg, jak gdyby te ptaki

miały dwa dzioby. Były to dzioboroźce.

Z zaciekawieniem przyglśdałem się czupiradłom. Siedziały wszystkie, pięć czy szeć, w pewnym oddaleniu od siebie, ale na jednej gałęzi.

Od razu rzucało się w oczy, że przyroda jak gdyby w pijackiej fantazji spletała tu złoliwego figła, bo jaki pożytek przynosi ptakom absurdalna narol na dziobie?

Czy nie jest im jedynie zawadś, jakś kulś u nogi Ale jeszcze mieszniejsze niż ich wyglśd było zachowanie ptaków.

Siedzćc na gałęzi z niewzruszonś godnociś, spoglśdały od czasu do czasu na siebie, raz po raz poważnie kiwały dziobami i odzywały się do siebie stłumionym bełkotem, zbliżonym do głosu żab - jota w jotę

grono dostojnych profesorów, naradzajścych się nad arcyważnym problemem. Zajęte sobś, jeszcze nas nie zauważyły.

Dang ostrożnie zwrócił się twarż do mnie i szepnął: - Powiedzcie mi, panie, czy umiecie okiem mierzyć odległość?

- Czy umiem mierzyć odległość? - zdziwiłem się. - Oczywiście, umiem.

- Czy widzicie tam tego najbliższego siedzącego ptaka?

- Widzę.

- Czy mundczak był od nas dalej niż ten ptak?

- Chyba nie. Pewnie tak samo daleko... Czy chcecie do ptaka strzelać, Dang?

Meo pucił pytanie mimo uszu. Uniósł swą strzelbę, chwilę mierzył trzymając broń z daleka od twarzy - strzelby Meów bowiem mają małe rękojeści jak u pistoletów, więc nie przykładają się do ramienia - wypalił.

Ugodzony dzioborożec trzepocząc spadł na ziemię w gęste podszycie. Reszta ptaków zerwała się przerażona i widząc konanie jednego ze swoich nie uciekła, lecz z ogromnym wrzaskiem skakała nad nami z gałęzi na gałąź. Swym głonym oburzeniem napelniała cały las.

Można było wystrzelać je wszystkie.

Meo zsiadł z konia, by poszukać w krzewach zabitego dzioborożca. Gdy go przyniósł, w milczeniu pokazał mi, że kula przeszła ptaka na wylot, po czym bez spojrzenia na przyjaciela Chona nabił na nowo strzelbę sypiąc proch do lufy, zdobywczy przytroczył do siodła i wspiął

się na konia. Podjęliśmy jazdę, odprowadzani jeszcze długo krzykiem dzioborożców niby przekleństwami.

A może to w istocie były przekleństwa? Pomimo że słońce stało jeszcze wysoko na niebie, tu na dole kłębił się dziwny zmierzch pełen nieuchwytnych grobów. Nerwy zapewne nie ochłoniły z lęku doznanego nad przepaścią: puszcza, tam gdzie była najgęstsza i najciemniejsza, wydawała się matnią zaczajonego niebezpieczeństwa. Do stu katów, gdzie moje zwykłe opanowanie! Sztychłem w duchu z siebie samego, lecz - jak gdyby pod czarem jakiego przymusu, ukradkiem strzelałem oczyma między krzewy, czy nie ujrzę czyhającej pantery. Zaczarowana, zła puszcza.

Ale nie wszędzie była gęsta i ponura. Gdzieś tam rzadniała i tam drzewa mniej się tłoczyły, a więcej wpadało wiatła. Wtedy rozpraszały się wrogie cienie, a gdzie słońce docierało do ziemi, w tych miejscach zawsze królowały pióropusze dzikich bananów. Jasnozielone gromady zgęszczonego wdzięku. Banany niosły odprężenie. Były godłem bezpieczeństwa, bo rosły w przejrzystym gęszczu. Co więcej zauważyłem: były wielkimi żarłokami wiatła. Dopiero w tej niesamowitej puszczy uprzytomniłem sobie, jak chciwie banany piły słońce i jak ich olbrzymie lico pozwalały im chłonąć jak najwięcej promieni. Mało było na ziemi rolin, które by tak namiętnie upajały się pogodą, tak były rozmiłowane w błękitnie nieba. Zrozumiałem, dlaczego wszędzie na wiecie kochałem je jak braci. Łęczyły nas wspólne namiętności.

Tak samo teraz w posępny lesie wierni sojusznicy nieli mi pomoc: dzikie banany przepędzały lęk i widma. Panter już nie wypatrywałem.

34. Trzech mężczyzn gawędzi

Bez wypadku opuciliśmy parną dolinę i znowu wybilimy się na stoki. Były także zalesione, ale rolnościś innś, mniej nizinnś, a im wyżej, tym powciśgliwszś. Jeszcze przebrnęliśmy przez las, obfitujący w wielkie drzewiaste paprocie; potem przeważały połoniny i skały.

Tu i ówdzie pojawiły się skromne "raje", poletka kukurydzy po wypalonym lesie - pierwsze lady Meów. Ale ludzi ani ich chat jeszcze nie było widać. Na wyżynach ogarnęło nas chłodniejsze powietrze. Dang poczuł się tak dobrze, że zaczął nucić pod nosem.

- Dang! - odezwałem się. - Ludzie w dolinach mówili mi, że wy macie dwie żony. Prawda to?

Meo przestał nucić i odwrócił się do mnie.

- Prawda! - odrzekł z ochotś. - U nas wszyscy mają po dwie żony. Taki obyczaj.

- Włanie! - podjąłem z ożywieniem. - To mnie bardzo zastanowiło. Przecież żon nie ciągacie sobie z innych stron, ani nie bierzecie z innych szczepów.

- Nigdy!

- Więc tej rachuby nie rozumiem. Każdy dorosły Meo ma dwie żony. Czy to nie dziwne, że u was kobiet jest dwa razy więcej niż mężczyzn?

- Tak, to dziwne - odparł Dang po chwili namysłu. - U nas jest więcej kobiet.

I jś tłumaczyć dlaczego. Przede wszystkim u Meów rodzi się więcej dziewczyn, to fakt niezaprzeczalny. Dang na przykład ma dwie córki i jednego syna, jego młodszy brat - same córki, i podobnie jest w innych rodzinach. Ale istnieje i drugi powód: twardy żywot w wysokich górach, dawniej bardzo wyczerpujące roboty przymusowe, częste walki o niezależność, a także wyjątkowa pracowitość mężczyzn Meów, o wiele sumienniejsza i w cięższych warunkach - Dang łypnął

okiem w stronę Chona - niż u Tajów, wszystko to powoduje większś miertelność mężczyzn.

- Dlatego - kończył Dang - przeważnie mężowie mają u nas po dwie żony, a mimo to kobiet starczy dla wszystkich...

Nie dałem miłemu towarzyszowi do zrozumienia, że jego wywody niezupełnie mnie przekonały, zwłaszcza co do tej wzorowej pracowitości, ale to pewne, że mężczyźni szybciej umierali. Ludzie wiedzący, co w trawie piszczy, zapewniali, że to z winy fizycznego wycieńczenia męża przez dwie żony oraz palenia opium, któremu oddawali się mężczyźni.

Dwuzęństwo Meów w tych okolicach należy niewątpliwie do najosobliwszych obyczajów, z jakimi

się zetknęłam na wiecie.

Pierwsze małżeństwo zawierało się, gdy ona miała około dwudziestu lat, on około dziesięciu. Jak na całym Wschodzie, rodzice chłopczyka łożyli koszty na wesele i płacili jej rodzicom wiano, zazwyczaj niewielkie, po czym małżeństwo zakładało własne ognisko. Rzecz prosta, w cięgu pierwszych kilku lat obydwoje żyli ze sobą jak rodzeństwo i dopiero gdy chłopiec zdradzał pierwsze objawy męskiej dojrzałości, ona, wtedy już dwudziestokilkuletnia niewiasta, stawiała się jego prawdziwą żoną.

Od pierwszego dnia małżeństwa jej najważniejszym, a przy tym wielce zaszczytnym obowiązkiem było wychowanie chłopca-męża na dzielnego mężczyznę. Toteż rodzice baka, rozglądając się za żoną dla niego, nie szukali w przyszłej synowej gładkiego lica, lecz przede wszystkim walorów moralnych i zdolności wychowywania. Pierwsze żony więc na ogół nie odznaczały się urodzajem i w swym kwiecie wieku nie doznawały uciech zmysłowych jak inne dziewczyny; za to małżeństwo napawało je szlachetną dumą, a wszyscy inni Meowie z szacunkiem to uznawali, gdy wisiu wykierowały na człowieka. Co u innych narodów i szczepów spełniać powinni rodzice, to tu wcielały w czyn wiadomie, z gorliwym przejęciem pierwsze żony. Niem twierdzić, że uderzające cnoty, jakie mieli Meowie, mianowicie bezgraniczną uczciwość, rozbijającą prostolinijność mylenia, lecz także i nieprzeciętne męstwo zawdzięczały właśnie tej wyjątkowej szkole, jedynej w swoim rodzaju.

Opowiadał mi Thu w Lai Chau, że odwiedzając któregoś dnia Meów w górach, ujrzał młodą kobietę, pracującą w polu z małym dzieckiem na plecach. Zapytana, w jakim wieku jest jej dziecko, wyznała, że to wcale nie jej dziecko, lecz szwagier, brat jej męża.

- A gdzie mąż? - zapytał Thu.

- Mąż pozostał w domu! - odrzekła. - On jeszcze mały, nie umie pracować. Więc ja sama pracuję i szwagra zabieram ze sobą, bo mąż niezdolny go pilnować...

Gdy młody mąż dochodzi do dwudziestego mniej więcej roku życia, a więc do pełni sił, żywi wciąż głębokie uczucie, szczególnie poszanowania, dla żony przedwcześnie starzejącej się od ciężkiej pracy. Ale pomimo swego przywiśzania zaczyna rozglądać się za młodszymi dziewczynami. Należy do przyzwyczajenia u Meów, by żona przez palce patrzyła na jego pozadomowe umizgi. Mogłaby w zasadzie odmówić zgody na jego drugie małżeństwo, ale rzadko kiedy to czyni nie chcąc narazić się na miano zazdrosnego babsztyla. A już godzi się bez najmniejszego sprzeciwu, jeśli nie urodziła syna, syn bowiem to szczyt marzeń i rękojmi szczęścia również u Meów. Więc tak czy owak młody mąż, tym razem z własnej woli i na zasadzie normalnego uczucia miłości, bierze sobie drugą żonę, zazwyczaj młodszą od siebie, jak to bywa gdzie indziej w wiecie.

Odtąd cała trójka żyje pod jednym dachem. Bywalczy utrzymują, że takie małżeństwa są szczęśliwe, że panuje w nich przyjaźń i zgoda i nie ma zatargów. Ponoć starsza żona rozumie i pobłaża, gdy mąż żywi dla drugiej żony inne uczucie, bardziej młodzieńcze, ale nie dopuszcza do siebie zazdroci pod warunkiem, że mąż dopełnia obowiązków małżeńskich uczciwie i sprawiedliwie rozdziela względy.

Wszakże są i tacy, wtajemniczeni pono w arkana, którzy twierdzą inaczej, że nie wszystko idzie w tych małżeństwach jak z płatka, że jednak bywają tarcia. Lecz któż obcy dociecze prawdy? Mógłby

wiele odsłonić Dang, ale czy zechce?

Gdy słońce zachodziło za góry - tak samo jak w Lai Chau, o godzinę wcześniej niż na równinach - Stanęliśmy na nocleg blisko brzegu lasu i polany z dobrą trawą. Niedaleko szemrał strumień, a niewielka pieczara w pobliskiej skale zapewniała ochronę przed nocnym chłodem. Mielimy więc pod ręką wszystko, czego dusza zapagnie, wodę, opał, paszę dla koni i niezłe schronisko. Zaraz też każdy skoczył

do swej pracy, a mnie przypadła troska o sam nocleg.

Przy wietle kieszonkowej lampki przejrzałem wszystkie kęsy i szpary jaskini, lecz żadnych podejrzanych węży czy skorpionów nie znalazłem. Następnie naniosłem tam gałęzi, przykryłem je kocami i królewskie łoża były gotowe. Dopóki starczyło mroku, taszczyłem jeszcze z lasu suche kłody na ogień, podczas gdy Dang krztał się koło koni i wiślał im przednie nogi, a Chon przy ognisku pichcił wieczerzę.

Gdy w kwadrans póniej z odległości kilkudziesięciu kroków spojrzałem na obozowisko, przejęło mnie tkliwe zdumienie. Roztaczał

się przede mną klasyczny obraz z Dzikiego Zachodu. Było zupełnie jak we wszystkich chłopięcych marzeniach. Płomienie ogniska strzelały w górę, a z ich chwiejnego wiatła to wynurzały się, to zapadały w ciemność miłe obozowe rekwizyty: dwóch wędrowców lenych, strzelby oparte o pień, udziec zwierzyny na rożnie, zady końskie w półcieniu, rozrzucone na ziemi kułbaki i juki, jaki ostry fragment skały, jaka fantastyczna gałąź niewidzialnego drzewa. A gdy do tego zawiercił w nozdrzach kuszący zapach pieczeni, jak żywe stanęło w pamięci sienkiewiczowskie ognisko ze skwaterem Dżakiem w kalifornijskich górach. Niezatarły, wiecznie żywy urok mistrzowskiego pióra a może również i odwieczne, nieprzemijające piękno ogniskowej romantyki?

Bosko smakowała nam dziczyzna, którą przeplatalimy garściami odgrzanego naprędce ryżu, zabranego jeszcze z dolin, i przepijaliśmy czystą wódką, z majstrowaniem z mych zapasów. Pieczeni takiej, że palce lizać - i lizało się z konieczności - sprzątnąłem chyba dwa kilo, ale towarzysze moi, zwłaszcza Meo, dawali lepszy koncert i lśdowali w siebie znacznie więcej. Była to niezapomniana lukullada, dzięki pławieniu się w barbarzyńskich rozkoszach, a my, uczestnicy, stanowiliśmy jakś rozwiślą konfraternię żarłocstwa. Pod koniec uczy, celebrowanej w milczeniu, bo każdy był zajęty tylko sobą - niesamowicie płonęły nam policzki i oczy błyszczały jak u wilków.

Towarzyszom moim licznie się odbijało wprost z samych czeluci żołądka, zwyczajem ludzi dobrze wychowanych i wiatowych. Chciałem i ja pójść za ich przykładem i tak samo wykazać się azjatycką ogładą, ale gdzie mi do tego: nie umiałem i partaczyłem za ledwie marnym, niewyranym bekaniem tak lichym, że aż wstyd było.

Po tej dobrej robocie, błogo zmachani, wyciśgnęliśmy się wygodnie przy ognisku i snując kłęby dymu z papierosów, popuciliśmy wodze miłej fantazji.

- Dang! - przemówiłem. - Żaloty młodzieży... czy to ważna rzecz u Meów, tak ważna jak u Tajów?

Dang i Chon, jako byli żołnierze w wietnamskiej wojnie, mieli szersze poglądy niż ogół ich rodaków i można było z nimi poruszać dyskretne sprawy dość szczerze, bez zwykłej obłudy.

- Ważna rzecz! - potwierdził Dang. - Zresztś jutro sami to zapewne zobaczycie!

- Jak to się odbywa? Co w zalotach najważniejsze?

- Flet.

Zrobiłem minę od siedmiu boleci, bo mi się przypomniało żalosne kwilenie flecisty w Huana, ale Dang widząc mój odruch, mocno potrzśsnł głowś i rękę na znak sprzeciwu.

- Flet to ważna rzecz, naprawdę! - przekonywał Meo łagodnie.

- A u Chińczyków - dorzucił Chon - czy nie równie ważny?

- Masz, babo, redutę! Masz, diable, kaftan! - warczałem po polsku przez zacinięte zęby, a towarzysze myleli, że to cudzoziemskie zaklęcia i trochę się niepokoiłi, dopóki nie wybuchnłem miechem.

Więc Dang jśł mi wyjaniać rzeczowo, że pierwsze kroki w zbliżeniu się dwojga młodych Meów to sprawa wielkiego taktu i subtelnoci, nie jak u innych narodów. Chłopak w swej niemiałoci nie waży się nawet przemówić do dziewczyny, więc daje jej dźwiękami znaki o swym uczuciu. Różne sś na to flety, ale najlepszy jest maleńki flecik z trzciny, krótszy niż dłoń, z wibrującym wewnątrz kawałkiem miedzi. Taki mikrus wydaje przeróżne-tony, a każdy ton to wyraz w miłosnym alfabecie. Wszystko można wyznać tymi tonami, które w cichej nocy roznoszą się na parę ponoć kilometrów wkoło. Dziewczyna z sąsiedniej góry słyszy je, doskonale poznaje, że to do niej, i rozumie każdy dźwięk.

Jeszcze prostszy sposób porozumienia się istnieje przy pomocy gwizdu. On zrywa pierwszy lepszy zdrowy lić z drzewa i gwizdże na nim jej imię, a jeli ona mu przychylna, tym samym sposobem ze swej góry odpowiada jego imieniem. Zazwyczaj dopiero po tym wstępie młodzi spotykają się, by przemówić do siebie.

Gdy obydwójce kochają się bardzo, ale do ożenku im jeszcze nie spieszo, nigdy nie wolno mu zapomnieć się w chatach ich rodziców lub w pobliżu: duchy rodzinne wzięłyby im za złe taką zniewagę, wprost przeciwnie niż duchy Tajów, wymagające od młodych ziszczania karesów miłosnych pod chatą rodziców bogdanki, między palami.

Więc młodzi Meo umykają wieczorem na pole, gdzie stoi strażnicza chata na wysokich palach, i tam nucą sobie miłosną piosenkę przez całą noc.

Jeli on chce prosić rodziców o rękę córki, posyła do nich swatów.

Rodzice witają ich przed swą chatą, a następnie częstują wódką lub czymkolwiek innym, lecz istotna sprawa w tym, gdzie swatów częstują. Jeli na dworze, oznacza to odmowę, jeli wewnątrz chaty zgodę.

O rozwód niełatwo, i bywa udzielany tylko na życzenie żony, nie męża, bo ten zawsze może dobrać

sobie drugą żonę. Zdradzony mąż ma prawo zabić ją i gacha, ale prawie nigdy tego nie czyni, natomiast zadowolona się odszkodowaniem, jakie tamten musi zapłacić. Gdy w takich wypadkach żona pragnie opuścić męża i związać się z tym drugim, mąż winien jej dać rozwód, lecz ten drugi musi zwrócić mu wszelkie koszty, jakie mąż miał przy ożenku. Jeli nie ma majątku, zobowiązuje się uścić dług w uzgodnionym terminie. Dopóki pierwszy mąż całej należności nie otrzyma, jej dzieci, zrodzone w tym czasie z drugim, stają się własnością pierwszego męża jako wierzyciela i wchodzi na stałe w skład jego rodziny...

Chon, przysłuchując się opowiadaniom Danga z równą ciekawością jak ja, przyniósł z juków mielony kawał i zatknął nad ogniskiem imbryk z wodą, wobec czego i ja przygotowałem nową porcję wody ognistej.

A wasze, Dang małżeństwo - zapytałem czy szczęśliwe?

- Bardzo szczęśliwe.

Dang stanowił wyjątek wśród Meów, gdyż tak się złożyło, że on po raz pierwszy ożenił się mając już dwadzieścia dwa lata. Jego żona jest o rok młodsza. Bardzo się kochali i kochają, lecz w piątym czy szóstym roku małżeństwa coś się psuć zaczęło między nimi, kiedy urodziła się druga córka. Miał młodszą żonę i ona, widząc jego ciche zmartwienie, sama poruszyła sprawę drugiej żony, o czym on już dawno marzył. Był

stosunkowo zasobny, nie goły, więc znalazł łatwo młodą dziewczynę, zresztą daleką krewną pierwszej żony. Żył teraz w trójkę w wielkiej zgodzie. Tej młodej nie wziął nadaremnie, bo rzeczywiście obdarzyła go synkiem, który ma już osiem lat.

- A scen zazdrości nie ma w rodzinie? - spytałem.

Nie ma. Nie ma po prostu dlatego, że obydwie żony bardzo się zaprzyjaźniły ze sobą i nie było między nimi jeszcze żadnej kłótni. Młodsza jest pogodna i zgodna, a starszą Dang otacza takim szacunkiem i tak dobrą opieką, że tylko ptasiego mleka jej brakuje.

- Nie wiem - zwierzał się Dang - czy wy uwiadamiacie sobie jak uczuciowe i wrażliwe są nasze kobiety. Trzeba obchodzić się z nimi czule jak z delikatnymi kwiatami, ostrożnie jak z jajkiem...

Co nieco słyszałem o tym, a szczególnie o przeczuleniu mężczyzn Meów. Pokładając bezgraniczną, dziecięcą ufność we wszystkich napotkanych ludziach, nawet obcych, Meowie zawsze wierzą im na słowo, na każde słowo, ale najniebezpieczniejsza ze strony obcych nieuczciwość, drobna chęć wyzysku czy niedotrzymanie jakiegokolwiek obietnicy mrozi natychmiast wiarę Meów i raz na zawsze zrażają ich do niegodnych osobników. Jak już kiedyś wspominałem, Meowie stanowią bezprzykładny fenomen uczuciowości w otoczeniu, w którym przebiegłe wyrafinowanie i przewrotność zalicza się do wielkich cnót.

- Kobiety nasze!... - zadumał się Dang, a oczy jak gdyby zasły mu mgłą. - Mój młodszy brat miał także dwie żony, z dwóch kobiet.

Raz tylko podniósł głos na starszą żonę w jakiej błażej, głupiej sprawie i wcale nie myślał jej uchybiać. Na chwilę tylko stracił trochę cierpliwości i... stracił żonę na zawsze. Zażył truciznę...

Wiarygodni znawcy opowiadali mi, że nie było większego skupiska Meów, w którym by co dwa, trzy lata jaka kobieta nie popełniała samobójstwa. Było to wręcz nagminne i była jaka fascynująca zagadkowość w tym, że ci ludzie, tak zaprawieni w tysiącletnich bojach i zahartowani twardym bytem na niedostępnych górach, okazywali się jednocześnie tak wrażliwi i subtelni w niektórych sprawach. Czyżby to pozostałe strzępy jakiej dawnej wietniej kultury, zburzonej późniejszym upadkiem materialnym i zepchniętej w najdalsze zakamarki duszy?

Gwiazdy zaiskrzyły się na niebie, chłodem powiało i coraz przyjemniej było bliżej ognia. Na szczęście zapasów paliwa mielimy w bród.

- W lenej dolinie napomknęlicie, Dang, o waszych rogach magicznych - przypomniałem. - Czy macie je przy sobie Twarz Mea od razu stężała wyrazem czujności i powagi-Mam.

Wyciągnął je z torby i podał mi

- Tylko proszę, nie upucie ich na ziemię! -ostrzegął.

Dwa kawałki, długości niespełna piętnastu centymetrów, złożone razem stanowił stożkowaty koniec bawolego rogu.

By je uzyskać odcięto czubek rogu i następnie przepołowiono go wzdłuż osi stożka.

Tak otrzymane dwie połowy mają z jednej strony płaską powierzchnię, z drugiej strony są zaokrąglone. Otóż trzymane w rękę przedstawiają tylko zwykłe kawałki rogu, nic więcej. Natomiast rzucone na ziemię, w tejże chwili nabierają mocy magicznej i zależnie od tego, jak upadły, przywołują ducha albo dobrego, albo złego, a tym samym wieszczą dobrą lub złą wróżbę.

- Dobra wróżba - tłumaczył Dang - jest wtedy, gdy obydwie części rogu padną płaską powierzchnią do góry; zła - gdy na odwrót, obydwie upadną okrągłą stroną do góry lub jedna część padnie okrągłą, a druga płaską stroną do góry.

- I wy w to wierzycie, Dang?...

Dang umiechnął się tajemniczo:

- Rogi te odziedziczyłem po przodkach, a ojciec mój bardzo w nie wierzył i ojciec ojca wierzył tak samo. A zresztą - Meo spojrzał na mnie chytrze z ukosa - powiedzcie sami, panie. Czy napadła na nas pantera, gdy przejeżdżaliśmy przez puszcę w ciepłej dolinie?

Powiedzcie!

- Nie.

- Więc widzicie! Rogi zawsze przepowiadają akuratnie.

- A gdyby teraz upadły mi na ziemię, to co?

-Oj, toby zaraz siły magiczne zaczęły działać, zupełnie tak samo jak motor w samochodzie zaczyna działać, gdy zakręcić starter! wyjanił Dang, dumny z nowoczesnego porównania, i co rychlej odebrał ode mnie rogi, ażeby nie było wypadku.

35. Podniecajsca opowieść Chona

Chon, jego przyjaciel, wiercił się przy ognisku coraz niespokojniej. Przez cały wieczór mówiło się tylko o obyczajach Meów, Dang był

bezustannie orodkiem zainteresowania i to gryzło Tajš okrutnie i coraz więcej. Zazdrocił przyjacielowi domniemanych laurów i w końcu się odezwał, że u Tajów także sš ciekawe obyczaje małżeńskie: na przykład eze, czyli robienie zięcia.

- Znam, znam bardzo dobrze! - zapewniłem go.

Więc Chon wymienił następnie nañ kuong, czyli konkury miłosne.

- Ejejej! Znam również! Widziałem je! - niechęscy musiałem go studzić.

Chon, znacznie młodszy niż Dang, nie miał jeszcze trzydziestu lat, więc był wielce ambitny i palił się, żeby również zabłysnąć czym

ciekawym w rozmowie. Przyjemna zazwyczaj jego twarz komicznie spochmurniała, gdy niecierpliwie poszukiwał w myłach ciekawostek, żeby nas zadziwić i olnić. Wzrok jego przypadkowo otarł się o wejcie do jaskini i nagle zapłonš gwałtownš radociš.

- A co wiecie o naszych grotach miłoci? - rzucił na mnie triumfalne spojrzenie. .

- Niewiele - przyznałem. - Odrobinę, tyle co nic. A wy je znacie?

— Czy ja je znam? - oczy zaszkliły mu się zaczepnie. - Toż byłem raz na obrzędzie w takiej grocie i brałem we wszystkim udział.

- I działały się rzeczy ciekawe?

- I jak jeszcze! - Chon chwycił się oburšcz za głowę i potrzšsnš niš gwałtownie, a oczyma przewracał na dowód, że takie były ciekawe rzeczy.

Zdaje mi się, że mielimy wszyscy trzej krztynę w czubie, więc i szumne, zadzierzyste humory.

- Błagierze wierutny! - zaczipurzyłem się niby to na serio, a smagałem go niedowierzajšcym spojrzeniem. - Bujacie, Chon, aż się kurzy!

- Klnę się, przysięgam! Byłem tam! - całš duszę wkładał Taj w skwapliwe zapewnienia, żebyśmy

tylko mu uwierzyli...

Wiedziałem, że między Rzekami Czarną a Czerwoną, a więc równoległe do naszej drogi Hoa Binh-SonLa-Lai Chau nie tylko piętrzą się najpotężniejsze w tych stronach góry, okropnie powikłane, lecz wiją się wśród nich trudno dostępne doliny. Opornie przenikają do nich wieci i wpływy z zewnątrz. Tam u Tajów Białych wiernie zachowały się wierzenia i obyczaje sprzed tysiąca - można miało powiedzieć lat i kołaczę się kult najstarszego na Dalekim Wschodzie, a zarazem najwyższego bóstwa, Ducha Ziemi. Jest to ojciec i zwierzchnik wszelkich innych duchów, jakie w ogóle istnieją. Szczególnie wszystkie potęgi twórcze są pod jego władzą, a uroczyska swe posiada w jaskiniach, z których kilka słynie cudownymi wprost właściwościami.

W tych grotach, poświęconych plenności i krzewieniu życia, Tajowie odbywają od czasu do czasu obrzędy ku przysporzeniu ludziom plonów i szczęścia.

Sławę ma od wielu pokoleń jaskinia San Le w pobliżu ludnej miejscowości Nghia Lo. Co rok w marcu lub w kwietniu w pewnym oznaczonym dniu schodzi się tu z wielu wsi na tak zwane święto Wiosny dojrzewiąca młodzież obojga płci. Są to albo pary mające się ku sobie, albo nie związani jeszcze niczym chłopcy i dziewczyny, pragnący tu, w świętej grocie, poznać przeznaczenie swego serca.

Wszyscy osobno wkraczają do groty i pozostają w niej przez wiele godzin, najpierw przy krótkotrwałym wietle pochodni, a następnie w zupełnej ciemności. Cokolwiek tu się dzieje, dzieje się pod mistyczną pieczę Ducha Ziemi. Młodzi szukają się więc wzajemnie, do ucha nuczą sobie czule zaklęcia, szepczą o wiecznej miłości i uniesieni zbiorowo ekstazą tulą się do siebie. W razie stwierdzenia, że nie odpowiadają sobie, szukają dalej gorączkowo, po omacku, zdając się na zrzędzenie losu, kierowanego wołą Ducha Ziemi.

Przebywają w grocie nieraz cały dzień i noc. Potem opuszczają ją parami, trzymając się mocno za ręce, przekonani, że znaleli trwałe szczęście. Tak silnie upajają się wiarą w nadnaturalne moce groty, że ich błogość serca, długo trwa, a gdy zmiennym życia porządkiem przestaje trwać, nie ma co wyrwać sobie włosy z głowy: następne święto Wiosny ponownie zaprasza na bogobojną uroczystość.

- Nie tam! Słyszałem o niej, ale nie znam tej. Ja poznałem groty pod Than Uyen, tam byłem, brałem udział...

Z nagle utknął, jak gdyby ogarnęło go zawstydzienie. Spłoszył się Co zatrzepotało w jego wejrzeniu i łatwo było zgadnąć, dlaczego?

Miałem również o Than Uyen pewne wiadomości, co prawda bardzo znikome.

Otóż jest poważna różnica między obrzędami w jednej i drugiej miejscowości, jakkolwiek w obydwóch wypadkach wszystko rozgrywa się pod opieką czy na cześć tego samego bóstwa, Ducha Ziemi. Alg podczas gdy w Nghia Lo tylko sama młodzież przychodzi do groty, by poprzez niezwykły i - przyznajmy - nieco liski procedurę dojść jednak do celu jako tako uczciwego, uczuciowo godziwego, to w Than Uyen biorą udział wszyscy dorośli, zarówno małżonkowie, jak cała młodzież, a co się tam dzieje, trudno nie nazwać tego rozpasaniem.

Odbywa to się krótko po Nowym Roku Tajów Białych, przeważnie przypadającym pod koniec zimy. Pewnego dnia wszyscy doroli mieszkańcy wsi Than Uven jak i niektórzy z sąsiednich wiosek udają się na znak dany przez czarownika do groty, ażeby wyjednać dla siebie osobicie u Ducha Ziemi błogosławieństwo, zapewnić sobie zdrowie, bogate plony ziemi tudzież powodzenie wśród ludzi. Jaskinia może pomieścić wiele osób, ale wchodzi się do niej bardzo ciasnym wejściem, tak że wewnątrz panują ciemności i nikt nikogo nie widzi.

Skoro wszyscy, starzy i młodzi, mężowie i żony, znajdą się wewnątrz groty, zaczynają - nie wiedząc kto kogo - wzajemnie się gonić, chwycić, przytrzymać, szarpać. Sens zabiegów polega na tym, żeby przebieg, nie zetknął się stary ze starszym lub młody z młodszym, lecz inaczej: stary mężczyzna z dziewczyną, a młodzieńca ze starszą kobietą, bo tylko takie spotkanie jest miłe Duchowi Ziemi i zapewnia szczęście obydwójgu.

W grocie, jak słyszałem, znajdują się sędziowie starcy nie biorący czynnego udziału w ceremonii. Oni to od czasu do czasu zniechęcają wiatło i nagle badają, czy woli Ducha staje się zadość.

Gdy po wielu godzinach uczestnicy obrzędu opuszczają groty, wracają do powszedniego dnia jako ludzie znowu trzewi i spokojni, a to, co czynili po omacku w grocie, pozostaje za nimi w zupełnej niepamięci.

Tyle mniej więcej wiedziałem z opisów książkowych, a także z rozmów, jakie prowadziłem ze wiatłymi Wietnamczykami o obrzędach Tajów. Gdy później zwiedzałem ruiny dawnych Khmerów w Kambodży, przekonałem się, jak ważną rolę w tym wielkim narodzie odgrywa kult płci. Płeć, szczęście i bóstwo - te trzy elementy zawsze łączyły się ze sobą pod przeróżnymi postaciami. Ale podczas gdy gdzie indziej ich niesamowity kult uległ zagładzie wraz z upadkiem narodów, szczątki jego wytrwały do dnia dzisiejszego w pomroce tajskich jaskiń.

- Więc jak to było z wami, Chon? - żywo zapytałem Tajów. Czy rzeczywiście byliście w grocie pod Than Uyen?

- Byłem, a jakże, byłem!

- No, to gadajcie! Zdradźcie nam swoją tajemnicę! - zachęcałem go. Jowialnie i serdecznie.

Chon opowiadał: Było to siedem lat temu. Miał wtedy dwadzieścia przeszło lat i służył jeszcze Francuzom. Jego mały oddział stał

w Than Uyen. Chon był wtedy zakochany po uszy, a jego dziewczyna, Thun, odpłacała mu równym uczuciem. Obydwójka myślała o małżeństwie i o tym, jakim wianem zadowolić jej ojca. Gdy nadchodził dzień corocznej uroczystości w jaskini, dziewczynie wpadł dziwny pomysł do głowy i wymogła na swoim lubym, by obydwójka wzięli w obrzędzie udział dla dobra ich przyszłego szczęścia.

- Ale co tam się będzie działo z tobą, co ze mną? - ze zgrozą przedkładał Chon dziewczynie.

Jednak ona obstawała przy swoim, bo koniecznie chciała poznać, co się tam dzieje. Ostatnie jego wstydliwoci rozwiązała uroczystym zapewnieniem, że w ciemności będą się mocno trzymali za ręce i nie

opuszczysz siebie za nic w wiecie.

Niestety, stało się inaczej. Już przy samym wejściu do groty rozdzielono ich. Thun musiała odstąpić od niego o kilka kroków i udać się do grona kobiet. Chon zapamiętał sobie, w jakim była kierunku i zaledwie dostał się do groty, po omacku przedzierał się ku niej.

Był wielki cisk. Wiedział, że i ona przepycha się w jego stronę, więc gdy jaka dziewczyna wpadła na niego, mocno ją uchwycił. Ale po jej oddechu wyczuł, że to nie Thun. Nie mógł pisać słowa, gdyż odezwanie się byłoby karygodnym przewinieniem wobec Ducha Ziemi.

Wtem na chwilę zabłysło wiatło i Chon zobaczył zaledwie o trzy, cztery kroki od siebie swą dziewczynę, wydzierając się z objęć jakiego

napastnika. Jeszcze tylko widział jego lepią - i już zgasło. Jak dzik rzucił się na jej ratunek. Lecz głową wyrzucił o czyjąś głowę i ten kto

tak potężnie go szturchnął, że Chon niemal upadł. Zerwał się i parł

dalej. Nagle poczuł silny ucisk ramion. Czyje dłonie oplótły jego szyję. Znowu nie była to Thun, lecz starsza kobieta, wyczuwał to wyranie, silna jak bawolica. Ani rusz uwolnić się z jej objęć. Powaliła go na ziemię i przydusiła go. Ledwo łapał oddech, ale gdy uwiadomił sobie, że Thun szamocze się tuż, tuż, z rozpaczą dobywał ostatnich sił. Była to baba-tygrysica i nie było na nią rady. Mocniejsza niż on, trzymała go. Potem, po wielu godzinach, wszystkich wypuszczono na wolność.

- I co? - zaciekawilem się szczerze. - Czy pobłogosławił wam Duch Ziemi?

- A juci, pobłogosławił! - odwarknął Taj. - Thun poszła zaraz swoją drogą, a ja swoją, i tak się skończyło.

Jednak po chwili rozemiał się i dodał z przechwałką: - Ale co przeżyłem tam, tego już nigdy nie zapomnę!...

- A dzi - zapytałem - czy ludzie chodzą jeszcze do tych grot?

- Słyszałem, że już nie - odparł Chon.

Przyznam się, że słuchaliśmy jego opowieści z zaciekawieniem.

Równocześnie zauważyłem, że Dang rozpoczął przygotowania do palenia opium. Dobył z juków fajkę, długą na dwie trzecie łokcia, z okrągłą łulką o małym otworze i zapalił obok siebie lampkę oliwną. Następnie wyciągnął się bokiem na ziemi jak długi, co widocznie było klasycznym układem ciała i należało do rytuału przyjemności. Po ułożeniu się Meo umaczał cienką gałązkę w gęstym ciemnobrązowym płynie, jaki przechowywał w niewielkiej buteleczce, i chwilę przysmażał go nad płomieniem lampki. Gdy opium na końcu gałązki cichutko zaczęło skwierczeć i wydzielać niebieskawy dymek, Dang przyłożył koniec gałązki do małej dziurki w łulce i wcisnął

dym w płuca. Po chwili wypuścił go z ust, a wówczas właśnie Chon przestał opowiadać.

- Czy już palicie opium? - zapytał mnie Meo.

- Nie.

- To szkoda. Kobiety i opium należą chyba do największych przyjemności! - wygłosił sentencjonalnie z całą powagą.

- Ale mówili im, że kto zbyt kocha opium, ten mniej zdolny do kochania kobiet.

- Kto zbyt kocha opium, to prawda! Ale co to jest zbyt?

W każdym razie u nas, w naszym narodzie, wszyscy mężczyźni palą opium, co uchodzi za oznakę męskości, tak samo jak granie na flecie kreng. Palenie opium - wpadał w werwę dobry Dang - służy także za znakomite lekarstwo: chorych leczy ze wszystkich prawie chorób, a zdrowym cudownie przymnaża siłę i junactwa. Więc czego więcej jeszcze żądać? Trzeciej możliwości przecie już nie ma! Spróbujcie raz zapalić!

Dang znowu przysmażył sobie kapkę opium na gałązce i zaciśgnął się przez fajkę. Gdy wypuścił dym ku mnie, poczułem mdły, nieprzyjemny zapach.

- Co? - zdziwił się Meo dobrodusznie, widząc wyraz mej twarzy. - Nie smakuje?

- Jak łajno bawole smażone z cukrem i z cholera! - owiadczyłem.

Ale do szczętu nie obrzydziałem sobie sprawy. Opium nęciło mnie.

Było narodowym nałogiem mych przyjaciół Meo jak u nas palenie papierosów. Przebywać w tych górach i nie spróbować niezwykłej rozkoszy - co za tchórzliwa wstrzepliwość! Dlaczego miałbym pozbawiać się dowiadczania i odrzucać pospolity tu narkotyk, przychyłajscy ludziom siódmego nieba?

- Gdy się samemu pali, wtedy dopiero smakuje! - kusząco upewniał Dang.

- Bien! Przygotuj dla mnie fajkę! - poprosiłem.

Skupiłem się cały w sobie jak do pierwszego egzaminu albo do pierwszego pocałunku, albo jak kto stojący u wrót do rajów. Dang wręczył mi fajkę i przyłożył smażące się opium do dziurki w lulce.

Wciśgnąłem dym w siebie. Oczywiście nie spodziewałem się natychmiastowych wizji, pełnych uroczego upojenia, ale też, do kaduka, nie spodziewałem się tego, co od razu nastąpiło: ekliwy smak i obrzydliwy zapach o mało co nie wyprawiły mnie w podróż do Rygi. Więc zaszła jednak ta trzecia możliwość, której nie przewidział Dang, mianowicie ta, że zdrowy człowiek zakurzył i stał się chory.

Było już późno i czas spać. Dang i Chon postanowili na przemian czuwać przez całą noc i ze względu na konie utrzymywać ognisko.

Uprzejmi wobec gościa, pozwolili mi spać bez przerwy. Zaledwie też rzuciłem się na posłanie, w

jednej chwili zasnęłam.

Nad ranem gromkie, dziwaczne odgłosy zbudziły mnie przedwcześnie. W północy wydało mi się, że to cała Azja stłoczyła się w jednym strumieniu okrzyków i natarczywie kogo łajęła. A groby pełne oburzenia nie ustawały. Ocknąwszy się poznałem głos Danga. Gdy podniosłem głowę, ujrzałem go siedzącego przed silnie płonącym ogniem. Meo wymachiwał wojowniczo swą strzelbą w stronę lasu i tam także posyłał gniewne słowa i rozindyczone spojrzenia. Między jego złociś a wygodnym siedzeniem na ziemi był jakiś komiczny kontrast.

Leżący obok mnie Chon również przebudził się na ten harmider i wycierał oczy.

- Na Boga, Dang, co was tak ugryzło?- zawołałem.

Meo wstał i spojrzał w kierunku naszej jaskini zasłaniając oczy przed światłem ogniska.

- Ta parszywa winia! - huknął rozjuszony. - Nie ma nic wstydu w kociach!...

Zerwałem się z posłania:

- Co za winia?

- Pantera! Złakomiła się na nasze konie, taki wyrzutek przyrody!

Taka podła oszustka!

- Co w tym dziwnego? Dlaczego oszustka?

- Jak to, dlaczego?

Dang się stropił, że tego nie rozumiałem, i szybko ochłonął z osoby bliżej zawziętoci, tak sprzecznej z jego charakterem.

- Dlaczego oszustka? - podjął spokojniej. - Przecież rogi wczoraj rano wyranie wskazywały, że będzie wszystko w porządku podczas podróży, a ona tego nie chciała uszanować/Zachciała jej się koniny, ładacznicy jakiej!

- Cocie tak długo wykrzykiwali w las, Dang? Przecież to było istne kazanie!

Meo wracał już całkowicie do siebie. Nikły umiarkowany zadowolenia złagodził jego rysy na wspomnienie tego, co przed chwilą się działo.

- Musiałem tej szelmie nagadać! - głos jego nabrzmiewał

radociś. - Spiorunowałem ją, że popamięta! Wszystkimi diabłami ją obłożyłem!

- I poskutkowało?

- A co, może nie? Po takim schlastaniu miałyby jeszcze czelność psocić? Poszła precz jak struta!

- Ale pewnie widok waszej strzelby i jasnego ogniska także swoje zrobił.

Dang powstał, żeby przygotować niadanie.

- Zrobił, dlaczego nie, zrobił! W życiu już tak bywa, jedno drugiemu musi pomagać! - filozofował z zabawnym skrzywieniem twarzy. - Wróżba też potrzebuje trochę pomocy...

36. Nowy rok u Paieów

Tego poranku Dang przypiekał niadanie na rożnie, a my, Chon i ja, znosiliśmy chrust na opał. Dang zapowiedział, że już w dwie godziny po wyruszeniu zawitamy do wioski Pa Ham, gdzie obchodzą Nowy Rok i gdzie będzie jedzenia, ile dusza zapagnie. Więc nie radził

jeć teraz za wiele i przypiekał tylko niespełna piętnastofuntowy połec mundczaka, sprawiedliwie przez nasz trójkę w mig spałaszowany.

Potem osiodłaliśmy i objuczyli konie, ale przed wyruszeniem Dang rzucił na ziemię swe dwa kawałki rogu. Zadowolony kazał nam spojrzeć, jak upadły: obydwaj jednakowo, uciętymi płaszczyznami do góry. Na dobrą wróżbę.

Jakoż nastał piękny dzień, czyciuteńki jak oko dziecięce, bez chmurki ani mgły. Opary zostawiliśmy za sobą gdzie daleko jakby w innym świecie. I w istocie wielka mgła, przez jaką przebijały się rankiem poprzedniego dnia, okazała się niby granicznym murem, oddzielającym nas od dolin z ich odmiennym klimatem, z innymi ludmi, innymi szczepami. Ciekawa opowieść Chona o przeżyciach w grocie była jakby ostatnim pożegnaniem tamtych ludzi. Teraz przejrzystość powietrza nakładała na góry powłokę czego nierzeczywistego i z natarczywą mocą narzucała wrażenie, że brniemy przez rozłogi obcej planety w innym wymiarze albo nimy jaki niezwykły sen.

Jechaliśmy zboczami blisko szczytów. Głęboko modre niebo wydawało się nienaturalnie blisko.

Górne części stoków i wierzchołki były nagie, natomiast doły i wśwozy pokryte gęstwinią. Na zalesionych pochyłościach ujrzeliśmy niebawem półka wykarczowanych golizn, a na nich cierniska kuku rydzy zapowiadające ludzkie sadyby. Potem mijaliśmy łąn białych kwiatów, różowiejszych tam, gdzie wczyniejszej dojrzewały: pole maków.

Opium, dobywane z makówek, oraz hodowla wiń stanowiły główne źródło dochodu Meów i były produktami wymiany z dolinami.

Wie Pa Ham nie była właściwie wsią w naszym pojęciu, bo chaty stały tak daleko od siebie, że rozwlekały się po różnych stokach na wiele kilometrów wokoło. Obok jednej z tych chat zauważyliśmy mnóstwo uwijających się postaci, więc tam skierowaliśmy nasze konie.

Nowy Rok! Tet! Wielkie to święto u wszystkich narodów Dalekiego Wschodu. Meowie nie znajdują ważniejszej uroczystości, a obchodzą ją niemal w każdej rodzinie w innym okresie, od października do

lutego, zależnie jak i kiedy kto kończy swe żniwa. W tym czasie kukurydza z pola już zniesiona, nowe prace jeszcze nie zaczęte, więc przez dwa, trzy tygodnie przerwy wszyscy Meowie mogli swawolić w przeróżnych zbytkach, oddawać się obżarstwu, picciu, wesołości, piewom, tańcom, a chłopcy i dziewczyny nieustającym zalecankom.

Zbliżyliśmy się do pagórka, na którym zebrało się wiele ludzi; gdy poznali, że to Dang, ogarnęła ich wszystkich radość. Kto ze starszych był jeszcze w chacie, wychodził i witał nas machając rękoma, trzymanymi dłońmi do góry. Zaledwie zsiadliśmy z koni, już wzięto nas niby w jasyr gościnności i proszono do rodka chaty.

Obszerna chata, stara i zaniedbana, trzymała się na ostatnich nogach, a wokoło niej obrzydliwie mierdziało od ludzkiego moczu i zwierzęcego kału. Tego rana zabili tu olbrzymiego wieprza i właśnie oparzano go wewnątrz chaty wrzaskiem, aż para leciała.

Gospodarz usadowił nas na klepisku przy niskim stole, na którym w lot pojawiło się kilka pojemnych mis pełnych jedzenia, a przede mną nawet porcelanowy talerz - misy i talerz: niewątpliwie symbole zamożności. W naczyniach wznosiły się sterty ryżu, pieczonej wstropy, gotowanych płuc tudzież schabu, dalej wiele zielonej jarzyny i surowe, siekane mięso, dobry znajomy: befszyk tatarski. Ów tatar był płodem szatana i zdradzał wszelkie cechy pochodzenia z piekła, bo gdy ćwierć garci włożyłem do ust, język mi zdrętwiał z przepieprzonej rozkoszy. Przeplukałem zaraz wódką kukurydzianą, przezornie przygotowaną dla mnie w bambusowym kubku, ale okazało się, że nie kijem go, to pałką: wódka miała chyba przeszło siedemdziesiąt procent alkoholu i paliła gardło jak drugi szatan.

Gdy niezgorzej obuchani zaczęliśmy lizaniem oczyszczać sobie palce i wycierać je w spodnie, wpadł jak bomba do chaty rozpromieniony chłystek i co z radości krzyknął. Wszyscy powstali i wśród wesołego gwaru wyskoczyli na dwór, a Dang porozumiewawczo kiwnął do mnie. Przed chatą całe rozbawione bractwo zamieniło się w słuch: z daleka, z sąsiedniej góry, gdzie stała chata innego Mea, wyranie dolatywał do nas kwik zarzynanej wini. Wszyscy znieruchomieli, wsłuchani w niebiańskie odgłosy, a potem żywiołowa wesołość poniosła całą naszą czeredę. Ludzie mieli się i zataczali, dowcipkowali, docinali sobie żartami - słowem, cieszyli się na następną ucztę u sąsiada. Rzadko to bywa, że słuch tak dosadnie wiśnie się ze zmysłem smaku w jedną przyjemność.

Ogromnie zaciekały mnie zabawy młodzieży i poprosiłem Danga, żeby poszedł ze mną przypatrzeć się. Niedaleko chaty mali urwisze puszczały bęski, bardzo podobnie jak u nas czynili ongi na podwórzach ich rówienicy. Z tą różnicą tylko, że tutaj nie podbijali następnie bęsków batem, lecz wciśniętą je od nowa zapuszczali. Czynili to ze strasznym rozmachem i widać było, że wkładali w to całą chłopięcą duszę. Zauważyłem, że puszczało bęski zawsze po dwóch pędraków, jeden tuż za drugim, i Dang wytłumaczył mi, na czym polega zasada gry. Chodziło o to, żeby bęsk drugiego gracza, kręcąc się, dotknął

i przewrócił bęska pierwszego gracza.

- A jeśli dotknie i przewróci, to jaka nagroda dostanie się zwycięzcy? - spytałem widząc gorliwość, jak młodzie zapaleńcy wkładali w grę.

Meo chwilę zamylał się. , - Żadna nagroda - odrzekł. - Chyba własne zadowolenie ze sprawności, przyjemność wygrania, nic więcej...

To był rys uderzający i w jaki swoisty sposób bezinteresowna pasja młokosów kojarzyła się z prastarymi przymiotami Meów.

O dwieście kroków dalej rzucono sobie piłkę, co tak samo jak puszczanie bšków należało do noworocznych wyłącznie zwyczajów.

Ale w piłkę grała tylko młodzież starsza. W chwili gdy się zbliżyliśmy, z jednej strony stało kilka dziewczyn, z drugiej kilku młodzieńców, obydwie grupy oddalone od siebie o jakie dwadzieścia kroków. Chłopcy byli normalnie ubrani w ciemne, krótkie kaftaniki, sięgające do pępka, i w szerokie spodnie, natomiast dziewczyny wystrojone jak do najważniejszej uroczystości: granatowym atłasem, wiezo wyprasowanym, lnity ich staniki i tak samo na siebie zachodzące długie fartuchy z daleka wyglądające jak jedna napuszona spódnica. Na głowie dziewczęta miały barwne chusty lub ciemne turbany kokieteryjnie obwiśzane jasną wstęgą, a z szyi zwisało im całe bogactwo srebrnych naszyjników, liczniejszych u dziewczyn niż u młodzieńców.

Wzajemne rzucanie sobie piłek i chwytanie ich w powietrzu trwało od witu do mroku nieprzerwanie przez wiele dni z rzędu, i to stale na tej samej polanie. Schodziła się tu młodzież nie tylko z tej jednej wsi, lecz także z dalszych stron. Były to zaloty, ale dziwne, bardzo dziwne.

Zaloty nieme. Godzinami on i ona nieznużenie rzucali sobie piłkę setki, może tysiące razy i przy tym ani słowa nie wymieniali, rzadko kiedy nawet zmieniając poważny, skupiony wyraz twarzy. Łagodne wariaty! - była pierwsza myśl. Były to pierwsze kroki zbliżania się do siebie dwojga młodych, nacechowane u Meów, jak już stwierdziłem, niesłychanie niemiałociś. I podobnie jak młodzież umiała tajemnie porozumiewać się za pomocą tonów fletu lub licia, tak i w rzutach piłki porozumiewała się rozległym słownictwem tkliwych wynurzeń. Tś mowś piłek potrafiła podobno wyrazić wszystko, co było jej potrzebne był to język w miłosnej dziedzinie tak samo dokładny i niedwuznaczny jak każdy normalny język ludzki. Czułe pytania i odpowiedzi, wyznania uczuć i sceny zazdrości, lekceważenie, niechęć, pogardę lub serdeczne zaciekawienie - wszystko to dało się wypowiedzieć rzutami piłki, nie mającymi dla oczu obcych ludzi żadnego znaczenia.

Podeszliśmy do piłkarzy i przyglądali im się dobry kwadrans. Niic szczególnego nie zauważyłem. Kilka par rzucało sobie piłki, chwytając je i odrzucało. Rzekłby, precyzyjny mechanizm jakiej maszyny wciś obracającej się w bezmyślnym kółku. Dziesiątki, setki razy to samo, istne opętanie. Tylko dwa czy trzy razy udało mi się spostrzec, że która dziewczyna rzuciła piłkę nagle do innego młodzieńca, ale gdy on jej odrzucił, ona następnym rzutem powróciła do pierwszego partnera i już przy nim pozostała. Widząc nieustannie powtarzające się te same ruchy i uroczyste, zastygłe twarze młodych, można było wziść ich za nieszczęsnych pomyślników, gdyby nie wiadomo, że to w rzeczywistości tylko kapryna droga, jakś obrał sobie bardzo realny i wcale niekapryny instynkt dla dopięcia swych biologicznych celów.

Nieco z boku rzucały sobie piłkę dwie dziewczynki, podlotki jeszcze. One dopiero wprawiały się, a jedna z nich miała nawet dziecko na plecach, zapewne braciszka. Na razie rzucały na niby, dla dziewczęcej igraszki i czekały pewnie na umiech losu. Nie były brzydkie, więc chyba długo nie

poczekajš na młodzieńca, który im rzuci swš piškę.

Przystšpił do nas Chon.

- Zupełnie to samo - owiadczył - istnieje u nas, u wszystkich Tajów. Nazywamy tę zabawę koń.

To prawda, że młodzież tajska tak samo rzucała sobie piškę, lecz u niej jest to w istocie wesoła, towarzyska zabawa z dawaniem fantów przez niezgrabiasza, który nie uchwycił piškę, podczas gdy u Meów gra zakrawa na obrzęd.

Zapytałem się Danga, czy i ja mógłbym także trochę porzucać.

Na to on zawołał do graczy i kazał mi skoczyć w miejsce jednego z młodzieńców. Partnerka jego ani na chwilę nie zawahała się i dalej rzucała piškę do mnie, a ja do niej. Zręcznie przy tym się sprawowałem. Ale przy pištym rzucie ona skierowała piškę nieco w bok, a tam był inny gracz. Wpadłem na niego i nie chwyciłem piškę, która odbiła się o ziemię ku mej sromocie. Szybko jš złapałem i dalej ciskałem.

Wszakże znowu przy pištym rzucie nastšpiło to samo, tylko że piška poszła za moje plecy, a tam zbiłem się z innym graczem i chybiłem.

Gdy przy trzeciej pištce rzutów wypadek jota w jotę się powtórzył, dałem za wygranš. miejsc się, żartobliwie pogroziłem mej dziewczynie palcem i uciekłem z grona graczy. Uprzejma wesołość młodzieży na chwilę zmściła przebieg gry, lecz zaraz twarze zgasły, ruchy weszły w zwykły rytm i wszystko potoczyło się ustalonym trybem.

Ustalonym od wieków.

Zanim odeszlimy od milczšcych graczy, Dang zwrócił mojš uwagę na wysoki słup, stojšcy w pobliżu. Wystawał na kilka metrów z ziemi i był niedawno ociosany i wbity.

- Słup szczęcia! - przedstawił Dang.

Szczęcia małżeństwa i zakochanych par. Czarownik-zaklinacz, zwany ku tksy neng, osobnik arcyważny w społeczeństwie Meów, wyszukuje w lesie tuż przed Nowym Rokiem odpowiednie drzewo, cina je, gładzi i każe przywlec na szczyt pagórka, obok którego młodzież ma rzucać piškę. Pał, poświęcony duchowi płodności, wywiera potężny wpływ na młodych i jest prawdziwš antenš uczuć.

Z tajemniczej przestrzeni cišga na najbliższe otoczenie pršdy przyjani, młodoci i urodzaju łona kobiecego. Bezdzietne męzatki podchodzš do słupa i obejmujš go rękoma. Po uroczystościach noworocznych wykopuje się go z ziemi i daje małżeństwu najbardziej potrzebujšcemu dziecka.

- I działa? - spytałem.

- Zawsze działało! - odparł Dang z niewzruszonym przewiadczeniem.

W ogóle niewidzialne potęgi odgrywają w życiu Meów wyjątkową rolę, znacznie większą niż u sąsiednich plemion. Z wszelkimi duchami są oni na stopie poufnej, za pan brat. Najciekawiej to się odbija na polu lecznictwa: Meowie, w przeciwieństwie na przykład do Chińczyków, zupełnie nie uznają lekarstw, pomimo że lasy ich gór obfitują w najlepsze zioła lecznicze. Wszystkie choroby, jakie ich nawiedzają, zwalczają wyłącznie magicznym zamawianiem swych czarowników, zatem siłą duchową. I jako to skutkuje. W każdym razie Meowie mniej podlegają epidemiom niż Tajowie: życzliwym duchom niezawodnie ułatwia zadanie czerstwy, chłodny klimat podniebnej krainy.

Stwierdziłem z podziwem ujmujący objaw, że Meowie, tak zależni na każdym kroku od duchów, właściwie mało ich się boją.

Bogowie nie są dla nich tak straszni jak meowy Jechowa dla Żydów lub krwawy Uiclipoczi dla Azteków i przypuszczam, że to raczej wrodzona dobroduszość i nieustraszone usposobienie Meów trzymają ich duchy w karchach, w granicach jakiejś takiej przyzwoitości.

Blżej chaty kilku mężczyzn, starszych i młodszych, zabawiało się strzelaniem z kusz do celu. Jakkolwiek Meowie fabrykują sobie celne strzelby-skałkówki i od czasu wojny posiadają w swych chatach niejednego nowoczesny karabin, to każdy z nich ma także kuszę i znakomicie nią włada. Obecnie strzelali z kusz rednich rozmiarów do małego skrawka papieru i z odległości trzydziestu kroków nigdy nie chybiali. Strzały były z ciężkiego, twardego drewna, prociuteńko jak linia ociosanego, bez grotu. Były to kusze na ptactwo i zapewniano mnie, że na trzydziestu kroków przebijały gołębia na wylot. Wszystkie górskie narody Dalekiego Wschodu posługują się takimi kuszami.

Około pierwszej po południu ruszyliśmy dalej. Gocinny gospodarz chaty oraz zwabiona z innych stoków starszyzna starała się nas zatrzymać serdecznie namową, rzetelnie zapewniając, że wieprzowiny i innego pokarmu starczy jeszcze na wiele dni - ale nie ulegliśmy pokusie, a Dang owiadczył, że w Ta Czuong nieboszczyk niecierpliwie na nas czeka.

— Nieboszczyk jeszcze nie miedzi, poczeka! - uspokajali nas, - Więc macie wiele czasu!

- Na pewno już miedzi! - grzecznie spierał się Dang, a oni w końcu ustąpili, jakkolwiek trochę dotknięci i zdziwieni, że zrzekamy się przyjemności tak lekkim sercem, skoro oni mają jeszcze tyle wieprzowiny.

37. Zawile układy ze zmarłym

Między Pa Ham a Ta Czuong było tylko trzy godziny jazdy i ciężka niezbyt uciążliwa. Po drodze kilkakrotnie spotykaliśmy Meów, wędrujących jak my z jednej uroczystości na drugą.

Zachwyciłem się swoistymi kokieteriami kobiet. Nosiły szerokie, ale krótkie spódnice, ledwie zakrywające kolana, mocno plisowane, co wielce upodabniało je do spódniczek szkockich. Pod spódnicami miały owijacze na gołych łydkach. Otóż gdy niewiasty kroczyły, spódnice na skutek ruchu nóg i poladków kołysały się co krok to w prawo, to w lewo w bajeczny wprost sposób, jak gdyby porywał je silny wiatr raz w tę stronę, raz w drugą. Wyglądało to zabawnie i nadzwyczaj zalotnie

kokieteria doprowadzona do skrajności. Musiał to być dernier cri ich mody, bo każda niewiasta starała się lepiej machać spódniczkę od innych.

Było daleko jeszcze do zachodu, gdy docieraliśmy do celu.

Poszczególne domostwa znowu stały szeroko rozsiane na kilku stokach górskich. Z daleka widzieliśmy ludzi przed jedną z chat i Dang, wyjanił, że to właśnie tam umarł człowiek.

- Czy to wasz bliski krewny? - spytałem. - Może już go pochowali?

Dang miał nadzieję, że jeszcze nie pochowali, chociaż dziu upływa czwarty dzień od mierci Blia Phaja. Na ogół u Meów nie chowa się zwłok, dopóki nie zejdą się wszyscy krewni zmarłego, a Dang był jego kuzynem.

- Jest jeszcze jeden powód, żeby nie chować zbyt szybko w zmrużonych oczach Danga zaigrał drwiścy z lekka umieszek. Blia Phaj był zamożny, miał bawoły, konie, winie, więc myślę, że wielu żałobników przybyło do jego zwłok. W takich wypadkach rodzina zmarłego nie mie skłpić i zarzyna na ofiarę jedno bydlę po drugim, ćpane następnie przez żałobników. Wszyscy wsuwają, ile się zmieci, a zmieci się do licha i trochę, bo przy tym pociśgają wódnę na potęgę.

A im dłużej to trwa i im więcej wpychają i żłopiś, tym szczęliwsza u nas uroczystość. Nieraz cały mająstek nieboszczyka zjadają żałobnicy i najbliższa rodzina goło wychodzi z pogrzebu. Blia Phaj pozostawił

sporo inwentarza, przeto stypa może potrwać kupę czasu... Nie, nie wydaje mi się, żeby było już po pogrzebie.

- Czy zmarły był starszym człowiekiem?

- Mniej więcej w moim wieku.

- O, to stosunkowo młody.

- Był najmłodszy w rodzeństwie i miał starszego brata, który żyje. Blia Phaj żyłby również, gdyby nie przeziębiał się i nie dostał

gorśczi płuc.

- A kto po nim dziedziczy mająstek?

- Jego dwie żony i młodzi synowie, którzy jeszcze się nie usamodzielnili.

- To córek nie miał?

- Miał, lecz córki nigdy niczego nie dziedziczą.

- Co mówicie! To im krzywda!

- Mówi się, że dziewczyny nie potrzebują majstku, bo zawsze dadzą sobie radę w życiu...

- Słyszałem, że gdy mąż umiera, to wdowy po nim staje się żonami młodszego brata, jeśli nieboszczyk miał takiego brata. Czy to prawda, Dang?

- Prawda, tak przeważnie bywa, to taki zwyczaj. Wdowom przyjemnie dostać męża młodszego niż zmarły.

- A jeśli nie ma młodszego brata, tylko starszy, który go przeżył, jak to zachodzi tutaj w tym wypadku, to co z wdowami?

- Mogą pójść do starszego brata, ale nie muszą. Skoro są młode, to łatwo znajdą innego męża.

- A z wdowami po Bli Phaju co się stanie? Czy już wiadomo?

- Nie wiem, co się stanie. Jedna to starsza kobiecina, a druga znacznie młodsza. Nie ma dwóch zdań, że starsza pójdzie do szwagra; bo innego męża pewnie by już nie dostała, a młodsza? To kobieta gładka i pełna życia, ale... ale z pewnością i ona także dostanie się szwagrowi.

— Dlaczego?

Znowu oczy Danga zabłysły przebiegle, umiech przemknął mu przez kącik ust.

- Znalazłaby niejednego, dlaczego nie? - odrzekł. - Ale w tym sęk, że ona jest w ciąży. W ciąży po zmarłym mężu, więc dziecko w jej łonie należy do rodziny męża. Jeśli obcy Meo chciałby z nią się ożenić, musiałby rodzinie zmarłego męża w pierwszej kolejności zwrócić wszystkie koszty, jakie mąż poniósł, gdy ona była młoda, no i zapłacić za dziecko. Więc wątpliwe, czy obecnie znajdzie się tak hojny wielbiciel. Natomiast starszy brat nieboszczyka nic nie potrzebuje płacić za nią, rzecz prosta.

- To on ją pewnie dostanie!

- Możliwe, ale nie wiem, czy to już przesądzone. Jej to niezbyt w smak, żeby zostać żoną starego. A nuż nawinie się ktoś młodszy, a zasobny?

Dang zrobił wahadłowy ruch ręką na znak, że sprawa nie jest rozstrzygnięta. A właśnie dojechalimy do domu żałoby.

Żałoby! Ładna mi żałoba: kilkadziesiąt osób, znajdujących się u wejścia do chaty Bli Phaja czy w bezporównalnym jej sąsiedztwie, stanowiło kompanię ludzi w wietnym, powiedziałbym, szampańskim humorze. Radosne twarze, rozemiane oczy, urywki jakich

miesznych podpiewek, sentymentalne dźwięki fletu kreng, taneczne kroki kilku mężczyzn, wesołe wydzieranie się kilku dziewcząt, dzieci rozbawione gonitwą wśród niefrasobliwego wrzasku - wszystkie te objawy głonej uciechy zlewały się w obraz wielkiej zabawy i radoci. W porównaniu z tym obchód noworocznego festynu w Pa Ham wydawał się marszem żałobnym.

- Dang, na miłość boską! - szepnąłem osłupiały do towarzysza, bliski przeżegnania się. - Gdzie tu jest

ten umrzyk?

- W chacie.

- W chacie?! - krzyknęłam na widok rozpromienionych ludzi wychodzących właśnie z chaty na nasze spotkanie, i-Dang, do kroćset, powiedzcie mi szczerze: czy oni wszyscy go tak nienawidzili?

- Kogo?

- Tego nieboszczyka.

- Bardzo go kochali.

Ruchem człowieka, którego rozum zawodzi, chwyciłam się rozpaczliwie za głowę i nie mogłam już nic innego uczynić, jak wybuchnąć miechem. Mój wybuch ogromnie spodobał się żałobnikom, pewnie przewiadczonym, że taki hołd oddaję zmarłemu.

Muszę przyznać, że gdy wesołe towarzystwo ujrzało nas podjeżdżających, nieco ucichło ze zdumienia, że oto nowi goście przybywali na pogrzeb. Ludzie witali Danga przyjaznymi okrzykami, a Chona i mnie życzliwym spojrzeniem serdecznie do nas się umiechając.

Wśród Meów wychodzących z chaty był starszy brat nieboszczyka, A Cze, głowa rodu. O, biedna, młoda wdowo, "gładka i pełna życia"! Już się nie dziwię, że ci nie było spieszno na żonę do takiego szwagra! A Cze, podstarzały nad wiek, wyranie dotknięty jakim

niedomaganiem, miał wymizerowaną twarz i chorobliwie podkrążone oczy. Podejrzewałam go o nadużywanie opium. Lecz pomimo takiego wyglądu nie był słabowity i poruszał się zwawo, widocznie wzmocniony niejednym łykiem ożywczego trunku. Przed chatą powitał nas uroczycie złożonymi przed piersi rękoma, otwartymi dłońmi do góry, i szalenie długo przemawiał. Miał czas i wytrwałość zacny A Cze. Gdy wreszcie skończył, Dang zwrócił twarz do mnie i mrugnawszy okiem przetłumaczył w czterech słowach półgodzinny tyradę: - Mówi, że go ucieszyliśmy.

- Odpowiedzcie mu, że przyszlimy pokłonić się zwłokom rzekłem.

- Dobrze.

Ale co mu Dang powiedział, pozostanie tajemnicą, bo on także rozgadał się jak sroka. Przez dobry kwadrans toczył się potok jego słów i musiały to być słowa wspaniałe, jak wnosiłam z zadowolonych min A Cze i wszystkich wokoło.

Potem wprowadzono nas do wnętrza chaty. Gdy oczy przywykły do półmroku, zauważyłam pod cianą postać ludzką, przywiśzaną szmatami do słupa w stojącej postawie, tak że tylko obnażona głowa wystawała sponad obwijaczy. Pod przeciwległą cianą paliło się ognisko i w jego blasku oraz w półwielu dochodzącym z dworu przez szczeliny w cianach, można było odróżnić rysy nieboszczyka.

Głowę miał trochę pochyloną do przodu, jakby patrzył w ziemię przed sobą. Na wpół otwarte oczy i usta sprawiały wrażenie żywego człowieka, dla żartu przywiśzanego do słupa, wrażenie tym

złudniejsze, że w migotliwym wietle ogniska oczy i usta zdawały się ruszać.

Dang stanął przed zwłokami i milcząc nisko im się pokłonił. Chon i ja poszliśmy za jego przykładem, po czym skierowano nas do ogniska pod drugą cianę. Siedliśmy tam na niskich zydelkach i zabrali się do jedzenia. A Cze i kilku innych Meów przycupnęło również dookoła i wszczęło z Dangiem żywą rozmowę. Po nieco sztywnej i milczącej ceremonii powitania zwłok całe bractwo od razu się rozkręciło i rozga dało. Wszyscy jedli z wilczym apetytem i zdawali się zapominać o nieboszczyku. Mięsiwo i inne jadło leżało w olbrzymich kupach na liciach dzikich bananów, rozłożonych obok nas na klepisku.

Ja niestety ani nie mogłem zapomnieć o nieboszczyku, ani jeć jak moi towarzysze. Zbierało mi się na mdłoci. Dang, bystry obserwator natychmiast to zauważył i wyraził ochotę na wódkę. Trzech Meów zachowało się, jakby czekało na ten zew: poczciwe chytrusy dotychczas nie zapraszali do wódki, bo chcieli wobec obcego zachować pozory umiar.

Potężny haust niezłego bimbrowym jednym zamachem splukał nudności. Zaraz wylali mi drugą czarę. Już bez uszczerbku dla siebie rzuciłem wyzywającym okiem na zwłoki i rozzuchwalony, nawet do nich przepiłem z daleka. Było to w dobrym guście Meów. Następnie kordelasem odciłem słuszny kawałek wieprzowiny i zacząłem żarłocznie jeć. Dogoniłem Meów w dobrym samopoczuciu i już nie marudziłem.

Biesiadę, przerwana naszym przybyciem, podjęto na nowo. Potoczyło się olimpijskie ucztowanie, rozpętała się wesołość.

Jedliśmy i pililiśmy, mialimy się do siebie i co gwałtowniej opowiadaliśmy, a tymczasem przychodzili ludzie z dworu, witali się z nami podawaniem ręk, pili i znikali; podchodziły także jakieś kobiety i witały się z nami, wciśniętymi i pilnymi. Nie, ja już nic nie brałem, tylko oni. Nie chciałem tracić zdrowia ani przytomności, więc miarkowałem się co raz bardziej. Dang, siedzący obok mnie, również się powstrzymywał.

Jak to nazwałem? Olimpijskim ucztowaniem? Rzeczywiście w naszym stroju panującym w chacie było coś, co odrywało się coraz bardziej od ziemi i od spraw ziemskich. Oszałamiający zgiełk i wiadomość, że biesiadujemy "pod okiem" zmarłego, narzucały natrętną ułudę, że to wszystko jest tylko dziwnym fantastycznym widziadłem, że to tylko sama mara. Wesołość moich kompanów była tak niezwykła, a zarazem zaraliwa, że w tym nastroju wszelka niesamowitość wydawała się prawdopodobna, nawet wskrzeszenie nieboszczyka do życia.

W pewnym momencie szturchnąłem Danga w bok i zwierzyłem mu się żartem:

- Mam wciśnięte wrażenie, że Blija Phaj ożyje i do nas przyjdzie.

- Dlatego - Dang podjął myśl całkiem poważnie przy wiśzaniu go tak mocno do pala, żeby nie mógł ożyć. Meowie zawsze przy mierci lękają się niezycieliwych demonów. One chciałyby przywrócić życie zmarłemu, a to ciśniełoby paskudne nieszczęścia na ludzi...

- To czemu, do diabła, już go nie chowaj?

- Chcś zmarłego przekonać, jak bardzo mu byli życzliwi.

- I dlatego tacy weseli?

- Tak jest, dlatego tacy weseli.

Pojęcia przywiezione z Europy rozbiły mi się tu jak bańki mydlane.

A Cze powstał z trudem, taki był objedzony. Wziął do ręki szczyptę mięsa i ryżu i podreptał z tym do zwłok. Gdy biesiadnicy to spostrzegli, raptem przerwali miechy i paplaninę i gapili się zaciekawieni w stronę nieboszczyka. A Cze stanął przed nim i przemówił

do niego czułym głosem:

- Blija Phaj, chłopie najdroższy! - Dang tłumaczył mi zaraz. Był zawsze kochany, ale nieraz odrobinę uparty, przyznaj to, uparty! Więc proszę ciebie, brachu miły, nie upieraj się przynajmniej teraz i jedz z nami! No, braciszku, jedz!...

A Cze starał się wetknąć mu do ust mięso i ryż.

- Czy niegłodny, Phaj? - zawołał A Cze markotnie zdumiony. - Już wiele dni nic nie jadłem, więc musisz być głodny! Przecież widziałe, ile zwierząt zarżnęliśmy na ofiarę, żeby ci tylko dogodzić, żeby miał tam dobrze, a ty nawet marnego kęska nie chcesz z nami spożyć? Och, Phaj!!!

Po tym okrzyku bolesnego żalu A Cze odwrócił się i przycłapał

do nas do ogniska. Usiadł ciężko i smutno zapatrzył się w płomienie.

Po chwili zwrócił się do biesiadników proszącym głosem: - Powiedzcie mi, przyjaciele, co to wszystko znaczy? Ja nie rozumiem! Czy on się na mnie gniewa?

Wszyscy hurmem na wycigi zaczęli go zapewniać, że to wykluczone, by się Blija Phaj gniewał, nie, nie, on się nie gniewa, skądże by, on się nie może gniewać, tyle ofiar na jego cześć...

- Więc mówcie, dlaczego on taki zawzięty, dlaczego mej próby nie spełnia? - pytał A Cze żalonię, wodząc znękanym wzrokiem po zgromadzonych.

- A może... - kto odezwał się niepewnie - może... jego już...

już nie ma między nami?

— Co masz na myśli? A Cze przeszył jśkajścego się ostrym spojrzeniem.

- Może nie ma go... między żywymi?

- Czyżby?!...

Tym przerażonym jękiem zakończono rozstrzśssanie sprawy.

Jakiemu cudacznemu rytuałowi stało się zadoć. Zabralimy się ponownie do uczty, a po niespełna minucie chatę rozsadzały normalne miechy i wesołe wrzaski jak przedtem.

W kwadrans póniej, a może w godzinę,- w koszmarnym otoczeniu i rozgardiaszu straciłem zupełnie poczucie czasu - inny biesiadnik powstał i tak samo jak A Cze zbliżył się do zwłok niosśc w palcach nieco pokarmu.

- Blia Phaj, byłe zawsze moim najbliższym przyjacielem! przemówił uroczycie do nieboszczyka. - Nie wiem, może z bratem miałe rodzinne niesnaski, ale nasza przyjań nigdy nie doznała uszczerbku. Więc bšd mi przychylny równieŹ i teraz! Odezwij się!

A jeli nie chcesz nic powiedzieć, to zjedz choć trochę. Twoja rodzina złoŹyła ci tyle ofiar, Źe starzy ludzie nie pamiętajš takiej szczodroci.

Phaj, jedz, łapserdaku!

Przyjaciel zaczął mu energicznie smarować usta jedzeniem, po czym rozgniewał się i skarcił go:

- Co z tobš, Phaj? Nie chcesz nic przekšsić? Nie ruszasz się nawet?! Niech cię nie znam, Phaju! To taka twoja wdzięcznoć?!

Przyjaciel stał jeszcze chwilę w milczeniu, potem wrócił osowiały na swe miejsce przy ognisku. Powiódł po nas zbolałym wzrokiem i zupełnie załamany szepnął, jak gdyby zdradzał nam wielkš, niepokojšcš tajemnicę:

- Słuchajcie! Zdaje mi się, Źe on jednak nie Źyje!

Obecni powitali to odkrycie głuchym westchnieniem i postanowili zalać zgryzotę. Zalali. Twarze ich od razu rozkraniały i uczta potoczyła się zwykłym, ochoczym trybem.

Tak co pewien czas kto wstawał i prosił mniej lub więcej uprzejmie Blia Phaja o wzięcie udziału w libacji. Nieboszczyk wysłuchać musiał niejednego serdecznego wyrzutu. TakŹe Dang zwracał się do zmarłego, a z dworu przyszła kobiecina - pierwsza Źona Blia Phaja, jak mi powiedziano - aŹeby przemówić męŹowi do rozumu. Potem ludzie coraz częciej zaczęli spoglšdać na mnie i w końcu wyrazili probę, aŹebym i ja spróbował nakarmić zmarłego.

Pomimo wypitej wódki poczułem się strasznie oniemielony i w kłopotliwym połoŹeniu. A to mnie wkopali w kabałę! Dang tak nalegał, Źe nie wypadało odmówić.

- Ale czy muszę przy tym co powiedzieć? - spytałem melancholijnie.

- Koniecznie! Najlepiej co w waszym języku!

Ocišgałem się, wszakŹe moi sšsiedzi jęli mnie z pijackš serdecznociš podnosić i musiałem pójć z odrobinš mięsa i z kubkiem wódki w ręku. Gdy kroczyłem ku zwłokom, nie tylko wszyscy wpili we

mnie lepia, ale zapanowała taka potworna cisza, że słycać było lekki trzask ognia w chacie, a z dworu dźwięki krengu.

Co miałem powiedzieć, żeby nie wygłupić się już do cna? Może co zarecytować? Przed oczyma zamigotała mi jaka zjawa i ujrzałem surowe oblicze czcigodnego bakałarza, który z dalekich stron topił we mnie spoza okularów ostrzegawcze spojrzenie. Ale nie było rady, musiałem co powiedzieć, pusta głowa szukała wstku w rozpaczliwym popłochu. Stałem i wygłosiłem przejmującym tonem: Serce ustało, pier już lodowata,

cięły się usta i oczy zawarły;

Na wiecie jeszcze, lecz już nie dla wiata!

Cóż to za człowiek! - Umarły.

Co wypaliwszy przystąpiłem do ceremonii. Częstowanie nieboszczyka wódką szło jako od biedy: kubek przyłożyłem do ust i wlewałem. Płyn ciekł po brodzie na pier i niżej. Gorzej było z mięsem, W końcu dopełniłem czynności bez wypadku, zgodnie z rytuałem.

Wróciłem do swego zydelka, ale tu dopiero opadło mnie prawdziwe osłupienie. Wszyscy pozerali mnie tak pałajściami oczyma i w takim napięciu, jak gdyby oczekiwali ode mnie objawienia z zawiatów.

Chciało mi się parsknąć miechem, ale nie stało mi odwagi, bo chatę wciśz zalegała uroczysta cisza. .

- wietnie przemówilicie!-w końcu zauważył Dang. - Czy to było jakie polskie zaklęcie?

- Co w tym rodzaju. Bardzo stare, od półtora wieku prawie istniejące.

- Może poskutkowało jako?

- Jak miałyby poskutkować?

- Czy Blia Phaj nie ożył czasem?

- Nie! Zapewniam was, że Blia Phaj umarł sumiennie i to raz na zawsze. .

Gdy Dang przetłumaczył tę rewelację na język gospodarzy, obecni głęboko i głośno westchnęli jakby z przerażeniem, a może z ulgą albo z jednym i z drugim jednocześnie, kto ich tam wie. Niebawem wszyscy byli znowu szczęśliwi i powrócili do zwykłej, hucznej radoci, do picia i jedzenia.

38. Pogrzeb na wesoło

Do chaty weszło kilku mężczyzn, każdy z krengiem w ręku. Kreng to instrument muzyczny, składający się z kilku piszczałek różnej wielkości. Nie przypominało to fletu, lecz ustne organki, wydające bardzo przyjemne, wibrujące dźwięki, miłe dla ucha, podobne do tonów organowych. Kto chciał być

prawdziwym mężczyźni, musiał umieć grać na krengu i tańczyć jeden jedyny taniec, jaki Meowie znali. Tańczyli go przy różnych sposobnościach wyłącznie mężczyźni. A zawsze tańczyli przy zwłokach, był to bowiem taniec rytualny, odpędzający szkodliwe demony od duszy zmarłego. Toteż kiedy siedziałem w chacie przy uczcie, z dworu dochodziły nas nieustanne odgłosy krengu i tanecznego tupania nóg.

W gronie przybywających weszło do chaty dwóch tancerzy grających na krengu. Nie przestali grać i równocześnie wykonywali swój dziwaczny taniec na niewielkiej, wolnej przestrzeni między zwłokami a naszym ogniskiem.

Każdy tancerz poruszał się niezależnie od drugiego i czynił niespodziewane ruchy to szybkie jak skok drapieżnika, to powolne jak czajenie się. Wysoko podnosił jedną nogę, a obracał się na drugiej, schylał

się do ziemi, jakby zamiatał ją krengiem, przeskakiwał z nogi na nogę to gwałtownie, to pomaleńku jak żółw. To prawie przykuczał, by wyprysnąć naprzód, to zamierał w ruchu, a zaraz błyskawicę, zniemacka, okręcał się dokoła.

- My to nazywamy: dać kopniaka złemu demonowi! - przechylił się do mnie Dang.

Było w tym tańcu coś urzekającego, jakie barbarzyńskie, niewysłowione piękno. Wyczuwało się w nim surowy powiew zamierzchłych wieków. Niczego podobnego nie ma u innych narodów, jak na przykład u Tajów z ich powiewnymi tańcami, pełnymi dziewczęcego wdzięku.

Teraz już nie dziwiłem się, że u Meów taki taniec wykonują tylko mężczyźni i że jest dla nich rytualny.

Był to bezsprzecznie taniec niedzwiedzia. Uzmysławiał całe niespożyte krzepę narodu, jego zażarte walki i nieustanną czujność. Rzadko kiedy w tańcach objawia się tak wyrwana symbolika. Szczególnie uderzały nagle, szybkie zwroty, odruchy obrony przed zdradliwym podstępem: przez cztery tysiące lat Meowie musieli bronić swych siedzib od Chińczyków, godzących na nich z tyłu.

A skąd symbol niedzwiedzia? To nie był niedzwiedź himalajski, żyjący w tych górach wietnamsko-laotańskich, bo Meowie przywędrowali tu przed kilku zaledwie pokoleniami. Taniec dotyczył niedzwiedzia Północy, władcy syberyjskiej tajgi. Z prastarych piosenek historycznych, piewanych do dnia dzisiejszego przez Meów, etnografowie wysnuli przypuszczenie, że zanim Meowie zamieszkali w chińskim Honanie, swej pierwszej historycznie znanej siedzibie, przywędrowali z północy, z pogranicza syberyjskiej tajgi i tundry. "Szałaszy nasze głosiła jedna z ich popularnych piosenek - wznosiły się ongi w kraju pokrytym lasem, lodem i niegim. Sześć miesięcy trwał tam dzień i sześć miesięcy - noc. Drzewa rosły rzadko i były niskie, ludzie także byli mali i ogarniali się futrami zwierząt..." Wydaje mi się, że za trafności takiego domysłu mógłby przemawiać również i taniec Meów, na co etnografowie dotychczas mało zwracali uwagę. To niedzwiedź Północy był natchnieniem ich tańca i jak zwierzę ów przedstawiał największą potęgę dalekiej przyrody, tak samo i taniec, naladujący go wywierał przemożny wpływ na najważniejszy obrzęd Meów, jakim była uroczystość mierci.

Wkrótce inni tancerze zastąpili dwóch pierwszych, a ci przysiedli do ogniska na ucztowanie.

Biesiadnicy dotąd mało baczyli na tańce teraz sami wstawali, chwytały za krengi i grały tańczyli. W ogólnym zamieszaniu Dang, Chon i ja wymknęliśmy się na wieże powietrze srodze nam potrzebne.

Dzień się kończył, ale noc jeszcze nie nadeszła. Na gołych szczytach dogasał różowy blask, natomiast wśwozy tonęły w mroku. W sąsiedztwie chaty było wiele ludzi. Przeważnie siedzieli grupkami lub leżeli na ziemi. Wszyscy, którzy nie drzemali, byli wesoło podnieceni: zewsząd dolatywały ich miechy i chichoty. Przeważała młodzież a wśród niej była niejedna hoża dziewczyna. Młodzi zbiegli się z dalekich nawet stron, bo nadarzyła się tu, jak twierdził Dang, najlepsza sposobność do zalecanek, ognistych, grubych i swawolnych. Odbywały się za pośrednictwem piosenki, na miejscu improwizowanej, przeważnie piewanej przez jednego młodzieńca do jednej dziewczyny i na odwrót nigdy nie piewano zbiorowo. Podczas naszej przechadzki, odbytej w pobliżu chaty, Dang przysłuchiwał się słowom szalenie rozbawiony gdyż na ogół piewki były paskudnie pieprzne. Prócz tego nie brak było innych, namacalnych dowodów, że młodzi mieli się ku sobie.

Obecność zmarłego w jaki szczególny sposób wywierała wpływ na otoczenie i powodowała ową rozbrykaną wesołość, która roznosiła ludzi nie tylko w chacie, ale i tu, na dworze. To wszystko było tak niecodzienne, zaskakujące, wręcz paradoksalne, że wymagało nie lada klucza, by dotrzeć do tej tajemnicy. Jść więc Danga brać na spytki a nicować jego wiedzę, a zamęczać go, a im bardziej dociekałem sensu tym osobliwsze zdawałem się czynić odkrycia.

Gdy u nas kto umrze, cały balast uczuć z tym zwiżanych, a zatem ciężar smutku, rozpacz, poczucia osamotnienia, spada na opuszczonych przez zmarłego członków rodziny i na innych bliskich. Umarły pozostawia za sobą na ziemi ból, sam natomiast zapada się, zamienia się w nic. Nawet ludzie wierzący nie wyobrażają sobie, że dusza zmarłego nadal myśli i czuje jak za życia, i wierzą, że wyzbyta z doczesnych namiętności, rozplywa się w zaziemskiej krainie swego przeznaczenia.

Jakże inaczej u Meów! Dusza zmarłego bynajmniej nie ztraca życia, lecz dalej wszystko przytomnie odczuwa, jak gdyby mierz była tylko przejściem przez jakiś niewielki choć fatalny próg. Więc dusza gwałtownie boleje nad tym, że musi odejść od ludzi bliskich sercu i być samotna, podczas gdy krewni i przyjaciele pozostają nadal na ziemi w swym serdecznym, krzepiącym gronie.

W pierwszych dniach po mierci dusza błiska się w pobliżu swego ciała, pełna przerażenia i rozpacz, roztrzęsiona i bezsilna. W tym niebezpiecznym okresie może łatwo pać łupem złolich demonów i zostać przemieniona w tygrysa. Jest obowiązkiem pozostałych przy życiu ludzi pomóc duszy, ażeby do tego nie doszło. Jak? Przede wszystkim składaniem jej i życzliwym duchom ofiar ze zwierząt i plonów ziemi. Dalej okazywaniem jej tkliwych uczuć i hucznej wesołości, albowiem ludzka wesołość odstrasza demony, duszy za, biorąc bierny udział w uczcie, taka zabawa każe zapomnieć o zmartwieniu. Rytualny taniec Meów również odpędza demony. A kochliwe baraszki młodych?

Wszakże one to posępnej tajemnicy mierci najlepiej przeciwstawiają tajemnicę rozrodczoci życia, przeto niech młodzi rano się zalecają!

Więc klucz jest prawdopodobnie taki: podczas gdy u nas przy mierci rozstrzygające znaczenie mają uczucia żywych, tu u Meów domniemane uczucia zmarłego. Stąd niesamowite zachowanie się tych ludzi wobec nieboszczyka.

Na nocleg zeszlimy o kilkaset kroków z góry i na skraju lasu zbudowaliśmy sobie przy pomocy kilku chętnych wyrostków obszerny szałas. Dang nie chciał, żebyśmy nocowali w którejkolwiek chacie meoskiej, bo w nich straszliwy brud. Ze szczerociś godnś podziwu przyznał się do zupełnego braku higieny u swych rodaków, twierdząc z wisielczym humorem, że to największe brudasy na wiecie. To niechlujstwo było chyba jedynś rzucającś się w oczy wadś sympatycznego narodu. Zresztś na zamieszkiwanych stokach mało znajduje się wody, ródła bowiem wypływają z ziemi zazwyczaj znacznie poniżej sadyb, w wśwozach - ale to oczywiście Meów nie uniewinnia.

Zanim zasnęliśmy, przypomniałem Dangowi sprawę młodszej wdowy po Blija Phaju: czy poszuka innego męża?

- Nie - odrzekł. - Jak przypuszczałem, pozostanie przy A Cze. Gdyby nie ciśża, oj, to byłoby inaczej!
...

Pomimo że pod kocami było nam ciepło, le spałem, a rano przebudziłem się z bólem głowy i z obłskanym żośdkiem. Wczorajsza uczta, niestety, nie wyszła mi na dobre i przez cały dzień chodziłem jak zamglony. A szkoda. Zabawa, ucztowanie i zalecanki odbywały się nadal żarliwie, bez chwili wytchnienia, a ponadto piewano stare piosenki, pełne wspomnień z bohaterskich dziejów.

Po południu wyprawiono pogrzeb. Mistrzem ceremonii był czarownik, którym okazał się jeden z wczorajszych biesiadników w chacie.

Pod jego nadzorem przywleczono kawał pnia, wydrśżonego wewnątrz do rozmiarów zwłok. Zwłoki odwiśżano od słupa, umieszczono je w dziupli pnia i zabito deskami. Wtedy na chwilę gwar ucichł. Czarownik kilka razy uderzył siekierś w trumnę zapytując nieboszczyka uroczystym głosem, czy jednak nie chciałby czego przekśśić i czy w ogóle nie ma jakiego życzenia. Gdy nie dostał odpowiedzi, dał znak i kilku Meów dwignęło trumnę. Inni natomiast podjęli grę na krengach.

W pochodzie szli tylko mężczyźni. Kobiety i dzieci stały na uboczu i przypatrywały nam się niefrasobliwie, bez oznak smutku. Tylko dwoje malców, chłopczyk może dziesięcioletni i młodsza od niego dziewczynka, nie wytrzymało i nagle uderzyło w płacz. Były to dzieci Blija Phaja. Młode serduszka zbuntowały się przeciw rygorowi ceremoniału i dały szczery upust naturalnym uczuciom.

Pochód posuwał się powolnym krokiem, ażeby tancerze z krengami mogli nadśżyć. Było ich kilkunastu; kto tylko posiadał kreng, brał

udział w kondukcji. Tancerze obtańcowywali trumnę dokoła, a że każdy grał swś własnś melodię, otaczała nas dzika, obłskana kakofonia.

Wykluczone, żeby jakikolwiek demon przebił się przez zgiełk, skoro rwetes prawie rozdzierał uszy nam żyjącym. Więc trumnę szczęśliwie zaniecono na pagórek o trzysta kroków od chaty i tu bez ceregieli zakopano ją w dole, zawczasu przygotowanym. Na grób nałożono trochę gałęzi i kamieni, żeby ustrzec zwłoki od zwierśst lenych, a obok położono na ziemi trochę jadła na wszelki wypadek. I to wszystko.

Dźwięki krengów nie ustawały ani na chwilę także podczas powrotu do chaty. Tu wygłodniali

biesiadnicy obsiedli nie jedno, lecz kilka już teraz ognisk ze stertami żywności. Mądry i przewidujący szaman, tłumaczący głosy duchów na język ludzki, a przy tym morowy biesiadnik, zwiastował, że trzeba ofiarować jeszcze jednego bawołu.

Tak oto uczta pogrzebowa ciśnieła się dalej. Wszyscy byli najlepszej myli, mieli wietne samopoczucie i wyrażali się, że pogrzeb znakomicie się udał i Blija Phaj musi być bardzo zadowolony. Dusza jego, która wnet połączy się z duchami przodków, na pewno otoczy pozostałych na ziemi rodzinę troskliwą opieką. Co do tego nie ma dwóch zdań”.

Polak po szkodzie powciśgliwy: tego dnia jadłem ledwo na jeden zęb i tyleż piłem. Więc po lepiej przespanej drugiej nocy zbudziłem się raniejszy niż poprzedniego dnia. Pożegnawszy się z A Cze i z miłymi kompanami uczy, rychłym rankiem osiodłaliśmy nasze konie i ruszyliśmy w drogę powrotną do dolin. Lecz zanim skoczyliśmy na siodła, Dang utartym zwyczajem dokonał małej ceremonii: zapytał swe magiczne rogi, czy podróż będzie szczęśliwa, zwłaszcza przy przejściu nad owym fatalnym wśwozem. Zatem rzucił rogi na ziemię. Upadły obydwa okręgiłszy powierzchnią do góry: zła wróżba. Nieprzychylnie duchy czyhały w pobliżu.

Dang zmarszczył czoło, lecz nie stropiony ani na chwilę, porwał

rogi z ziemi i rzucił je po raz drugi. Jeden róg padł okręgiłszy stroną do góry, drugi płaską stroną; znów niedobry znak. Dang gniewnie przygryzając usta cisnął po raz trzeci. Wynik ten sam, co przy drugim rzucie, rogi uparcie przepowiadały złą podróż. Ale równie uparty był

Dang i nie popucił. Przy czwartym rzucie rogi nareszcie upadły pomylnie, obydwa płaskimi powierzchniami do góry. Dang zaraz rozpogodził twarz i zawołał z triumfem:

- Dobra wróżba!

Chytrze i porozumiewawczo umiechnął się do nas i zadowolony schował rogi do torby.

Do dolin wróciliśmy pomylnie, bez wypadku.

39. Uczta dla Tajów

Po powrocie do Lai Chau stwierdziłem, że już niewiele pozostało czasu na dalsze zwiedzanie okolic. Obliczyłem, że jeśli miałem gruntowniej poznać Laos i Kambodżę, należało myśleć o wczesnym powrocie do Hanoi. Więc jeszcze jakie mniejsze wycieczki w teren i zbliżył

się dzień naszego wyjazdu z Lai Chau w drogę powrotną.

W przeddzień Dien, kierownik wyprawy, postanowił urządzić pożegnalną wspólną kolację dla tancerek z Bań Mo i dla kilku ze starszyny laichauskiej. Moja cnotliwa drużyna od pewnego czasu przestała się bać bliskoci młodych Tajek, tak się rozzuchwalała, a ja nie poznawałem moich przykładowych ascetów z pierwszych dni naszej wyprawy. Widocznie bliskie zetknięcie się z potocznym życiem i pewnie także serdeczne, a nie ukrywane drwiny dziwnego gościa z Polski tak podziały, że przyjaciele już nie odwracali niechętnych oczu od dziewczęcych postaci i nawet

odważnie szczerzyli do nich zęby.

Sfrunęły więc z Bań Mo dziewczęta, licznie wystrojone w białe staniki ze srebrnymi sprżczkami i w czarne, długie, wśskie spódnice.

Jakież urocze ptaszęta, żywe, ruchliwe a układne i dyskretne. Do południa dwie, trzy zajrzały na chwilę do naszej rezydencji i zupełnie jak płochy sikorki zaraz zniknęły. Inne od samego rana rozleciały się po mieście i przyjemnie je ożywiły, a ulice, dotychczas obumarłe i ponurawe obecności zaspanych kupców chińskich, rozbrzmiały jakby promieniami i umiechem.

Gdy około południa wraz z Dienem i Tungiem wróciłem z miasta do domu, oczom nie wierzyłem, taka tu zaszła zmiana. Wszystkie okna, drzwi, kolumny, sienie umajone były lićmi dzikich bananów, rezydencja przekształciła się w wesoły gaj ozdobnych rolin. Zastaliśmy jeszcze kilku chłopaków, przyczepiających łodygi z lićmi do cian.

- Cóż to za dekoracje? - zawołałem zdumiony.

Także przyjaciele byli nieco zaskoczeni, ale zaraz sprawa się wyjaśniła. Kilkakrotnie podczas naszej podróży wspominałem Tungowi o głębokim wrażeniu, jakie sprawiał na mnie widok dzikich bananów, i nie ukrywałem, jak rzewnie budził echa z mych dawnych podróży po innych krajach. O tym wiedział Tung i wiedzieli wszyscy uczestnicy naszej wyprawy, więc doszło to również do uszu mieszkańców Bań Mo.

To oni postanowili sprawić mi niespodziankę i ozdobili nasz dom dzikimi bananami.

Ujmujśca pamięć.

Po obiedzie zaroilo się od tancerek. Taras rezydencji stał się orodkiem zabawy, ów taras z fantastycznie pięknym widokiem na dolinę. Obecnie zabarwiło się tu jak w tęczy, rozległ się szczebiot niby w stadku ptaszst. Tancerki zwały się w rzędy, gitarzysta trścił struny.

Najpierw popłynął jaki na poły uroczysty piew, zapewne na cześć gości. Potem tańce, te same co ongi w Bań Mo i tak samo urzekajśce.

Po jednym, dwóch tańcach - przerwa. Tancerki rozlatywały się jak zwiewne rusałki, siadały na balustradzie tarasu lub gdzie bśd, umiechnięte i zadowolone, poprawiały sobie włosy czy bluzki, cichuteńko chichotały, jedna okrutnie płaszczyła sobie nos dłoniś ze swawoli - co z tym nosem, dziewczyno! - słowem, były rozkosznie figlarne i bezporednie. A potem zrywały się znowu do tańca.

O zachodzie słońca zaproszono nas do głównej sali rezydencji na biesiadę. To już nie była barbarzyńska uczta Meów przy ognisku i przy stertach żywności na bananowych liciach. Tu nakryto bielusińskim obrusem stół długi na dziesięć albo i więcej metrów, a na stole czekały nas porcelanowe talerze, noże i widelce, na półmiskach za dymiśce potrawy chińsko-wietnamsko-tajskie. No i błyskały do nas kieliszki i butelki bynajmniej nie z wodś. To wszystko nasz naczelnny kucharz Ngo Van Quy tak pięknie przygotował, że nawet dziewczętkom zawieciły się czarne oczęta i rozdeły się nozdrza. Malownicza ozdoba cian z lici dzikich bananów potęgowała nastrój.

Posadzono nas w przeplatane go i mnie dostały się jako sšsiadki pewna starsza Tajka i jedna z tancerek. One po francusku ani mru mru, lecz było to zbędne, bo umiechem, oczyma, wargami i ruchami ršk wszystko mile dało się wyrazić. Zauważyłem, że miodki wcinały niele, lecz stroniły od picia, natomiast starsze roczniki nie bały się niczego.

Obowišzkiem niewiast było usługiwanie sšsiadom, a czyniły to z wielkš ogładš i z naturalnym powabem, bez naprzykrzania się.

wietne jedzenie i umiarkowane picie stwarzało przy stole wyborny nastrój, do czego przyczyniła się i ta okoliczność, że nie było oficjalnych przemówień. Natomiast pod koniec kolacji, gdy podawano herbatę i kawę, i jakie wyszukane słodycze, zachciało się biesiadnikom zbierać laury piewaniem. Co rusz kto powstawał i co wypiewywał: a inni słuchali. Z wyjštkiem dwóch czy trzech weselszych piewek wszystkie produkowano raczej żałonie, na owš smętno-płaczliwš nutę, dobrze mi znanš z poprzednich tajskich zabaw. Jak wtedy wywoływało to u mnie niesamowite zdziwienie, że ci ludzie tak pogodni i weseli, a obecnie rozbawieni, skoro tylko otwarli usta do piewu, zamieniali się jakby w płaczków i w płaczki.

piewał także kierownik Dien. Była to raczej melodyjna deklamacja piosenki, popularnej w północnej części Wietnamu: Swemu lubemu dałam kurtkę.

Wróciwszy do domu okłamałam ojca i matkę,

Że na mocie wiatr mi jš zerwał.

Swemu ukochanemu dałam piercionek.

Wróciwszy do domu, okłamałam ojca i matkę:

Że na mocie wpadł mi do wody.

Swemu ukochanemu dałam kapelusz słomiany.

Wróciwszy do domu, okłamałam ojca i matkę:

Że na mocie wicher mi go zerwał.

Huczne oklaski nagrodziły naszego kierownika wyprawy. Znałem tę piosenkę, więc najgłoŃniej ja biłem. Bo to wiat już się w posadach walił, żeby moi wietnamscy przyjaciele wygłaszałi aż takie nieprzyzwoite herezje o ukochanym, kłamaniu i o arcypodejrzanych rozrywkach na mocie. Któż by się spodziewał, że le pays de l'amour, kraina miłoci, do tego stopnia wykolei mych solidnych przyjaciół?

miałem się z dobrodusznš złoliwociš do Diena z takich kolosalnych przeobrażeń, gdy poprzez ogólny gwar z końca stołu dotarło do mych uszu wołanie: - Balan! Polak! - Głósy się wzmogły, wielu je podjęło i już jako lawina okrzyków dopadły do mnie: Balan i Balan!

Spojrzałem pytajšco na tłumacza Tunga.

- Chcš, żeby towarzysz równieŹ co zapiewał! Po polsku! wyjanił.

A holender! To mnie przyskrzynili. Klšłem się na wszystkie wietoci, Źe ja glosu nie mam, Źe ze mnie gamoń nie umiejšcy nic zapiewać, Źe kiedy Indianin w Ameryce południowej słyszšc mój piew myłał, Źe go chcę zabić na ofiarę, ale wszystkie argumenty, których chwytalem się jak tonšcy brzytwy, spływały po Tungu jak woda po skórze morsa. Zmieszany i spłoszony musiałem wstać. Jeszcze byłem pełen tego "nie", wszakŹe wszyscy, rozemiani, wcišŹ burzliwie Źšdali mego piewu. A najwięcej darł się babsztył, miły zreszłš i nieszpety, który piewał przed Dieniem zawodzšc wtedy grobowym glosem jak - za przeproszeniem - zarzynane, stare kozisko. TenŹe babsztył teraz najwięcej wykrzykiwał na całe gardło i domagał się ode mnie piewu.

Widzšc, Źe nie potrafię się wymigać, nastawiłem się na burleskę.

Wydawało mi się to jedynym wyjciem z kłopotliwej sytuacji. Na szczęcie wpadł mi do głowy wiersz przed laty nucony przez mego ojca. Wiersz o strasznie smutnej treci i jeszcze smutniejszej melodii.

Ojciec piewał go tylko z pietyzmu dla jego autora, poznańskiego poety z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Piotra Dahimana.

Rzuciwszy upartej babce komicznie zjadliwe wejrzenie na znak, Źe umiem jeszcze lepiej jęczeć niŹ ona, zadudniłem cmentarnym zawodzeniem:

Ja bez celu,

ty bez celu

jak ten z lulki dyyym...

Dwóch nas tylko,

dwóch, niewielu,

lećmy razem z niim...

Ażeby pogłębić jeszcze smutne wrażenie, bajecznie tremolowałem, niektóre za słowa, jak “dym” i “z nim” przeciśgałem prawie w nieskończoność. Nie posiadajśc słuchu ani głosu fałszowałem bez miłosierdzia, za to - zakłšwszy w duchu, że raz kozie mierć nadrabiałem minš, odwagš tudziez głosem tubalnym niczym tršba jerychońska.

Mylałem, że smętniej niż oni piewajśc, słuchaczy moich zapędzę w kozi róg, przerażę, a tymczasem skutek był wręcz przeciwny.

Biesiadnicy byli wniebowzięci, a gdy zwrotkę skończyłem i usiadłem, wołaniem i rześistymi oklaskami wyrażali swój zachwyt. Stropiony, podejrzliwie rozglšdałem się po sšsiadach, ale oni byli naprawdę zachwyceni. Bezwiednie uderzyłem w jaki ton, uważany przez nich za wyraz radoci, i tak też przyjęli smutnš piosenkę.

- O czym mówiła pień?- zapytał mnie Tung poprzez ogólny gwar.

- O dymie z lulki i o bezcelowoci - wyjaśniłem.

- Ach - odrzekł zadowolony -u nas także piosenki o lulkach i fajkach wodnych sš bardzo przyjemne, melodyjne, filozoficzne...

Niech go dunder winie!

Wtem rozległy się w głębi sali rytmiczne uderzeniaw dwa gongi i podnieciły biesiadników. Młodzieży, zwłaszcza dziewczętom, oczy strzeliły ogniami. Zerwały się zachęcajšce głosy: - Sue! Sue!

Była to nazwa popularnego tańca, miłego wszystkim Tajom.

Polegał na tym, że tańczšcy chwyтали się za ręce i wszyscy tworzyli jedno koło, czyniśc drobne kroki do przodu i tyłu według taktu wybijanego gongiem lub bębnem. Przy tym koło powoli posuwało się w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara.

Tak i teraz zaczęło się sue. Biesiada dobiegała końca, stół juź nie zapowiadał nowych rozkoszy, a ogólne radosne uniesienie domagało się godziwego ujcia. Zatem: sue. Kilka dziewczyn o zarumienionych policzkach powstało od stołu i niedaleko na sali utworzyło kółko. Od razu wpadły one w takt obydwóch gongów i za chwilę odgłos gongów i taneczne kroki splotły się jakby w jeden węzeł. A juź do tańczšcych doskoczyło trzech czy czterech młodzieńców, zapewne ich chłopców od

serca, i rozdzielając dłonie tancerek rozszerzyło koło. Nie było żadnego piewu, słyszało się tylko szelest nóg i zniewalający rytm gongów,

Gdzie w wiecie uczeni głowiś się nad rozbijaniem jądra atomowego, pociski wyprawiają między planety, a zaafetowani mężowie stanu posyłają sobie zjadliwe noty, ale tu tańcząca swój sue młodzież mało dba o dalekie kłopoty i powiewy mierci. Nie docierają do nich Gongi przekazują jej wielowiekową tęgość przodków, w której niezłomnie wierzy, rozżutniona krew płonie w żyłach, a na straży wszystkich wejść do domu czyż nie stoją wielkolistni opiekunowie jej miłosnych szeptów, swojskie, przyjazne roliny? Przez zielone zasieki dzikich bananów nie może tu wdrzeć się żadne tchnienie klęski ani niedoli, o tym wszyscy są przekonani.

Uderzenia gongów i widok tańczących porywają coraz bardziej rozradowanych ludzi.

Przyglądałem się tańczącemu z serdecznym zaciekawieniem. Opowiadano mi kiedyś, że sue jest najlepszym pośrednikiem tkliwych uczuć, ułatwia bowiem niemiałym młodzieńcom wyznanie, przez nikogo nie zauważone prócz zainteresowanej osoby. Według umownego szyfru młodzian, trzymający upragnioną dziewczynę za rękę, muskał

palcem kilkakrotnie wewnętrzną stronę jej dłoni, co oznaczało czułe zapytanie, a gdy ona odpowiadała mu tym samym sposobem, dawała do zrozumienia, że mu przychylna. Zaintrygowany rzucałem czasem spojrzenia na połączoną przy tańcu dłoń, lecz oczywiście nic nie dało się wykryć.

W pewnym momencie zauważyłem dwie dziewczyny podchodzące do mnie. Umiechały się szalenie zmieszane i oblane potem, ale wzięły na odwagę i parły naprzód. W pierwszej z nich poznałem ową uroczą tancerkę o rozmarzonych oczach, która roiła sny o szerokim wiecie, a którą w duchu nazwałem Rusałką, gdyż widząc ją siedzącą w Bań Mo na kamieniu, porównałem z rzeźbą rusałki w porcie kopenhaskim. Podeszła teraz do mnie z koleżanką i po tajsku, lecz ruchami rąk łatwo zrozumiałymi, zapraszała mnie do tańca.

Ubawiony wstałem i poszliśmy. Włoczyłem się do koła mając z lewej ręki Rusałkę, z prawej jej koleżankę. Taniec, niezmiernie łatwy, polegał wyłącznie na dobrym wczuciu się w rytm gongów, a nogi same już sunęły. Tak upłynęło kilka minut i przyznam się, że w monotonnej harmonii dźwięków i kroków odczuwało się szczególny urok, była w tym jakaś cierpka przyjemność.

Od czasu do czasu ogarniałem kąciakiem oka Rusałkę i wtedy ona, zawsze baczna, również podnosiła ku mnie umiechnięte spojrzenie, pełne przychylności. Zarumieniona, z lekką zadyszana, chyba nie tyle ze zmęczenia, ile z emocji, miała duże, wilgotne oczy, teraz fantastycznie błyszczące i zalotne jak u większości młodych Tajek.

Tak tańczyłem już pewnie dziesięć minut, a że wszystko szło wciąż na jedną nutę, powoli zaczęło to nudzić. Wtedy zbudził się we mnie przekorny chochlik: a nuż poprobować tajnego znaku rąk i zobaczyć, co moja Rusałka na to? Było nie było, niewiele się namylając musnąłem dwa, trzy razy palcem po jej dłoni. Ona nie pojmując, co się więc, myślała, że to przypadkowy ruch. Lecz gdy powtórzyłem manewr i zaczępnę, a zarazem życzliwie do niej się umiechnąłem, ona zbaraniała. Po chwili co jak gdyby się poruszyło pod moją dłoń, wszakże tak nieznacznie, że zapytałem Rusałkę wzrokiem. Wówczas ona mocno odpowiedziała i parsknęliśmy przyjaznym miechem.

Okolo jedenastej w nocy mili gocie zaczęli nas opuszczać. Żegnaliśmy się długo serdecznym, braterskim uciskiem. Odchodzili od nas rozgwarzonymi grupkami, szczęśliwi i podnieceni, a gdy po kilku krokach rozplýwali się w ciemnościach, dowiadczyłem wrażenia, że wraz z nimi jak gdyby czšstka mego ja przepada w mroku.

Po odejciu wszystkich gości melancholijna cisza zaległa dom i wtedy osłods było spojrzeć na ostatniš po nich pamištke, łodygi i licie dzikich bananów. Zwisaly ze cian w okropnym nieładzie lub ležaly po kštach, jak gdyby sama zwichrzona puszcza wtargnęła do nas na salę. Wielkie licie były potargane, ale od ich krzepkiej, jakby słonecznej cišgle zieleni szła radoć i otucha.

Nagle przyszło mi do głowy banalne niezawodnie, ale jakże słuszne porównanie plemion i narodów, poznanych w tych górach, z dzikimi bananami. Jak one, ludzie sš tu mocni, dorodni, pełni szlachetnej prostoty, na wskro zdrowi, tylko do niedojrzałego owocu podobni. Jednakże piękny rozwój dzikich bananów wiadczył, że uszlachetnione, zdolne będsz rodić słodkie owoce.